

# Sisman Robyn

## Zupełnie obcy ludzie

*Czy można pokochać kogoś, kogo się nigdy w życiu nie widziało? Suze Wilding i Lloyd Rockwell nie znają się; są sobie zupełnie obcy, chociaż pracują w tej samej firmie. Ona mieszka w Londynie, on w Nowym Jorku. Nic o sobie nie wiedzą - aż do dnia, kiedy muszą zamienić się pracą i mieszkaniami. Suze jest impulsywna, niecierpliwa, spontaniczna i uparta; NIGDY nie zamierza wyjść za mąż. Spokojny, zrównoważony, ostrożny i rozsądny Lloyd zastanawia się nad poślubieniem odpowiedniej pod każdym względem kandydatki - wykształconej, eleganckiej i gospodarnej Betsy. Kiedy Suze odkrywa intrygę, mającą na celu wyrzucenie Lloyda z pracy, postanawia mu pomóc. Podczas długich rozmów telefonicznych nawiązuje się między nimi nić przyjaźni - a może nawet coś więcej? Wkrótce też obojgu przychodzi do głowy ta sama myśl: co mogłoby się wydarzyć, gdyby tak w końcu doszło do ich spotkania...*

Rozdział pierwszy

Deszcz zaczął padać podczas obiadu, niedługo przed zabraniem ze stołu egzotycznej ryby z przyprawioną ziołami polentą i triumfalnym pojawieniem się tira-misu domowej roboty, przyrządzonego przez Bridget. Nie była to zwykła nieśmiała angielska mżawka, lecz zalewający wszystko potop, który kaskadami lał się z nieba, walił w zasłonięte okna i zbierał się błotnistymi kałużami w studzienkach piwnicznych. Dwie godziny później gwałtowna ulewa nadal zalewała gładkie londyńskie chodniki. Stojąc na rogu ulicy gdzieś na brzydszym krańcu Kensingtonu i rozpaczliwie marząc

o taksówce, Suze czuła się niczym koń opłukiwany wodą z hydrantu. Zapach zwierzęcia bił z jej zniszczonej skórzanej kurtki, krople deszczu niczym pająki zlatywały w dół po grzywce. Rozgrzewało ją jedynie ogromne wzburzenie.

Nigdy nie wyjdę za mąż, ślubowała sobie w duchu. Nigdy nie będę tak z siebie zadowolona, taka protekcyjna i nudna. Odskoczyła dalej na krawężnik, gdy furgonetka dostarczająca prasę pry snęła strumieniem brudnej wody z kałuży prosto na jej kolana. „The Sun” - przeczytała Suze w blasku dwóch tylnych świateł jarzących się jak szczurze oczy. Tylko tego brakowało. Zimna woda ściekała po rajstopach

i sączyła się do nowiutkich zamszowych pantofli, które Suze włożyła, by zrobić wrażenie na tym ograniczonym facecie, z którym poznała ją Bridget. „Słabo-

## 8 Robyn Sisman

ści, twe imię kobieta!"\*. Bridget, a niech cię diabli. Suze, twój mózg to rozmięczona papka. Powinna mieć więcej rozumu. Z Bridget był kiedyś niezły numer - w tych dawnych dobrych czasach, kiedy pracowały razem w dziale reklamowym znanego wydawnictwa: Suze jako podrzędna projektantka i Bridget -najmłodsza i najładniejsza z ważniaczek zatrudnionych w promocji, ceniona bardziej dla swych nóg niż umysłu. Stały się najlepszymi koleżankami, i bez litości flirtowały z każdym, kto nosił spodnie, albo też spędzały całe przerwy na lunch w sklepach znanych projektantów mody, przymierzając ubrania kosztujące ich miesięczne pensje. Razem też włóczyły się po klubach, a czasami nawet przesiadywały tam całe noce. Przygotowywały się do następnego dnia harówki w kawiarni w Soho, pośpiesznie łykając podwójną kawę z ekspresu, a makijaż poprawiały prędko w biurowej toalecie. Jednak odkąd Bridget zaciągnęła Toby'ego do ołtarza - Suze wyobrażała sobie, jak ten przedziera się niczym dość tęgi książę z bajki przez gąszcz bukietów kwiatów i wstążek oraz zwoje tafty w kolorze kości słoniowej z właściwą sobie męską udawaną niezgrabnością - przybrała postawę łagodnej protekcjonalności, która doprowadzała Suze do szału. Młoda mężatka szybko porzuciła kolejno pracę, papierosy, alkohol oraz całą oryginalność myślenia. W ciągu kilku lat zaś zyskała uśmiech madonny i dziecko. Teraz obserwowała życie Suze niczym matrona - z mieszanką dezaprobaty i pełną zadowolenia ciekawością. Praca zawodowa, dawała do zrozumienia niedawnej koleżance, nie zastąpi kobiecie męża. Kiedy wszakże Bridget zaprosiła Suze na obiad, ta w imię dawnej przyjaźni przyjęła zaproszenie. Poszła z mocnym postanowieniem, by zabłysnąć. Było ich ośmioro: trzy małżeństwa, samotny mężczyzna i Suze. Co za subtelność! Samotny facet imieniem Charles okazał się kumplem Tóby'ego z pracy,

\* **William Szekspir, „Hamlet”, przeł. Leon Ulrich (przyp. red.).**

#### *Zupełnie obcy ludzie 4*

agentem hipotecznym. Ten dobrze odżywiony, pewny siebie blondyn, nosił szelki, charakterystyczne dla pracowników City, i koszulę w paski. Gdy zostali sobie przedstawieni, całkowicie zignorował Suze; możliwe, że ogarnęło go to samo zakłopotanie, które sprawiło, iż ona także czuła się jak eksponat w muzeum etnograficznym. „Niezameżna kobieta zamieszkująca aglomeracje miejskie, koniec dwudziestego wieku” - można by przeczytać na etykietce. „Należy zwrócić uwagę na rytuał łączenia się w pary i autoekspozycję widoczną w szkarłatnej pomadce do ust oraz krótkiej spódnicy”. Przez pierwszych dziesięć minut Suze, siedząc na kanapie wciśnięta pomiędzy Katie i Victorię, które omawiały historię swych porodów z mrożącymi krew w żyłach detalami, czuła się tak samotna, jak gdyby znalazła się nagle na bezludnej wyspie. Mężczyźni stali na drugim końcu pokoju, całkowicie pochłonięci kontemplacją butelek z winem. Hugh, starszy brat Toby'ego, handlował winem, i właśnie stwierdził autorytatywnym tonem, że zdecydowanie opowiada się za claretem. Suze małymi łydkami popijała swoje *pinot noir* i uśmiechała się promiennie, patrząc gdzieś w przestrzeń, uwięziona w potoku obcej i niezrozumiałej dla siebie terminologii. Znieczulenie rdzeniowe... tanina... łożysko... petydyna. Opróżniła swój kieliszek o wiele za szybko i pod pretekstem, że chce sobie dolać wina, uciekła do kuchni, gdzie odnalazła Bridget wpatrującą się niespokojnie w piekarnik.

- Mogę ci w czymś pomóc?

- Panuję nad wszystkim - zapewniła ją przyjaciółka stłumionym falsetem. - Chyba że... czy mogłabyś być tak miła i zaprogramować wideo? W telewizji jest mecz piłki nożnej, który Toby chce nagrać. Prawdę mówiąc, nie zna się na tych urządzeniach.

Suze uwielbiała wszelką aparaturę. Wracając do salonu, rozdzieliła mężczyzn jak Mojżesz Morze Czerwone i nastawiła wideo, gdy tamci w milczeniu i krytycznie w nią się wpatrywali.

## *10 Robyn Sisman*

- Nie tylko ładna buzia, co? - Toby mrugnął w stronę Charlesa.

- Mówią, że nawet czterolatek potrafi to zrobić - zauważył ten miażdżącym tonem.

Suze zaśmiała się tylko.

- Niestety, Toby dobiega już czterdziestki. Obiad był starannie przygotowanym i wytwornym przedsięwzięciem - ze świecami w ozdobnych lichtarzach, białym obrusem, kieliszkami trzech różnych wielkości, a także odpowiednio dobraną porcelaną. Suze posadzono między Charlesem i Tobym. Rozmowa obracała się wokół sztampowych tematów: urlopy, filmy, restauracje, ważne kwestie, czy posiadanie samochodu typu džip w mieście jest pretensjonalne, etyka prywatnej służby zdrowia, ceny kuchenek, a także na co wydaliby miliony wygrane na loterii, oraz najlepszy sklep, gdzie można kupić naprawdę świeży makaron. Nigel i Katie, nadający jednocześnie jak stereofoniczne radio, mieli bardzo dużo do powiedzenia na temat zajęć w szkole rodzenia, do której razem chodzili. Charles wyjaśnił Suze w dość dużym zaufaniu, że prawdopodobnie mógłby obniżyć raty kredytu hipotecznego za jej mieszkanie.

- Musiałbym oczywiście przyjść i je zobaczyć - zrobił znaczącą aluzję.

Później, przy deserze, wraz z Tobym omawiali nad jej biustem politykę rządu. Suze próbowała nawiązać nić porozumienia z Katie, proponując jej odrobinę wina, poddała się jednak, kiedy ta z nabożeństwem położyła dłoń na kieliszku i wdzięcząc się sztucznie, za-szczebiotała:

- Muszę uważać na dziecko!

W końcu Suze doznała niemal ulgi, kiedy Toby zwrócił na nią uwagę - dopóki nie usłyszała jego pytania.

- No więc, nasza młoda Susanno - zagrzemiał - jak tam twoje życie miłosne?

Nagle w pokoju zrobiło się cicho. Siedem par oczu zwróciło się na adresatkę pytania i z uwagą lustrowało jej postać.

### *Zupełnie obcy ludzie 6*

- Dobrze - odrzekła nieprzekonująco. Co, u licha, dzieje się z tymi wszystkimi ludźmi po ślubie?

Czyżby amputacja taktu stanowiła obowiązkowy składnik przysięgi małżeńskiej? <

- Nadal nie pojawił się nikt specjalny? - spytała ze współczuciem Bridget.

- Cóż...

- Moje ty biedactwo. - Ręka Katie błogo spoczywała na obłym, gigantycznych rozmiarów brzuchu, który zdawał się zaczynać gdzieś około centymetra pod jej brodą. - Prawdę mówiąc, nie wydaje mi się, abym zniosła powrót do tamtych dni, gdy stale się powtarzało: „A czym pan się zajmuje?” i: „Och mój Boże, czy on zadzwoni?”.

Pozostałe mężatki jęknęły.

- Nie przypominaj mi...

- Tamte udręki... Suze kpiła sobie z tego:

- Ależ na tym polega cały urok. - Odrzuciła do tyłu włosy i oparła łokcie na stole. - Która kobieta chciałaby przez resztę swego życia wracać do domu z tym samym mężczyzną? Jeśli jest się wolnym, każda noc to pełna tajemnic magiczna wyprawa. Chyba jeszcze to pamiętacie? Przyjęcia, kluby i to ekscytujące polowanie.

- Darz bór! - wykrzyknął Charles z ożywieniem. Teraz patrzył na Suze z pewną aprobatą.

- Jednak to nie to samo, prawda, Hugh? - Victoria położyła dłoń na pulchnym udzie męża.

- Absolutnie - zgodził się, wbijając wzrok w piersi Suze. - Chcę powiedzieć, nie ma porównania. Uu, Vicky, to boli.

- Chodzi o to - oświadczył Nigel tonem nieznoszącym sprzeciwu - że kiedy przeminą najlepsze lata dziewczyny, najwspanialszy faceci są już złapani.

- Wiadoma sprawa - przytaknął zadowolony z siebie Toby, gładząc łysiejącą głowę. - W pracy mam pełno kobiet po trzydziestce nadal bez przydziału - a niektóre z nich to całkiem niezłe sztuki. Prawda, Charles?

## *12 Robyn Sisman*

Ten przez chwilę nic nie mówił, a potem na jego twarzy pojawił się obleśny uśmiech.

- Karen Wiggins? - zapytał i obaj zaśmiali się głośno. Suze zarumieniła się z oburzenia.

- Moje najlepsze lata jeszcze nie minęły. - Wydała z siebie pogardliwe prychnięcie. - Poza tym co ma być niby takiego wspaniałego w praniu skarpetek i gotowaniu obiadu dla kogoś, kto właśnie traci włosy i zamierza spędzić resztę życia na czytaniu sportowych kolumn w gazecie?

Zapadła cisza. Zakłopotani goście odwrócili głowy. Hugh odchrząknął głośno.

- Kto się napije wina?

Rozległ się pełen aprobaty szmerek. Suze uświadomiła sobie, że wypła już niezliczone ilości kieliszków, nie czując żadnego smaku. Nadal urażona, ostentacyjnie popijała wino łyżkami, a następnie zmarszczyła czoło.

- Być może przydałaby się szczypta petydyny, tak dla pełnej doskonałości.

- Jak tam w firmie? - spytała szybko Bridget. - Suze pracuje u Schneidera Foxa, w agencji reklamowej

- wyjaśniła Charlesowi. - Jaki jest twój ostatni projekt, kochanie?

Suze przez chwilę udawała, że się zastanawia.

- To będzie chyba dla Klubu Przyjaciół Wagi - powiedziała w końcu. - W tym tygodniu musiałam nadzorować sesję fotograficzną do ich najnowszej kampanii reklamowej - dopilnować, aby zgadzała się z nowym profilem towarzystwa i tym podobne sprawy. W każdym razie pomysł jest taki, że na podłodze leży goły mężczyzna. Ujęcie jest z boku, widać jedynie ogromne zaokrąglenie wielkiego, owłosionego brzucha i wystające stopy. Tekst na górze głosi: „Gdzie on się podział?”. - Zachichotała.

- Na dole zaś jest napis: „Zobaczysz go znowu, jeśli będziesz walczyć z nadwagą”. Co o tym myślicie?

- Śmiało, śmiało! - Charles pożądliwie strzelał oca-

### *Zupełnie obcy ludzie 8*

mi. Znacznie się ożywił od czasu publicznej debaty nad życiem miłosnym Suze.

- Cholerna feministyczna propaganda! - zaprotestował Toby. - To normalne, że mężczyźni przybierają trochę na wadze, gdy osiągną dojrzały wiek. - Poglądził się z upodobaniem po własnym brzuchu faceta w średnim wieku.

- Tak jak powiedział Nigel - przypomniła mu z powagą Suze - gdy miną twe najlepsze lata...

Owo niecne rozpamiętywanie odniesionego niedawno triumfu przerwał Suze znajomy warkot.

Cudownym zrzędzeniem losu taksówka zatrzymała się właśnie kilka kroków od niej. Rozpryskując wodę, szybko podbiegła do auta, zanim poprzedni pasażer zdążył zamknąć drzwi.

- Islington - wykrztusiła, a potem wskoczyła do tyłu, nim kierowca zdążył powiedzieć, że kończy się jego zmiana.

- Psiakrew, kochana, pływałaś?

Suze wytarła wodę z rzęs i brwi, wycisnęła włosy i oparła się o siedzenie, przyklejając się do niego.

Naprzeciwko nie j znajdował się plakat agencji matrymonialnej. „Samotna?” - wypisano na nim ogromnymi literami. Zamknęła oczy.

Przy kawie Bridget zaczęła nasłuchiwać, położyła ostrzegawczo dłoń na ramieniu Toby'ego, a potem nagle wyskoczyła z pokoju jak oparzona. Wróciła, niosąc zawiniątko z czymś, co Suze przypominało zdziwionego prosiaczka.

- Timmy był taki samotny - zaszczebiotła. - Synuś też chce do gości!

Dzieciak zezował na drgające płomienie świec może przez dwie sekundy, a potem wybuchnął rykiem, od którego pękała głowa. Bridget huśtała synka z zapalem i podrzucała go gwałtownie, trzymała do góry nogami i przytulała, a nawet włączyła Timmy'emu dzwonek w piekarniku, gdy tymczasem trzy pary aktualnych rodziców i jedna przygotowująca się do tej roli omawiały



## *14 Robyn Sisman*

godziny snu i karmienia niemowląt, by następnie przejść do rodzajów pieluszek i plastikowych kubków odpowiednich dla małych dzieci.

Suze z rozpaczy sprzątnęła naczynia ze stołu. Gdy płukała je i układała w zmywarce do naczyń, zobaczyła, że Charles wszedł za nią do kuchni. Zamknął drzwi i oparł się o nie, leniwie lustrując ją od stóp do głów.

Żałowała, że ma na sobie nową, obcisłą spódnicę z materiału przypominającego lamparcią skórę.

- To właśnie my, kobiety, nazywamy zmywaniem. - Wymówiła każde słowo wyraźnie, ze wspaniałą dykcją, jak gdyby zwracała się do cudzoziemca.

Zaśmiał się swobodnie zadowolonym pijackim rechotem.

- A więc co robisz w ten weekend, szalona, niezwią-zana z nikim kobieto? - Wolnym krokiem ruszył w jej stronę po prowansalskiej terakocie Bridget. - Czy miałabyś ochotę na kilka dni na wsi? Zielone pola, wiejskie śniadanie, łóżko z zasłonami... ja. Bez zobowiązań.

Suze wpatrywała się w wodę wirującą w zlewozmywaku. Czy inne kobiety naprawdę mówią „tak” w odpowiedzi na podobne propozycje? Na moment zapomniała, że jest twardą nowoczesną dziewczyną, która uwielbia swoją pracę, i miała ochotę wybuchnąć płaczem. Zamiast tego jednak dokładnie zakręciła kran, wzięła ścierkę, aby wytrzeć ręce, a następnie odwróciła się i spojrzała Charlesowi w oczy. Odpowiedział jej zarozumiałym uśmiechem.

- Nie wydaje mi się, bym miała na to ochotę - odparła zimno. - W każdym razie dziękuję.

- Och, daj spokój, dla odmiany mogłabyś się trochę zabawić. - Złapał za drugi koniec ścierki i zaczął ją ciągnąć ku sobie. - Toby mówił, że z nikim się nie spotykasz.

- W takim razie, niestety, twój przyjaciel jest źle poinformowany - odpowiedziała, a brzmiało to wyniośle nawet dla niej samej. - Tak się składa, że mam wiele rozrywek. I zostaw, z łaski swojej, tę ścierkę.

### *Zupełnie obcy ludzie 10*

Trzymał kolorową szmatkę dostatecznie długo, aby pokazać Suze, kto tu jest szefem, a następnie rzucił krótko:

- Twoja strata.

Kiedy w końcu Timmy dał się zanieść do łóżeczka, zaczęli grać w skojarzenia - zabawa polegała na odgadywaniu nazwisk sławnych ludzi.

- Pomocy! - chichotała Katie, rzucając krowie spojrzenia na mężczyzn. - Mam w głowie zupełną pustkę. To pewnie przez te ciążowe hormony.

Suze nabazgrała: Marie Stopes\*, Germaine Greer\*\*, Herod.

Podzielili się na dwuosobowe zespoły; jedna osoba wyciągała z kapelusza pasek papieru z nazwiskiem i zarzucała drugą wskazówkami. Toby, który miał wrażliwość piętrowego autobusu, nalegał, aby Suzę została partnerką Charlesa.

- Oto nareszcie gra, w jaką możemy się bawić - powiedziała, starając się zawrzeć pokój. - Trzymaj się mnie. Zawsze wygrywam! Podniósł brwi, słysząc te słowa.

- Prawdę mówiąc, myślę, że okres zabaw na przyjęciach mam już za sobą.

- Dobrze, moi drodzy. - Toby odpiął zegarek i położył go na stole w jadalni. - Suze i Charles zaczynają. Jedna minuta na udzielenie tak wielu odpowiedzi, jak to możliwe.

Suze wyciągnęła pierwszą kartkę papieru z kapelusza i rozłożyła ją. Zwróciła się do partnera, próbując przekazać mu swoje myśli i przesłać sygnały do jego mózgu - o ile go miał.

- Księżę Danii - odpowiedziała.

**\* Marie Stopes (1880-1958) - Angielka, która w 1921 roku założyła pierwszą w Wielkiej Brytanii klinikę, gdzie zajmowano się kontrolą urodzin. Jako pierwsza w swym kraju propagowała edukację seksualną.**

**\*\* Germaine Greer, ur. 1939 - autorka feministycznych książek „The Female Eunuch”, „The Whole Woman”, pochodząca z Australii, mieszkająca w Essex.**

*16 Robyn Sisman*

- Hm, Olaf?

- Spróbuj jeszcze raz - Szekspir.

- William.

- „Być albo nie być”.

- „Oto jest pytanie!” - Charles parsknął nerwowym śmiechem.

- Nie poślubił Ofelii. Pełna zakłopotania cisza.

- Zadźgał nożem Poloniusza. - Suze zademonstrowała ów czyn widelcem. - Za zasłoną.

- Hmm. To jest podchwytliwe.

- Facet z czaszką! - zawołała w skrajnej desperacji.

- Ping! - rzekł Toby. - Czas się skończył. Punktualnie o jedenastej Victoria zerwała się na równe nogi.

- Opiekunka do dziecka! - jęknęła z poczuciem winy i wszyscy zaczęli zbierać płaszcze.

Oczywiście Charles nie zaproponował Suze, że ją podwiezie. Przy drzwiach wyjściowych Bridget wpatrywała się w burzliwą noc, tkwiąc w opiekuńczym uścisku Toby'ego.

- Czy jesteś pewna, że mam nie zamawiać taksówki, by zawiozła cię do domu, Suze? - spytała tonem pracownika opieki społecznej.

Suze zdecydowanym ruchem podniosła kołnierz skórzanej kurtki.

- Do domu? - roześmiała się, udając zdziwienie. - Przed północą? Niektórzy z nas mają jeszcze w planie przyjęcia, Bridget.

I ruszyła w ulewny deszcz tak zwawo, jak gdyby było to słoneczne południe.

Teraz jednak, drżąc z zimna na tylnym siedzeniu taksówki, skrzywiła się, myśląc o tych żalonych słowach. Od miesiący nie była na przyjęciu, a od tygodni nikt jej nigdzie nie zaprosił - w każdym razie nikt, o kim warto by pamiętać. Oprócz tego nie miała już nawet czasu na życie towarzyskie.

Codziennie pracowała po dwanaście godzin i wychodząc z biura o ósmej

### *Zupełnie obcy ludzie 17*

czy dziewiątej wieczorem, była zbyt zmęczona, aby zdobyć się na coś więcej niż tylko złapać w supermarkecie jakiś zamrożony obiad z podaną ilością kalorii i zjeść go przed telewizorem tuż przed zaśnięciem. Być może Toby miał rację: stopniowo zacznie się przemieniać w jedną z tych aż nazbyt pogodnych kobiet w średnim wieku, które na Boże Narodzenie jedzą gotowy pudding dla jednej osoby, podgrzany w kuchence mikrofalowej, i muszą wziąć tydzień urlopu okolicznościowego, gdy zdycha im kot.

Jednak czy małżeństwo naprawdę jest lepsze? Znowu poczuła narastający gniew. Co dawało Bridget and Co prawo, by zachowywać się z taką wyższością? Dlaczego wszyscy zgodnie uważają, że każda dziewczyna musi pragnąć tych wszystkich rzeczy - marmurowych blatów kuchennych, przymarszczonych zasłon, srebrnych sztuczków w prezencie ślubnym, włoskiego składanego wózka dziecinnego, a także sporów o to, kto wyniesie śmieci, czy też tonu, jakim Toby nazywał Bridget „staruszką”, pozwalając jej przynosić i wynosić naczynia przez cały wieczór, podczas gdy on paplał coś o biurze?

Radio w taksówce było nastawione na stację odtwarzającą stare złote przeboje. „Zbrązowiały liście wszystkie, poszarzało niebo...” -Mamas and Papas; muzyka jej rodziców, muzyka jej dzieciństwa i owych czarodziejskich przyjęć, które obserwowała, drzemiąc na prowizorycznym pościeli z futer i płaszczy. Pamiętała dym z papierosów i hałas, a także aksamitną spódnicę matki oraz radosny dreszcz, gdy ją - małą dziewczynkę - podnoszono i wirowano wraz z nią w rytm muzyki. Jej rodzice pobrali się przecież dużo wcześniej, a pomimo to wciąż podziwiała ich namiętność, wzajemną przyjaźń, energię i śmiech. W czym tkwił ów sekret?

„W LA byłoby mi teraz ciepło i dobrze...”. Gdybym znalazła się teraz w Los Angeles... Ha, gdyby tylko było to możliwe! Suze narysowała kółko na zaparowanym oknie i przyłożyła ręce do twarzy, by zobaczyć, gdzie są.

## *18 Robyn Sisman*

Dojechali do Liverpool Road, ciemnego szeregu ściśniętych wystaw sklepowych i stosów śmieci rozpadających się na deszczu. W jednym z domów znajdowała się kwaciarnia. Suze postanowiła zacząć jutrzejszy dzień od wysłania Bridget wspaniałego bukietu, aby wynagrodzić przyjaciółce swe dzisiejsze zachowanie. W końcu jedzenie było pyszne.

- Proszę skrócić tutaj w lewo - zawołała do taksówkarza, podrywając się z siedzenia - trzecia latarnia po prawej stronie!

Gdy tylko się zatrzymał, otworzyła drzwi, wyskoczyła na chodnik i wepchnęła banknot przez okno. Zbyt zziębnięta, by czekać na resztę, pobiegła po schodach do drzwi frontowych.

W mieszkaniu zdjęła z siebie całe ubranie i wrzuciła wszystko do wanny, wytarła ręcznikiem włosy, a następnie otuliła się męskim szlafrokiem ze szkarłatnego kaszmiru, znalezionym kiedyś w jakimś kramiku na bazarze. Otuliła się nim ciasno i spojrzała w lustro, aby sprawdzić, jak się prezentuje. Zastanawiała się, czy wygląda jak tragiczna bohaterka z powieści Tolstoja, zbyt namiętna i wrażliwa dla tego świata. Nie wyglądała. Mokre włosy zrobiły się niemal czarne, z piwnych oczu spływał tusz do rzęs. Do tego zdradzający poczucie własnej godności nos, czemu całkowicie zaprzeczały duże, pociągające usta, tak często błędnie odbierane jako zaproszenie do rzucenia się na łatwą zdobycz; słowem ta sama stara Suze. Efekt końcowy nie odpowiadał założeniom. Z trzaskiem zgasiła światło w łazience.

Nie minęła jeszcze nawet północ i miała przed sobą cały długi i pusty weekend. Przeszła przez pokój, szukając czegoś, co zwróciłoby jej uwagę w innym kierunku. Przejechała palcami po grzbietach kaset wideo i płyt kompaktowych, zmierzyła wzrokiem darmową butelkę nowej wódki pozostałą po kampanii reklamowej z ubiegłego miesiąca, otworzyła lodówkę i kontemplowała stojący samotnie kleisty pudding toffi, zamknęła drzwiczki, a potem uderzyła w klawisze

*Zupełnie obcy ludzie 14*

komputera. Gdyby tylko jutro nie była sobota, można by pójść do pracy.

Kiedy zadzwonił telefon, o mało go nie pocałowała. Usłyszała mocno zduszony głos z australijskim akcentem. Był to Harry Fox, jej szef.

- Gdzie, do cholery, byłeś?

- Na przyjęciu. Jednak moja automatyczna sekretarka...

Przerwał jej mały wybuch wulkanu.

- Automatyczne sekretarki są dla dupków! Teraz słuchaj, Suze, mamy problem. Co byś powiedziała na cztery tygodnie w Nowym Jorku?

## Rozdział drugi

Dokładnie o siódmej trzydzięci Lloyd Rockwell wyszedł z budynku przy Wschodniej Siedemdziesiątej Drugiej, gdzie znajdowało się jego mieszkanie, i ruszył w kierunku metra. Był ciepły czerwcowy poranek pełen wiosennego słońca i świeżego powietrza. Niebo jaśniało czystym błękitem, gdy szedł pewnym krokiem, podziwiając geometrię miasta, widoczną w ostrych, pochylonych cieniach na chodniku. Uśmiechnął się do pani Grumbach i jej jamnika, tak jak codziennie, powiedział „dzień dobry” Koreance, wystawiającej przed kwiaciarnią bukiety, jak każdego poranka, poczekał na zielone światło, a następnie przeszedł ulicę przy narożnym sklepie z owocami.

Dzisiaj na zewnątrz ułożono stosy złocistych melonów, które napływały masowo z Turcji lub z Maroka, czy też z południowej Francji, aby zapewnić nowojorczyków o danym im przez Boga prawie do życia, wolności i pogoni za wszelkimi dobrami tego świata. Wdychając mocny egzotyczny zapach, Lloyd poczuł nagle szalone pragnienie, aby kupić całą torbę soczystych owoców i przynieść ją Betsy do domu na ucztę, podczas której sok spływałby im po brodach. Jednak melony kosztowały po pięć dolarów sztuka, a oni powinni teraz oszczędzać, dopóki Betsy nie skończy swojej pracy o Jane Austen. Opierając się pokusie, Lloyd podszedł do kiosku, gdzie zwykle kupował gazety, wyjął odliczone drobne z kieszeni płaszcza (w telewizji

### *Zupełnie obcy ludzie 16*

dziewczyna od pogody zapowiadała przelotne deszcze w godzinach popołudniowych) i kupił egzemplarz „New York Timesa”, który wsunął uważnie do zewnętrznej kieszeni walizeczki.

Następnie zszedł do dusznego podziemnego świata metra.

Takie musi być piekło, myślał czasami. Ostre światło, powietrze rozrywające płuca, nagłe fale cuchnących zapachów, stłoczone w zamknięciu istoty ludzkie z pełnymi niepokojem, pustymi twarzami - zawsze razem, lecz nigdy niepróbujące nawiązać ze sobą kontaktu. Kiedy Lloyd miał czternaście lat, nauczyciel łaciny, który później sam przyczynił się do własnej dymisji, ponieważ palił trawkę na terenie szkoły, zmuszał chłopca do studiowania „Eneidy”. Tylko dwie sprawy utkwiły Lloydowi w pamięci: łacińskie słowo *quercus* określające dąb skalny - drzewo, z którym nie zetknął się nigdy ani wcześniej, ani później, oraz ponura wizja Wergiliusza dusz w piekle, znoszących katusze z powodu wykonywania bez końca tej samej czynności, bez nadziei na darowanie kary kiedykolwiek. Ów obraz pojawiał się w jego wyobraźni w tych dniach z zatrważającą wręcz częstotliwością.

Wagon był zatłoczony, jednak przynajmniej tym razem Lloydowi udało się wyprzedzić innych i znaleźć miejsce siedzące. Usiłował usunąć z przejścia swe długie nogi, gdy jakaś kobieta upuściła mu walizeczkę na stopy i wyciągnęła rękę w kierunku poręczy nad jego głową. Gdy pociąg ruszył, jej płaszcz się rozsunął, odsłaniając sporych rozmiarów okrągły brzuch kilka centymetrów przed nosem Lloyd'a. Jest w ciąży - zastanawiał się - czy tylko taka gruba? Miał poważny dylemat: czy powinien ustąpić jej miejsca? Prawie na pewno tak właśnie należało uczynić, lecz co będzie, jeżeli pomimo owego brzucha ta kobieta nie jest w ciąży? Czy nie poczuje się urażona, jeśli nieznajomy mężczyzna zaoferuje jej miejsce siedzące jedynie ze względu na płęć? I jeśli przyjdzie jej do głowy, że pomyślał o czymś nie do pomyślenia: „Ta kobieta jest gruba”? Nawet



## 22 *Robyn Sisman*

gdyby była w ciąży, mogłaby uznać za obraźliwy fakt, że mężczyzna uważa ją za niezdolną do stania. Życie w obecnych czasach okazało się pełne takich pułapek - Lloyd pamiętał dziewczynę, która walnęła go w głowę rakieta tenisową i warknęła: „Wejdę za tobą, ty cholerny sir Galahadzie”, kiedy przytrzymał przed nią otwarte drzwi w klubie. Na następnej stacji rozwiązał swój problem moralny, oddając tamtej kobiecie własne miejsce pod pretekstem, że wysiada, a potem wszedł ponownie do sąsiedniego wagonu.

Lloyd zaczął teraz myśleć o tym, co miał do zrobienia tego ranka. Najbardziej lubił w swej pracy moment, kiedy zebrano już wszystkie względne dane, oce-niono dokonania konkurencji, zakończono burzę mózgow, a do niego należało przetworzenie efektów owych działań w jeden twórczy pomysł. „Staramy się jeszcze bardziej”. „Przyjedźcie do kraju Marlboro”. „Ich bin ein Berliner”. W głębi serca Lloyd nadal czuł się autorem haseł reklamowych. Niezależnie od tego, czy sprzedawało się politykę, dżinsy czy mydło lub problem zagrożenia AIDS, wszystko w końcu sprowadzało się do słów, a żonglowanie słowami było ulubioną rozrywką Lloyda.

Dzisiejsza prezentacja dotyczyła produkującego obuwie przedsiębiorstwa z Montany, które rozpoczęło działalność w latach siedemdziesiątych jako przyjazna dla środowiska hipisowska komuna pod nazwą Sam & Martha. Wskutek tajemniczego kaprysu mody nagle każdy chciał być na topie i pokazać się w ich espadry-lach z surowego płótna. Dzieciaki z Harlemu grały w nich w koszykówkę, a Andie McDowell sfotografowano dla magazynu „Vanity Fair” na jej ranczu, gdy miała na nogach właśnie takie buty. Szefowie firmy Sam & Martha przestali się zachwycać haszyszem i soczewicą, obcięli włosy, wynajęli kilka sal u Pierre'a i teraz zastanawiali się, co zrobić, by móc działać na równi z takimi firmami jak Nike i Reebok. Prywatnie Lloyd uważał ich zamierzenie za zbyt ambitne, ale chciał wykorzy-

### *Zupełnie obcy ludzie 18*

stać ów rustykalny szal. Planował serię reklam plakatowych i telewizyjnych przedstawiających codzienne domowe zachowania z wykorzystaniem hasła „istoty ludzkie”. Mówi się, że reklama to wyrefinowana forma kłamstwa, jednak Lloyd dowodził, iż jest dokładnie na odwrót: najbardziej skuteczne reklamy są jak najbardziej prawdziwe. Później zorientował się, że nie wszyscy spośród jego współpracowników podzielają ten pogląd.

Ktoś musiał dać znać ludziom z Sama & Marthy, że to Lloyd wymyślił kampanię dla Passion. Powiedzieli, że jest to jakiś punkt zaczepienia, i nalegali na spotkanie z Rockwellem. Koledzy docinali mu przez cały tydzień, mówiąc, że będzie musiał włożyć na tę rozmowę sandały i mówić do każdego z tamtych „człowieku”.

Gdyby firmie Sam & Martha spodobał się jego projekt, Schneider Fox zyskałby uznanie i przesunąłby się do przodu na liście najlepszych agencji reklamowych, Lloyd zostałby bohaterem miesiąca, a cała sfera projektantów, speców od public relations, dyrektorów działów reklam telewizyjnych i radiowych, nabywców projektów oraz pajaców zajmujących się różnorodnymi środkami przekazu rzuciłaby się na jego pomysły. Jeśli natomiast klient nie da się przekonać, wtedy okaże się, że Lloyd doprowadził do kolosalnej straty czasu i pieniędzy. Była to loteria, w której brał udział kilka razy w roku. Zazwyczaj tego ranka, kiedy miała się odbyć prezentacja nowej kampanii, budził się wcześniej z uczuciem suchości w ustach, a w głowie mu aż huczało od domysłów i obaw. Jednak nie dzisiaj. Chociaż wydawało się, że ten dzień przypomina każdy inny piątek, tak jednak nie było. To ostatni dzień w miesiącu, w którym metro wciągnie go w swoje ciemne korytarze, kiedy poczuje szarpanie niewidzialnej smyczy, na której szedł codziennie rano do pracy i wracał wieczorem do domu. Podczas tego weekendu, w ciągu następnych czterdziestu ośmiu godzin, Lloyd wsiądzie do samolotu lecącego do Londynu. Przez cztery tygodnie będzie mieszkać w mieszkaniu innego faceta

## *19 Robyn Sisman*

i wykonywać jego pracę. Betsy nie jedzie - musi skończyć swą rozprawę. Jednak to, że miał lecieć sam, stanowiło część przygody. Będzie przemierzał te same ulice co Charles Dickens, wypije herbatę u Ritza, popatrzy z mostu Westminsterkiego na Tamizę płynącą w dole, przejedzie się na samej górze piętrowego autobusu, odkryje cudowny pub z dębowymi belkami na suficie, dowie się dokładnie, jak smakuje Yorkshire pudding. Spotykani na ulicach mężczyźni będą nosić tweedowe marynarki i palić fajki. Każdy będzie miał ogródek i psa i będzie lubił rozmawiać o pogodzie. Ludzie okażą się mistrzami ironii, mówiącymi dokładnie coś przeciwnego, niż akurat mają na myśli. Lloyd rozejrzał się ukradkiem po swoim wagonie i ogarnęło go poczucie wolności. Może i wyglądał jak reszta tłumu dojeżdżających do pracy - miał na sobie garnitur w stonowanych kolorach, lśniące buty, a w ręce dzierżył niczym bezcenne trofeum walizeczkę - jednak dusza w nim śpiewała.

W przyszłym miesiącu skończy trzydzieści pięć lat -już czas, aby się ustatkował i pomyślał serio o zaplanowanej dokładnie przyszłości. W głowie miał zarysowany kompletny jasny plan i był pewien, że to dobry projekt - dojrzały, świadczący o poczuciu odpowiedzialności, jedyny właściwy. Lecz tak jak ów święty, który modlił się, aby żyć cnotliwie - ale jeszcze nie teraz - Lloyd rozkoszował się myślą, że po raz ostatni się zabawi.

Już trzeci rok z rzędu ubiegał się o zakwalifikowanie do programu wymiany Schneidera Foxa. Po raz pierwszy odrzucono go z powodu braku doświadczenia; po raz drugi, ponieważ stał się zbyt cenny dla przedsiębiorstwa tutaj, w Nowym Jorku. Tym razem udało mu się jednak. Julian Jewel, facet zatrudniony na takim samym stanowisku w Anglii, zaproponował własne mieszkanie, jak również swój gabinet do dyspozycji Lloyda, chociaż sam postanowił zatrzymać się w nowojorskim hotelu. Jewel wydawał się nawet przez telefon dość przyjemnym gościem na swój wyniosły

### *Zupełnie obcy ludzie 25*

angielski sposób. W końcu ile szkód można spowodować w czyimś mieszkaniu w ciągu czterech tygodni? Lloyd był tak szczęśliwy, że akceptował sytuację bez zastrzeżeń i myślał o Anglii.

Należała mu się owa podróż. Gdy był jeszcze w jednej z młodszych klas gimnazjum, wybrano go, aby spędził rok w Winchester School w Anglii. Cały letni semestr przesiedział nad przysyłanymi mu materiałami, częściowo podejrzewając, że tamci zażartowali sobie z głupiego Amerykanina, ale i tak był ogromnie zafascynowany cudzoziemskim urokiem tego wszystkiego. Oglądał z podziwem niewyraźne fotografie chłopców w wysokich kołnierzykach i we frakach, przechadzających się we wnętrzach wyglądających jak kościoły; godzinami studiował rozkład zajęć, który obejmował starożytną grekę, krykiet i coś, co nazywało się „przygotowaniem do szkół średnich” oraz listę wymaganych ubiorów tak dziwaczną jak garderoba transwestyty. Wychowankowie szkoły znani byli jako wykehamiści -egzotyczne nowe słowo, które Lloyd ciągle miał w pogotowiu.

Tamtego lata jednak wszystko się zmieniło w jego życiu. W maju wybuchł ów skandal, a Lloyd został zabrany natychmiast ze szkoły w Nowej Anglii i umieszczony na pewien czas u zmartwionych i zdezorientowanych dziadków. Następnie zaś wyjechał z matką do Kalifornii. Gdy miał siedemnaście lat, zatrzasnęły się za nim z hukiem drzwi od krainy dzieciństwa. Unikał wspomnień o przeszłości. Lecz zaprzepaszczona szansa na pobyt w Winchesterze pozostała w jego pamięci jako niespełniona obietnica. Teraz miał nadzieję, że uda się coś wskrzesić z tamtych utraconych dni niewinności.

Lloyd wysiadł z metra przy Christopher Street i znowu wynurzył się na światło dzienne. Ruszył w kierunku rzeki Hudson i szedł przez pogodne, pełne zieleni ulice Village, tłumiąc ukłucie nostalgii za jej dziwnymi butikami, księgarniami Zen i artystycznymi kawiarniami, gdzie studenci nowojorskiego uniwersytetu

## 26 Robyn Sisman

flirtowali lub poważnie dyskutowali o Nietzschem nad jednorazowymi kubkami napełnionymi kawą z ekspresu - tak jak robił to on wieki temu. Gdy dotarł do Hudson Street, poraził go ryk ruchu ulicznego. Wiatr zaciął z rzeki, niosąc ze sobą zapach chemikaliów. Nagle pojawił się przed nim gmach Schneidera Foxa, masywny blok śnieżnobiałego granitu z imponującym wejściem w stalowoszarym kolorze połyskującym w świetle słońca. Lloyd nazywał go Pałacem Zimowym ze względu na majestatyczną architekturę i bezlitośnie wydajną klimatyzację. Firma Schneider Fox zajmowała dwa piętra gdzieś w centrum budynku niczym mizerny środek kanapki olbrzyma. Lloyd zaczął dumać o londyńskim biurze, widząc w marzeniach drewniane boazerie, maszyny do pisania starego typu, nad którymi trzeba się pochylać, i bufonowatych współpracowników w monoklach, krzyczących: „Co? Co?”.

Gdy jechał lśniąca windą, słuchając jej znajomego warkotu, robił w myślach przegląd spraw, które miał załatwić w tym dniu. Należy odebrać fotografie na dzisiejszą prezentację, sprawdzić, czy materiały dla uczestników spotkania są kompletne, oraz przygotować się, by móc rozproszyć wszelkie wątpliwości klientów. Musi wspomnieć Sheri, aby przyspieszyła pracę nad projektami, których należy dogłądać niczym niemowlęcia w kołysce, gdy on wyjedzie. A najważniejsze ze wszystkiego - koniecznie trzeba się upewnić, że nie będzie komplikacji, jeśli chodzi o dalsze losy kampanii Passion. Gdyby coś poszło źle, nie miałby pracy, do której mógłby wrócić.

Drzwi otworzyły się prosto na recepcję, gdzie elegancko dobrane zielonkawobłękitne odcienie szarości zastosowano w taki sposób, by poprowadzić wzrok wchodzących przez szklaną ścianę daleko na zewnątrz, na zatokę, gdzie wznosiła się Statua Wolności niczym majestatyczna bladezielona bogini. Ogromne biurko w kształcie litery S, oznaczającej Schneidera, wykonane z litego, ekologicznego drewna było puste, z wyjąt-

## *Zupełnie obcy ludzie 22*

kiem oszczędnej w swej prostocie kompozycji kwiatowej. Obok niego przycupnęła postmodernistyczna rzeźba z tworzywa sztucznego i sierści, która miała przedstawiać lisa, i odwoływała się do drugiej części nazwy przedsiębiorstwa. Lloyd nazywał owego stwora Rove-rem. Nic nie wskazywało jednakże, czym zajmuje się Schneider Fox - nie było plakatów wykorzystywanych w kampaniach ani zdobytych nagród, nie było też logo przedsiębiorstwa ani żadnego przedmiotu, na którym można by oprzeć wzrok, prócz okazowych egzemplarzy „New Yorkera”, „The Economist” i „Fortune” ułożonych w gustowny wachlarz na niskim ciemnoszarym stoliku. Podtekst był jasny: Schneider Fox jest aż tak sławny, że nie trzeba go reklamować. Dla większości ludzi było jeszcze za wcześnie na pracę. Lloyd włożył kartę kodową do wewnętrznych drzwi ze stalową ramą i przeszedł do prywatnego szklanego pudełka, którego wymiary odpowiadały jego statusowi. Gdy jako mały chłopiec zwiedzał wspaniałe biuro ojca na Wall Street, gdzie królowało przyprawiające go o dreszcz uniesienia obrotowe krzesło i biegały zaaferowane asystentki, nad wszystkim zaś unosił się męski zapach papierosów, Lloyd zwykł się zastanawiać, czy kiedyś też będzie taki ważny. Teraz już wiedział. Rzucił walizeczkę, powiesił marynarkę na stalowym stojaku i uderzył w klawisz enter na komputerze, aby otworzyć swą pocztę elektroniczną. Większość stanowił bezwartościowy chłam, łącznie z dowcipem dnia. Pytanie: „Bu trzeba speców od reklamy, by wymienić żarówkę? Odpowiedź: Dwunastu: jednego, by ją wkręcić, i jedenastu, którzy opracują koncepcję tej czynności”. Lloyd pozostawił kilka wiadomości, aby zająć się nimi później, skasował resztę, a następnie poszedł zobaczyć, czy Dee Dee przysłała wcześniej, tak jak obiecała. Dee Dee była korpulentną dziewczyną z Queens. Miała matkę inwalidkę i ubrania tak niemodne, że aż trąciły myszką. Lloyd wybrał ją spośród dwudziestu kandydatek o olśniewającym wyglądem. Podjął słusz-

## 28 Robyn Sisman

na decyzję. Dee Dee pracowała ciężko, umiała myśleć perspektywicznie, pamiętała o wszystkim, śmiała się z jego dowcipów i nigdy, przenigdy nie pozwalała sobie na fochy. Do tej pory wykonywała pracę mniej więcej tak dobrze, jak można ją było wykonać. Już wkrótce, pomyślał Lloyd ponuro, będzie trzeba ją awansować. Znalazł dziewczynę w małej salce konferencyjnej, gdzie oglądała zdjęcia i inne materiały przygotowane dla Sama & Marthy.

- Ostatni dzień, co? - odezwała się, wyrównując brzegi fotografii i wrzucając je do teczki. - Przyniosłam dla ciebie mały prezent, aby to uczcić. - Wskazała głową brązową papierową torebkę. - Migdałowy rogalik, specjalność Balducciego.

- Och. - Lloyd wziął torebkę i trzymał ją niezręcznie, zastanawiając się, czy powinien zjeść ów nieszczęsny dowód życzliwości dziewczyny teraz, nawet jeśli nie jest głodny.

Dee Dee przyjrzała się mu rozbawiona.

- Nie musisz go jeść w tej właśnie chwili. Wiesz, jak ci idzie bez systematycznego dolewania paliwa. Włożę ci go do walizeczki. - Wrzuciła zręcznie cały materiał potrzebny na prezentację do teczki, umieściła na wierzchu torebkę i odprowadziła Lloyda do gabinetu. - Podoba mi się twój pomysł dla tych hipisów - powiedziała. Lloyd zmierzył ją podejrzliwym wzrokiem.

- Dziś rano jakoś bardzo o mnie dbasz. Nie mów mi tylko, że będziesz za mną tęsknić. Nie, skoro teraz możesz pracować z samym Juuulianem Jeeeweeem!

Roześmiali się razem z brzmienia tego nazwiska.

- I Sheri - dodała bez entuzjazmu Dee Dee.

- I Sheri - zgodził się Lloyd. - Będzie za wszystko odpowiedzialna, kiedy wyjadę. Wiem, że się postarasz, by jej to ułatwić.

- Oczywiście. - Dee Dee z najłżejszym z westchnień włożyła komplet materiałów do walizeczki Lloyda, gdy on wkładał marynarkę, a następnie pochylił się i przyjrzał swemu odbiciu w jednym z plakatów na ścianie.

### *Zupełnie obcy ludzie 24*

- Jak wyglądam? Dziewczyna wywróciła oczami.

- Jak zawsze wspaniale. Jak Clark Kent bez okularów. - Włożyła mu do rąk walizeczkę. - Nie zapomnij kryptonitu.

Lloyd otworzył usta, by wyjaśnić, że kryptonit to coś, czego Superman bynajmniej nie potrzebował, ale w ostatniej chwili postanowił się nie wymądrzać. I bez tego okrzyknięto go w biurze intelektualistą, gdyż raz mu się wymknęło, iż przeczytał powieść Henry'ego Jamesa przed jej hollywoodzką ekranizacją.

Rozpraszenie wątpliwości facetów z branży obuwniczej przeciągnęło się do lunchu. Lloyd był zbyt zajęty, by zrobić przerwę i coś przekąsić, a Dee Dee miała rację co do jego ataków głodu. Pochłonął rogalik trzema wielkimi łykami, zjeżdżając windą, strzepnął z siebie okruszki i szybko wrócił do centrum miasta do Schneidera Foxa. Do ekranu jego komputera przyklejono liścik, na którym rozpoznał charakter pisma Dee Dee: „Bernie chce się pilnie z tobą skontaktować. Nie podał powodu”. Lloyd nagle się zaniepokoił. Bernie nigdy nie chciał się z nikim widzieć. Jedyne spośród ekipy Schneidera Foxa miał do swej wyłącznej dyspozycji porządne biuro z masywnymi ścianami i drzwiami, które można było zamknąć. Zawsze wolał komunikować się z personelem za pomocą informacji i poleceń nagrywanych na dyktafon, który wszędzie nosił ze sobą. Była to jedyna broń w jego arsenale władzy, przypominająca pracownikom, że niezależnie od tego, jak długo utrzymają się w biznesie, nigdy nie przeprowadzą tak wielu uwiecznionych sukcesem kampanii co on, ani też nie będą się zwracać do tyłu milionerów po imieniu.

Bernie Schneider, legendarna postać w świecie reklamy, i jego *enfant terrible*, pierwszy wykorzystał fotografię nagiej kobiety w kampanii promocyjnej i był owym zwariowanym facetem, który przykleił prawdziwy samochód do tablicy ogłoszeń, aby w ten sposób



### *30 Robyn Sisman*

zareklamować klej. W pełnych chwały latach siedemdziesiątych interesowały go narkotyki, dziewczyny i motory; następnie przestawił się na domy, żony oraz własne przedsiębiorstwo; stopniowo przeszedł do alimentów i podatku korporacyjnego. Teraz przekroczył sześćdziesiątkę i ze zdwojoną energią zajął się odkrywaniem samego siebie.

Przy drzwiach Berniego Lloyd zrobił głęboki oddech, zapukał i wszedł do pomieszczenia wielkości sali balowej wyłożonego jasną wykładziną z przyprawiającymi o zawrót głowy widokami po obu stronach. Ściany były zawieszane kosztownymi dziełami sztuki współczesnej i plakatami z czasów, gdy Bernie ulegał magii wzornictwa. W jednym kącie szemrała fontanna, umieszczona tam przez jego doradcę zgodnie z zasadami feng shui. W drugim kącie, absurdalnie wyeksponowana na marmurowym postumencie, tkwiła zdemolowana nowojorska gaśnica - „aby przypominać mi o moich skromnych brooklińskich początkach”. Bernie lubił przemawiać do klientów moralizatorskim tonem, chociaż mawiano, że naprawdę urodził się w Hoboken. Przed Lloydem znajdował się gigantyczny blat ukośnie ustawionego biurka nieodparcie kojarzący się z kostnicą. Za nim siedział postawny mężczyzna w garniturze, o niespokojnych oczach i szarych kręconych włosach, które zaczynały już się przerzedzać na czole. Biurko było puste, wyjąwszy telefon i biały duży talerz z artystycznie ułożonymi owocami, wystarczającymi Schneiderowi na jeden kęs. Bernie miał nieustanny romans z brzuchem. Próbował każdej nowo wynalezionej diety, oprócz tej prostej, by jeść mniej.

- Bernie - odezwał się Lloyd, być może trochę zbyt serdecznie. - Czym mogę ci służyć?

Tamten wskazał mu czarną skórzaną kanapę. Nadział na wykałaczkę kawałek ananasa, przyjrzał się podejrzliwie żółtemu owocowi, a następnie włożył go do ust. Żuł wolno, zmuszając Lloyda do czekania.

## *Zupełnie obcy ludzie 26*

- Złą wiadomość - oznajmił w końcu. - Nachrzanili coś w Londynie. Stracili Juliana Jewela. Facet zmył się, niczego nie wyjaśniając. Bez uprzedzenia, bez słowa przeprosin. Jak się zdaje, ludzie ze Sturm Drang złożyli mu propozycję nie do odrzucenia; podwoili pensję, a jakieś cholerne czerwone ferrari parkuje przed jego cholernym mieszkaniem. - Zmarszczka obrzydzenia wykrzywiła mu twarz.

- Ojej, ferrari. To tak bardzo w stylu lat osiemdziesiątych!

Lloyd popatrzył na niego bezmyślnie.

- Julian odszedł z firmy? Ale przecież rozmawiałem z nim nie dalej jak wczoraj. Mówiliśmy o pracy, mieszkaniu, dniu, w którym zabierają śmieci. Powiedział, że...

- Kłamał - oświadczył Schneider lakonicznie, już znudzony. - Wiesz, jacy są ci Brytyjczycy, zwłaszcza kreatywni. Facet się zmył. Koniec pieśni!

Lloyd siedział w milczeniu; teraz zaczął pojmować, co z tego wynika.

- Czy to oznacza, że wymiana została odwołana?

- Na to chyba wygląda, prawda? I, wiesz co, może wcale nie jest tak źle. - Badawcze spojrzenie Berniego zatrzymało się na Lloydzie. - Cztery tygodnie to długi czas poza firmą. Być może zbyt długi, by spuścić wzrok z piłki. - Przebił truskawkę, obrócił ją i połknął łąpczywie.

- Jakiejś szczególnej piłki? - zapytał Rockwell.

- Może ty mi to powiesz.

- Wszystko wygląda dobrze. Klienci są szczęśliwi, budżety pod kontrolą, zyski rosną.

- Włączając Passion?

- Zwłaszcza Passion.

Przez kilka długich sekund Lloyd wytrzymał na sobie surowe analizujące spojrzenie szefa.

- W takim razie w porządku. - Bernie wytarł usta białą serwetką, zostawiając na niej czerwony ślad.

Sprawdził godzinę na zegarku. - Cholera - powiedział. - Jestem już spóźniony do mojego astrologa.

### 32 Róbyn Sisman

Zdezorientowany Lloyd szedł do siebie przez amfi-ladę otwartych pomieszczeń. Był oszołomiony i zdezorientowany; czuł się tak, jak gdyby znajdował się w stanie nieważkości, jak gdyby zatrzaśnięto mu przed nosem jakieś drzwi. Znalazłszy się na powrót przy biurku, siedział beczynn timer przez chwilę, pozwalając, by przygnębienie owładnęło nim jak paraliż, a następnie sięgnął po telefon. Tylko jedna osoba mogła to zrozumieć.

Po kilku dzwonekach odezwał się głos:

- Chińska pralnia.

Lloyd niemal się uśmiechnął.

- Skąd wiedziałaś, że to ja?

- Nie wiedziałem. Jestem wściekły. Ohydny dzień.

- Ja także jestem wściekły. Robisz coś po pracy? Tu nastąpiło westchnienie człowieka znużonego życiem.

- Liczę moje biliony. Robię zdjęcia próbne z Kristin Scott-Thomas do mojego nowego filmu. Te same stare rzeczy.

- Dobrze. Spotkajmy się u Kiki około szóstej. -Lloyd odłożył słuchawkę, czując się lepiej.

- U Kiki? - odezwał się z korytarza rozbawiony głos. - Nie wiedziałam, że prowadzisz takie szalone życie.

- Ach, Sheri. - Lloyd wyprostował się na krześle. -Wejź!

Ale ona znalazła się już w środku i wkładała kasetę do jego wideo we właściwy sobie asertywny sposób, rozsiewając po całym pomieszczeniu zapach perfum. Jak zawsze ubrana była jak człowiek sukcesu, krzykliwie i niepokojąco akcentując własną kobiecość. Wprost nie można było nie zauważyć długich nóg lub przylegającej ściśle do ciała spódnicy, gdy Sheri nachylała się nad magnetowidem. Lloyd nigdy nie dopominał się o zastępcę ani też nie zapytano go, czy go potrzebuje. Bernie po prostu sprowadził mu Sheri pewnego dnia, około trzech miesięcy temu, niczym prezent urodzinowy.

### *Zupełnie obcy ludzie 33*

Teraz sprzątnęła kilka segregatorów z blatu, usadowiła się na brzegu biurka i włączyła obraz.

- Coś okropnego - szepnęła. - Czy już to widziałeś?

- Nie sędzę. To najnowszy Bertolucci?

Sheri przez chwilę wyglądała na zakłopotaną, potem roześmiała się grzecznie i wyjaśniła:

- Reklama tego okropnego małego banku. Wczoraj wieczorem zaprezentowano ją po raz pierwszy.

Czy nie jest całkowicie ściągnięta z naszej ostatniej kampanii dla Citybiz?

Lloyd patrzył, jak małe ożywione dolary tańczą na ekranie. „Nasza” kampania dla Citybiz w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach została przygotowana przez Sheri i w prywatnym odczuciu Lloyda były to stuprocentowe komunały. To, że jakieś inne przedsiębiorstwo mogło wystartować z czymś podobnym, nie zaskoczyło go prawie wcale.

Sheri niemal przebiła palcem ekran, wskazując irytujące szczegóły.

- Czy możemy się z nimi procesować lub coś w tym rodzaju? - spytała.

- No cóż... - zaczął ostrożnie. - Wiesz, jak to się mówi, naśladownictwo to najszczęrsza forma uznania.

Myślę, że powinnaś to potraktować jako komplement. Jeśli klient będzie cię wypytywać, po prostu powiedz, że pierwsza na to wpadłaś. Przypomnij tym facetom, że Schneider Fox jest najlepszy.

Właśnie dlatego ludzie nas naśladowają.

Sheri wydawała się zachwycona taką interpretacją. Niepostrzeżenie zmieniła temat, aby naszkicować w ogólnych zarysach plan pracy, który zamierzała zrealizować, gdy on wyjedzie. Chciała dokonać analizy efektywności siły nabywczej druków. Lloyd przestał uważać. Sheri należała do tych, którzy studiują książki na temat zarządzania, i czasami miał wrażenie, że owe lektury w bardzo niefortunny sposób zwiększyły zasób jej słownictwa.

- ...A więc, jak to sobie wyobrażam, nastąpią po-

### 34 Robyn Sisman

ważne finansowe implikacje nad i pod linią - doszła do końcowego wniosku.

- To robi duże wrażenie. Zapiszesz to, prawda? Teraz, jeśli chodzi o kolejnych kilka tygodni...

Sheri nachyliła się i po przyjacielsku ścisnęła go za ramię.

- Odpręż się, kochany. To, że jestem kobietą, nie oznacza, iż nie mogę obsługiwać twoich klientów.

- Nie to miałem na myśli. To jest, nie myślę o tobie jak o kobiecie - plątał się dalej Lloyd.

- Naprawdę? - Uśmiechnęła się nagle do niego.

- Sheri, posłuchaj mnie uważnie. Usiłuję przekazać ci coś, co nie ma nic wspólnego z tym, że jesteś kobietą. - Udało mu się w końcu jej wyjaśnić postępek Juliana Jewela.

Ku jego zaskoczeniu wydawała się szczerze zmartwiona.

- Ależ to okropne! - wybuchnęła. - Musisz pojechać. Tak bardzo cieszyłeś się na tę podróż!

Lloyd wzruszył ramionami. Nie chciał już o tym mówić.

- Czy Londyn nie może przysłać kogoś innego?

- Większość osób ma jakieś zobowiązania: nieprzekraczalne terminy w pracy, rodziny, wakacje.

- No cóż, a przynajmniej zapytałeś?

- Bernie był zbyt zajęty, aby rozmawiać na ten temat. Miał umówione spotkanie.

- O co chodziło tym razem? - Sheri wstała w sposób zdradzający zniecierpliwienie i stanęła

naprzeciwko Lloyda przed biurkiem, biorąc się pod boki. - Chyba nie zamierzasz tego tak zostawić, prawda? Czy ustaliłeś, kiedy się z nim spotkasz?

Lloyd się rozgniewał. Zaczynała przypominać mu matkę Betsy.

- Dajmy sobie z tym spokój, dobrze? - Sięgnął po ołówek i otworzył segregator na chybił trafił. -

Jestem pewien, że masz teraz coś do zrobienia.

### *Zupełnie obcy ludzie 30*

Usłyszał pełne rozdrażnienie westchnienie i szelest spódnicy, a następnie trzaśnięcie szklanych drzwi, gdy Sheri zamknęła je za sobą.

Lloyd gwałtownie odwrócił się na fotelu, aby spojrzeć w okno. Na zewnątrz za płataniną ogrodzenia z drutu i ostrych kamiennych brył rozciągały się doki; ogromne falochrony zanurzone były w wodzie.

Kiedyś wszyscy udawali się do Europy statkami - do Southampton, Rotterdamu lub Cherbourga.

Lloyd wyobraził sobie majestatyczne transatlantyki, trzepoczące na wietrze bandery, wymachujące ręce podróżnych i odprowadzających - początek przygody. Zastanawiał się, czy Sheri ma rację, czy rzeczywiście powinien nalegać i poddać się jeszcze jednej takiej sesji na zimnej czarnej kanapie.

Nie, postanowił w końcu. Julian okazał się kłamliwym draniem, jednak Lloyd czuł się przy nim swobodnie. Omówili tę wymianę szczegółowo, zaplanowali wszystko i zorganizowali tak, jak lubił Lloyd, bez nieprzewidzianych wydarzeń.

W przypadku zupełnie obcej osoby byłoby zupełnie inaczej.

Rozdział trzeci

Kiki to maleńki bar w piwnicy nieopodal Washington Square, gdzie Jack Kerouac rozchorował się kiedyś z powodu piosenkarki wykonującej muzykę folkową. Nastrój cyganerii z lat pięćdziesiątych podtrzymywało oświetlenie kojarzące się nieodparcie z grobowcem oraz meble ze sztucznej czarnej skóry. To jedno z nielicznych miejsc na Manhattanie, gdzie szczerze zachęcano do palenia. Tego dnia wieczorem oprócz kościstej kelnerki zrobionej na wampira i jakiejś zgarbionej postaci w kącie, kryjącej się za okularami przeciwsłonecznymi i czarną skórzaną kurtką, nie było tu nikogo. Mężczyzna ów miał blond włosy w stylu Andy'ego Warhola, które jaśniały w oparach dymu. Lloyd stanął przy stoliku.

- Jean-Luc Godard, jak przypuszczam.

Jay na powitanie pomachał mu papierosem, a następnie wyprostował się powoli, wyrazem twarzy dając do zrozumienia, że nie aprobuje garnituru i walizeczki przybyłego.

- O Jezu! - wolno cedził słowa. - Za każdym razem, gdy cię widzę, coraz bardziej przypominasz bankowca. Co wy nosicie w tych walizkach?

Lloyd wzruszył ramionami.

- Papier toaletowy na wypadek nagłej awarii, rękawicę baseballową, prochy babci. - Postawił przedmiot sporu na podłodze. - Chcesz piwo czy może coś innego?

Jay zaczął się śmiać, a w końcu wydał z siebie nierówny zduszony chichot, który przeszedł w kaszel.

### *Zupełnie obcy ludzie 32*

- Polubią cię w wesołej starej Anglii.

- Prawdę mówiąc, to nie. - Lloyd poczekał, aż kelner przyjmie zamówienia na drinki, a następnie w ponurym nastroju usadowił się na krześle z rękami w kieszeniach i wyciągnął przed siebie długie nogi.

- Nie jadę - oświadczył.

Jay zdjął okulary.

- Nie mów mi tylko, że twoja mała wykręciła jakiś numer. . .

- Wolałbym, abyś jej tak nie nazywał. - Przyjaciel rzucił mu gniewne spojrzenie. Czekał, aż kelnerka ustawi drinki, z rozdrażnieniem przesuwając palcami po włosach. - Betsy cieszyła się, że wyjeżdżam. Musi przecież skończyć swoją rozprawę. W każdym razie -mówił dalej już spokojniejszym tonem - nigdy nie zrobiłaby czegoś podobnego. Jest lojalna i troskliwa, podtrzymuje mnie na duchu i...

- I ma te wszystkie cechy, których nigdy nie będę miał - skończył za niego Jay. Podniósł szklanekę. - Za nas. Za Jekylla i Hyde'a Manhattanu. A teraz mów, co się stało?

Lloyd się rozpozgodził. Nie można było gniewać się dłużej na przyjaciela. Wyjaśnił mu całą skomplikowaną sytuację.

Ten potrząsnął głową.

- Przykro mi, stary. Wiem, że wariujesz na punkcie Anglii. Ale biorąc pod uwagę - uniósł brwi - czerwone ferrari! Pamiętasz tamtego starego zardzewiałego grata, którego miałeś w Kalifornii? Zaproponowałeś mi przejażdżkę na wschód, a następnie zdarłeś ze mnie za benzynę. Straszne skąpstwo.

- To był Chevrolet z 1969 roku - zaprotestował Lloyd. - Rdza stanowiła integralną część jego dojrzałego czaru. Owa limuzyna była Jeanne Moreau amerykańskiego przemysłu samochodowego. Zakochałem się w tym samochodzie. - Zachichotał. - Prawdopodobnie mogłem zawrzeć z nim związek małżeński zgodnie z prawem Kalifornii.



### 33 Robyn Sisman

- Na samej górze klifu, w obecności buddyjskiego kapłana...

- Nago...

- ...z pudłem w charakterze drużby.

- „Tą piastą poślubiam ciebie...”.

Obaj roześmiali się razem z tej perspektywy, lecz Lloyd zaraz spoważniał, wygładził krawat, starannie chowając jego koniec pod koszulą.

- Od tej pory przeszedłem długą drogę.

- Tak. - Jay popijał piwo małymi łyčzkami - Nie da się ukryć.

- Co to ma oznaczać?

- Czy nigdy nie tęsknisz za dawnym życiem? Za czasami, kiedy spadałeś jak burza na autostradę i wybierałeś na chybił trafił jakieś miasteczko na mapie tylko dlatego, że spodobała ci się jego nazwa, a wszystko, co posiadałeś, mieściło się w sfatygowanej torbie w bagażniku?

- Miałem wtedy dziewiętnaście lat. - Lloyd pstryknął lekceważąco palcami. - I byłem w kłopotach. Nie można przeżyć życia, grając w barach na pianinie za dwadzieścia dolarów za noc. Dlaczego miałbym chcieć do tego wrócić?

- Nie powiedziałem, że chcesz wrócić, zapytałem tylko, czy nigdy nie tęskniłeś za tamtą zabawą.

Lloyd się zawahał. Nie chciał wracać do dawnych czasów, kiedy wiódł życie tak nieuporządkowane i bez perspektyw, i gnębiło go poczucie wstydu, a jednak Jay miał rację: było coś, za czym tęsknił. Co to było? Prawdopodobnie młodość - tamto uczucie, że w każdej sekundzie może zdarzyć się coś nadzwyczajnego, co zmieni twoje życie.

- Cztery tygodnie w Anglii stanowiłyby dla mnie dostateczną rozrywkę. - Słyszał goręcz we własnym głosie. - A jak film? - spytał, zmieniając temat. - Trafili się jacyś chętni?

Jay się skrzywił.

- Chcesz usłyszeć najnowsze wiadomości? Jest

### *Zupełnie obcy ludzie 39*

„zbyt dobry”. Zbyt elegancki, zbyt ironiczny, zbyt „europejski”. Pozbawiona mózgu mała przeżuwaczka gumy ze stanu Nebraska na pewno tego nie pojmie. -Rozdrażniony Jay zamachał pięściami w powietrzu. -Co takiego jest w tych latach dziewięćdziesiątych? To tak, jak gdyby wszystko umarło. Nikt nie potrzebuje czegoś, co nie jest przeżutą papką, podaną ci na papierowym talerzu. Co się stało z dwuznacznikami, oryginalnością skojarzeń, myśleniem?

Lloyd odwrócił wzrok, czując się nieswojo. Czy to właśnie tym zajmuje się w pracy - preparowaniem banałów w pigułkach, komercjalizacją życia? Prostym i wygodnym kłamstwem?

- Może to po prostu chodzi o nas - odpowiedział. - Starzejemy się, przyjacielu.

- Nie ja, kolego - zaprotestował Jay.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, popijając małymi łydkami drinki. Bar zapełniał się już i poprzez szmery rozmowy Lloyd mógł usłyszeć, jak Thelonious Monk zręcznie uderza na chybił trafił w klawisze pianina. Odchrząknął. Była jeszcze pewna kwestia, którą chciał poruszyć z Jayem.

- Jeśli już mówimy o Betsy - zaczął mimochodem -myślałem, że moglibyśmy się pobrać.

Wyraz twarzy tamtego nie uległ zmianie. Przyjaciel skinął głową, przyjmując rzecz do wiadomości.

- Betsy musi być szczęśliwa.

- No cóż... Prawdę powiedziawszy, jeszcze jej o to nie spytałem. Miałem zamiar poczekać, aż wrócę z Londynu, ale teraz...

Jay wydał z siebie złośliwy chichot.

- Nie spytałem jej - podoba mi się to! A co, jeśli powie „nie”, ty zarozumiały bubku?

- Ja tylko... - Lloyd przerwał speszony. - Przecież jesteśmy razem prawie dwa lata. Nie mamy już dwudziestki. Najwyższy czas.

- W małżeństwie nie chodzi o czas, lecz o miłość.

- Nasz związek jest udany i stabilny. Podobają nam

#### 40 Robyn Sisman

się te same rzeczy, taka sama literatura, tak samo spędzamy czas poza domem, lubimy podróże...

- Bardzo logiczne, doktorze Spock. Lloyd nagle poczuł się wściekły.

- O Jezu, Jay, czy to naprawdę wszystko, na co cię stać?

Przyjaciel podniósł dłoń pojednawczym gestem.

- Nie potrzebujesz mojej aprobaty, Lloyd, ani mojej opinii. Spójrz na mnie. Czy kiedykolwiek będę coś wiedział na temat małżeństwa? Jednak miłość... - Sięgnął po zapalki i zapalił jedną z nich.

Podniósł ją do swej bladej twarzy, patrząc, jak żółte światełko chwieje się i tańczy, gdy czarna smuga zbliżała się do jego palców. - Czy płonie? Czy łśni? Czy boli? - Skierował wzrok na Lloyda i uśmiechnął się lekko ze smutkiem. - Miłość. To tylko naprawdę się liczy. - Potem zdmuchnął płomień. Zanim wyszli z baru, nadszedł zapowiedziany deszcz, powodując korki w centrum i okrywając miasto szarym całunem. Rozstali się na stacji metra. Lloyd jechał do domu jakby sterowany autopilotem, wpatrując się w przestrzeń. Melony nadal leżały przed sklepem, ale nawet ich nie zauważył.

Kiedy winda otworzyła się\*ha jego piętrze, poczuł, że coś się gotuje, jakaś aromatyczna mieszanina cebuli i ziół. Przynajmniej ktoś się cieszył życiem. Wyjął klucze, otworzył drzwi i zatrzymał się zaskoczony. Stół antyk, który ofiarowała im matka Betsy, nakryty był na dwie osoby. Światło świec migotało w ich najlepszych srebrach i kryształach. W wiadrze z lodem chłodziła się butelka szampana.

- Niespodzianka!

Drzwi wahadłowe do kuchni otworzyły się nagle i ukazała się Betsy, rozpromieniona, jak gdyby obchodzili czyjeś urodziny. Wystroiła się w jedwabną bluzkę i włożyła kolczyki, a włosy związała z tyłu czarną aksamitką.

Lloyd nagle się rozżłościł. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował, był pożegnalny obiad, kiedy nie mieli czego świętować!

### *Zupełnie obcy ludzie 36*

- Mój ty biedaku, cały przemokłeś! - Podeszła szybko, aby pomóc mu zdjąć płaszcz. Zmarszczyła nos.

-Uch, pachniesz dawno nieczyszczonymi popielniczkami. - Jednak mówiąc to uśmiechnęła się, by pokazać, iż mu przebacza.

Patrząc na gładkie, opalone nogi Betsy, Lloyd pozwolił jej zanieść swój płaszcz do łazienki. Serce kurczyło mu się w poczuciu winy i miłości. Dlaczego nie zadzwonił, aby ją uprzedzić, że nie jedzie do Londynu?

- Przepraszam, powinienem był cię zawiadomić -powiedział, kiedy wróciła. - Nastąpiła zmiana planu.

-Usiadł ciężko przy stole, aż zadzwięczały sztućce. -Londyn nie wypalił.

Betsy tylko uśmiechnęła się szerzej.

- Nie, to nie tak - odrzekła melodyjnym głosem. Wzięła kawałek papieru ze stolika, na którym stał telefon, i pomachała Lloydowi kartką przed nosem. -Patrz!

Patrzył na ów papier, nic nie rozumiejąc. Znajdowało się tam nazwisko: Susanna Wilding i londyński adres.

- Przysyłają kogoś innego - wyjaśniła. - Sheri dzwoniła tu kilka godzin temu. Nikt nie wiedział, gdzie jesteś.

- Sheri? A dlaczego Sheri?

- Opowiedziała mi o tym okropnym człowieku z Londynu. Przeżyłam wielki szok. Jak można w ten sposób postąpić, tak po prostu zostawić kogoś na lodzie!

- A jednak przysyłają kogoś innego? - Lloyd ledwie śmiał jej uwierzyć. - Czy nadal mogę pojechać?

- Najwyraźniej owa Susanna jakaś tam od razu rzuciła się na tę okazję, co oznacza, że jej własne mieszkanie w Londynie będzie wolne. Wszystko cudownie się układa.

Lloyd poczuł, jak jego serce wypełniło się szczęściem. Pomimo wszystko pojedzie do Londynu! Kensington, Chelsea, Westminster Abbey, katedra świętego Pawła... Sprawdził adres na kartce papieru -„Islington", gdziekolwiek to było.

## *42 Robyn Sisman*

Wyobraził sobie dom z białą sztukaterią, duże staromodne okna z widokiem na drzewa, być może prawdziwy kominek. Nagle poczuł, że niemal nie może się doczekać, kiedy wydostanie się z tego ciasnego małego więzienia z minimalnym światłem każdego dnia.

- Zaraz, zaraz... - Lloyd dostrzegł jeden mankament tego programu. - Ja zatrzymam się w jej mieszkaniu, ale gdzie ona zamieszka?

- Aha! - Oczy Betsy się zaiskrzyły. - To najlepsza wiadomość. Staralam się wszystko zorganizować od tygodni, ale nic nie mówiłam, bo nie chciałam zepsuć ci niespodzianki. - Podeszła bliżej i usiadła mu na kolanach. - Wiesz, że ostatnio byłam starym skapiradłem? - spytała półgłosem, gładząc jego włosy.

- No cóż, jak ci się wydaje, na co tak oszczędzałam?

Zanim zdołał coś odpowiedzieć, zeskoczyła z jego kolan i uniosła ręce w geście triumfu.

- Ta Angielka może zatrzymać się tutaj! - Z rozjaśnioną twarzą splotła dłonie przed sobą. - Och, Lloydzie, czy to nie cudowne? Jadę z tobą!

## Rozdział czwarty

Puże targała wściekle ciężkie walizy z dworca lotni0 czego i zatrzymała się, gdy duszne powietrze z zewnątrz uderzyło ją w twarz: amerykańskie powietrze, ciężkie od gorąca i spalin, doprawione miejskim kurzem i rozbrzmiewające głosami pozbawionych europejskich zahamowań Amerykanów. Zrobiła głęboki oddech. Czowała się cudownie. Ameryka! Zadrżała z radości. Cadillaki, Badlands, Dorothy Parker, gangsterzy, motele, „Przeminęło z wiatrem”. W pisowni takie końcówki jak „nite” i „kleen”. Opaleni ochroniarze, którzy odgarniali do tyłu tlenione włosy, uśmiechali się tak, że aż ugiwały się kolana, i pytali, powoli wymawiając kolejne słowa: „Jedziesz na to przyjęcie na plaży?”. Poza płataniną podjazdów i wjazdów z jednej autostrady na drugą dostrzegła w przelocie pasek żółtozielonego nieba zamglonego poświatą gorącego letniego weekendu. Gdzieś tam czekało na nią miasto - Nowy Jork. Ponownie złapała swój bagaż i potykając się, poszła w kierunku postoju taksówek. Były jasnożółte, przycupnięte nisko nad jezdnią - takie, jakie miały być. Zajęła swoje miejsce w kolejce za parą kobiet około pięćdziesiątki, w przeciwsłonecznych okularach.

- Nie wiem, co powie moja psychoterapeutka, kiedy usłyszy o Wenecji - zwierzyła się jedna drugiej nosowym głosem o takim poziomie decybeli, jakiego ktoś z Anglii mógłby użyć wyłącznie na konferencji, przemawiając w sali o złej akustyce.

#### 44 Robyn Sisman

- A więc nic jej nie mów - odparowała przyjaciółka. - Kim jesteś? Telefoniczną agencją towarzyską? Niech sama sobie znajdzie włoskiego kochanka, o ile będzie miała tyle szczęścia.

Kiedy taksówka z warkotem zatrzymała się przed Suze, nikt nie wysiadł, aby pomóc jej włożyć do środka bagaż. Możliwe, że tu panowały inne obyczaje, czy też może w bagażniku znajdował się trup. Suze w niezgrabny sposób udało się umieścić wszystko na tylnym siedzeniu, wejść do środka i zatrzasnąć drzwiczki z pomocą kawałka sznurka, przymocowanego w tym właśnie celu. Rdzewiejąca chromowana blaszka pokazywała miejsce, w którym kiedyś znajdowała się klamka.

Odrzuciła do tyłu włosy stanowczym ruchem.

- Ulica Siedemdziesiąta Druga - poleciła. Nastąpiło milczenie.

- Jaka ulica? - zapytał w końcu kierowca.

Przynajmniej tak to brzmiało. Mężczyzna w oczywisty sposób był cudzoziemcem; możliwe, że nie rozumiał angielskiej wymowy. Suze powtórzyła adres. Kierowca zdjął ręce z kierownicy i odwrócił się, by na nią spojrzeć. Ciemne oczy połyskiwały przez kratę. Miała nadzieję, że nie jest seryjnym mordercą.

- Proszę pani, muszę wiedzieć, czy to na wschód, czy na zachód. Wie pani, Siedemdziesiąta Druga jest bardzo długa.

- Och. - Suze zaczęła gorączkowo szukać w swej przepastnej torbie. Znalazła szczotkę do włosów, maseczkę do twarzy, jakąś bezwartościową książkę w miękkiej oprawie, papierosy, cienie do powiek. Na dnie dostrzegła sfatygowaną kartkę z faksem od Lloyda Rockwella i głośno przeczytała jego szczegółowe wskazówki. Nie zwróciła na nie zbyt wielkiej uwagi w Londynie, uznając, że facet jest nazbyt drobiazgowy. Teraz zrozumiała, że owe informacje jednak czemuś służyły. - Jestem Angielką - przeprosiła, gdy taksówka szarpnęła do przodu. - Po raz pierwszy w Nowym Jorku. A pan skąd pochodzi?

*Zupełnie obcy ludzie 40*

- Z Bośni.

Suze czuła w głowie zamęt od nieprzetrawionych danych geopolitycznych.

- Aha. - Skinęła głową, czując, że najmądrzej będzie porzucić ten temat.

Kiedy wyjechali z podjazdu na autostradę, taksówka przyśpieszyła. Suze z entuzjazmem wyglądała przez okno, czytając napisy nad głową, na wpół znajome nazwy: „Queens, Triboro, Flushing” wypisane białymi literami na zielonym tle spiczastą nieznaną czcionką. Małe drewniane domki pomalowane na szaro lub zielono, czy też z czerwonej cegły, ciągnęły się wzdłuż ulicy, a każdy miał własny ganek i nieogrodzony skrawek zniszczonej trawy, niekiedy zaś także maszt, z którego opadał wilgotnymi fałdami gwiaździsty sztandar.

No cóż, każde miasto musi mieć swoje obrzeża. Gdy się nad tym zastanowić, trzeba przyznać, że odwiedzający Londyn powoli wloką się do centrum przez Hounslow. Suze objęła się rękami, gdy przyszła jej do głowy uderzająca myśl: o to właśnie chodzi w jej podróży -

o nowe doświadczenia, nowe refleksje. Wróci odmieniona - wyrafinowana, dojrzała, bardziej sympatyczna, elegancka i opalona.

Szczęśliwa opadła na podarte obicie. Dziękuję ci, Julianie Jewelu. Nigdy nie lubiła go za bardzo, a już na pewno nie tak bardzo, jak on sam lubił siebie. Prawdopodobnie nawet wykrzykiwał własne imię, gdy się z kimś kochał. Od tygodni ten facet chełpił się „swoją delegacją do Stanów”, jak gdyby sam prezydent uznał za niemożliwe sprawowanie rządów w Ameryce, nie mając Juliana Jewela u swego boku. W gruncie rzeczy był po prostu jeszcze jednym nadętym autorem reklam z wybujałym ego. Niechaj się cieszy po wsze czasy swoim ferrari i sześciocyfrową pensją... Suze wiedziała, że to ona najlepiej wyszła na tym interesie.

Nie dlatego, że przyjechała tutaj, by dobrze się bawić. Harry Fox zadzwonił do niej ponownie dziś rano

i surowym tonem wygłosił kazanie. To nie wakacje,



#### 46 Robyn Sisman

uprzedził. Jej misja polega na tym, by obserwować, jak pracuje siostrzana firma w Stanach, aby zyskać ogólny wgląd w nowojorski świat reklamy, przede wszystkim zaś, by wchłaniać amerykańską kulturę i wartości tak, aby mogła w inteligentny sposób przyczynić się do powiększenia obrotów nowojorskiej agencji. Przypomniał jej o owej firmie, która wydała gigantyczną sumę, by wypuścić na dalekowschodni rynek pewien nowy kosmetyk, jedynie po to, by odkryć, że nazwa tego produktu po japońsku oznacza „puścić bąka”. Gdy Suze wróci, ma napisać obszerny raport. Zgadzała się na wszystko, zbyt podniecona, by czegoś się obawiać lub czuć się onieśmielona. Zadzwoiła już praktycznie do wszystkich osób, jakie знаła, niby mimochodem rzucając wiadomość o „mojej podróży służbowej do Nowego Jorku”. Reakcje były ogromnie satysfakcjonujące.

- A więc dlaczego wybraliście mnie? - zapytała nieśmiało Harry'ego, nieco ryzykując.

- Nikt inny nie był wolny.

Najpierw poinformowała ojca, którego ściągnęła do telefonu z ciemni, by usłyszał tak ekscytujące wieści. Byli oboje rodzinnymi „artystami”. To po nim Suze odziedziczyła swoje niezwykle włosy - gęste i ciężkie, koloru miedzi. W głębi duszy wiedziała, że jest jego ulubienicą. Nie wydawało się to uczciwe i żadne z nich nie ubrałoby tego w słowa, jednak tak było i stanowiło to dla Suze stałe źródło ciepła i pewności siebie, którą emanowała wokół. Jak cudownie było słyszeć, gdy przez telefon krzyczał z radości i zmuszał Suze do zanotowania nazw swoich ulubionych miejsc, gdzie można się zabawić w Nowym Jorku.

Gniewne pomruki z przodu taksówki przerwały owe myśli. Suze zobaczyła, że ruch uliczny stał się coraz bardziej utrudniony, jako że weekendowicze powoli zjeżdżali się już do domów, by w poniedziałek stawić czoło kolejnemu pracowitemu porankowi. Zaciekawiona wpatrywała się w samochody, które to stawały, to ruszały na pasie obok niej. Były zakurzone i powygina-

### *Zupełnie obcy ludzie 42*

ne, wypełnione psami, kijami golfowymi, raketami tenisowymi, dziećmi, a nawet małymi żaglówkami, które wysuwały się niedbale z otwartych tylnych drzwi. Młodzi mężczyźni w czapkach baseballowych wystawiali opalone ręce z otwartych okien. Pewna kobieta z włosami blond, opadającymi falą na skąpą koszulkę, wyciągnęła nogi, by oprzeć bosc opalone stopy na tablicy rozdzielczej. Oto tutaj, czuła Suze, mieszkają ludzie, którzy wiedzą, jak się dobrze bawić. Hura! Nigdy więcej męczących przyjęć obiadowych!

Poklepała wypchaną walizę stojącą obok. Jeśli jest jakaś jedna rzecz w Nowym Jorku, co do której miała pewność, było nią to, że Suze musi wydać się im tu modniejsza niż najmodniej ubrana Amerykanka. W jej walizce znajdowały się ciuchy, które sprawiają, że tutejsze dziewczyny padną trupem. Suze spędziła całą sobotę na zakupach oraz u fryzjera, gdzie podcięła włosy. Zamierzała spędzić niedzielny poranek na sprzątaniu mieszkania, w sobotę wieczorem jednak przyjaciele wyciągnęli ją z domu na szampana i pizzę i nie obudziła się przed południem. Później czuła się tak niepewnie, że zdołała tylko się spakować. Dziwna rzecz, ale lot ją ożywił. Zjadła i wypła wszystko, co podano, obejrzała film przygodowy, a następnie zasnęła. Kiedy się obudziła, samolot krążył już nad oceanem, podchodząc do lądowania, chociaż w cudowny sposób była dopiero siódma wieczorem. Suze przyszła do głowy krzepiąca myśl, że w gruncie rzeczy jest pięć godzin młodsza niż wtedy, gdy wyruszyła z zimnego Londynu.

Wyjrzała z okna taksówki i poczuła, jak serce bije radośnie w jej piersi. W końcu wyrosły przed nią nagle, nie wiadomo skąd, wyniosłe wieżowce Manhattanu, zasłaniające nowojorski horyzont i ciemniejące na tle ognistego zachodu słońca. Rozciągały się tak daleko, jak można było sięgnąć wzrokiem. Żadna fotografia ani ujęcie filmowe czy też reklama nie przygotowały jej na wspaniałą rzeczywistość, a właściwie na niemal religijną egzaltację, jaką wzbudzał ów widok. To właśnie mu-

#### 48 Robyn Sisman

sieli odczuwać pierwsi podróżnicy na pustyni, dostrzegając, jak wielkie piramidy w niewyjaśniony sposób wyrastają z pustych piasków przed nimi. W wieczornym świetle Nowy Jork, ze swymi monolitycznymi blokami przyciśniętymi do nieba rozjaśnionego światłami niczym sztucznymi ogniami, nabrał mitycznego charakteru nekropolii zbudowanej przez olbrzymów. Właśnie wtedy, gdy Suze patrzyła zachwycona, ów wspaniały obraz zniknął jej z oczu. Teraz taksówka zatrzymała się przy budce, gdzie pobierano opłatę za przejazd. Suze usłyszała brzęk monet, potem samochód przyśpieszył przy zjeździe w dół pomiędzy przesłami mostu i zagłębili się w pełnych cieni miejskich kanionach.

Taksówka jechała ze stałą prędkością po szerokich prostych alejach i pędziła po węższych bocznych uliczkach, posuwając się do przodu ostrymi kanciastymi ruchami niczym koń na szachownicy - do przodu i w poprzek, w poprzek i do przodu - zupełnie inaczej niż w okrężnym ruchu podczas jazdy po Londynie. Na ulicach byli ludzie: spacerowali, jeździli na rolkach, siedzieli rozwaleni przy restauracyjnych stolikach, a ich gesty świadczyły o pewności siebie i wylewności. Neony świeciły jaskrawymi literami: „Czytam w twojej duszy”. „Gwoździe”. „Bułki”. „Likiery”. „Leki”. „Grecka kuchnia”. „Witaminy”. Wszędzie panował radosny gwar. W końcu taksówka zwolniła, a następnie zatrzymała się przed budynkiem mieszkalnym z markizą nad wejściem. Suze zapłaciła kierowcy, dodając gigantyczny napiwek, aby nie dopuścić do tego, by wykorzystano ją seksualnie czy zadżgano nożem, po czym ustawiła swój bagaż na chodniku. Otoczyło ją zimne wilgotne powietrze, przyklejając ubranie do ciała. Po raz pierwszy poczuła lekki niepokój, samotna w obcym mieście, gdy zapadała ciemność.

- Pani Wilding? - zapytał jakiś głos obok niej.

Obracając się, zobaczyła mocno zbudowanego mężczyznę z uszami księcia Karola i szerokim uśmiechem, ubranego w przypominający mundur uniform.

### *Zupełnie obcy ludzie 49*

- Tak - odrzekła z nagłą ulgą.

- Nazywam się Raymond. Pan Rockwell kazał mi wyglądać pani - wyjaśnił z ważną miną i porwał wszystkie jej rzeczy, jak gdyby były to zabawki.

Przeszła za nim przez ciemny korytarz i razem wcisnęli się do małej windy. Gdy metalowa klatka sunęła majestatycznie w górę, Suze zaczęła się zastanawiać, ile pieniędzy powinna dać Raymondowi w charakterze napiwku, w myślach podwoiła tę sumę i w końcu zwiększyła ją czterokrotnie.

Zatrzymali się na dziewiątym piętrze i mężczyzna poprowadził ją do drewnianych drzwi naszpikowanych zamkami. Otworzył je, wniósł do środka bagaż i włączył światło.

Suze przede wszystkim zauważyła olśniewającą czystość i nienaganny porządek, który nieco ją onieśmielił. Z jednej strony pokoju znajdowało się duże okno osłonięte żaluzjami. Rzuciła torebkę, podeszła i odsunęła je. Okazało się, że wyraźnie widać mieszkanie w bloku naprzeciwko. Jakaś para jadła właśnie obiad przy oknie, otoczona małym kwadratem żółtego światła niczym na miniaturowej scenie. Suze mogła nawet dostrzec młynek do pieprzu na stole. Zastanawiała się, kim są ci ludzie, o czym rozmawiają i czy są szczęśliwi.

- Wszystko w porządku? - zapytał Raymond.

- Tak. Przepraszam. - Odwróciła się do niego, pośpiesznie odnalazła swój plastikowy portfel z nowiutkimi banknotami dolarowymi, wyciągnęła dwudziestkę i wręczyła ją mężczyźnie z uśmiechem. - Dziękuję panu za tak dobrą opiekę.

- Nie ma sprawy. - Raymond uśmiechnął się promiennie, chowając banknot do kieszeni spodni. - Oto klucze. Do zobaczenia.

Gdy tylko poszedł, zrzuciła z nóg buty i zaczęła oglądać mieszkanie. Nie zajęło jej to dużo czasu. Salon pomalowany był na biało, podłogę wyłożono parkietem, meble zaś miały ładne pastelowe obicia, które przywiodły Suze na myśl określenie „kobiecy styl”. Jeden koniec pokoju zamieniono w miejsce do pracy z rega-

## ***50 Robyn Sisman***

łami na książki, skórzaną kanapą niczym w biurze i lśniącym nowoczesnym biurkiem, na którym stał faks i komputer - Mac 6400, jak zauważyła. Nieźle. Na drugim końcu, przy oknie zastawionym okazałymi roślinami doniczkowymi, znajdował się stół, na którym znalazła plastikowy folder z wypisanym jej imieniem. Suze otworzyła go, zobaczyła nagłówek „Uwagi dotyczące gospodarstwa domowego” i postanowiła zostawić je na później.

Z kawałka salonu wydzielono tu maleńką kuchnię, do której wchodziło się przez drzwi wahadłowe niczym w westernowym saloonie. Wewnątrz znajdowały się uporządkowane rzędy słoików oraz lśniące stalowe meble kuchenne z blatami tak czystymi, że można by na nich przeprowadzać operacje serca. Suze otworzyła lodówkę o rozmiarach szafy i odkryła, że ktoś pomyślał

● tym, by zostawić jej mleko, jajka, masło i duży karton soku pomarańczowego. Tłumiąc wyrzuty sumienia w związku z zawartością jej lodówki w Londynie, wróciła do salonu i przeszła wąskim korytarzem z półkami pełnymi książek. Na jego końcu znajdowała się mała, schludna sypialnia, w której dominowało podwójne łóże z jedną z tych falbaniastych rzeczy w nogach, której nazwy Suze nigdy nie mogła zapamiętać. Z okna był taki sam widok jak z salonu i zauważyła, że para z przeciwka znikła teraz, a światło w ich mieszkaniu zbladło

i zmieniło się w niebieską poświatę telewizora. Za sypialnią znajdowała się łazienka, mała luksusowa przystań w amerykańskim stylu z oszkloną kabiną prysznicową i stosami grubych ręczników.

Suzej postanowiła, że rozpakuje się, umyje głowę, sprawdzi, co jest w telewizji, i pójdzie wcześniej spać, niwelując różnicę w czasie. Za dwanaście godzin musi iść do pracy.

Ogarnęła ją fala zmęczenia. Ściągnęła zakiet i padła na łóżko, wpatrując się w półmrok. Pokój zdawał się wznosić i opadać wokół niej, jak gdyby znajdowała się na statku. Wygładziła pikowany materiał obcej miękkiej narzuty. Jej ciało przycisnęło się do kształtów łóż-

### *Zupełnie obcy ludzie 46*

ka nieznanego człowieka. Lloyd Rockwell, dyrektor artystyczny: jaki on jest, zastanawiała się Suze. Nie było jej w domu, kiedy dzwonił, tak więc porozumiewali się, przesyłając sobie nawzajem ogromną ilość faksów. Jego wiadomości były bezpośrednie i praktyczne, raczej oficjalne - prawdopodobnie napisane przez sekretarkę z kokiem. Wyobraziła sobie jakiegoś faceta koło pięćdziesiątki, z trzęsącymi się rękami i z doskonałą żoną o wyprostowanym aparacie korekcyjnym zgryzie, ubraną w jedną z tych bluzek z małymi złotymi guziczkami przy mankietach. Jak miała na imię - Beth, Betty, Becky? Suze ziewnęła, a jej oczy się zamknęły. Z ulicy poniżej wzniósł się do nieba chór klaksonów i syren. Gdzieś w tle rozlegały się basowe tony dudniących maszynerii oraz ryk i łoskot miasta działającego na pełnych obrotach - najbardziej ekscytującego miasta na świecie. Wyobraziła sobie starą biedną Bridget i To-by'ego chodzących po korytarzu z wrzeszczącym dzieckiem na rękę i uśmiechnęła się z satysfakcją. Kto powiedział, że samotne życie nie może być przyjemne?

Oczywiście w końcu dopadną ją psujące całą zabawę hieny od kart kredytowych, domagając się zapłaty za londyńskie zakupowe szaleństwa, jednak zanim to nastąpi, wszystko może się przydarzyć. Może talent Suze zostanie zauważony i poproszą ją, by nadała nowy kształt kampanii reklamowej Cosmopolitan? Być może zamieszka w ekskluzywnym apartamencie na poddaszu z jakimś bogatym reżyserem. W końcu to Nowy Jork, do którego ludzie przyjeżdżają, by rozpocząć nowe życie. Nikt jej tu nie zna, nie ma przeszłości, znajomych, obowiązków. Może robić absolutnie wszystko, co jej się żywnie podoba.

## Rozdział piąty

Cały dom z brudnożółtej cegły wtłoczony był ciasno w rząd podobnych budynków pochodzących -jak domyślał się Lloyd - z późnej epoki wiktoriańskiej. Chwasty pieniały się bujnie w wąskim ogródku od frontu za czarnym żelaznym ogrodzeniem. Ponad dachem na tle chmurzącego się wieczornego nieba widniała niewyraźna mieszanina nadstawek kominowych i anten telewizyjnych.

- Malownicze, co? - Lloyd obdarzył Betsy podnoszącym na duchu uśmiechem.

Ustawione niedbale przed drzwiami wejściowymi czarne plastikowe torby ze śmieciami oczekiwały na zabranie.

- Zdecydowanie Dickensowski obrazek - oświadczyła ponuro.

- Czy dałem ci klucze?

Betsy podniosła do góry oczy. Zaczął padać drobny deszczyk.

- Tylko sprawdzam.

Lloyd zaczął przeszukiwać zasuwane kieszenie podręcznej torby lotniczej. Obsługa samochodowa, z którą spotkali się na lotnisku, przywiozła klucze do londyńskiego mieszkania i Lloyd wiedział, że schował je w jakimś dobrym miejscu. Jednak gdzie? Czując na sobie stalowe spojrzenie Betsy, wyrzucił zawartość torby na niski słupek, który przytrzymał przekrzywioną zwisającą furtkę, położył tam swój portfel i karty kredytowe.

### *Zupełnie obcy ludzie 48*

- Spróbuj poszukać w płaszczu - odpowiedziała mu spokojnie.

- Wiesz, że nigdy nie noszę niczego w kieszeniach. Prawdę mówiąc, właśnie Betsy wytłumaczyła mi, że w ten sposób psuje się linia ubrania, i odzwyczaiła go od owego nawyku.

Jednak miała rację - jak zwykle zresztą: klucze były w kieszeni płaszcza. Lloyd podniósł walizki, ruszył po niskich stopniach do drzwi i otworzył je. W środku znajdował się mały korytarz z dwójgim następnymi drzwiami. Te po lewej stronie były ich. Wychodziły prosto na kolejne schody, prowadzące do górnego mieszkania.

- Na litość boską! - wykrzyknęła Betsy, wzdragając się na widok jaskrawego koloru ścian klatki schodowej.

Na samej górze na wąskim półpiętrze znajdowała się zagracona kuchnia utrzymana w kolorze żonkili. Do jej wysokiego okna zaglądał rosnący na zewnątrz jawor. Kilka kolejnych schodków prowadziło na korytarz z trojgiem kolejnych drzwi. Betsy otworzyła ostrożnie pierwsze z nich. Pomieszczenie było ciemne, opuszczone żaluzje odcinały dopływ światła. Lloyd zdołał jedynie dostrzec łóżko z wysokimi mosiężnymi kolumnkami, które pozostawiało w pokoju niewiele miejsca dla czegokolwiek innego. Serce w nim zamarło. Wiedział, że Betsy będzie się zastanawiać, gdzie może powiesić swoje ubrania.

Łazienka okazała się jeszcze gorsza. Kiedy Lloyd w końcu znalazł kawałek sznurka, który włączał hałaśliwy wywietrznik oraz światło, okazało się, że jest to mikroskopijna, pozbawiona okien klatka.

- Nie wiedziałam, że nadal mogą istnieć podobne toalety - odezwała się Betsy pełnym przerażenia szeptem. - Pomimo to... - Weszła do środka i zamknęła drzwi. Lloyd słyszał, jak walczy z zamkiem, który chyba nie działał.

Kontynuując obchód mieszkania, odkrył duży salon, zajmujący całą szerokość domu, z dwoma ładnymi łukowatymi oknami wyglądającymi na ulicę. Tu było



## 54 Robyn Sisman

lepiej. Na ścianach nie żałowano farby w kolorze weneckiej czerwieni; podłogi, wykonane ze starego drewna sosnowego, zasłano dywanikami; na jednym końcu znajdował się duży marmurowy kominek z rusztem z lanego żelaza. Większość mebli była tania i nowoczesna: lampy o kanciastych kształtach, półki własnej roboty, proste krzesła. Spektakularnym wyjątkiem okazała się ogromna kanapa na okrągłych lwich łapach w stylu cesarstwa, zarzucona stosem poduszek, by ukryć postrzępione aksamitne obicie. Było jasne, że to właśnie ona stanowi centrum pokoju. Sofę umieszczono tak, by bez wysiłku dosięgnąć lśniącej aparatury stereo oraz telefonicznej automatycznej sekretarki, która migotała na czerwono. Za jedną z drewnianych nóg, zaatakowanych przez korniki, Lloyd zauważył zapomniany kubek, w którym zaschły resztki starej herbaty czy też kawy. Marszcząc lekko czoło, pochylił się i podniósł go, by zanieść do kuchni. Najpierw jednak okrążył pokój niczym Sherlock Holmes szukający śladów.

Na ścianie nad kominkiem wykonany zręczną ręką rysunek ołówkiem ukazywał stepującego Freda Astaire'a z rozwianymi połami fraka. Jakiś chłopiec - pomocnik kelnera w stroju z lat trzydziestych - na próżno usiłował przywołać go do telefonu. Napis poniżej głosił: „Tańczę i nie można mi teraz przeszkadzać”. Przy oknie znajdował się długi drewniany stół na wygiętych stalowych nogach. Na samym jego środku postawiono starą butelkę po mleku, do której wciśnięto dwa bukiety kwiatów, nadal związane zieloną taśmą klejącą. Lloyd dostrzegł, że na butelce opiera się mała kartka papieru w linie, wyrwana z zeszytu, na której nabazgrano coś w pośpiechu. Przeczytał:

*Witajcie! Wybaczcie, że w domu jest bałagan, zabrakło mi czasu na porządki. Proszę, nie krępujcie się i korzystajcie ze wszystkiego, możecie też przesuwać rzeczy itd. Jeśli przyjdziecie wygłodzeni, zaraz na rogu po lewej stro-*

*Zupełnie obcy ludzie 50*

*nie znajduje się dobra hinduska restauracja, gdzie można kupować jedzenie na wynos. Czy możecie być tak uprzejmi i przesać mi wszelką pocztę, która wygląda na interesującą - oczywiście żadnych brązowych kopert ani ohydnych rachunków? Dzięki.*

*PS Grzejnik czasami wydaje w nocy głuchy brzęk -wystarczy wtedy walnąć w rurę młotkiem.*

*PPS Mam nadzieję, że nie będziecie mieli nic przeciwko Panu Kiplingowi. Jest stary, ale niezmiernie przyjazny.*

Całość podpisano dużą literą „S”.

Lloyd odwrócił liścik, by sprawdzić, czy nie ma tam nic więcej, następnie przeczytał go jeszcze raz, delektując się nieznanymi zwrotami. Pan Kipling musi być jakimś gadatliwym sąsiadem, może stanie się dobrym towarzyszem dla Betsy, jeśli poczuje się samotna. Już ona umie postępować ze starymi ludźmi.

Akurat w tym momencie z kuchni doleciał do niego słaby jęk pełen rozpacz. Lloyd odnalazł tam Betsy z miną bardzo nieszczęśliwą i rękami załamanymi w bolesnym geście rozpacz.

- Nie mogę w to uwierzyć. Nie ma lodówki!

- Nonsens. - Lloyd wręczył jej liścik od Suze i brudny kubek, a potem myszkował wśród gmatwaniny szafek, i w końcu z triumfem otworzył błyskawicznie drzwiczki, które pomalowano tak, by pasowały do szafek. - Hura!

Lodówka miała wielkość hotelowego minibarku. Wewnątrz znajdowały się trzy kartony mleka, wszystkie otwarte, puszka starych pomidorów z pleśnią na wierzchu oraz trójkątny kawałek sera w torebce z supermarketu, wydzielający obrzydliwy zapach. Betsy przykucnęła, by wyciągnąć pojemnik na warzywa, w którym odkryła dwa pomarszczone jabłka i wyschniętą gałkę imbirową. Następnie próbowała otworzyć maleńką zamrażarkę, jednak ta była mocno zablokowana grubą warstwą lodu, wystającą na zewnątrz niczym jakaś obca siła. Betsy wstała i zamknęła drzwiczki bez słowa.

## 51 *Robyn Sisman*

- Jest niezamężna - wyjaśnił Lloyd w obronie właścicielki mieszkania.

Obdarzyła go złośliwym spojrzeniem.

- Ja także nie jestem mężatką. - Przesunęła się obok niego i ruszyła do sypialni. - Zacznę się rozpakowywać.

Z całą premedytacją pozwolił jej działać. Wiedział, że jego partnerka poczuje się lepiej, gdy zaprowadzi wszędzie wzorowy porządek. Lloyd nienawidził tego całego kramu z wyciąganiem ubrań i zabawy z wieszakami, a jeśli będzie się trzymał na uboczu przez dostatecznie długi czas, Betsy prawdopodobnie zrobi wszystko za niego. W rewanżu postanowił przyrządzić dla obojga małą kolację.

Na blacie kuchennym stało radio. Włączył je i usłyszał.

- „Tu program czwarty. A teraz wysłuchamy audycji Moc Ściągniętych Ust, krótkiego wykładu na temat gwizdania”.

Lloyd poczekał, by sprawdzić, czy to żart, jednak nie: był to utrzymany w lekkim tonie, lecz najwyraźniej zupełnie normalny brytyjski program. Poczul, jak nagły przypływ optymizmu zalewa jego duszę, gdy słuchał głosu o szorstkiej wymowie, z całą powagą rozprawiającego o wirtuozach gwizdania, naśladownictwie ptasiego śpiewu oraz wykorzystywaniu gwizdania w konspiracji podczas drugiej wojny światowej. Podoba mi się Anglia, pomyślał.

Szafki Susanny Wilding były dla niego niezgłębioną tajemnicą. Jak żyje ta kobieta? Lloyd dostrzegł strączki szafranu i kardamonu, lecz brakowało tymianku; znalazł cztery otwarte torebki brązowego cukru w różnych stanach krystalizacji, ale nie było ani grama mąki; dwa włoskie ekspresy do kawy, przy jednoczesnym braku cedzaka. Czy ta kobieta odcedzała spaghetti za pomocą rakiety tenisowej jak Jack Lemmon w „Garsonierze”? Jedna szafka zastawiona była pustymi butelkami po winie, przypuszczalnie przeznaczonymi do wy-

### *Zupełnie obcy ludzie 57*

niesienia i przerobu na surowce wtórne w jakimś odległym dniu ery ekologicznej. W innej znajdował się nowiutki mikser bez wtyczki. Mniejsza jednak o to.

Gdy późny angielski zmierzch przechodził powoli w noc, a głosy w radiu delikatnie świergotały, Lloyd znalazł puszki z pomidorami i fasolką, wygrzebał liście laurowe, zlokalizował kilka ząbków czosnku na drzwiach godnej pogardy lodówki i rozwinął z konieczności ograniczoną twórczość kulinarną. Czując ciepło kuchenki gazowej, próbował i mieszał, i znowu próbował. *Cassoulet au Rockwell*. Niezłe.

Nagle przypomniał sobie mrugające czerwone światelko automatycznej sekretarki. Może to jakaś pilna wiadomość z biura, nawet od samego Harry'ego Foxa? Zostawiając danie, by dusiło się w garnku na wolnym ogniu, pośpieszył do salonu, przykucnął na podłodze tuż obok telefonu i przycisnął guzik. W pokoju rozległ się spokojny męski głos:

- „Przepraszam, kochanie, dopiero co otrzymałem twoją wiadomość. Jeśli rozminąłem się z tobą, niech to wezmą wszyscy diabli. Dzwonię, żeby powiedzieć, że nie sędzę, abym pomimo wszystko pojawił się w Londynie, gdy ty wyjedziesz. Jednak nie martw się, jestem pewny, że jankesi nie zaśmiecą mieszkania. Stare małżeństwo jest prawdopodobnie o całe niebo porządniejsze niż ty. W każdym razie kocham cię! Zadzwoń do nas, gdy dotrzesz na miejsce”.

„Stare małżeństwo”? - Lloyd poczuł nagłe ukłucie irytacji. Był pewny, że przedstawił Betsy jak swoją partnerkę. I dlaczego ktoś miałby zakładać, że są starzy? Zastanawiał się, kim jest ten facet. Wydawał się zbyt przyjacielski jak na kochanka, więc może to jej ojciec. Lloyd przewinął magnetofon, kasując wiadomość. Kimkolwiek był ten mężczyzna, miał rację, jeśli chodzi o porządek. Wszedłszy do sypialni, Lloyd poczuł przyływ dumy pełnej poczucia własności, gdy zobaczył Betsy, schludną i zadbaną pomimo trudów podróży, chowającą jego skarpetki do szuflady. Teraz, kiedy

## 58 Robyn Sisman

włączyła światła i uprzątnęła wszystko z wierzchu, zdał sobie sprawę, że to przyjemny pokój - wprawdzie mały, ale z dobrymi proporcjami i dekoracyjnym gzymsem wokół sufitu. Widać tu również było rękę artysty, która wymalowała na ścianach szerokie pasy szarości przeplatane barwą kości słoniowej i upięła kawałek szkarłatnego materiału po obu stronach okna, by uzyskać efekt zasłon.

Jego ciekawość wzbudziły dwie fotografie w jednej ramce stojące na komodzie. Podszedł bliżej, aby przyjrzeć się im dokładnie. Jedna z nich była wyblakłym zdjęciem migawkowym przedstawiającym obejmującą się hipisowską młodą parę, druga ukazywała dziewczynę w jasnoróżowej sukience. Oczywiście sfotografowanej, poniżej grzywy włosów w kolorze karmelu, śmiały się do kamery. Lloyd podniósł zdjęcie i pokazał je Betsy.

- Czy myślisz, że to ona? Ściągnęła usta.

- Kimkolwiek jest, powinna mieć tyle rozumu, by wiedzieć, czy może ubierać się na różowo - zwłaszcza przy takich włosach.

- Och! - Lloyd odstawił zdjęcie na miejsce. To nadzwyczajne, że kobiety tak bardzo zwracają uwagę na dotyczące ich wyglądu szczegóły, które całkowicie umykały jego uwadze. - Wykonałaś dobry kawałek roboty w tym pokoju - dodał, być może trochę zbyt entuzjastycznym tonem. - Nie mów mi, że rozpakowałaś również i moje rzeczy?

Betsy siedziała na brzegu łóżka, masując stopy. Obrzuciła go chłodnym spojrzeniem.

- Czyż nie po to mnie tu przywiozłeś?

- Oczywiście, że nie. I wcale cię nie „przywiozłem”, sama chciałaś przyjechać. Myślałem, że potrzebujesz tej atmosfery do swojej pracy. Mówiłaś... - Z trudem panował nad irytacją. - Rozumiem, że nie jest to ekskluzywne mieszkanie Juliana Jewela nad rzeką, ale, do diabła... Jane Austen prawdopodobnie nie miała nawet łazienki.

### *Zupełnie obcy ludzie 54*

- Wiem. - Betsy uściskała jego dłoń. - Przestań się złościć.

Zamilkł, nadal walcząc ze wzburzeniem, ale pozwolił jej przytrzymać się za rękę. Podniosła ją do swego policzka. Był ciepły i gładki. Lloyd usiadł na łóżku przy niej i objął ją za ramiona.

- Jesteś tutaj i dzięki temu możemy być razem -przypomniał im obojgu. - Mieć wspólne nowe doświadczenia. Jeśli nigdy nie wyjmiesz z szafki odkurzacza, nie przejmę się tym wcale. Chcę jedynie, abyś dobrze się bawiła.

Betsy oparła się na jego ramieniu i westchnęła.

- Chodzi mi tylko o to, że teraz Londyn wydaje się zupełnie inny niż wtedy, gdy byłam tu z matką w 1981 roku.

- Nie żartuj. Tamtym razem mieszkałaś w cztero-gwiazdkowym hotelu w Mayf air. Każdy czułby się dziwnie w domu obcej osoby. Jednak ja ciebie znam. - Uściskał ją. - W ciągu tygodnia całkowicie przeobrazisz to miejsce. Wykorzystasz wszelkie małe schowki i zakamarki, jakie tylko tu istnieją, i sprawisz, że ów stary Kipling - kimkolwiek jest - będzie jadł ci z ręki, wnosił na górę twoje zakupy i prawdopodobnie zacznie zapraszać cię na lunch, gdy ja, biedny wyrobnik, będę tyrać w biurze. - Betsy uśmiechnęła się do niego niepewnie. - Tymczasem - mówił dalej - weźmiesz bardzo długą gorącą kąpiel, a ja dokończę swoje kulinarne arcydzieło i zjemy je w salonie z butelką wolnego od cła burgunda, jednocześnie ciesząc oczy światłami Londynu. Co ty na to?

- Cudownie! - Osunęła się w jego ramiona, „zaczynając odczuwać przyjemne podniecenie, i nagle zeszywniała. - Co się, u diabła, dzieje...?

Jeden z guzików jej bluzki natrafił na przeszkodę. Betsy wyplatała się, a następnie wolno wyciągnęła jakiś przedmiot spod materaca. Trzymając owo trofeum między palcem wskazującym a kciukiem, jak gdyby to była zdechła mysz, zakreśliła nim w powietrzu, aby Lloyd mógł obejrzeć znalezisko.

55 *Robyn Sisman*

Był to czarny koronkowy pas do pończoch. Lloyd zaczął się śmiać.

- No cóż, mamy w końcu coś, czym moglibyśmy się posłużyć - droczył się, sięgając po frywolny element bielizny i dla zabawy owijając go wokół talii Betsy. Zachichotała i odepchnęła go.

- Przestań się wygłupiać.

Lloyd jednak, nagle ożywiony, zaczął gonić ją wokół pokoju, brzękając klamerkami pasa i rycząc niczym drapieżne zwierzę. W końcu Betsy pochwyciła pas i popchnęła Lloyda tak, że padł na plecy na łóżko.

- Jesteś okrutną kobietą - stwierdził, uśmiechając się do sufitu.

Betsy otrzepała się z kurzu.

- Gdybym zaliczała się do kobiet, które uważają za konieczne noszenie czarnej bielizny, kupiłabym ją sobie. - Wspaniale! - Lloyd przewrócił się, popatrując na nią z głową opartą na dłoni. - Możesz zapytać jutro pana Kiplinga, gdzie można taką dostać.

- Ale do nich nie należę - zakończyła rozstrzygającym tonem. Złożyła gorszący przedmiot i wrzuciła go do szuflady. Stała przez chwilę, uważnie przyglądając się zdjęciu kobiety w różowej sukience. - Mam nadzieję, że ta Susanna Wilding będzie się właściwie zachowywać w naszym mieszkaniu. Nie jestem pewna, czy to odpowiedzialna osoba - zwróciła się do Lloyda ze zmartwionym wyrazem twarzy. - Widziałeś? Na regałach z książkami są wszystkie powieści Judith Krantz.

- Nie każdy może być intelektualistą. - Lloyd lekko podskoczył na łóżku. - Lubi Freda Astaire'a.

- A czy widziałeś podłogę w łazience?

- Salon jest przyjemny.

- Jeśli się lubi czerwony kolor. - Betsy stała przez chwilę w zadumie, jak gdyby w milczeniu opracowywała notkę inwentaryzacyjną każdego cennego i nieskalanego przedmiotu w ich mieszkaniu. Nagle na jej twarzy pojawiła się trwoga. - Mam nadzieję, że będzie pamiętać o podlewaniu moich kwiatów!

## Rozdział szósty

Rośliny - czytała Suze, gdy wagon metra szybko ruszył do centrum miasta. - Trzy krople odżywki na pół litra wody dwa razy w tygodniu. Proszę uważać, by nie rozlać wody na stół, ponieważ niszczy politurę".

Zrobiła wielkie oczy, widząc całe strony tej nudy. Instrukcje na temat sortowania śmieci, klimatyzacji, zasad korzystania z piwnicznych pomieszczeń, gdzie stała pralka, oraz informacja, gdzie znaleźć mydła gościnne (co to są „mydła gościnne”?) były nudniejsze niż „Economist”. Suze wzięła ze sobą te notatki tylko dlatego, że z tyłu znajdowały się wskazówki, jak dojechać do pracy. Kiedy przyjechała na swoją stację, oderwała ostatnią stronę, a resztę „Uwag dotyczących gospodarstwa domowego” zostawiła w metrze.

Na zewnątrz było gorąco i słonecznie w radosny nieangielski sposób. Tutaj, w centrum, zabudowę obliczono na bardziej ludzką skalę. W małych brudnych parkach biegały dzieci i psy, a uliczni handlarze sprzedawali świeże owoce i bajgle. Dominowały ęzyste kolory, jakich w swoich obrazach używał Edward Hopper, głęboka zieleń oraz ciemnordzawa barwa ceglanych domów, na których zygzakiem zaznaczały się schody przeciwpożarowe. Wystarczyło odwrócić głowę, by zobaczyć drapacze chmur, które wyłoniły się jakby spod ziemi: Empire State Building z wieżą King Konga oraz srebrzysta wieżyczka gmachu Chryslera, kręcąca się jak bąk w promieniach słońca. Suze odetchnęła głębo-



## 62 Robyn Sisman

ko z zadowoleniem, poprawiła okulary przeciwsłoneczne w stylu Audrey Hepburn i ruszyła na południe, z uwagą oglądając własne odbicie w wystawach sklepowych. Miała na sobie płócienny biały top, błyszczące czarne wąskie spodnie i nowe supermodne sandaalki ze scenką przedstawiającą śnieżycę wokół wieży Eiffla namalowaną na każdym obcasie z perspeksu. Uważała, że wygląda niezwykle szykownie.

Budynek Schneidera Foxa rozsiadł się na skrzyżowaniu dwóch ulic jak ogromny biały słoń złożony z różnych elementów. Suze mocniej przycisnęła do siebie teczkę, przesunęła się przez obrotowe szklane drzwi i weszła do holu tak wielkiego, że mógłby tam zaparkować jumbo jet. Stukot jej obcasów odbijał się onieśmielającym echem na kamiennej posadzce. Trzy razy wjechała na górę i zjechała na dół windą, usiłując zatrzymać ją pomiędzy parterem a dwudziestym piątym piętrem, zanim uprzejma kobieta, która nazwała ją „skarbem”, wyjaśniła, że Suze powinna wejść do innej windy. W końcu dostała się na właściwe piętro, tylko po to, by zatrzymała ją tam recepcjonistka o oczach Bambi, która wydawała si<sup>^</sup> zdumiona oświadczeniem Suze, iż przyszła tu pracować. Przez pół godziny Suze siedziała przykucnięta na brzegu absurdalnie niskiej skórzanej kanapy, udając, że bawia ją obrazkowe żarty w „New Yorkerze”, i słuchała, jak recepcjonistka prowadzi jedną rozmowę telefoniczną po drugiej w poszukiwaniu kogoś, kto mógłby zaopiekować się Angielką. Czuła się jak porzucony pies. W końcu Bambi oznajmiła, że zaraz *ktpś* zabierze Suze, by poznała samego Quincy'ego Taylora, szefa działu projektów. Jakiś pracownik niższej rangi poprowadził ją poprzez labirynt boksów bez ścian, poprzedzielany barierkami do wysokości klatki piersiowej, za którymi pracownicy spędzali czas nad telefonami i komputerami jak bydło w przegrodach. Od czasu do czasu udało jej się pochwycić kuszące obrazy z zewnątrz. Wewnątrz budynku powietrze było chłodne

### *Zupełnie obcy ludzie 58*

i przypominało jej samolot. Suze ogarniał coraz większy niepokój. Dział artystyczny wyglądał jednak uspokajająco znajomo ze swoimi szafkami, czarnymi węzami kabli elektronicznych i zwykłym bałaganem, który tworzyły pistolety do kleju, farba w sprayu oraz projekty przykryte folią. Rockowa muzyka w dziewczęcym stylu grała cicho. Przewodnik zostawił Suze przy drzwiach jednego ze szklanych boksów. Zapukała i weszła do środka.

Quincy dobiegał pięćdziesiątki, nosił czarne półbuty, dzinsy od Armaniego oraz czarną koszulę bez kołnierzyka; jego artystycznie siwiejące włosy zebrane były w schludny kucyk. Wydał się jej bardzo przystojny, miał wąskie oczy i chłodny czar, który mógł rzucać kobiety na kolana i sprawiać, że błagały o aprobatę. Suze przyjrzała mu się ostrożnie. Po świetle chodziło wielu dyrektorów artystycznych takich jak ten mężczyzna. Powinna się już dobrze znać na ich metodach działania. Na dobrą sprawę przez trzy lata żyła z jednym z nich.

Uścisnął dłoń Suze oficjalnie i wskazał gestem, by usiadła. Przez chwilę w milczeniu bawił się ołówkiem i leniwie lustrował jej wygląd.

- Tak. Rozumiem, że na kilka tygodni dołączy pani do pracowników mojego działu. Co umie pani robić?

- Wszystko - powiedziała pewnym głosem Suze.

- Wszystko? - Podniósł brwi, a na jego twarzy pojawił się drwiący uśmiešek.

- Znam programy Quark, Photoshop, Illustrator - wychwalała samą siebie - umiem robić kolorowe fotokopie, potrafię wyszukiwać obrazy w sieci. W reklamie robiłam wszystko, począwszy od pomysłów, przez sekwencje obrazów po prezentacje. Pracowałam również w magazynach przy artystycznych zdjęciach fotograficznych, trochę w mediach mieszanych, trochę w filmie i telewizji, i potrafię sobie radzić w zespołach redakcyjnych.

- Zespołach? Jakże to niezwykle. Obawiam się, że tutaj w Ameryce mamy zwykłe pokoje redakcyjne.

## 64 Robyn Sisman

- Przyniosłam swoje papiery - oświadczyła Suze, wykonując ruch, jakby chciała otworzyć teczkę z aktami.

- Może później. - Quincy przesunął ręką po twarzy i potarł brew, jak gdyby zbyt krótko spał, a następnie rzucił jej tajemniczy przeprasający uśmiech. Suze знаła także i tę sztuczkę: przepracowany geniusz, który potrzebuje opieki adorującej go kobiety. Jej spojrzenie powędrowało gdzieś ponad ramię wielkiego artysty.

- Dobrze. - Quincy nagle się ożywił. - Zabiorę panią do Dina. Pracuje na świeżym powietrzu nad projektem kampanii piwa. Właśnie ustalamy kilka wyjściowych pomysłów do pokazania klientowi. Może znajdzie pani dla niego kilka zdjęć, a on zajmie się obróbką materiału. - Wstał i zaprowadził ją do głównego biura i dalej w dół długim przejściem pomiędzy rzędami komputerów, gdzie pokornie harowali młodszy projektanci. - Właściwie to kiepskie piwo dla ludzi, którzy nie mogą sobie pozwolić na nic lepszego. Chodzi nam o mężczyznę mieszkającego w aglomeracji miejskiej, z niższej warstwy społecznej, twardego, ale uczciwego. Wie pani: „Pij to piwo, a i ty będziesz mógł mieć rzetelną posadkę przy amerykańskiej taśmie produkcyjnej”. Nawiasem mówiąc - dodał - tutaj zaczynamy pracować o dziewiątej. Proszę przyjść jutro punktualnie.

Suze poczuła się, jak gdyby ktoś uderzył ją w twarz. Tyle różnych replik zabłysło w jej mózgu, że spaliły się bezpieczniki i zachowała milczenie. Marzenia o tym, że zostanie gwiazdą w nowojorskiej firmie, pierchły, gdy uprzytomniła sobie, jak to przez cztery tygodnie jankesi będą jej rozkazywać niczym jednemu z elfów Świętego Mikołaja.

Dino niewątpliwie był gejem, miał dobrze rozwinięte mięśnie, nosił ciasną białą koszulkę i liczył sobie około dziewiętnastu lat. Suze z przyjemnością zaprosiłaby go do domu na pogawędkę.

Oprowadził ją po całym dziale, przedstawił wszystkim, a następnie w bardzo miły sposób wyjaśnił działanie systemów komputerowych, którymi posługiwała się od wielu lat. Jego zmu-

### *Zupełnie obcy ludzie 65*

wrzucanie obrazu na siatkę przypominało nawlekanie igły przez trzylatka.

- Słuchaj - powiedziała po pewnym czasie, gdyż tak nakazywała jej przyzwoitość - może mogłabym rozejrzeć się w bibliotece w poszukiwaniu jakichś materiałów?

Rozpaczliwie pragnęła zapalić, a już wcześniej uznała bibliotekę za dobre miejsce na szybkie zaciągnięcie się papierosem. Ruszyła tam określną drogą, zatrzymując się obok automatu do kawy, i wkrótce ukryła się przy jednym z terminali komputerowych, zasłonięta regałem przed ludzkim wzrokiem. Filiżanka kawy, papieroszek, samotność: szczęście. Palila właśnie drugiego, kiedy włączył się alarm. Suze rozejrzała się szybko wokół, aby zobaczyć, czy ktoś zareaguje, ale było zupełnie tak, jak w Anglii. Nikt nigdy nie zwracał tam uwagi na żadne alarmy, chyba że powtórzyły się trzy razy. Nadal więc wykonywała swoją pracę, myszkując w zasobach fotograficznych. Żadne ze zdjęć nie wydawało się odpowiednie, ale wybrała pół tuzina, aby okazać swą dobrą wolę, i właśnie wychodziła z programu, kiedy uświadomiła sobie, że na zewnątrz panuje jakieś poruszenie. Słysząc było chór niespokojnych okrzyków, niski męski głos, a następnie głuchy stukot kroków. Nagle szklane drzwi do biblioteki otworzyły się gwałtownie i przerażająca postać w czerni, trzymająca w ręku siekiere, ruszyła gwałtownie w stronę Suze. Wstała z krzesła, z papierosem zatrzymanym w pół drogi do ust, a jej serce waliło jak młotem. A więc tak to się miało skończyć. W pierwszym dniu pobytu w Nowym Jorku zginie z rąk maniakałnego mordercy z siekiere.

- Zgaś to! - ryknął tamten. -Co?

- Tu nie wolno palić. Zgaś papierosa!

Suze wrzuciła niedopałek prosto do plastikowej filiżanki po kawie, gdzie zaraz zgaś z sykiem. Teraz zobaczyła, że mężczyzna nie był ubrany w czerń morder-

## 66 Robyn Sisman

cy, lecz w oficjalny granat: naprawdę był to pracownik ochrony. Z ulicy dotarł do Suze odgłos syreny i modliła się, by nie nadjeżdżała straż pożarna, wezwana, żeby ją ocalić. Wystarczyło, że grupa stojących obok siebie ciekawskich gapiła się na nią przez szybę.

- Już dobrze, rozejdźcie się wszyscy - zwrócił się do zebranych strażnik. - Stan alarmowy odwołany.

- To nie moja wina. - Suze złożyła ręce w obronnym geście. - To mój pierwszy dzień pobytu tutaj.

Jestem z Anglii.

- Dla mnie może być pani nawet z Księżyca - warknął mężczyzna. - To Nowy Jork, tu nie wolno palić w budynkach użyteczności publicznej, rozumiano?

Przytaknęła potulnie.

- Istnieje zakaz palenia w taksówkach, metrze i autobusach.

Znowu skinęła głową potakująco.

- Nie wolno także palić w bankach, holach hotelowych, na stadionach sportowych oraz w publicznych toaletach w restauracjach i teatrach.

- A jak ze szpitalami? Tylko żartowałam.

Słaby uśmiech, wskazujący, że się poddaje, rozjaśnił twarz mężczyzny. Odłożył siekiere i zdjął czapkę, aby przesunąć mięsistą ręką po krótko przystrzyżonych włosach. Jego głową przypominała kształtem marchewkę. Miał małe głęboko osadzone oczy ocienione gęstymi szczeciniastymi brwiami i mocny, świadczący o uporze podbródek. Była to twarz interesująca - w jakiś twardy i agresywny sposób. Ten facet wyglądał właśnie jak ktoś, kto piłby owo kiepskie piwo. Suze obdarzyła go olśniewającym uśmiechem.

- Czy pozwoliliby pan - zapytała ostrożnie - abym zrobiła panu zdjęcie?

Zrobili je w kantine na dachu, posługując się puszkami po coli zamiast po piwie i polaroidem ściągniętym z magazynu działu projektów. Strażnik miał na imię Iwan. Pozowanie sprawiło mu ogromną frajdę, stanął nawet w jeszcze dzikszej pozie, machając swo-

## *Zupełnie obcy ludzie 62*

ją siekierą. Suze dała mu kilka fotek, aby zabrał je do domu dla dzieciaków, i wróciła do Dina z najlepszymi ujęciami.

- Są wspaniałe - zgodził się - ale zbyt kiepskiej jakości. Nie możemy się nimi posłużyć.  
- Dlaczego nie? To tylko materiał wyjściowy. Możemy je poddać obróbce w tej oto maszynie. -  
Wskazała na stojący w kącie skaner, ogromną aparaturę, która wyglądała jak futurystyczna budka telefoniczna.

Dino popatrzył na nią zaskoczony.

- Wiesz, jak się posługiwać jednym z tych maleństw?  
- Tak myślę - odpowiedziała z werwą. - Wypróbowałam jedną z nich na targach handlowych kilka miesięcy temu. Są świetne. Mógłbyś wrzucić Francisa Bacona z jednej strony i otrzymać własną fotografię paszportową z drugiej. Chodź, pokażę ci.

Zainstalowała Dina przy systemie kontroli i prztykała na próbę klawiszami nad jego ramieniem.

- Po prostu wrzuć tutaj obraz - poleciała, wręczając mu zdjęcie Iwana - i następnie... hmmm. - Dotknęła kilku innych przycisków. - Naciśnij tamten biały guzik. - Dino posłuchał, a włączona maszyna zaczęła buczeć, połknęła fotografię i wyświetliła ją na ekranie. Suze uśmiechnęła się z zadowoleniem. -  
Klawisz zmiany numer dziewięć, mój panie.

Bawili się całkiem nieźle, obdarzając Iwana wąsami i łysiną, kiedy obok nich odezwał się jakiś głos:

- Tylko mi nie mówcie, że ktoś to uruchomił.

Podnosząc głowę, Suze ujrzała ucieleśniony obraz kobiecości na stanowisku kierowniczym. Na dole znajdowała się para doskonale opalonych nóg w lśniących rajstopach, a na górze połyskiwała grzywa blond włosów. W środku zaś fantastyczny różowy kostium podkreślał każdą wypukłość ciała, a górny guzik umieszczony był precyzyjnie w takim miejscu, by ściągnąć wzrok prosto w dekolt, nie ujawniając ani milimetra więcej, niż pozwalały na to zasady przyzwoitości. Suze w swoich odłotowych ciuchach poczuła się nagle jak uczennica.

68 *Robyn Sisman*

Kobieta obdarzyła ją majestatycznym królewskim uśmiechem. Miała piękne białe zęby.

- Nie przedstawiś mnie, Dino?

Nazywała się Sheri Crystal. Przerywając Dinowi wypowiedziane jękającym się głosem wyjaśnienia, wyliczyła listę tytułów wywołujących wrażenie. Zdawała się tu kierować praktycznie wszystkim. Co ważniejsze, wiedziała, kim jest Suze, i była pierwszą osobą, która odpowiednio ją powitała.

Promieniejąc radością pod wpływem czyjegoś zainteresowania, Suze zaczęła reklamować swoje możliwości:

- Potrafię uruchomić większość urządzeń - chwaliła się, kiedy Sheri spytała ją o skaner. - W biurze zawsze posyłają po mnie, gdy komputer przestaje działać lub gdy tracą plik. Mogłabym zrobić majątek jako pierwszorzędny haker.

- Naprawdę? - Sheri obrzuciła ją surowym spojrzeniem.

- Ale oczywiście - dodała pośpiesznie Suze - projektowanie to moja pierwsza miłość.

- Cieszę się, że to słyszę. - Tamta roześmiała się szczerze. - Widzę, że będziesz bardzo cennym nabytkiem. Musisz opowiedzieć mi coś więcej o sobie. - Sprawdziła godzinę na zegarku, zrećnie odwracając bransoletkę. - Wpadnij do mojego gabinetu za pół godziny.

„A co z Quincym?” - chciała zapytać Suze, lecz Sheri odwróciła się już na szpilkach i znikła, zostawiając za sobą opary perfum o piżmowym zapachu. Oboje patrzyli za nią z milczącym podziwem.

- Oho! - Dino lekko zadrżał z zachwytu i napiął mięśnie. - Jak tu nie kochać tych blondynek prosto z Hitchcocka? - zwrócił się do Suze. - Ona cię lubi.

- Czy to dobrze?

- Czy słońce świeci w nocy?

Sheri miała naturalnie swój własny gabinet w odcieniach stonowanej szarości, a wazon z liliami Casablanca, które rozsiewały swój ciężki zapach aż na kory-

### *Zupełnie obcy ludzie 64*

tarzu, nadawał wnętrzu kobiecy charakter. O oznaczonej godzinie Suze stawiała się na miejscu z uczesаныmi włosami i uśmiechem oznaczającym pewność siebie. Sheri rozmawiała przez telefon, a Suze kręciła się, przyglądając się rycinom Georgii O'Keeffe zawieszonym na ścianie, przeplatany małymi mottami w ramkach. Musiała podejść bliżej, by przeczytać: „Nie pozwól, by przeszłość stawała na drodze twojej] przyszłości”. „Sukces to dziewięćdziesiąt procent planowania, a dziesięć procent jaja”.

- Ma pan rację, nie rozumiem - mówiła lodowatym tonem Sheri. - Jeśli rachunek nie zostanie uregulowany do końca miesiąca, rozpoczniemy postępowanie prawne. - Rozłączyła rozmowę wymanikiurowanym paznokciem. - Wybacz mi, Susanno - powiedziała z przeproszającym uśmiechem. - Tyle pracy! Jestem tu od ósmej i prawie nie udało mi się nic ruszyć. I jeszcze wszystkie te sprawy Lloyda, o których także należy pomyśleć. - Westchnęła. - Tak jak gdybym i ja nie miała ochoty na chwilę wypoczynku w Londynie. Piccadilly Circus, Harrods i wszystkie pozostałe atrakcje. Co byś powiedziała, gdybyśmy wydostały się z tego domu wariatów? - Podniosła głowę przyjaznym ruchem. - Chodź, zabiorę cię na lunch.

Przeszły kilka ulic do włoskiej restauracji, gdzie usiadły na zewnątrz pod parasolem na tarasie osłoniętym od ulicy niskim żywopłotem. Suze poweselała. Zdecydowana zrobić dobre wrażenie, poprzestała na pierożkach z dynią i sałatce oraz jednym kieliszku czerwonego wina, tylko po to, by dać Amerykance pobić się na głowę młodymi warzywami z grilla i wodą mineralną. Tutaj wszystko wydawało się bez znaczenia. Z dala od biura cudownie łatwo rozmawiało się z Sheri. Prawdopodobnie nie miała więcej niż czterdziestkę - oczywiście była stara, ale nie za stara, by cieszyć się sklepami i filmami, i powiedzieć Suze, jakie miejsca należy odwiedzić w Nowym Jorku. To właśnie dowodziło, że można odnosić sukcesy i być miłym.



70 Robyn Sisman

- A czy przywiozłaś kogoś ze sobą do Nowego Jorku? - dopytywała się nowa znajoma. - Męża? Chłopaka?

- O Boże, nie! Jestem tu, aby się rozerwać. Ma się rozumieć, kiedy nie pracuję.

Kelner przyniósł kawę z ekspresu dla Suze i herbatę miętową dla Sheri i dla każdej czekoladkę owiniętą w złotą folię. Suze, nadal umierając z głodu, pochłonęła swoją jednym kęsem. Druga nadal spoczywała kusząco na talerzyku. Sheri spytała ją o pracę i Suze przyłapała się na tym, że zachwyca się poszczególnymi stylami druku i wielkimi projektantami.

- Tak bardzo chciałabym stworzyć pewnego dnia wielkie dzieło i powiedzieć: „Nikt w świecie nie mógłby tego dokonać”.

- Poszukiwanie doskonałości. - Sheri przytaknęła z powagą. - Podoba mi się to. Quincy musi być zachwycony, że ma kogoś tak doświadczonego do pomocy.

Suze się zawahała.

- No dalej - roześmiała się tamta - możesz mi powiedzieć.

- No cóż, jest raczej protekcyjny. Mogę zrobić dużo więcej, niż mu się wydaje.

- A czy my wszyscy nie możemy? Czy nie odczuwasz wściekłości, gdy ludzie uważają, że należy strzec swoich małych imperiów, zamiast współdziałać? Może to się zdarzyć nawet w najlepszych przedsiębiorstwach, szczególnie jeśli mężczyźni nie chcą dopuścić do tego, by kobieta odniosła sukces.

- Chyba nie w twoim przypadku? - Suze była zaszokowana.

- Powiedz mi, kiedy rozglądasz się po jakiegokolwiek sali konferencyjnej, to co widzisz?

Suze, zastanawiając się, podniosła głowę.

- Zarząd?

- Mężczyzn - poprawiła Sheri. - Weźmy Schneidera Foxa. Kto kieruje firmą tu, w Nowym Jorku? Mężczyzna. Kto kieruje londyńskim biurem? Mężczyzna. Kto

### *Zupełnie obcy ludzie 66*

zarządza naszym działem artystycznym? Mężczyzna. Kogo wybrali, aby wyjechał na program wymiany do Londynu?

- Mężczyznę - wtrąciła Suze. Zaczynała łapać, o co chodzi.

- Właśnie. - Sheri zachowywała się tak, jak gdyby Angielka powiedziała coś niezwykle błyskotliwego.

Suze czuła, że ogarniają ją gorące uczucia siostrzanej solidarności.

- W Anglii jest tak samo źle - stwierdziła. - Niektórzy mężczyźni są tak agresywnie, szowinistycznie przekonani o swej wyższości, że nie pozwolą ci nawet podnieść pokrywy od fotokopiarki. Gdy po raz pierwszy pracowałam w reklamie w przedsiębiorstwie, które miało kilka większych umów dotyczących produktów sanitarnych, i wraz z koleżanką dołączyłyśmy do ekipy składającej się z samych mężczyzn, pierwszego dnia pracy znalazłyśmy całe biurka wyłożone tamponami.

- Och! - Sheri zamknęła oczy przerażona. - To po prostu poniżające. Mam nadzieję, że wniosłyście skargę o dyskryminację ze względu na płeć.

- Nie! - parsknęła śmiechem Suze. - Zrobiłyśmy coś innego: wysłałyśmy zamówienie na kilka z owych zestawów przeciw impotencji, których reklamy widuje się w tanich pismach - wiesz, ulotka, magiczny napój miłosny i coś w rodzaju plastikowej rurki, podobnej do urządzeń używanych przy produkcji wina. Pewnego wieczoru zostałyśmy do późna i położyłyśmy taki komplet na krzesła każdego mężczyzny w biurze. - Wybuchnęła śmiechem. - Mówili, że to żałosne, ale ciągle napotykałyśmy ich w różnych dziwnych zakamarkach, czytających ze zmartwionym wyrazem twarzy tę ulotkę.

- O Boże. Nie miałam pojęcia, że w Wielkiej Brytanii wszystko jest aż tak prymitywne. - Sheri wypięła łyk wody mineralnej. - Wiesz, Bernie powiedział mi, by wylać osobę, ktokolwiek to był, która włączyła alarm -mówiła niezwykle łagodnym tonem.

67 *Robyn Sisman*

- Ale ja - zaczęła Suze. - Chcę powiedzieć, że to nie było...
- Jednak mam o wiele lepszy pomysł - ciągnęła uprzejmie Sheri. - Susanno, mogę chyba ci powiedzieć, że jesteś bardzo utalentowaną i twórczą pracownicą i chciałabym, aby czas spędzony w Nowym Jorku był dla ciebie owocny.
- Dzięki. Hm, czy zamierzasz zjeść swoją czekoladkę?
- Czy masz pojęcie, ile czasu zabiera wyrzucenie z organizmu tych wszystkich toksyn? - Sheri aż wzdrygnęła się z obrzydzenia. - Bardzo proszę. - Spojrzała wokoło po stolikach, a następnie pochyliła się do niej nad stołem. - Powiem ci w zaufaniu, że pracuję nad bardzo ważnym, bardzo lukratywnym, a także bardzo poufnym projektem i potrzebuję kogoś, kto by mi pomógł... - Urwała na chwilę. - Ktoś dyskretny. Ktoś utalentowany, komu mogę zaufać. - Jej niebieskie oczy zdradzające pewność siebie wpatrywały się uparcie w oczy Suze. Ta trzymała w ustach rozpuszczającą się czekoladkę, czując, że teraz niestosownie byłoby ją pogryźć. - Czy chciałabyś przez tych kilka tygodni w Nowym Jorku pracować ze mną?
- O Boże! - Suze zmiażdżyła zębami czekoladkę i połknęła ją. - Bardzo bym chciała.

## Rozdział siódmy

Tony dziękuje za listę. Lloyd odwrócił się od biurka na obrotowym krześle, oparł stopy na niskim parapecie okiennym i z dezaprobatą patrzył na kanał. Jaki Tony? Jaka lista? Lista czego?

Była godzina pierwsza w poniedziałkowe popołudnie, początek drugiego tygodnia u Schneidera Focha w Londynie i pierwszy słoneczny dzień, odkąd przyjechali do Anglii. Były to również jego urodziny. Dziesięć minut wcześniej zadzwoniła Dee Dee, by życzyć mu wszystkiego najlepszego z okazji urodzin. Co za kochana dziewczyna. Musiała przyjść do pracy wyjątkowo wcześnie, aby złapać go jeszcze przed lunchem. Lloyd z uśmiechem słuchał jej szerokich, wymawianych nosowo samogłosek, które już brzmiały dlań obco, choć zaledwie minął tydzień, a asystentka przekazała mu najnowsze biurowe plotki. Fotokopiarka znowu się zepsuła, Sheri umieściła Angielkę w jego pokoju, Bernie odkrył nową dietę.

Nie, odpowiedział, nie spotkał do tej pory królowej; owszem, dużo padało. W trakcie ploteczek nagle mimochodem przekazała ową zaskakującą wiadomość od jakiegoś Tony'ego. Dzwonił w piątek. Kiedy Dee Dee wyjaśniła, że Lloyd jest w Anglii, tamten zostawił enigmatyczną wiadomość i odłożył słuchawkę.

Lloyd raz jeszcze poszukał w pamięci i jedynym Tonym, jaki przyszedł mu na myśl, okazał się sprzedawca komputerów z San Francisco, który przez pewien

czas spotykał się z jego matką i zachowywał z jakąś obłęsną przymilnością, która przyśpieszyła tylko decyzję Lloyda, by się wyprowadzić z domu. Zgnębiony, wydał z siebie jęk i opuścił stopy na podłogę z głuchym stukotem. Nienawidził tajemnic tak samo jak zagmatwanego myślenia czy nielogicznych wypowiedzi. Zastanawiał się, czy oddzwonić do Dee Dee z prośbą o dodatkowe wyjaśnienia, ale wiedział, że to bezcelowe. Miała notes, w którym zapisywała daty i godziny oraz treść każdej wiadomości telefonicznej. Nie było nic więcej do przekazania. Niewykluczone, że Sheri mogłaby rzucić cień światła na tę tajemnicę, ale Lloyd już raz prosił ją w zeszłym tygodniu o telefon i do tej pory nie oddzwoniła. Nie chciał, by miała poczucie, iż ją sprawdza.

Co, u diabła! Świeciło słońce, był w wesołej starej Anglii, a żołądek mówił mu, że pora na lunch. Lloyd wepchnął portfel do tylnej kieszeni i wybiegł po ciężkich schodach na pokryte kocimi łbami podwórko i dalej, przez imponującą bramę z kutego żelaza, stanowiącą wejście do londyńskiego biura Schneidera Foxa. Różniło się ono bardzo od nowojorskiego gmachu zbudowanego z różnorodnych elementów. Mieściło się w okazałym, czteropiętrowym budynku z dekoracyjnej cegły, który ukazywał zalety dziewiętnastowiecznej architektury przemysłowej. Od frontu otoczenie nie było zbyt reprezentacyjne - jałowe tereny oczekiwały na dalszy rozwój miasta; chlubą firmy był natomiast widok z wysokich okien z drugiej strony - na mozaikę spadzistych dachów wznoszących się ukośnie za kanałem aż do zielonych skrajów Hampstead Heath. Sto pięćdziesiąt lat temu znajdowały się tam magazyny towarów dostarczanych systemem kanałów z północy lub przewożonych promem z londyńskich doków. Wino, herbatę, wełnę, książki i węgiel transportowano na barkach, ciągniętych przez konie flisackimi ścieżkami. Kiedy pojawiła się kolej żelazna, owe magazyny przeznaczano do rozbiórki lub pozostawiano je własnemu

### *Zupełnie obcy ludzie 70*

losowi na całe dziesięciolecia. Teraz czekały, aż zostaną przekształcone w eleganckie biurowce i budynki z apartamentami dla japiszonów. Budynek Schneidera Foxa był jak wehikuł czasu: wchodząc do środka, człowiek przenosił się w przyszłość, mniej więcej o półtora wieku. Za wiktoriańską fasadą krył się typowy przykład tego, co modne - z płytkami z przydymionego szkła i ścianami z gołej cegły. Migoczące komputery spoczywały na eleganckich biurkach z jasnego drewna. Ograniczony do minimum bałagan współgrał z odcieniami szarości.

Lloyd ruszył w kierunku stacji King's Cross, czując z radością ciepłe promienie słońca na twarzy. Okolica przypominała mu trochę East Village, gdyż łączyła w sobie to, co modne, z na wpół zaniedbanym otoczeniem. Włoskie delikatesy, studia tańca oraz brudne gabinety aromaterapii walczyły o miejsce ze sklepami o ostrym nieprzyjemnym zapachu, prowadzonymi przez Azjatów w długich szatach i nakryciach głowy ozdobionych paciorkami, z ustami zabarwionymi na czerwono od żucia betelu. W piwnicy znajdował się klub bilardowy, do którego chodzili niemal wyłącznie Chińczycy, oraz lokal oferujący kebaby, gdzie grecka babcia z rozwianą fryzurą pomagała sobie suszarką do włosów, by podtrzymać ogień zasilany węglem drzewnym. Za dnia tłum stylowych młodych profesjonalistów z walizeczkami i aktówkami świadczył o tym, że okolica staje się coraz bardziej modna. Nocą jednak przeważały coraz groźniejsze grupy ćpunów, prostytutek, stręczycieli oraz handlarzy narkotyków.

Wszedł do delikatesów. Jak zwykle miał wrażenie, że trwa tu gwałtowna kłótnia w języku włoskim, przy użyciu całej siły głosu. Z przeciwnych stron sklepu właściciel i jego żona krzyczeli jednocześnie do siebie, wspomagani z piętra przez staruszkę usadowioną na drewnianym krześle. Lloyd odkrył już, że prawdopodobnie po prostu ustalają datę dostawy sera. Zamówił kanapkę z szynką, patrząc z przyjemnością, jak wła-

ściciel z nabożeństwem bierze wędlinę w kawałku, kroi maszynką plastry cienkie jak opłatek, wydaje z siebie okrzyk radości, widząc ich absolutną doskonałość, i układa je ostrożnie wewnątrz świeżej bagietki. Kiedy Lloyd wyszedł na zewnątrz, trzymając pięknie opakowane zawiniątko, zauważył, że jakiś mężczyzna na drabinie po drugiej stronie ulicy umieszcza na tablicy ogłoszeń nowy plakat. Tropikalny zachód słońca żarzył się ognistymi czerwieniami i pomarańczami; w oddali majaczył ledwie widoczny ślad pozostawiony przez samolot. „Lataj z pasją!” - głosił napis. Lloyd uśmiechnął się promiennie: sam wymyślił to hasło i wydawało mu się teraz dobrą wróżbą. Ruszył z powrotem do biura bez pośpiechu, wolnym krokiem, snując po drodze wspomnienia.

Wszystko zaczęło się na wieczornym przyjęciu w Nowym Jorku, gdy Lloyda posadzono naprzeciwko faceta z rozwianym włosiem, nazwiskiem Tucker, który wygłosił wielką tyradę skierowaną przeciw dyrektorom firm zajmujących się reklamą, dupkom (tak ich nazywał, pomiędzy jednym a drugim głośnym żłopnięciem *cabernet Sauvignon* z Kalifornii), matołom z wypalonymi mózgami, owym nowym najemnym żołnierzom armii konsumentów. Bardziej ubawiony niż obrażony Lloyd oznajmił, że sam działa w biznesie reklamowym. Okazało się, że liczący około dwudziestu trzech lat Tucker jest dyrektorem sprzedaży w firmie Passion, zajmującej się mediami i muzyką rockową, której rozwój był jednym z największych spektakularnych sukcesów w ostatniej dekadzie. Każdy po trzydziestce, myślał Lloyd, wychował się na produkowanych przez nią kasetach i płytach kompaktowych oznaczonych charakterystycznym logo z sercem, szkarłat na czarnym tle. Tej nocy omawiał z Tuckerem sprzedaż gadżetów związanych z rockiem, dopóki ten, po przedstawieniu dotychczasowego dorobku firmy, nie opowiedział o swoim problemie i nie zaproponował Lloydowi, by przystąpił do nowego zadania. Passion chciała teraz ulokować pie-

## *Zupełnie obcy ludzie 72*

niądze w przewozach lotniczych. W tym czasie wydawało się to szalonym i nieprawdopodobnym posunięciem. Podróże samolotami! Było to tak, jak gdyby Bruce Willis oznajmił, że chce grać Jezusa Chrystusa. Nawet sam Lloyd przez pewien czas tak myślał.

Tucker wyjaśnił mu, że wszystkie agencje reklamowe, z jakimi Passion do tej pory pertraktowała, uporczywie wysuwały na pierwszy plan te cechy jego firmy, które kłóciły się z tradycyjnymi wartościami linii lotniczych - brak doświadczenia, niezależność, związki z imprezami rockowymi i kulturą młodzieżową. Lloyd przedstawił to zupełnie inaczej. Zamiast próbować udawać, że Passion to prestiżowe amerykańskie linie lotnicze, uczynił nowego przewoźnika instytucją modną i kojarzącą się z przygodami, skierowaną do młodzieży tak jak muzyka i logo firmy. Kiedy pierwsze pogłoski o kampanii przedostały się do biznesu reklamowego, rozległy się chichoty i szyderstwa! Nikt, utrzymywano, nie zechce latać z towarzystwem lotniczym, którego dotychczasowy wizerunek kojarzył się z seksem oraz narkotykami i rock and roilem. Prawda była jednak zupełnie inna. Lloyd najpierw zaczął zabiegać o względy młodych ludzi, którzy chcieli oglądać indyjskie filmy, słuchać zespołów promowanych przez Passion przez słuchawki i wpadali w zachwyty, jedząc proste naturalne posiłki zamiast potraw z tekturowych pudełek i kuchenek mikrofalowych. Sukces był niemal porażający. Wkrótce każdy chciał podróżować z Passion, nie tylko dlatego, że tak było taniej, ale ponieważ było to modne. Budżet na reklamę uległ potrojeniu. Lloyd zdobył swoją pierwszą - i jedyną - nagrodę, Grand Prix, królową wszystkich nagród biznesu reklamowego. Nikt nie zdawał sobie sprawy, że w pierwszym roku działalności Passion miała tylko jeden samolot. Teraz zaś rozważano, czy nie zostanie dominującą linią lotniczą w lukratywnym transporcie transatlantyckim. Zdecyduje o tym następny sezon, kiedy rozszerzą wachlarz swoich możliwości podróży w Stanach. Agencji



Schneidera Foxa kampania Passion przynosiła największe zyski, Lloydowi zaś pozwoliła wspiać się błyskawicznie po drabinie awansu w przedsiębiorstwie.

Jaki miałem wtedy talent, pomyślał Lloyd, jaki zapał i wiarę! Gdzie podziały się owe lata? Dopiero co był dwudziestoletnim entuzjastą - zawsze pierwszy do wszelkich działań, pracował niemal przez cały boży dzień i umiał wystrychnąć na dudka konkurencję. Teraz miał wygodną posadkę w korporacji, partnerkę, która się nim zajmowała, oraz trzydzieści cztery lata na karku. Poprawka: trzydzieści pięć. Betsy zachowywała się bardzo tajemniczo, jeśli chodzi o plany na wieczór. W zeszłym roku upiekła dla niego ciasto czekoladowe i - jak przypominał sobie Lloyd - ustawiła na nim świece. Uznał ów gest za dziewczęco naiwny, a ciasto okazało się zbyt kaloryczne, lecz i tak był oczarowany. Przecież zawsze miło jest być obiektem czyjejs adoracji. Zastanawiał się, jaka niespodzianka czeka na niego dzisiaj. Obraz czarnego pasa do pończoch pojawił się na krótko w wyobraźni jubilata, lecz Lloyd zaraz go odrzucił. Proszę się opanować! Ale chyba nie kupi mu jednego z tych krawatów, w których będzie się czuł, jakby miał zaraz wstąpić do partii republikanów.

Po pełnych słońca ulicach recepcja Schneidera Fo-xa wydała się ciemna i zimna.

- Słuchaj, Lloyd, czy widziałeś swoje zdjęcie w gazecie? - zapytała siedząca za biurkiem Hinduska, która mówiła z tak wytwornym akcentem jak angielska królowa.

- Żartujesz. - Lloyd podszedł do niej bliżej. - Niby dlaczego miałoby tam być?

- Jest w nowym magazynie reklamowym. Rubryka z plotkami, ostatnia strona. Proszę, weź!

Lloyd przeczytał artykuł przy swoim biurku, jedząc bagietkę i rozrzucając wokół okruszyny chrupiącej skórki. Do tekstu dołączono dwa zdjęcia: głupią fotografię zrobioną kilka lat temu, przedstawiającą jego

*Zupełnie obcy ludzie 74*

samego całującego swą nagrodę na uroczystej gali, i drugą, pokazującą młodego mężczyznę w koszuli i szelkach, z modnie przystrzyżonymi włosami, który pozował, siedząc po turecku na stole konferencyjnym. Był to Julian Jewel, wyglądający na zbyt oczarowanego samym sobą, jak na kogoś, kto porzucił pracodawcę.

*Ach, mój Jewel niezrównany!*

*W zakamarkach biura Schneidera Foxa aż huczy od plotek po szokującym odejściu dyrektora Juliana Jewela do Sturm Drangu. Rozumie się samo przez się, że Jewel przyjął z zadowoleniem sześciocyfrową pensję i cudowny dodatek w postaci nowiutkiego czerwonego ferrari. Zaczął pracować w nowej firmie od poniedziałku, natychmiast po uczczeniu tego faktu podczas weekendu w St Tropez.*

*„To nie ma nic wspólnego ze sprawami osobistymi - zapewnił nas Jewel. - Schneider Fox to wielkie przedsiębiorstwo i praca w nim była niezłą zabawą, ale Hugo i ja jesteśmy dobrymi kumplami już od dawna. Nie mogłem odrzucić kolejnej szansy współpracy”. Nie mówiąc już o szansie, że ujrzy swe nazwisko w nagłówkach korespondencji: mówi się, że przedsiębiorstwo wkrótce zostanie przemianowane na Sturm Drang Jewel.*

*Są pogłoski, iż dyrektor zarządu Henry Fox nie jest zbyt zachwycony sposobem, w jaki Jewel złożył rezygnację-jedną linijką poczty elektronicznej tak zaprogramowanej, by zabłysła na ekranie pod koniec dnia pracy w piątek. Jednak jego odpowiedź na nasze pytania: Jaki Julian"? - sugeruje, że nie sięga jak dotąd po chusteczkę, by otrzeć łzy. Obserwatorzy pamiętają zapewne tygrysi skok Foxa pięć lat temu na prestiżową, lecz kulejącą agencję Schneidera na Manhattanie. Od tamtej pory globalny obrót przedsiębiorstwa wzrósł czterokrotnie.*

*Na pytanie, czy główni klienci Jewela, włączając Wondersnaxa, Sniffles i linie lotnicze Passion, nie*

80 Robyn Sisman

*uciekną do Sturm Drang, Jewel stwierdza nieśmiało: „Oczywiście, pragnąłbym dalej z nimi pracować, ale nie liczę moich kurcząt”. Bardzo mądrze, gdy w pobliżu jest sam Harry Fox.*

*Ironia tkwi w tym, że Jewel miał polecieć w zeszły weekend do Nowego Jorku, by wziąć udział w programie wymiany zapoczątkowanym przez Foxa, promując transatlantyckie przedsięwzięcie i jego wiarygodność. (Hura!). Niezrażony odejściem Jewela Schneider Fox z Nowego Jorku wysłał i tak do Londynu swojego człowieka, cudowne dziecko, Lloyda Rockwella. Przypadkowo Rockwell zajmuje się amerykańską promocją... linii lotniczych Passion. Zapnijcie pasy bezpieczeństwa, bo czeka was jazda po wybojach!*

*Jedyną osobą, która wygrała w tej codziennej rozgrywce speców od reklamy, jest Susanna Wilding, kusicielka o płomiennych włosach z działu artystycznego Schneidera Foxa w Londynie, którą szybko wysłano do Nowego Jorku zamiast Jewela, informując ją o wyjeździe na dobę przed odlotem. Przyślij mi bajgla, dziecinko!*

- Nie zamierzasz chyba wierzyć we wszystko, o czym czytasz w gazetach - rozległ się zgrzytliwy głos. Lloyd podniósł wzrok i zobaczył Harry'ego Foxa, stojącego w drzwiach z papierosem w dłoni. Wstał niezgrabnie, strzepując okruszki z garnituru.

- Usiądź i skończ swój lunch. - Szef, puszczając zygzak dymu, usadowił się niedbale na krześle i dał Rockwellowi do zrozumienia, żeby nie silił się na grzeczności.

Lloyd wskazał na magazyn.

- Czy nie obawiasz się, że możemy stracić jakichś klientów Jewela? - zapytał.

Fox popatrzył na niego przez długą chwilę. Był wysokim mężczyzną o interesującej, ostrej, kanciastej twarzy, która świetnie wyglądałaby wykuta w skale, i smukłym ciele, które dopiero co zaczęło zdradzać

### *Zupełnie obcy ludzie 81*

średni wiek. Lloyd nie spotkał zbyt wielu Australijczyków, jednak dostrzegął, że główny szef w wyraźny sposób odbiega od angielskich wzorców. W jego pozbawiającym odwagi bezpośrednim spojrzeniu i kołysaniu ramion było coś, co mówiło o ziemi pogranicza, gdzie panowało bezprawie, chociaż kiedy się uśmiechał, wyglądał jak czarujący lis z bajek dla dzieci. Teraz jednak wcale się nie uśmiechał.

- Umowa Jewela uniemożliwia mu nawiązanie współpracy z którymkolwiek z naszych klientów przez dwanaście miesięcy. Wie, że jeśli zostanie przyłapany na nieuczciwym postępowaniu, będę go ścigać z ekipą prawników. - Strzepnął popiół do kosza Lloyda. - A jeśli chodzi o Passion, tak czy owak, mamy skuteczną tajną broń. - Obrzucił Lloyda od stóp do głów enigmatycznym wzrokiem.

- Co to jest? ,

- Ty, oczywiście. Czy nie uważasz się za złotego chłopca Passion? Najwyższy czas, abyś zaczął działać. Nie myślisz chyba, że jesteś tutaj na wakacjach, prawda?

Lloyd się roześmiał.

- Nie na podstawie tego, co dotąd widziałem.

- Przyszedłem, by cię uprzedzić, że w czwartek idziemy do Lorda - rzekł Fox. - Rozrywka dla klientów. Spróbuj odgadnąć, kto jest naszym klientem. Będiesz miał cały dzień na przekonanie tamtych, jaką cudowną nową kampanię dla nich zrobimy. Myślę, że to możliwe.

Czy to Izba Lordów? - zastanawiał ę Lloyd. Jaki rodzaj „rozrywki” mógł trwać przez cały dzień? Był na tyle mądry, by nie pytać. Harry Fox nienawidził głupich pytań. Głośno zaś odpowiedział:

- Zrobię, co będę mógł.

- Dobrze. - Fox uderzył dłońmi w kolana i wstał. - Nadal jesteś gotowy na przyszły weekend?

- Oczywiście. Betsy i ja nie możemy się już doczekać.

82 *Robyn Sisman*

- Czy ostrzegałem cię co do tych małych potworów?

- Tak, istotnie.

- I nadal zamierzacie przyjechać? - Szef potrząsnął głową z podziwem. - Wy, jankesi, musicie mieć nerwy z cholernej stali. - I już go nie było.

Lloyd opadł na krzesło. Harry Fox stanowił dla niego wyzwanie. Wprawdzie trudno go było rozszyfrować, ale był niemal pewien, że go lubi.

## Rozdział ósmy

Obładowana Betsy wspinała się po wąskich schodach, targając ciężkie torby z supermarketu. Ręce bolały ją z wysiłku, by trzymać je z dala od białej układanej spódnicy, którą włożyła, by uczcić nadejście lata. Zatrzymując się na samej górze na schodach dla złapania oddechu, zdała sobie sprawę z jakiegoś nagłego cichego miękkiego szmeru gdzieś na korytarzu. Coś futrzanego i przeraźliwie żywotnego przemknęło między jej nogami, zmierzając w kierunku otwartego okna kuchennego. Kot! Betsy wymierzyła mu kopniaka, nie zauważając zdradzieckiego schodka prowadzącego w dół do kuchni, i runęła z łomotem na kolana. Rozległ się głośny brzęk tłuczonego szkła i rumor lecących na podłogę blaszanych puszek. Kot z przeraźliwym miauczeniem wdrapał się na parapet i zeskoczył na drzewo. Betsy zobaczyła, jak jej młode ziemniaki, oblepione jeszcze ziemią, wysypują się z jednej z toreb, a w ślad za nimi podąża pieniaący się strumień szampana. Na dopiero co umytej podłodze powstała mała kałuża drogiego błota.

- A niech to cholera! - zawołała. - Cholera. Cholera. Cholera. - Następnie zaś, nie zwracając się do nikogo konkretnego, dodała cicho: - Przepraszam.

Następnych kilka minut oddychała głęboko przez nos, skoncentrowana, tak jak nauczył ją psychoterapeuta. Następnie wstała z rozdeptanej sałaty, wytarła delikatnie kolana i zajęła się sprzątaniami bałaganu.

Nie jest tak źle, powiedziała do samej siebie. Awoka-do wyglądało na trochę spłaszczone, lecz i tak będzie mogła zrobić z niego *guacamole*. Pudełko z ciastem Betty Crocker było mokre, ale na szczęście mieszanka w środku znajdowała się w zamkniętej plastikowej torebce. Lloyd dostanie więc swoje ulubione ciasto czekoladowe.

Ten przeklęty kot! Nie po raz pierwszy Betsy przyłapała go w mieszkaniu. Nie tylko miała alergię na koty, ale ten właśnie konkretny okaz był najbardziej obmierzłym przedstawicielem swego gatunku, jakiego kiedykolwiek widziała. Było to „niskopodłogowe” stworzenie w kolorze bieli trądu, z piracką czarną łatą wokół jednego oka, która nadawała mu złowrogi wygląd. Sama myśl o tym, jak przechadza się po blatach kuchennych lub rozkłada swe owłosione cielsko na jej poduszce, przyprawiała Betsy o dreszcze. Należało coś z tym zrobić.

Wytarła do czysta produkty spożywcze i odłożyła je na stół, owinęła grube kawałki stłuczonej butelki po szampanie w gazetę i umyła podłogi. Jej pierwszym zakupem w Wielkiej Brytanii była gąbka do mopu, która zastąpiła sztywne wymizerowane zwłoki swej poprzedniczki. Betsy spędziła cały miniony tydzień, robiąc gruntowne porządki w mieszkaniu. Co chwila wygrzebywała spod ozdobnych poduszek w salonie kolejne stosy dziwnych rzeczy z kłębami przyschniętych kłaków - spinacze do papieru, łupiny orzeszków pistacjowych, korki od wina, przepalone zapalniczki - to Susanna Wilding rzucała swój mroczny cień. Jednak teraz wanna lśniła, okna błyszcząły, a szafy na górze i podłoga pod łóżkiem były zupełnie wolne od kurzu. W kuchni słoiki z przyprawami maszerowały w porządku alfabetycznym po wyszorowanych półkach, piekarnik zaś nie wydzieliał już owego obrzydliwego zapachu, kiedy go włączała. Betsy uprała nawet zasłony, ryzykując wizytę w miejscowej pralni samoobsługowej, w której wiecznie panował tłok, gdyż stanowiła schronienie dla

### *Zupełnie obcy ludzie 80*

małych zaślinionych dzieci i staruszek z zabandażowanymi nogami tak grubymi jak pnie drzew. Zupełnie nie rozumiała Londynu. W Ameryce bez trudu można było rozpoznać bogate i biedne dzielnice, tutaj natomiast domy czynszowe, z których farba odchodziła płatami, zamieszkałe przez wielopokoleniowe rodziny imigrantów, sąsiadowały bezpośrednio z luksusową willą prawnika o astronomicznych honorariach. Wszystko to sprawiało, że Betsy czuła się nieswojo. Kiedy doprowadziła kuchnię do porządku, otworzyła szeroko wysokie okno, aby pozbyć się zapachu szampana. Z podwórka na tyłach domu napłynęła słodka woń powietrza i było to niemal przyjemne. Betsy przystanąła, by oprzeć się o parapet. Czując na rękach ciepło, pomyślała: jakie to typowe, że na urodziny Lloyda świeci słońce. Wydawało się, że on zawsze dostaje to, czego chce. Kiedy pierwszy raz go zobaczyła, siedział na słońcu. Ten przedłużony weekend, połączony ze świętem pracy, spędziła na Long Island wraz z dawną koleżanką ze szkoły. Punktem kulminacyjnym weekendu miał być turniej tenisowy, organizowany corocznie przez pewne małżeństwo mieszkające w pobliżu Montauk Point. Obowiązywała zasada, iż każdy, kto chce zostać na wieczorne *barbecue*, musi zagrać. Wczesnym rankiem w sobotę, wyekwipowane w pęk rakiet, wsiadły do furgonetki i pojechały na wschód, do przestronnego domu w stanie niby to przypadkowego zaniedbania, które wskazywało, że właściciele od dawna siedzą na pieniądzech. Na starych werandach stały meble z wikliny, pomiędzy drzewami wisały hamaki, a pożółkły trawnik schodził niemal do oceanu. Gospodarze byli serdeczną parą małżeńską w ostatniej fazie średniego wieku. Mieli pomarszczone kolana i niemodną ciemną opaleniznę, i Betsy dostrzegła od razu, że nie są to ludzie, którzy by jej odpowiadali. Na partnera wyznaczono jej jednego z tych przypominających teriera starszych mężczyzn, co to lubią stać przy siatce i krzyczeć:



„Moja!”. Dopiero po południu znalazła sposób, by przegrać mecz, i zdołała uciec do domu na odświeżający prysznic. Potem zaś wolnym spacerowym krokiem zeszła nad wodę, popychana przez delikatny wiatr, który gonił chmury po turkusowym niebie. Cichnącą w oddali hałaśliwą paplaninę turnieju zastąpił szum fal na piasku i rytmiczne uderzenia łódki o drewno pomostu. Znikły drzewa, aż nie było już nic prócz błękitu nieba i oceanu. W miejscu, gdzie przywiązywano łodzie, siedział samotnie szczupły mężczyzna z potarganymi włosami, czytając książkę. Jego zachowanie nacechowane pełną spokoju rezerwą zrobiło na niej równie wielkie wrażenie, co wygląd. Betsy zapragnęła go od razu.

Z zimną krwią, z której wcześniej nie zdawała sobie sprawy, podeszła do niego i powiedziała: „Jay Gatsby, jak sądzę” - chcąc, aby od początku wiedział, że jest kobietą wykształconą, intelektualistką i erudytką.

Lloyd, oczywiście, się roześmiał, a Betsy, pochwaliwszy się, iż w college'u studiowała angielski, a teraz pracuje nad doktoratem z literatury na uniwersytecie Columbia, pomyślała, że zrobiło to na nim całkiem duże wrażenie. Towarzyszył jej na *barbecue*, jak również przy kotletach schabowych oraz hot dogach. Stwierdziła, iż otrzymał wykształcenie na poziomie dobrego college^, jest wyplacalny, heteroseksualny i najwyraźniej z nikim niezwiązany. Wydawał się inteligentny, uczciwy i z pewnością był przystojny. Nie mogła uwierzyć w swoje szczęście.

Oczywiście, nie poszło to wcale tak łatwo. Kiedy Lloyd nie zadzwonił w następnym tygodniu, Betsy kupiła dwa bilety do teatru na nową sztukę Arthura Millera, która miała być wkrótce wystawiona. Jakoś zdołała się zmusić, by doczekać dnia spektaklu, a następnie rano zadzwoniła do Lloyda, mówiąc, że w ostatniej chwili wystawiono ją do wiatru i ma wolny bilet. Czy chciałby z nią pójść? Przyjął zaproszenie. Później jedli suszi, dyskutując o sztuce, literaturze i życiu. W drzwiach restauracji Betsy, dobrze zaznajomiona z zasadami

## *Zupełnie obcy ludzie 82*

randkowania kobiet po trzydziestce, przywołała taksówkę i życzyła Lloydowi dobrej nocy, zanim się zdecydował, czy zaprosić ją do domu, czy umówić się na kolejne spotkanie. Jej strategia zadziałała. Zadzwoił do niej następnego dnia, aby podziękować za teatr i zaproponować spotkanie w przyszły weekend. To był początek. Przez następnych kilka miesięcy chodzili do kin, galerii, na obiady; w końcu zaś poszli do łóżka.

Tej zimy podczas którejś z najgorszych zamieci śnieżnych coś zepsuło się w centralnym ogrzewaniu u Betsy i Lloyd pozwolił jej zostać w swoim mieszkaniu przez kilka dni. Później zachorował na gripę tak poważnie, że została jeszcze tydzień, aby się nim zaopiekować. Gotowała dla niego zupy, czytała mu głośno i robiła notatki z lektur do swojej pracy naukowej, kiedy spał. Zanim wrócił do zdrowia, przyszyła również wszystkie brakujące guziki do jego koszul, oddała magnetofon do naprawy i powiesiła zasłony, które przyniósł z pralni dwa miesiące temu. Był to jeden z najszcześniejszych tygodni w jej życiu.

W wieczór poprzedzający powrót do pracy Lloyd zastał Betsy w sypialni, pakującą torbę.

- Co z twoim ogrzewaniem? - zapytał.
- Naprawione.
- A co ze wszystkimi lekturami, które miałaś przeczytać?
- Przeczytane.

W końcu zrobił to, na co liczyła i o co się modliła: wziął ją w ramiona i z wyrzutem zapytał półgłosem:

- A co ze mną? Została.

Było to niemal dwa lata temu. Ich tryb życia ułożył się zgodnie z towarzyskim modelem życia większości par - kino, przyjaciele, obiady, sporadyczny weekend gdzieś na wsi, rozrywki niskiego lotu. Rzadko się kłócili, głównie z tego powodu, że Betsy postanowiła ustępować. Jednak teraz zaczynała się już niecierpliwić. Matka dzwoniła do niej tylko po to, by zawiadomić ją

o ślubie kolejnej córki którejś ze swych przyjaciółek

i coraz częściej owe szczęśliwe narzeczone były młodsze niż Betsy.

- Jakieś szczególne wieści? - pytała matka nieśmiało z lekkim naciskiem. To ona zachęciła Betsy, aby towarzyszyła Lloydowi do Anglii - w gruncie rzeczy zapłaciła nawet za bilet. - Każdego mężczyznę trzeba od czasu do czasu przycisnąć. Popatrz na swojego ojca.

- Teraz wszystko jest inaczej - zwykła odpowiadać jej córka, chociaż czasami zastanawiała się, czy tempo zalotów zmieniło się aż tak bardzo w ciągu wieków.

W poczuciu winy sprawdziła godzinę na zegarku. Minał już niemal ranek, a ona jeszcze nic nie napisała. Z lekkim westchnieniem przyniosła okulary, usadowiła się w salonie przed komputerem i włączyła go. Sięgnęła po dyskietkę, która zawierała rozdziały napisane do tej pory, i przeczytała z zapalem autorki starannie wydrukowany nagłówek: „Uprzedzenia i perswazje: problem niewolnictwa i władzy w powieściach Jane Austen”.

Kilka osób ostrzegało ją, żeby nie zagłębiała się w aż tak wyeksploatowany obszar studiów literackich, ale Betsy wiedziała lepiej, co robić. Uważała, że poprzedni badacze byli tak bardzo urzeczeni powierzchownym romantyzmem tekstów, że ich uwadze całkowicie uszły głębsze przesłania tych dzieł. Miała poczucie, że jej misją jest przywrócenie Jane Austen statusu orędowniczki praw kobiet, wypowiadającej się z powagą na temat równości społecznej - szczególnie po karygodnej próbie Hollywoodu, aby uznać ją za niezwykle modną autorkę niemal gotowych scenariuszy lekkich komedii romantycznych. Osobiście Betsy nie dostrzegła w jej powieściach nic, z czego można by się śmiać. Przez trzy lata trudziła się, by wykazać, że nie traktowały one o błahostkach dotyczących tego, kto poślubił kogo, ale o ogromnych niesprawiedliwościach społecznych: dyskryminacji ze względu na wiek („Perswazje”), wykorzystywania społeczności afro-ka-

*Zupełnie obcy ludzie 84*

raibskiej („Mansfield Park”), krzywdzącego ze względu na płeć prawa dziedziczenia („Duma i uprzedzenie”) oraz anoreksji („Opactwo Northanger”). Ta ostatnia analiza, wykorzystująca poważne freudowskie metody do badania przypadków *anorexia nervosa* - jak wierzyła Betsy - była prawdziwym arcydziełem oryginalnej pracy badawczej.

Obecnie doszła do „Emmy” (faszyzm) i właśnie zaczęła demaskować totalitarny ustrój Highbury. Wrzuciła dyskietkę, przeczytała raz jeszcze ostatni napisany rozdział i zaczęła stukać w klawisze komputera. W jakiś sposób to, że naprawdę przebywała w Anglii, zwiększyło jej niesmak do istniejących tu różnic klasowych i pracowała pełną parą, przedstawiając położenie wykorzystywanych robotników i wdów pozbawionych środków do życia. To wprost niesamowite, że każda postać stanowi przykład jakiegoś aspektu teorii politycznej lub stereotypowego myślenia dotyczącego płci. Betsy dziękowała Bogu, że jest Amerykanką i żyje w kraju, gdzie panuje wolność i demokracja. „Dlatego też jest jasne - napisała w konkluzji - że Jane Austen mniej interesuje się wyborem partnera życiowego swej protagonistki niż procesem demokratyzacji, który uprawomocni jej żądanie statusu równego Knightleyowi”.

Betsy przerzuciła kolejne strony, sprawdzając ortografię i cyzelując swój styl do stanu doskonałości. Zanim zdała sobie z tego sprawę, pogrążyła się w jednym ze swych ulubionych snów na jawie: oto w końcu pozwala przeczytać swoje dzieło Lloydowi, który potem przychodzi do niej przejęty nabożnym lękiem i zdumieniem, aby ogłosić, że jest genialna. To niepostrzeżenie przeszło w kolejną jej ulubioną fantazję, w której to Lloyd zabiera ją na obiad i oficjalnie oświadcza się z pierścieniem. Ona naturalnie się zgodzi i wtedy - wtedy zacznie się dopiero prawdziwe życie. Lloyd zostanie członkiem zarządu, kupią dom z ogrodem, a w odpowiednim czasie Betsy porzuci karierę naukową na rzecz macierzyństwa. Wyjeżdżać będzie na spo-

## 85 *Robyn Sisman*

tkanie Lloyd'a powracającego z pracy pociągiem, czekając w promieniach zachodzącego słońca za kierownicą ich nowiutkiego rodzinnego kombi.

Czasami myślała, że umrze, jeśli Lloyd się z nią nie ożeni. Zanosila do pralni chemicznej jego ubrania, prowadziła mu dom, organizowała ich wakacje, pozwalała wybierać filmy, jakie oglądali, urządzała obiady dla jego przyjaciół i niemal zawsze mówiła „tak”, kiedy chciał się kochać. Teraz na dnie szafy w sypialni leżały schowane dla niego prezenty na urodziny, już zapakowane i związane wstążką: nowa biografia Wallace'a Stevensa, którą chciał dostać, składany budzik przydatny w podróży oraz ładny krawat, jaki przesznuowała do Anglii w charakterze specjalnej niespodzianki. Na obiad zrobi steki, a na torcie postawi świeczki. Czego więcej mógłby chcieć? Na co czekał? Jej oczy powędrowały na korkową tablicę za biurkiem, gdzie zrobiła miejsce dla pocztówkowego portretu Jane Austen. Pisarka wyglądała tak schludnie, tak mądrze, tak tajemniczo. A więc co myślisz, Jane? Betsy cicho rzuciła jej wyzwanie. Wydawało się, iż usta na portrecie wykrzywiły się pogardliwie. Jest prawdą powszechnie znaną, że mężczyzna, który dostał już wszystko, co kobieta ma do ofiarowania, nie musi się śpieszyć, by ją poślubić.

Betsy odwróciła wzrok i ukryła głowę w dłoniach. Co jeszcze mogła mu dać? Jakim kluczem otworzyć w nim ów tajemniczy zakamarek, który jej się wymykał? Była pewna, że może zrobić z niego mężczyznę, jakiego pragnie - gdyby tylko jej na to pozwolił. Jednak były pewne aspekty osobowości Lloyd'a, których nie rozumiała, a nawet nie lubiła - na przykład jego przyjaźni z Jayem i tego, że nie mówił nic o rodzinie, a także ponurych nastrojów, gdy lubił się chować i słuchać najsmutniejszej, najbardziej seksownej muzyki, jaką kiedykolwiek słyszała: Muddy Waters, Howling Wolf - nawet same nazwy wydawały się jej dziwaczne. Chwilami nie rozumiała nawet, co on w niej widzi.

### *Zupełnie obcy ludzie 91*

Gdyby wiedziała, postarałaby się zmienić lub robić coś lepiej.

Kątem oka dostrzegła ukradkowy ruch w drzwiach i odwróciła się przerażona. To znowu był ten kot. Stał jak posąg w drzwiach, obdarzając ją długim spojrzeniem bez wyrazu, a następnie małymi szybkimi kroczkami wszedł do pokoju z wyprostowanym ogonem. Betsy kichała bezradnie bez przerwy, aż oczy zaszły jej łzami i zaczęło ciec z nosa. Co się z nią działo? Dlaczego nie przywiozła swoich tabletek przeciwuczule-niowych do tego brudnego, zapomnianego przez Boga, opanowanego przez koty kraju? Poszukała po omacku w kieszeni chusteczki i trzymała ją tuż przy nosie, dopóki atak kichania nie minął. Ogarnęła ją nagle taka wściekłość, że aż zrobiło się jej gorąco. Mówiła Lloydowi o kocie więcej niż raz. Zamruczał jedynie: „Och, naprawdę?” - w roztargniony, właściwy sobie sposób, jak gdyby był nieprzytomnym profesorem.

Betsy wstała z krzesła i ukradkiem przeszła do kuchni. Najpierw zamknęła okno. Potem wyjęła miseczkę i napełniła ją mlekiem.

- Chodź tu, kici, kici - kusła, niosąc ją z powrotem do salonu i ustawiając na podłodze.

Poruszając się z przesadną ostrożnością, podniosła kosz na śmieci spod biurka, usadowiła się na brzegu kanapy obok miski i czekała.

Trwało to długo. Kot zatrzymał się skulony w cieniu stołu, wpatrując się w nią podejrzliwie. Umył się od stóp do głów, przy okazji wydając z siebie pewne nieprzyjemne efekty dźwiękowe. Następnie udawał, że zamierza spać. W końcu wszedł bardzo wolnym spacerowym krokiem do pokoju, oceniając zawartość miski niedbałym łypnięciem spod oczka. Popatrzył na Betsy. Uśmiechnęła się zachęcająco, mocniej ściskając w dłoniach przechylony kosz. Wreszcie kot pochylił się i zaczął chleptać mleko. Betsy zmusiła się, by policzyć do dwudziestu, następnie wstała z kanapy i zarzuciła na niego kosz.

92 *Robyn Sisman*

Rozległ się przeraźliwy pisk. Jedną mocną wolną nogą zwierzak gwałtownie drapał pazurami w dywan. Koci ogon miotał się gwałtownie, gdy więzień walczył, by wyswobodzić się z pułapki. Jednak Betsy była bezlitosna. Przycisnęła mocno jednym lśniącem pantoflem koci ogon, drugim zaś wepchnęła wystającą nogę do koszyka. Wkrótce znalazł się tam również ogon. Zarumieniona Betsy usiadła na kołyszącym się koszu, z trudem chwytając powietrze, i grubiańskim tonem, który przyprawiłby o wstrząs Jane Austen i sprawił, że spadłby jej z głowy koronkowy czepek, zawołała:  
- Mam cię, ty skurczybyku!

## Rozdział dziewiąty

Puze wydobyła z pamięci komputera kopię projektu, 0) wrzuciła go na siatkę ekranu i szybko kliknęła myszką. Jej komputer tak jak zwykle wydał oszalały pisk i wyświetlił zaproszenie na przyjęcie Matsuhany. Oceniała efekt.

- To niezły projekt, ale nie w naszym stylu - wymamrotała.

Tego właśnie chciała Sheri i Suze nie miała wątpliwości, że co dobre dla Sheri, było dobre i dla niej. Po tygodniu spędzonym u Schneidera Foxa w Nowym Jorku jej status protegowanej Sheri się ustalił. Minęło niewiele godzin od tamtego lunchu, a Sheri porozumiała się z Quincym, zażądała komputera ze skanerem i zainstalowała go w pokoju obok swego - w gabinecie Lloyd Rockwella, co okazało się wygodne i niekremujące. Zamiast klitki na dole w dziale artystycznym Suze miała teraz własne biurko, swój telefon i widok na rzekę Hudson, który sprawiał, iż jej dusza śpiewała z radości. Dino powiedział, że ma tyle szczęścia, iż chciałby ułożyć jej horoskop.

Oczywiście istniały też złe strony całej sprawy. W zeszły piątek Sheri odkryła, iż nikt nie zaprojektował zaproszenia na uroczyste otwarcie pierwszego sklepu sprzedaży detalicznej Matsuhany poza Japonią. Firma była światowym liderem o ustalonej marce, specjalizowała się w systemach audio i wideo, stanowiła synonim innowacji technologicznych oraz stylowych rozwią-



zań formalnych. Jej sklep miał być wizytówką handlu detalicznego - powinien to być częściowo magazyn, częściowo zaś pasaż rozrywki, a także salon prezentujący magię sztuk elektronicznych. Znajdował się w doskonałym miejscu, na Piątej Alei. Przyjęcie miało się odbyć za niecałe trzy tygodnie i Schneider Fox zobowiązał się, iż zorganizuje imprezę z jak największym błyskiem. Ewidentnie ktoś zawalił.

Późno w piątek Sheri zwołała pośpieszne zebranie, wyjaśniła, iż nasz kochany Lloyd z głową w chmurach musiał zapomnieć o tym istotnym szczególe, i na oczekaniu ustaliła plan działania. Wśród zebranych dominował nastrój urazy. O tej porze roku w piątki nowojorczyacy liczyli na to, że wymkną się wcześniej z pracy. Nikt nie zgłosił się na ochotnika, by pracować w czasie weekendu, i z tego powodu przypało to w obowiązku Suze jako nowej. Najważniejsze było zaprojektowanie zaproszenia. Ktoś bardzo ważny miał przyjść po południu, aby zaaprobować projekt artystyczny, który następnie zostanie pośpiesznie przekazany drukarzom. Później gotowe zaproszenia zostaną przesłane adresatom przez kurierów. To właśnie był Nowy Jork. Potem Suze dowiedziała się, iż zaproszenie otrzymane pocztą nie zasługuje nawet na otwarcie.

Suze nienawidziła prac tego typu, kiedy mówiono jej dokładnie, co ma zrobić, wręczano najmniej interesujący z istniejących wzorów i proszono, by zrobiła z niego coś „fantastycznego”. Bolały ją oczy od wpatrywania się w ekran i tęskniła za papierosem. Słońce okrążyło powoli budynek, by zajrzeć w jej okno, i czuła, jak nieprzyjemnie praży ją w plecy pomimo klimatyzacji. W zdenerwowaniu zwinęła ciężkie włosy w sterczący węzeł na czubku głowy i przebiła go jednym z pięknie zaostrzonych ołówków Lloyda Rockwella. Następnie dwukrotnie sprawdziła, czy uwzględniono wszelkie poprawki Sheri, naniosiła potrzebne uwagi i zabrała projekt na dół do wydrukowania do działu artystycznego.

### *Zupełnie obcy ludzie 90*

Kiedy wróciła, natknęła się na Sheri grzebiącą w papierach na jej biurku.

- Gdzie byłaś? - zapytała tamta. - Organizator spotkania przyjdzie lada chwila. Nie mogę absolutnie kazać mu czekać.

- Nie będzie takiej konieczności. - Suze położyła wydruk na biurku. - Dokładnie tak, jak chciałaś.

- Co jeszcze tam masz? - spytała podejrzliwie Sheri, zauważając w ręku Suze drugi folder.

- Tylko kilka dodatkowych kolorowych kserokopii -skłamała szybko.

Sheri wzięła zaproszenie zrobione przez Suze i przyjrzała mu się z żywym zainteresowaniem. Na tle w odcieniu chłodnej szarości widniał kaligraficzny znak w ciemniejszym tonie, który mgliście kojarzył się z orientem. Napisy były skromne i pięknie rozmieszczone, styl wypowiedzi dystyngowany, a sławne czarno-pomarańczowe logo umieszczono dyskretnie w rogu. Wyglądało to elegancko, drogo, nader gustownie - i nieciekawie.

- Mam nadzieję, że zaproszeni goście przyjdą - powiedziała Suze niepewnie.

Sheri wyglądała na zaskoczoną, a następnie posłała jej wyrozumiały uśmiech.

- Nie sądzę, żebyś to rozumiała, Susanno. Firma Matsuhana całkowicie przejęła prowadzenie, gdy chodzi o urządzenia dźwiękowe. Chcę przez to powiedzieć, że w skali ogólnoswiatowej. Wall Street ich kocha, sylwetki członków zarządu opisano w magazynie „Fortune”. Mają poważne udziały w telekomunikacji w Stanach. Praktycznie są właścicielami Nevady.

- Tak, tak - przerwała Suze. - Każdy wie, że przedsiębiorstwo jest wspaniałe. Jednak, no cóż, to japońskie przyjęcie. Czy nie ma tu sprzeczności? Na myśl przychodzi mi jedynie surowa ryba i niscy mężczyźni w garniturach, kłaniający się sobie wzajemnie. Nie jest to właściwie coś, co mogłoby zadziałać.

- Myślisz, że ludzie mogą zlekceważyć ich zaproszenie? - spytała z niedowierzaniem Sheri.

96 *Robyn Sisman*

- Nie biznesmeni. - Suze starała się, by jej wypowiedź nie brzmiała zjadliwie. - Ani też bogacze, którzy nie mają nic więcej do roboty. Jednak pomyślałam, iż chcesz, by to przyjęcie było na topie, dla ludzi młodych, żeby było modne. Może wszystko w Nowym Jorku jest inne, jednak w Londynie zadalibyśmy sobie więcej trudu i wymyślilibyśmy coś mniej szablonowego, posługując się jakimś chwytem przyciągającym uwagę, aby nadać pewien błysk imprezie.

- Chwytem? - Brwi Sheri podniosły się jeszcze trochę.

- Tak, na przykład kiedy w zeszłym roku uruchamialiśmy biznes związany z produkcją seksownej bielizny, do każdego zaproszenia dołączyliśmy prezerwatywę.

- Prezerwatywę! - Wstrząśnięta Sheri otworzyła szeroko oczy. Zanim znalazła właściwe słowa, tuż przy drzwiach rozległ się ciepły śmiech i ktoś odezwał się żartobliwym tonem: - Zawsze wiedziałem, iż wy, kobiety robiące karierę, mówicie o samych nieprzyzwoito-ściach. Sheri, jak się masz?

Wyglądasz wspaniale!

W drzwiach stał mężczyzna o najbardziej olśniewającym wyglądzie spośród wszystkich, jakich Suze widziała w życiu. W opalonej dłoni trzymał okulary przeciwsłoneczne. Rozjaśnione przez słońce pasemka włosów, zrelaksowany uśmiech, lśniąca biała koszulka pod uprasowaną czarną płócienną marynarką. Przed Suze pojawiło się nowe wcielenie Jamesa Deana.

Sheri przyjęła jego pocałunek w policzek z imponująco zimną krwią i przedstawiła mężczyznę jako Nicka Bianco, organizatora przyjęcia.

- A to jest Susanna, która pracuje z nami czasowo. Jest z Londynu - dodała, jak gdyby wyjaśniając wpadkę z prezerwatywą.

- Naprawdę? Szalone miejsce. Uwielbiam Londyn.

Ręka Nicka okazała się gładka i ciepła, gdy uścisnęli sobie dłonie. Suse poczuła, że wszystko przewróciło jej się w żołądku z wrażenia. Zastanawiała się, czy jest żonaty. Modliła się gorąco, by był heteroseksualny.

### *Zupełnie obcy ludzie 97*

Nick podniósł zaproszenie i zaczął je omawiać z Sheri. Suze czuła kompletny zamęt w głowie, gdy przyglądała się, jak siada i krzyżuje nogi, umieszczając szczupłą kostkę na drugim kolanie. Ma niewiele ponad trzydziestkę, jak sądziła. Nie widziała obrączki. Jak dokonał tego, iż jego dżinsy wyglądały w taki sposób - były jednocześnie autentycznie spłowiałe i nadal tak cudownie czyste? Musiał je chyba kupić u Calvina Kleina. Chyba że zostały doprowadzone do tej stonowanej barwy indygo dzięki pieszczotom milionów adorujących go kobiet.

...i tym samym podniosła się ich wartość rynkowa -zdawała się mówić Sheri.

Nick podniósł wzrok znad projektu i obdarzył Suze olśniewającym spojrzeniem błękitnych oczu.

- Czy to twoje dzieło?

- Tak, ja... No, może nie całkiem.

Oczywiście, że był heteroseksualny. Żaden gej nigdy nie obdarzyłby kobiety tak wygłodzonym i poszukującym spojrzeniem.

-Pytam, ponieważ podoba mi się ten projekt, w gruncie rzeczy jest fantastyczny, zastanawiam się tylko... - Zwrócił się do Sheri. - Chodzi o to, że chciałbym zorganizować większą imprezę. Dlatego zresztą mnie zatrudniłaś, prawda? Oprócz zwykłych garniturów przylatują tu faceci z hollywoodzkich studiów nagrań, sławni dyskdżokeje, gwiazdy rockowe, aktorzy. Pracuję nad tym, aby Bliss Bogardo przecięła wstążkę. Istnieje nawet szansa, że uda mi się sprowadzić „Ciężarówkę”. %

- Jaką ciężarówkę? - spytała Sheri.

- To zespół - wyjaśniła Suze, mając nadzieję, że uratuje swój honor osoby na topie.

- Tak więc pytanie, jakie sobie zadaję, brzmi, czy to - Nick pomachał zaproszeniem - jest dość rozrywkowe?

- Zaraz, poczekaj chwilę, Nick. - Sheri wbiła w niego oczy niczym reflektory. - „Rozrywkowy” to nie jest pomysł, o jaki nam chodziło. Mamy sześć dni, aby

98 *Robyn Sisman*

wszystko przygotować, a już musiałam podlizywać się drukarzowi. To nie jest pora, aby żądać ode mnie kreatywności.

Nastąpiła trudna do zniesienia cisza. Nick przesunął nerwowo stopę. Buty od Gucciego, zauważyła Suze, pięknie wyglansowane.

- Masz rację - westchnął - życzyłbym sobie, abyś miała trochę więcej inwencji, ale, jak sądzę, będę po prostu musiał być nadzwyczajnie przekonywający. Szczerze mówiąc, myślę, że zaprzepaściłaś szansę. Suze patrzyła, jak wstaje, rzuca na zaproszenie ostatnie miażdżące spojrzenie i zamyka folder. Zaraz odejdzie z jej życia w przekonaniu, iż to Suze ponosi odpowiedzialność za ten słaby projekt - że jest zupełnie pozbawiona polotu i wyobraźni. Z przyspieszonym biciem serca sięgnęła po drugi folder, ten, który wcześniej usunęła z pola widzenia, kładąc go na swój komputer.

- Cóż, Sheri - zakaszłała nieśmiało - dlaczego nie pokażemy alternatywnego projektu?

- Przepraszam?

- Wiesz, drugiego projektu, tego szkicu, o który mnie prosiłaś, pamiętasz? - Suze wcisnęła go w ręce szefowej i rzuciła na nią znaczące spojrzenie.

- Och, oczywiście. Drugi projekt - odezwała się tamta głosem robota. Położyła folder na biurku i otworzyła go.

Była to wersja, jaką Suze przygotowała w tajemnicy, częściowo zirytowana z powodu narzuconych ograniczeń jej w pracy, częściowo zaś wiedzona doświadczeniem. Jeśli klient był niezadowolony, projektanta zawsze poddawano poważnej krytyce; nauczyła się więc mieć na wszelki wypadek w zanadrzu dodatkowy atut.

Nastąpiła całkowita cisza, kiedy Nick i Sheri przyglądali się temu, co zrobiła Suze. Zamiast gustownej szarości, karta zaproszenia błyszczała pomarańczową barwą - odblaskową wersją koloru znaku firmowego

### *Zupełnie obcy ludzie 94*

Matsuhany. Oryginalny projekt Sheri znajdował się tam nadal, jednak przesunięty w dolną część karty. Najpierw rzucało się w oczy zdanie: TO WYGLĄDA NA DOBRĄ ZABAWĘ, wydrukowane ogromnymi czarnymi wersalikami. Efekt był piorunujący. Kiedy w środku nocy przyszedł jej do głowy ów pomysł, Suze uznała go za natchniony. Teraz jednak, w miarę upływających sekund ciszy, zaczął się jej wydawać okropnie wulgarny.

- To był tylko szkic - powiedziała niewyraźnie. - Oczywiście wymaga większej pracy. Wiem, że nie zgadza się z pierwotnymi założeniami.

Nick podniósł jej projekt z biurka.

- Jest doskonały - szepnął niemal z czią. - Ogromnie mi się podoba. Jestem zachwycony. - Jego przystojna twarz rozpyłała się w olśniewającym uśmiechu. - Skąd wzięłyście taki wspaniały pomysł?

- No cóż... - zaczęła Suze z ważną miną, ale Sheri była pierwsza.

- Czasami, Nick, trzeba łamać zasady - odpowiedziała mu z kocim uśmiechem. Położyła władczo dłoń na jego ramieniu i pociągnęła go w stronę drzwi. - Chodźmy do mojego gabinetu i natychmiast zajmijmy się realizacją tego. Ty zaś - rzuciła w stronę Suze - możesz już iść do domu.

Suze patrzyła zaszokowana, jak szefowa wychodzi na korytarz, nie oglądając się za siebie. Nick posłusznie szedł za nią, lecz w drzwiach odwrócił się jeszcze i mrugnął do Suze uroczo. Wymienili konspiracyjne uśmiechy, które mówiły tak jasno jak słowa, że oczywiście należy udobruchać Sheri, ale Jylko dwie osoby tutaj działają z duchem czasu, są szalenie seksowne i nie mają jeszcze czterdziestki.

Niezmiernie podekscytowana Suze musiała się udać do damskiej toalety, aby opłukać twarz zimną wodą. Poniżającą cechą biurowego życia w Ameryce było to, że należało brać klucz za każdym razem, gdy odczuwało się potrzebę skorzystania z „łazienki” - wyjścia do toalet skupionych obok siebie niczym w szkole pod-

95 *Robyn Sisman*

stawowej, które zamykano w obawie przed czającymi się wokół gwałcicielami oraz złodziejami papieru toaletowego. Dee Dee gorliwie pilnowała owego klucza. Suze natknęła się na nią, gdy dziewczyna pisała coś pracowicie na maszynie w swym kąciku, otoczona plastikowymi reklamówkami z pralni chemicznej.

- Idziesz na przyjęcie? - spytała Suze, siląc się na serdeczność. Miała wrażenie, że tamta jej nie akceptuje, ale nie miała pojęcia dlaczego.

Dee Dee spojrzała na nią kwaśno.

- To rzeczy Sheri - odpowiedziała krótko. - Proszę pamiętać, by tym razem odnieść klucz.

Suze wyszła, czując się dotknięta. To prawda, że w zeszłym tygodniu znalazła u siebie w torebce klucz, kiedy wyskoczyła na małe zakupy, jednak tę pomyłkę można było w zupełności zrozumieć. Zresztą, czy potrzebna jej aprobatą kogoś, kto nosi bluzki bez rękawów z beżowej krempliny? W łazience Suze spojrzała w lustro i wydała rozdzierający okrzyk. Co robił na czubku głowy ten sterczący ołówek? Krnąbrne pasma włosów unosiły się lekko. Jej interesująca cytrynowożółta sukienka (żółty był tego lata „nowym odcieniem bieli”) wygniotła się jak zużyta jednorazowa chusteczka. Wyglądała jak ananas. Nick nie uśmiechał się do niej, tylko po prostu się z niej śmiał! Suze wyciągnęła ołówek z włosów i wrzuciła go do kosza na śmieci. Gdy puściła zimną wodę i chłodziła rozpaloną twarz, rozmyślała ponuro o nieodpowiedzialnym mężczyźnie, który nie tylko „zapomniał” o zaproszeniu dla Matsuhany, ale również rozsiewał wokoło ołówki, aby kusić ludzi do rujnowania sobie nimi fryzury. Niech diabli wezmą Lloyda Rockwella!

## Rozdział dziesiąty

Zanim Suze z wysiłkiem dotarła z powrotem do swego mieszkania, uznała, że jest jej wściekle gorąco i że bardzo źle ją potraktowano. Z asfaltowych ulic buchał żar, a przecież nie świeciło nawet słońce, wszystko wokół tonęło tylko w posępnym radioaktywnym blasku. W mieszkaniu również było duszno i czuła się tu niby w jakiejś norze. Sprawdziła małe metalowe pudełka na oknach, które pierwotnie uważała za głośniki - być może zainstalowane po to, by czwartego lipca zaryczeć: „Jak piękna jesteś, Ameryko!”. Słyszała że Amerykanie są ogromnymi patriotami. Naprawdę były to klimatyzatory i - jak się wydawało - regulę życia na Manhattanie stanowiło to, że ich efektywność jest odwrotnie proporcjonalna do temperatury na zewnątrz. Żadne manipulowanie i walenie nie mogło wpłynąć na polepszenie skuteczności ich funkcjonowania. W związku z tym Suze wzięła długi zimny prysznic, ubrała się w szorty i koszulkę bez rękawów, zapaliła papierosa i próbowała wymyślić coś interesującego, czym mogłaby się zająć. Nie jestem samotna powiedziała do siebie. Niegdyś zadzwoniłaby od razu do Bridget, aby przekazać jej dziewczęce plotki o Nicku; obecnie obawiała się wykładu na temat niemowlęcej wysypki. W telewizji nie było nic ciekawego - stanowiło to, prawdę powiedziawszy, wielkie osiągnięcie, biorąc pod uwagę liczbę kanałów - a czuła się zbyt zmęczona, aby iść do wypożyczalni kaset wideo



## *102 Robyn Sisman*

na dole. Stwierdziła więc, iż najwyższy czas na poważne myśzkowanie, by dowiedzieć się czegoś o domownikach.

Pierwsza szafa pachniała naftaliną. Suze przeszukała zapinane na suwak wiszące torby pełne kobiecych strojów, na wypadek gdyby było tam coś szalonego, co może będzie musiała pożyczyć, jeśli ktoś kiedykolwiek zaprosi ją na jakieś wielkie wyjście. Jednak powiewne sukienki i klasyczne marynarki nie przemawiały do jej wyobraźni. Było zawsze coś bardziej pociągającego w męskich ubraniach i przystanęła przy drugiej szafie, by wdychać zapach czystych koszul i wyglansowanych skórzanych butów. Nigdy wcześniej nie widziała takich długich wąskich butów, wszystkich w podobnym klasycznym eleganckim stylu. Chyba, pomimo wszystko, pan Rockwell nie był otyłym biznesmenem. Z czystej ciekawości otworzyła jedno z pudełek po butach stojących na podłodze i zobaczyła, iż zawiera fotografie - może ukryte zdjęcia pornograficzne. Przerzuciła je wszystkie i okazało się, iż to po prostu jakieś nudne stare zdjęcia amatorskie nieznanymi jej ludzi. Odłożyła więc pudełko na miejsce.

Następnie przyjrzała się uważnie książkom w korytarzu, starając się zrozumieć indywidualne systemy katalogowania właścicieli biblioteki. Po lewej stronie znajdowały się poematy Walta Whitmana i Ogdena Na-sha, biografie Kennedy'ego i Roosevelta, książki o filmie i projektowaniu wnętrz oraz współczesne powieści w twardych oprawkach. Po prawej stronie odnalazła cienkie tomiki Joan Didion i Anais Nin oraz grube dzieła krytyków literackich, „Radość gotowania”, jakąś pozycję pod tytułem „Przewodnik panny Manners po zasadach etykiety” z dedykacją: „Mojej ukochanej córce z wyrazami miłości - Matka” - a także wiele książek tego rodzaju, do których przeczytania Suze nigdy się nie zabrała - o tym, jak cudowne - i jak tragicznie udręczone - są kobiety. Jeden tytuł przykuł jej wzrok: „Kobiety, które kochają za bardzo”. To ja, pomyślała

### *Zupełnie obcy ludzie 98*

Suze. Być może z tego właśnie powodu zaprzepaściła swoje szanse u Nicka.

Dosyć już rozmyślań na ten temat! Włączy sobie jakąś muzykę. W salonie Suze wyciągała szyćę na wszystkie strony, by przeczytać napisy na muzycznej kolekcji Rockwellów: Bach, Chopin, Mozart, Scarlatti... Zmarszczyła czoło. Muzyka poważna zawsze dawała jej poczucie, iż jest niedzielne popołudnie i pada deszcz, i może najlepiej będzie, jeśli po prostu się powiesi. Suze -wybrała płytę kompaktową Sary Vaughan, włożyła ją do odtwarzacza stereo i następnie zabrała się do czegoś, na co miała wielką ochotę, odkąd przyjechała, a mianowicie do przestawiania mebli w salonie. Chodziło nie tylko o to, że były dziwnie ustawione - jeden fotel tutaj, drugi trochę dalej, jak gdyby nikt nigdy z nikim nie rozmawiał w tym pokoju. Uznała, że jeśli przesunie kanapę, będzie mogła na niej stanąć, aby przejrzeć się w jedynym dużym lustrze w domu. Właśnie usunęła wszystkie dywaniki z drogi i przekonała się, że kanapa jest zaskakująco ciężka, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi.

Niecierpliwie pomrukując, Suze przeszła na bosaka do korytarza, otworzyła ciężki metalowy zamek i otworzyła drzwi. Hura! - mężczyzna.

- Och, świetnie - powiedziała. - Pomoże mi pan przestawić kanapę. Stoi w idiotycznym miejscu, a ja nie dam rady jej podnieść. - Zaprowadziła go do salonu. - Chodzi o to - wyjaśniła idąc - że to nie jest moje mieszkanie i nie chcę zmasakrować podłogi. A więc proszę zabierać się do pracy - dodała, widząc, że nieznajomy nadal czai się w drzwiach. - Proszę wziąć z drugiej strony.

Rozbawiony mężczyzna wzruszył ramionami i zrobił, co mu poleciła. Nie upłynęło wiele czasu, a wszystko zostało ustawione ku zadowoleniu Suze i dywaniki umieszczono na powrót na nieporysowanym parkiecie.

- Dziękuję. Tak jest wspaniale. - Odgarnęła włosy z oczu. - Kim pan jest, tak nawiasem mówiąc? Ja jestem Suze.

99 *Robyn Sisman*

- Wiem.

Mężczyzna wyglądał na trzydzieści parę lat; był krępy, średniego wzrostu, z włosami utlenionymi jak David Hockney. Miał na sobie białe dżinsy i marynarkę w paski. Nie wyglądał źle, jeśli lubiło się ten styl. Uśmiechał się do niej leniwym czarującym uśmiechem, który zdawał się sugerować, że ten facet doświadczył już wszystkiego, ale nadal stać go na pogodę ducha.

- Jay Veritas - powiedział, ściskając jej rękę. - Jestem przyjacielem Lloyda. Prosił, bym wpadł i się przywitał, nie mówił jednak nic o przestawianiu mebli. - Jay położył rękę na krzyżu i wykrzywił się dramatycznie. - Myślę, że mogłem sobie coś naciągnąć.

- Bzdura! - zaśmiała się Suze. - Jednak z pewnością zasługujesz na drinka. Czego się napijemy? Wydawało się, że gość lepiej się orientuje w kuchni niż sama Suze. Wyjął lśniący elektryczny mikser, wziął lód, sok pomarańczowy oraz różne butelki i stworzył pianistą mieszankę w kolorze moreli, która paliła w gardle jak sopel lodu.

- Zupełnie boskie - stwierdziła, opadając na ustawioną w nowym miejscu kanapę. - Gdzie nauczyłeś się to robić?

- W Montanie, Nowym Meksyku, Maine... Kiedyś byłem barmanem.

- Poważnie?

- Nie całkiem. - Jay opowiedział, jak to on i Lloyd zarabiali na utrzymanie, kiedy mieli po dziewiętnaście lat, przyjmując wszelkie prace, jakie się trafiły od Kalifornii do Nowego Jorku. - Tworzyliśmy wspaniały zespół. Jechaliśmy do jakiegoś miasteczka, gdzie diabeł mówi dobranoc: najpierw Lloyd demonstrował w barze, na co go stać, gdy chodziło o grę na pianinie, a następnie, gdy właściciele byli już pod wrażeniem, oświadczał, że nie będzie pracował, jeśli i mnie także nie dadzą pracy.

- Lloyd? - Suze była zaskoczona.

### *Zupełnie obcy ludzie 105*

- Zawsze miał lepszą pracę - i dziewczyny. Jednak muszę cię ostrzec, nigdy nie pozwól mu przyrządzić koktajlu.

- To niebezpieczeństwo nie zagraża mi za bardzo. - Suze wstała i zaczęła rozglądać się po pokoju, szukając papierosów. Kiedy je znalazła, pokazała pudełko gościowi. - Czy masz coś przeciwko?

- Alleluja! - Jay wyciągnął własną paczkę z górnej kieszeni marynarki. - Wiedziałem, że cię polubię od pierwszego wejrzenia. Możemy razem być społecznymi pariasami.

Rozmawiali przyjaźnie, popijając małymi łyżkami drinki i degustując nawzajem swoje papierosy, gdy tymczasem światło gasło na niebie. Zachęcona przez Jaya Suze paplała radośnie o swoich wrażeniach dotyczących Nowego Jorku - o jego nieodpartym zewnętrznym pięknem, atmosferze pędu i nieograniczonych możliwości oraz wolności polegającej na mieszkaniu w miejscu, gdzie nie może być zaszklana z uwagi na swój akcent czy adres lub też szkołę, do której chodziła piętnaście lat temu.

- Uwielbiam być turystką. Wcześniej kpiłam z Amerykanów robiących zdjęcia w Londynie, a teraz łapię się na tym, że robię tu to samo i nie jestem nawet zażenowana.

Jay przytaknął.

- Spójrzmy prawdzie w oczy, to męczące być modnym przez cały czas - i powinniśmy zdawać sobie z tego sprawę, prawda?

Suze zachichotała. Jay nie był ubrany w afektowany czy też kobiecy sposób, ale miał pewne cechy, które budziły czujność, co dodawało mu jeszcze pewnego rodzaju czar i zaczęło łączyć się w pewną określoną całość w umyśle Suze. Jest gejem - uświadomiła sobie.

- Masz rację, jeśli chodzi o meble - przyznał Jay, rozglądając się wokół. - Tak wygląda lepiej. Prawdę mówiąc, przesunęłaś z powrotem kanapę tam, gdzie stała, zanim Lloyd sprzedał pianino.

*106 Róbyn Sisman*

- Dlaczego to zrobił?

- Nie było na nie miejsca, kiedy wprowadziła się Betsy. - Zamilkli na chwilę, a potem Jay spytał: - Słuchaj, jesteś głodna? - Umieram z głodu.

- Chodźmy poszukać jakiegoś obiadu. Na co masz ochotę? Kuchnia amerykańska, francuska, włoska, chińska? Japońska, karaibska albo metyska? A może wietnamska, grecka?

- Ojej!

- Szkocko-włoska, teksasko-meksykańska, bengal-sko-słowiańska, chińsko-latynoska, koszerna włoska?

- Dosyć! - Suze się roześmiała. -1 nie jestem przekonana co do tej bengalsko-słowiańskiej.

- Przekonasz się, to Nowy Jork.

- Tak prawdę mówiąc - przyznała Suze - w głębi duszy mam ochotę na naprawdę nowojorski lokal - brzdąkające pianino, fantastyczny widok, drinki z ogromną ilością lodu i ekstrawaganckimi słómkami. Humphrey Bogart, jeśli ci się uda. Jay zrobił przerażoną minę.

- Należysz po prostu do tajnej organizacji MiT.

- Jakiego znów MiT?

- Do Mostowców i Tunelowców - biednych mięczaków, którzy muszą przyjeżdżać z przedmieść, aby cieszyć się nocnym życiem.

- Oczywiście każdy płaci za siebie. - Suze rzuciła mu czarujące spojrzenie.

- W takim razie znam odpowiednie miejsce. Będziesz jednak musiała pozbyć się szortów.

Kiedy Suze była gotowa, wzięli taksówkę do śródmieścia. Powiew gorącego powietrza wpadającego przez otwarte okno sprawił, iż czuła się jak na wakacjach. Poweselała i impulsywnie zwróciła się do Jaya: - To uroczo z twojej strony, że mnie zaprosiłeś. Marzyłam, że zrobię coś podobnego, odkąd tu przyjechałam.

- Dobrze. Chociaż... - Zawahał się, dobierając słowa. -Wiesz, to nie jest właściwie randka.

## *Zupełnie obcy ludzie 102*

- Wiem. - Suze spojrzała mu w oczy, aby pokazać, że rozumiała doskonale. - Nie martw się, znalazłam już pewnego zawodowego łamacza serc, który na mnie działa. - Zdała Jayowi krótkie sprawozdanie z popołudniowych wypadków, rozśmieszając go opisem wyniosłego marszu Sheri oraz ponurą charakterystyką własnego wyglądu.

- Założę się, że wyglądałaś cudownie z tamtym ołówkiem - odparł jej nowy znajomy. - Prawdopodobnie właśnie teraz Nick próbuje odnaleźć twój numer telefonu.

- Gdyby tylko tak było. - Nie mogła powstrzymać rozmarzonego uśmiechu.

Kiedy wydawało się, że w każdej chwili zjadą z obrzeży Manhattanu na East River, taksówka ruszyła w górę na most. Po drugiej stronie zawróciła ostro, gwałtownie skrzyła w dół i przywiozła ich na szary parking. Jay poprowadził Suze w kierunku niskiego budynku, a potem zeszli po schodach, które zdawały się kołysać pod jej stopami. Byli na łodzi! Przed Suze znajdował się bar, przyćmione światła połyskiwały w butelkach i niikserach do koktajli. Nad tym wszystkim za rzeką ujrzała profil miasta iskrzącego się życiem i arogancją nowego wspaniałego świata.

Jay przyjrzał się Suze badawczo, oceniając jej reakcję.

- Witaj w River Cafe.

Usiedli na wysokich stołkach przy barze i Jay zamówił dla niej coś o nazwie Perfect Manhattan, prosząc, by koktajl ozdobiono wszystkimi papierowymi parasolkami i plastikowymi mieszadełkami, jakie mają w lokalu.

- Jak to się stało, że ktoś tak rozrywkowy jak ty jest przyjacielem Lloyda? - spytała Suze. - Myślałam, że on jest stary i poważny.

- Jesteśmy dokładnie w tym samym wieku, mamy trzydzieści pięć lat. Lloyd jedynie wykształcił w sobie trochę nadmierne poczucie odpowiedzialności. No i ubiera się również lepiej niż ja.

### *103 Robyn Sisman*

- Jaka jest jego żona?

- Nie są małżeństwem.

- Dziewczyna, partnerka, ktokolwiek to jest.

- Bardzo ładna. Ciemne włosy, ładna cera, typ delikatnej kobietki.

Suze odruchowo wciągnęła policzki i próbowała sprawiać wrażenie nieco osłabionej. Różni mężczyźni w przeszłości twierdzili, że uważają ją za ładną, seksowną, a nawet piękną: nikt nigdy jednak nie nazwał jej delikatną.

- A czy jest miła? Czy ją lubisz? Jay wyglądał na zamyślonego.

- Nie wydaje mi się, by zbyt często za mną przepadała. Uważa, że odrywam Lloyda od Prawdziwego Życia. W zeszłym roku pomógł mi napisać scenariusz do filmu, który próbuję nakręcić. W końcu Betsy zadzwoniła do mnie i wyznała mi „w zaufaniu”, że wpływa to ujemnie na pracę Lloyda. Była przy tym bardzo uprzejma, ale chodziło jej o to, abym się odczepił.

- A co powiedział sam Lloyd?

- Nigdy mu o tym nie wspomniałem. Lloyd jest inny: ma interesujące pomysły, umie mnie rozśmieszyć. Rozmawiamy o literaturze i filmach, i dlaczego świat skonstruowany jest w taki właśnie sposób. Za każdym razem, gdy Betsy jest w pobliżu, mam wrażenie, że musimy działać według jakiegoś schematu.

- Być może chciałaby z niego zrobić ładną, wdzięczną paczkę z etykietką „mąż”?

Jay nie schwycił przynęty. Przenieśli się do stolika w restauracji i ze względów zasadniczych Suze zamówiła dania, o jakich nigdy nie słyszała - jakieś egzotyczne małże i rybę z zieleniną.

- A jak jest z tobą? - spytał nowy znajomy, napełniając jej kieliszek. - Gdzie jest twój chłopak?

- Jaki chłopak?

- Kobiety takie jak ty zawsze mają faceta.

- Miały - poprawiła go Suze i wykrzywiła usta w grymasie rozczarowania. - Przynajmniej tak myśla-

### *Zupełnie obcy ludzie 109*

łam. - Uniosła widelec i nakreśliła na obrusie krzyż, jak gdyby chciała przekreślić dawne wspomnienia. - W każdym razie nie ma kobiet „takich jak ja”. - Rzuciła na Jaya prowokujące spojrzenie. - Jestem jedyna w swoim rodzaju.

- Bez wątpienia. - Sięgnął po pudełko z papierosami, wytrząsnął kilka i wręczył jej jednego. - Opowiedz mi o tym.

I ku swojemu zaskoczeniu Suze zaczęła mówić.

Zdarzyło się to pięć lat temu, kiedy dostała pracę w charakterze starszego projektanta w jednej z większych niedzielnych gazet. Przyszła jako nowy młody talent i gorąco pragnęła się wyróżnić; Lawrence Self był dyrektorem działu artystycznego, czterdziestodwuletnim kawalerem z grzywą ciemnych włosów, które zaczynały już siwieć, bystrymi piwnymi oczami pod czarnymi brwiami i reputacją trudnego geniusza. Nosił do pracy dżinsy, jeździł alfaspiderem, palił czasami trawkę, zadawał się z aktorkami i artystami i nosił pieniądze zwinięte w wielki plik w tylnej kieszeni. Suze uważała, że jest cudowny.

Po raz pierwszy w życiu pracowała tak ciężko, jak tylko zdołała, zostawała do późna w pracy, dowcipkowała, zgłaszała się na ochotnika do każdego zbzikowanego zadania - wszystkiego, co tylko mogło utrzymać ją w sąsiedztwie tego nadzwyczajnego mężczyzny. Stwierdziła, że uwielbia styl pracy nad tygodnikiem: najpierw była to niedbała guzdranina i leniwe popijanie kawy, później narastała panika, gdy na horyzoncie pojawiał się ostateczny termin zamknięcia numeru, w końcu zaś u wszystkich następował gwałtowny przypływ adrenaliny związany z jego wydaniem i wreszcie ruszano chwiejnym krokiem do pubu dla uczczenia tego wydarzenia. W ciągu trzech miesięcy zostali kochankami.

Larry - nigdy Lawrence - który dorastał w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, nie przejmował się zbytym życiem, co Suze uważała za podniecające i nowe w zestawieniu ze sklonowanymi mieszczuchami



## *110 Robyn Sisman*

ogarniętymi manią na punkcie BMW i premii. Pewnego dnia zapowiedział jej, że rzuci tę główną robotę, przeniesie się do jakiegoś ciepłego kraju i zostanie artystą na cały etat. Małżeństwo było jedną z tych rzeczy, jakimi gardził, wraz z hipoteką, przedmieściami, fordami escort, górnym oświetleniem oraz krojem czcionki zwanym Palatino, i Suze szybko nauczyła się także pogardzać tym wszystkim.

- Nauczył mnie dostrzegać różne rzeczy i patrzeć na nie pod odpowiednim kątem. W weekendy chodziliśmy na tak zwane spacery po mieście. Przyglądaliśmy się starym kościołom, nowym blokom biurowym, a nawet poszczególnym wykończeniom fasad sklepowych czy żelaznym balustradom.

Lawrence genialnie wskazywał, gdzie architekt popadł w panikę i wycofał się lub został zlekceważony przez klienta. Jeździliśmy też do Bermondsey, szukaliśmy starych drewnianych czcionek i eksperymentowaliśmy z nowymi projektami w studiu Lawrence'a. - Westchnęła. - Naprawdę dużo się nauczyłam. Zmusił mnie, abym traktowała moją robotę poważnie, sprężyła się i pracowała jak najlepiej, na ile tylko mnie stać.

- Czy go kochałaś? - spytał otwarcie.

- Uwielbiałam go. - Suze zmarszczyła czoło. - Na ogół.

Lawrence potrafił być rozdrażniony i humorzasty. Jeśli nie podobało mu się, co zrobiła w pracy, odgrywał się na niej w domu - chociaż tak naprawdę nigdy nie mieszkali razem: wyjaśnił, jak ważne są dla niego samotność i prywatność. Jednak spędzali razem większość nocy i weekendów, dopóki Lawrence nie poczuł się zirytowany.

- Zabrałam go kiedyś do domu, by poznał moich rodziców. Myślałam, że z łatwością dojdą ze sobą do porozumienia, ponieważ są praktycznie w tym samym wieku i wszyscy są „kreatywni” w taki czy inny sposób. To była katastrofa!

Suze opisała, jak krytykował kuchnię matki, wygłosił ojcu wykład na temat roli sztuki w życiu zwykłego

### *Zupełnie obcy ludzie 106*

człowieka i zmusił ich, aby przejechali samochodem całe kilometry, po to tylko, aby obejrzeć jakiś „cudowny” kościół, który okazał się zamknięty, a potem narzekał jeszcze, że błoto zniszczyło mu buty. Później przeproszał Suze: „Obawiam się, że jestem jak dobre wino: nie znoszę podróży”. Mimo to ich związek mógłby trwać całe lata, gdyby nie Araminta Smedley, znana jako „Minty”, mająca dwadzieścia cztery lata, ogromnie bogatego ojca i stanowisko w dziale ogłoszeń. Pewnego dnia, gdy wracali samochodem do domu, Lawrence wyznał Suze, że widuje się z Aramintą. Była wściekła. Przypomniła sobie wszystkie te okazje w ostatnim czasie, kiedy „szanowała jego prywatność”, jak lubił to określać, ale w głębi duszy była gotowa w końcu mu wybaczyć. Wtedy Lawrence rzucił bombę

- Minty jest w ciąży i nie chce się pozbyć dziecka.

Najbardziej zraniło ją to, że mężczyzna prawie w ogóle nie objawiał skruchy. Patrzył na nią ujmująco niczym niegrzeczne dziecko, jak gdyby chciał powiedzieć: „Z taką ilością spermy jak moja, co można zrobić?”.

- Lawrence nigdy nie używał prezerwatyw - powiedziała Jayowi. - Twierdził, że mu nie odpowiadają, jak gdyby pigułki i spirale, i te wszystkie problemy ze spóźniającym się okresem były bzdurą. Pomyślałam o środkach antykoncepcyjnych, jakie stosowałam, i o tym, jak uważałam, aby nie usidlić go w żaden sposób. A następnie bingo! W radosnych podskokach wpada Minty i po prostu bierze, kogo chce. To takie banalne. W każdym razie to ja wtedy znalazłam się w głupim p&łożeniu, ponieważ musiałam go jeszcze namawiać, by wziął odpowiedzialność za własne dziecko. Jednak nadal nic do mnie nie docierało. Myślałam, że mnie kocha, zdręczałam się całą sprawą - tak właśnie było. - Suze potrząsnęła głową nad własną głupotą, przypominając sobie, jak schudła osiem kilo w ciągu tygodnia i spędzała noce, nerwowo paląc jednego papierosa za drugim, skulona gdzieś na kanapie. - Następnie

## *112 Robyn Sisman*

dowiedziałam się, że się pobierają. Czy to nie słodkie? I nie miał to być żaden zwykły ślub. Och nie, poszli na całość - kościół, druhny, przemówienia. Przysłał mi nawet eleganckie zaproszenie - i stwierdził, że jestem dziecinna, bo nie przyszłam. Ona nawet nie jest ładna - wyznała Suze z oburzeniem Jayowi - to po prostu jedna z tych obrzydliwie słodkich dziewcząt z płaską klatką piersiową, którym robi się zdjęcia, gdy tulą do serca labradora. - Zaśmiała się niepewnie. - Obawiam się, że nie jest to zbyt oryginalne.

- Biedna Suze.

- Najgorsze jednak było to głupie samopoczucie. Naprawdę wierzyłam w to wszystko. Głosiłam jako niepodważalną prawdę wszystkim moim przyjaciółom, że małżeństwo to sprawa ducha - kwestia zaufania, a nie więzów prawnych. - Suze uderzyła się w piersi heroiko-micznym gestem. - Później po prostu chciałam wleźć ze strachu w mysią dziurę.

- A teraz?

- Teraz to ja zamierzam ustanawiać reguły. - Wbiła palec wskazujący w pierś. - Zamierzam brać to, co chcę, kiedy tego chcę, jak wszyscy inni.

- Nie myślisz chyba poważnie. Suze odetchnęła głęboko.

- Nie - przyznała. - W tym cały kłopot. Tak naprawdę nie chcę sypiać ze wszystkimi na prawo i lewo. Chcę kogoś pokochać.

Jay skinął wolno głową. Zaczął opowiadać jej o miłości swojego życia, aktorze, z którym żył przez trzy lata, a miał nadzieję być z nim na zawsze. »

- A więc co się stało? - spytała Suze. Przyszła jej do głowy straszna myśl. - On chyba nie...? Chcę powiedzieć... Jay roześmiał się nieoczekiwanie.

- Oglądasz za dużo filmów w telewizji. Nie, nie umarł na AIDS. Żyje, ma się dobrze i mieszka w dzielnicy willowej z kimś innym. Po prostu mnie nie kochał, tak często bywa. - Zgasił papierosa. - Problem tkwi w tym, że nadal go kocham - i prawdopodobnie zawsze tak będzie.

### *Zupełnie obcy ludzie 113*

- Och, Jay, tak mi przykro. - Te proste słowa ją wzruszyły. Czy kiedykolwiek kochała Lawrence'a aż tak bardzo?

Popatrzyli ze smutkiem na siebie. Potem Jay rozwiązał ten nastrój.

- Posłuchaj tylko, co my tu wygadujemy. Niczym tragiczni bohaterowie, czyż nie? Dobrze słyszałem, że mówiłaś coś o drinkach, czy też tylko mnie naciągałaś?

Pili burbona z lodem i zaśmiewali się z pianisty, który wyczerpał swój repertuar Gershwina i coraz bardziej pogrążał się w utworach typu „Send in the Clowns” i „My Way”.

- Zróbmy konkurs na kiepskie teksty piosenek - zaproponowała Suze. - Hej, co ja takiego powiedziałam? - spytała, ponieważ Jay obrzucił ją rozbawionym spojrzeniem.

- Nic takiego. Tylko że to jedna z ulubionych zabaw Lloyda.

Mam przyjaciela w Nowym Jorku, myślała uszczęśliwiona Suze, gdy wracając do domu, oparła się o ścianę windy w poczuciu, że nie może utrzymać równowagi. Jay odprowadził ją do wejścia, uściśnął na pożegnanie i obiecał wkrótce zaprosić do siebie. Winda, kołysząc się, stanęła na jej piętrze, a następnie drzwi się otworzyły i Suze niepewnym krokiem wyszła na korytarz z kluczami w ręku.

Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła, kiedy znalazła się w salonie, było czerwone światło automatycznej sekretarki. Dużymi krokami przeszła przez pokój i uderzyła palcem w przycisk.

- „Cześć, tu Jick Bianco. Poznaliśmy się dziś po południu. Właśnie otworzyli nowy klub w centrum i zastanawiałem się, czy nie zechciałabyś pójść tam ze mną we czwartek, aby go ocenić. Jeśli jesteś wolna, przyjadę po ciebie około dziesiątej. *Ciaol*”.

Wydając z siebie dziki okrzyk, Suze upuściła torebkę i zaczęła w zawrotnym tempie kręcić się po pokoju. Oczywiście, że jest wolna! O Boże, co na siebie włożyła?

## Rozdział jedenasty

Kiedy my, Australijczycy, pobiliśmy ich po raz pierwszy, w tysiąc osiemset którymś, uznaliśmy to za śmierć angielskiego krykieta. Tak więc gdy następnym razem przyjechali do nas na rozgrywki, kilka dam postanowiło spalić palik i ofiarować im prochy w zabawnej małej urnie. Od tamtej pory to trofeum wręczane jest jako nagroda zwycięskiej drużynie, chociaż w gruncie rzeczy nigdy nie opuściło terenu boiska Lorda... Czy jeszcze się nie pogubiłeś? - Harry Fox obrócił się na siedzeniu czarnej taksówki, aby zadać Lloydowi to pytanie, jednocześnie unosząc brwi.

- Jeden mały szczegół umknął mojej uwagi. Co to jest palik?

Fox się roześmiał.

- Zobaczysz, i to już wkrótce.

Wolno zjechali w dół szeroką aleją. Słońce świeciło z bezchmurnego nieba. Przed nimi znajdował się czerwony piętrowy autobus wypełniony ludźmi szykującymi się, by zaraz wysiąść; motocykle i rowery pędziły tuż obok. Po obu stronach ulicy strumień idących płynął w jednym kierunku; byli wśród nich staruszkowie w kapeluszach panama, w marynarkach oraz czerwonych i pomarańczowych krawatach, młodszy mężczyźni w koszulkach, kobiety w letnich sukienkach i kapeluszach, dzieci ciągnące do przodu swych dorosłych opiekunów. Wszyscy zmierzali do jednego punktu - w stronę długiego muru z cegły, który pojawił się po prawej

### *Zupełnie obcy ludzie 110*

stronie. Lloyd mógł zobaczyć zarys boiska. Był to słynny Lord's, miejsce narodzin tajemniczej gry nazywanej krykietem. Gromadził się tu tłum i stadion rozbrzmiewał gwarem radosnego oczekiwania. Lloyd był zaskoczony, że sam czuje wzrastające ożywienie.

Fox nachylił się do przodu i rozsunął szybkę, aby porozmawiać z kierowcą.

- Wsiadamy tutaj.

Mrużąc oczy w świetle słonecznym, dołączyli się do tłumy walącego w stronę bramy. Fox wydobył dwa bilety i przepchnęli się przez zgrzytającą automatyczną bramkę wypuszczającą ludzi na otwartą przestrzeń przed stadionem, który porastała niska zielona trawa. Jego część ogrodzono linową siatką, a znajdujący się w środku mężczyźni, ubrani na biało, rzucali czerwoną piłkę innym, którzy próbowali uderzyć w nią kijem.

- To są siatki - mruknął Fox niewyraźnie, przyśpieszając w kierunku samego boiska, które okrążyli w poszukiwaniu właściwego wejścia.

Gdy przepchnęli się przez tłum, przechodząc obok stoisk, gdzie sprzedawano przekąski i pamiątki, Lloyd uchwycił strzępy rozmów, które zbiły go z tropu i jednocześnie zachwyciły: „Malcolm strzelił siedem dziewcząt z rzędu”. „Oczywiście, to nie będzie to samo bez tego ptaszka”. I najbardziej zaskakujące stwierdzenie ze wszystkiego: „Modlimy się o deszcz”. Ogłoszono też przez głośniki, że rezerwowi zawodnicy dadzą popis swych umiejętności w czasie przerwy na lunch.

Doszli do łóż gościnnych. Pracownica działu public relations, w zielonym żakiecie i z telefonem komórkowym w dłoni, poprowadziła ich w górę po kilku stalowych schodkach i przez korytarz do drzwi opatrzonego napisem „Schneider Fox”. W środku, w małym pomieszczeniu znajdował się duży stół nakryty do lunchu. Całą jedną ścianę zajmowało okno. Lloyd dostrzegł przez nie pięknie przystrzyżony w jasne i ciemnozielone paski trawnik, z zaznaczonym bruzdami kwadratem w środku, gdzie przykucnął nisko mężczyzna w panamie, jak gdy

## *116 Robyn Sisman*

by przeprowadzając jakiś eksperyment naukowy. Ta sama scena pojawiła się w miniaturze na ekranie telewizora ustawionego w rogu pokoju i Lloyd zauważył ze zdziwieniem, że ów mężczyzna wsuwa jakiś klucz w torf. Kelner zaproponował Lloydowi kieliszek szampana, lecz ten odmówił. Później Fox wywołał go na balkon, gdzie z kilku ustawionych obok siebie krzeseł można było obserwować boisko - nieprzerwane morze zieleni z kilkoma niskimi słupkami, wystającymi pionowo z ziemi gdzieś blisko środka.

- To są właśnie paliki - wyjaśnił Fox.

Oprawa była efektowna. Ławki wokół boiska zapełniały się ludźmi. W jasnym słonecznym świetle żywo prezentowały się różne kolory ubiorów. Po lewej stronie stał „pawilon”, imponujący budynek z cegły w stylu kolonialnym, ozdobiony fantastycznymi elementami z drewna; po prawej stronie coś, co wyglądało na sterowiec, unosiło się wysoko nad rzędami ławek, przywiązane do ziemi jedynie cienkim sznurkiem. Kamery telewizyjne zwisały z rusztowań; tablice rozgrywek podające punktację pokazywały szereg zer. W górze statek powietrzny trwał niemal bez ruchu na jasnoblękitnym niebie. Jakiś głos zawołał na nich z tyłu. Lloyd odwrócił się i zobaczył bladego mężczyznę w garniturze, ściskającego kurczowo złożony parasol.

- Witaj, Rogerze! - Fox podniósł rękę. - Chyba nie znasz Lloyda Rockwella. To nasz najświeższy amerykański nabytek. Lloydzie, to jest Roger Fotherington, nasz dyrektor finansowy. - Uścisnęli sobie ręce. - Zawrzyjcie teraz znajomość, a ja tymczasem zrobię rekonesans i poszukam reszty naszego towarzystwa.

Gdy wyszedł, w łoży zapadło niezręczne milczenie. Roger najpierw uśmiechał się do Lloyda nieśmiało, a następnie wpatrywał się zamyślony w swoje wypolerowane buty do golfa.

- Nie przypuszczam, by oglądał pan dużo krykieta w Stanach - stwierdził w końcu.

### *Zupełnie obcy ludzie 112*

- Nie za dużo - przyznał się Lloyd z uśmiechem.

- Szkoda. To dobra zabawa. Sukces u klientów, rozumie pan. Zmniejszony podatek. Wszyscy są szczęśliwi.

Lloyd przytaknął. Pewnego dnia opanuje ów tajemniczy język znany jako angielski.

- A więc jakie są zasady gry? - zapytał.

Roger wykazał się zaskakującą biegłością w temacie krykieta. W tej grze chodziło o to, by uderzyć w piłeczkę i uzyskać jak najwięcej punktów, przebiegając równocześnie tak dużą odległość, jak to możliwe, chociaż okazało się, że owe biegi były przeważnie czysto teoretyczne. Jeśli zawodnik wyrzucił piłeczkę dostatecznie daleko, zakładano, że mógłby przebiec pewną odległość, gdyby tylko sobie tego życzył. Uderzyło to Lloyda jako bardzo brytyjskie. Cała sztuka, według Rogera, polegała głównie na tym, aby odpowiednio wyrzucić piłkę - lub też ją „zaserwować”. Amerykanin próbował zapamiętać, co oznaczają nazwy takie jak „googlies” - piłki rzucone tak, że po zetknięciu z ziemią skręcały w bok, „jorkersi”, czyli młodzi zawodnicy, „Chińczycy” i zagadkowe oraz odrobinę niesportowe rozpoczęcie gry, nazywane „linią ciała”. Określenia pozycji na boisku były w najwyższym stopniu śmieszne: „głupie dośrodkowanie”, „daleko wysunięta noga”, „niski trzeci człowiek”. - A kim są tamte sztywniaki? - Lloyd wskazał grupę mężczyzn o surowym wyglądzie, w wieku pomiędzy średnim a starszym. Siedzieli w przednich rzędach pawilonu, prezentując swe marynarki niczym mundury. - Wyglądają jak jakieś jury.

Roger zmarszczył brwi.

- To są członkowie KKM - poprawił. - Widzi pan, teren boiska oficjalnie należy do Klubu Krykieta Marylebone, chociaż dzieli się - nim z klubem hrabstwa Middlesex (nie ma to znaczenia, że nie jesteśmy teraz w Middlesex, rozumie pan).

- Ach tak - przytaknął Lloyd. Zauważył, że kobiety nie należą do klubu, ale nie ośmielił się spytać Rogera,



czy jest tak z ich wyboru, czy też z powodu regulaminu. - A więc kto wygra? - zapytał.

- My. - Roger wyciągnął rękę i dotknął drewnianej balustrady.

Lloyd poczuł ulgę, gdy nadeszła reszta towarzystwa, przerywając szczegółową opowieść Rogera o przerażającym pechu angielskiej drużyny w ostatnich meczach z Australią. Harry dokonał ceremonii przedstawienia i Lloyd stwierdził, że rozmawia z przedstawicielem firmy Passion z działu sprzedaży. Był to chudy przystojny facet nazwiskiem Piers, zachowujący się w dość swobodny sposób. Zdawało się, że wie o wszystkim, co Rockwell robił w Stanach, i zadał kilka szczegółowych pytań dotyczących nadchodzącej kampanii, reklamującej nowe trasy lotów. Lloyd został zasypany pytaniami. Odpowiadał tak uczciwie, jak mógł, wyjaśniając, które koncepcje nie są jeszcze w pełni opracowane, a które bierze się pod uwagę. Po chwili atmosfera się rozluźniła. Wydawało się, że Lloyd zdał egzamin. Przez głośniki podawano różne komunikaty, lecz nikt ich nie słuchał, w pewnym momencie jednak głośny aplauz w sposób oczywisty zwrócił uwagę wszystkich.

- No dobrze, dość gadania! - zawołał Fox. - Obejrzyjmy ten cholerny krykiet. - Wyciągnął skądś stary słomkowy kapelusz i zawiadacko naciągnął go na oczy.

Lloyd wyszedł za nim na balkon łąy.

- Kto wygra? - zapytał. - My.

Przez kilka następnych godzin Lloyd nie posiadał się ze szczęścia. To była Anglia, jaką sobie wyobrażał. Gra toczyła się niewiarygodnie wolno; tłum grzecznie bił brawo; w łąy panował nastrój łagodnej kpiny. Od czasu do czasu jeden z graczy wydawał gardłowy okrzyk i odwracał się, by popatrzeć pytającym wzrokiem na osobnika ubranego w biały płaszcz, stojącego za palikami, który czasami unosił jeden palec w powietrzu jak wyrażająca dezaprobatę niania. Gdy gracze się rozgrzali, wręczyli mu swoje swetry, które za-

### *Zupełnie obcy ludzie 114*

wiązał sobie - jeden na drugim - wokół talii. Szereg mężczyzn przeszedł z pawilonu do środka, a następnie wrócił tam znowu, trochę później. Po chwili gry, która minęła w okamgnieniu, mecz przerwano, bo oto ceremonialnie wprowadzono na boisko jakiś wózek.

- Co się stało? Czy ktoś jest ranny? - spytał Lloyd zaniepokojony.

- Nie, dobry Boże. To tylko napoje.

Piers zwrócił się do swojego szefa i wskazał na taras.

- Czy zauważył pan naszą konkurencję?

Lloyd spojrzał, by zobaczyć, o co chodzi. Kilka łóż dalej siedział sześćdziesięcioletni mężczyzna o czerwonej twarzy, wyglądający na rozszuszczonego. Gestykulował do kogoś, kto stał odwrócony tyłem.

- To sir John Rex - wyjaśnił Piers Rockwellowi -prezes Stateside. Nienawidzi nas, gdyż uważa, że jesteśmy parweniuszami. Zrobi wszystko, co możliwe, by nie dopuścić do zamachu na coś, co uważa za swój własny interes. Jednak tutaj u Lorda po prostu ignorujemy się nawzajem.

Później gra znowu potoczyła się w spokojny, cywilizowany sposób do czasu lunchu, kiedy to zawodnicy zeszli z boiska i towarzystwo Schneidera Foxa porzuciło balkon na rzecz bardziej wygodnej łoży gościnnej. Na lunch składał się zimny kurczak, sałata i sałatka kartoflana oraz białe wino. Podczas posiłku Piers opowiedział im więcej o Stateside.

- Chcą bezwzględnie wykopać nas z rynku. Zatrzymywali nawet naszych pasażerów na Heathrow i oferowali im bonifikaty, jeśli tylko zmienią linie lotnicze. Dowiedzieliśmy się o tym dopiero od ludzi z przedsiębiorstwa zajmującego się wynajmem samochodów, które zabiera naszych pasażerów na lotnisko.

- Czy to zgodne z prawem? - zapytał Lloyd. Zauważył, że Harry przysłuchuje się ich rozmowie.

- Niestety, tak. Jednak nie w tym leży główny problem. Bardziej martwimy się, co też mogą wymyślić następnym razem.

*120 Robyn Sisman*

- Mamy jakieś wskazówki co do ich obecnych zamiarów? - spytał Fox.

- W tej chwili nie. - Piers na chwilę zamilkł. - Chociaż doszły do naszych uszu pogłoski z biura w Nowym Jorku, że Schneider Fox ustawia się w kierunku Stateside.

- Ale to śmieszne - wtrącił Lloyd. - Mogę zapewnić was ponad wszelką wątpliwość, że nigdy nie rozważaliśmy takiej możliwości. Byłby to jasny przypadek konfliktu interesów klientów.

- W istocie - zgodził się Piers. Spojrzał na Foxa i zwrócił głowę w kierunku łoża Stateside. - Dla nas tamci są wrogami, ale czy są także twoimi nieprzyjaciółmi?

Rozległy się oklaski, co oznaczało wznowienie gry. Powoli przenieśli się znowu na balkon: Lloyd poczuł rozbawienie, gdy zauważył, że wiele sąsiednich balkonów nie zajęto wcale. Usiadł, aby ponownie obserwować rozgrywkę. Teraz - kiedy zaczął już rozumieć reguły krykieta - zwracał uwagę na zmienne koleje gry. W ich towarzystwie istniało, jak zauważył, pewne żartobliwe współzawodnictwo pomiędzy Harrym a Anglikami, będące odbiciem ich rywalizacji na boisku. Wydawało się, że obie strony czerpią przyjemność z porażek drugiej drużyny. Przypominało to sposób, w jaki zwracali się do niego Anglicy jako do Amerykanina reprezentującego swój kraj. Lloyd zastanawiał się, w jakiej mierze to, że Harry jest Australijczykiem, wpłynęło na jego karierę w Anglii. Raz jeszcze gracze zeszli z pola przy umiarkowanych oklaskach.

- Czy to już koniec? - spytał Lloyd, patrząc na zegarek. Dochodziła dopiero trzecia trzydzieści.

- Oczywiście, że nie - wyjaśnił Roger. - To tylko przerwa na herbatę.

Lloyd zaczął się śmiać.

- Przerwa na herbatę? Przerywają grę, aby napić się herbaty?

- Nie rozumiem, co w tym takiego zabawnego - odparł Roger z irytacją.

*Zupełnie obcy ludzie 116*

Pierś rzucił. Amerykaninowi rozbawione spojrzenie.

- Może trochę rozprostujemy nogi? - zasugerował. - Oprowadzę pana po terenie, jeśli pan chce.

Zeszli we dwóch po schodach z gościnnych łóż na boisko. Mnóstwo innych osób również przechadzało się tam w obie strony. Lloyd i Pierś spacerowali powoli, Anglik pokazywał mu po drodze wszystkie interesujące rzeczy. Nagle pozdrowił ich jakiś głos:

- Och, Pierś, znowu się byczysz?

Lloyd odwrócił się i zobaczył mężczyznę uśmiechającego się do nich promiennie zza przeciwsłonecznych okularów, który spojrzał nań podejrzliwie, gdy Pierś ich sobie przedstawiał.

- Lloydzie, to Julian Jewel, o którym, jak sędzę, słyszałeś.

- Rozmawialiśmy przez telefon - odpowiedział Jewel, zsuwając okulary na czoło. Uścisk jego dłoni był mocny i serdeczny. - Witaj. Cieszę się, że moje burzliwe przygody nie wstrzymały twej angielskiej wyprawy.

Lloyd przyglądał się uważnie gawędzącemu z Piersem Jewelowi. Był to niski, modnie ostrzyżony facet, mniej więcej w jego wieku. Miał na sobie cytrynowo--zieloną marynarkę. Wszystko, co słyszał o Jewelu, przemawiało za tym, by go nie lubić, ale teraz, kiedy delikwent stał tu przed nimi, Lloyd stwierdził przekornie, że podoba mu się energia i figlarny błysk w oczach Juliana. Nagle Pierś przypomniał sobie, że musi kupić prezent dla chrześniaka, i zostali sami.

- Jak ci się układa z tyjni z Passion? - spytał Jewel.

- Wspaniale.

- A Harry? To inteligentna bestia, prawda? Chociaż, oczywiście, nie lubi mnie zbytnio.

- Ja go lubię.

- Dobrze powiedziane. - Jewel poklepał go po ramieniu. - W takim razie nie martwi cię to, że porzuciłeś Nowy Jork na tak długo?

Lloyd zastanawiał się, czy to jakaś aluzja.

-Wszystko jest pod kontrolą - odpowiedział uprzejmie.

Rozmawiali przez chwilę o najnowszych formach obłędu w reklamie; następnie Jewel spojrział na zegarek.

- Lepiej już wróć do swoich. To grupa producentów papieru toaletowego z Midlands. Są tak nudni, że przy nich nawet krykiet wydaje się interesujący. Któregoś dnia oddasz mi Passion. - Uśmiechnął się zuchwale. - To dobrzy klienci. Ciesz się nimi, póki możesz. - I zniknął w tłumie.

Wracając do łóży, Lloyd uświadomił sobie, iż poszedł dłuższą drogą. Rozważał właśnie, czy może będzie szybciej, jeśli zawróci, kiedy w przelocie ujrzał Harry'ego Foxa pogrążonego w rozmowie z kimś w drzwiach. Podeszedłszy bliżej, rozpoznał owego drugiego mężczyznę: był to sir John Rex.

Zaintrygowało to Lloyda. Co tu robił Fox? Wahał się przez chwilę, a następnie wrócił tą samą drogą, którą przyszedł. Nie wspomniał o tym, co widział, kiedy już usiadł w łóży, ani też Fox nic nie powiedział, powróciwszy do towarzystwa kilka minut później. Lloyd nie wiedział, dlaczego czuje się zdenerwowany. Nie była to jego sprawa, z kim i na jaki temat rozmawiał Harry Fox. Pomimo to czuł się zakłopotany, jak gdyby brał udział w pewnej zмовie; jak gdyby dowiedział się właśnie, iż przyjaciel zdradza i oszukuje żonę.

Nadal odczuwał niepokój z powodu owego niespodziewanego odkrycia, kiedy później tego wieczoru wkładał klucz do zamku w mieszkaniu Susanny Wilding...

## Rozdział dwunasty

Gdy Lloyd wchodził po schodach do mieszkania, usłyszał, jak Betsy przeklina. Pojawiła się nagle na półpiętrze i zobaczył, że wyglądała inaczej niż zwykle. Była rozczochrana, we włosach miała pajęczyny, a na nosie czarną plamę z jakiegoś smaru. W delikatnych dłoniach trzymała młotek we właściwy kobietom wdzięczny sposób. Lloyd nie potrafił powstrzymać uśmiechu.

- To nie jest wcale zabawne - oświadczyła ponuro. - Coś się stało ze zbiornikiem wody. - Wskazała do góry'na dach. - Cieknie stamtąd woda. Nie potrafię nic z tym zrobić. Zużyłam każdy ręcznik i gazetę w mieszkaniu. Zniszczyłam buty. Gdzie byłeś?

- Spotykałem się z klientami - odpowiedział Lloyd, czując, iż odpowiedź „oglądałem mecz krykieta” nie zostałaby zbyt mile przyjęta. Delikatnie wyjął młotek z jej dłoni. - Powinnaś była wezwać hydraulika.

Betsy uderzyła się w czoło jak w pantomimie.

- Ach, dlaczego, o tym nie pomyślałam? - Przeszyła go wzrokiem pełnym wściekłości. - Albo nie podnosili słuchawki, albo obiecywali, że przyjdą jutro z samego rana. - Twarz jej przybrała wyraz bezradności. - Co to za kraj? Najpierw ten okropny kot, teraz powódź. Następna będzie plaga ropuch. Lloyd położył uspokajająco dłonie na jej ramionach. Nie była to spokojna, radząca sobie, dobrze mu znana Betsy.

- Idź i połów się, i nie przejmuj niczym. Weź moją marynarkę. Pójdę zbadać, w czym problem. Jeśli nie potrafię tego naprawić, pójdziemy do hotelu. - Pogładził palcem jej policzek. - A teraz zmykaj.

W holu na stercie mokrych gazet stała wyciągnięta skądś drabina. Na dolnym schodku leżała mała latarka, należąca do podstawowego wyposażenia podróżnego Betsy. Lloyd wziął latarkę i wszedł po drabinie na strych. Znajdował się tam zbiornik pełen wody. Lloyd przeszedł uważnie pod belkami i poświecił do środka. Woda niewątpliwie się lała; zawór, który miał się zamykać, kiedy zbiornik był pełen, znajdował się pod powierzchnią. Lloyd podwinął rękaw koszuli i sięgnął, aby go wyciągnąć. Strumień wody natychmiast przestał płynąć. Przeszukał kieszenie i znalazł gumkę. Czując się zadowolony z siebie, umocował zawór na miejscu. Będzie musiał postarać się jutro o nową część, ale ta prowizorka na razie wystarczy.

Pozbierał brudne przemoczone ręczniki, zszedł po drabinie, złożył ją i wsunął na górę na miejsce przy wejściu na strych. Biedna Betsy, Anglia działała jej na nerwy. Nie zwiedziła niemal żadnych zabytków, twierdząc, że samotne spacerowanie to żadna przyjemność. Lloyd zakładał, że spędza całe dni, pracując nad swoją rozprawą, ale do tej pory nie ośmielił się zapytać o postępy. Widział, że najbardziej ożywiła się, opowiadając mu o zabranii do weterynarza owego kota intruza, aby go zlikwidować. Lloyd nigdy nie widział tego zwierzęcia. Zastanawiał się nawet, czy to przypadkiem nie jakaś niesamowita halucynacja objawiająca stan jej umysłu.

Zdecydowany znaleźć jakiś sposób, aby wynagrodzić to wszystko Betsy, Lloyd posprzątał bałagan, wepchnął brudne ręczniki do toreb na śmiecie i poszedł do niej. Leżała na kanapie w salonie z nogami przykrytymi kocem, oglądając telewizję.

Lloyd podniósł ręce w geście prawdziwego mężczyzny.

- Naprawiłem - uśmiechnął się promiennie.

## *Zupełnie obcy ludzie 120*

- Dzięki Bogu.

- Chodź, musimy teraz coś zjeść.

- Nie bądź śmieszny, nie mogę wyjść w takim stanie. Poza tym właśnie zaczyna się mój ulubiony program. Spróbował jeszcze raz.

- Dobrze, pójdę do tamtej hinduskiej restauracji, w której sprzedają jedzenie na wynos. Możemy zjeść tutaj, odpocząć i razem obejrzyć telewizję.

Curry nie było udane. Lloyd przyniósł go za dużo i musiał zjeść większą część sam, gdy Betsy skubała chleb i oburzała się z powodu szokującej swobody, z jaką w brytyjskiej telewizji mówiono o seksie. W końcu otarł usta i powiedział:

- Sądzę, że powinienem zadzwonić do Susanny Wilding, aby zawiadomić ją o awarii.

- Wątpię, czy ją to obchodzi, sądząc ze stanu, w jakim znajduje się mieszkanie. - Betsy ziewnęła. -

Mam zamiar się położyć. - Wstała z kanapy, starannie złożyła koc i ruszyła w stronę drzwi. - Może zapytasz ją, jak działa odkurzacz, aby sprawdzić, czy do tej pory już go znalazła? I upewnij się, czy podlewa rośliny. - Jej twarz **się** zachmurzyła. - Mam nadzieję, że nie zaludniła mieszkania zaprzyjaźnionymi mężczyznami.

Dziwnie było wykręcać własny numer telefonu i usłyszeć, jak obcy głos mówi „słucham”.

- Czy to Susanna Wilding?

- Tak. Kto mówi? Lloyd się przedstawił.

- Och, witaj. - Sądząc z głosu, nie była zainteresowana rozmową o mieszkaniu.

Ledwie Lloyd zaczął wyjawiać hydrauliczny dramat, już mu przerwała.

- To mnie zrujnuje. Oznacza to setki funtów wywalonych po to, by sprowadzić kogoś, kto tylko rzuci okiem. Nienawidzę hydraulików, a ty?

Usłyszał westchnienie i niemal chlapanął, że to wcale nie jego wina.

- Czy mógłbyś być tak miły i naprawić ten zbior-



126 *Robyn Sisman*

nik? - mówiła dalej w swój grzeczny angielski sposób.

- Zwrócę ci pieniądze.

- Nie, nie trzeba. Już naprawiłem. Chciałem tylko, abyś wiedziała, co się stało. Jeden z dywaników jest trochę wilgotny, ale nie ma poważnych szkód. Poradziłem sobie z tym przeciekiem.

- Co, ty sam? - Wydawała się zaskoczona.

- Nie było to zbyt trudne - zaczął Lloyd skromnie.

- Zajrzałem tylko.

- O Boże, teraz zaczną się opowieści o kołach zębatych lub trybikach. Szczerze mówiąc, nie chcę nic wiedzieć. To oczywiste, że jesteś geniuszem, a ja właśnie szykuję się do wyjścia. Nie mówmy o tym więcej, dobrze? Lloyd poczuł, że utarło mu nosa.

- Prawdę mówiąc... - zaczął z godnością.

- Prawdę mówiąc, będę się chyba dobrze bawić dziś wieczorem. Ostrygi, szampan... To mi o czymś przypomina: wiem, że spóźniłam się o kilka dni, ale wszystkiego najlepszego z okazji urodzin!

- Skąd wiesz?

- Przyszła pocztówka. Nie zebrałam się jeszcze, aby ją odesłać. Przepraszam. Proszę poczekać, a ją przeczytam. - Odłożyła z łoskotem słuchawkę. Lloyd usłyszał szelest i niecierpliwy okrzyk, gdy coś z hukiem spadło na podłogę. - Karta jest z Palm Beach z Florydy - błękitne morze, drzewa palmowe, zwykły zestaw -i jest na niej napisane: „Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin od kochającego ojca”. Lloyd poczuł, że cały sztywnieje. „Kochający” ojciec, a to dobre.

- Czy mam ją odesłać? - spytała. -Nie.

- W porządku, położę ją na biurku.

- Nie! Nie chcę. Proszę ją wyrzucić.

- Ale jest od twojego ojca. - Przez chwilę trwała pełna zakłopotania cisza. - Ja przechowuję wszystkie karty od taty.

*Zupełnie obcy ludzie 122*

Czy ta dziewczyna nie wie, kiedy się zamknąć? Lloyd zmusił się do śmiechu.

- Chcę powiedzieć, że to tylko pocztówka. Do ciebie także przyszła poczta - powiedział szybko. - Zaproszenie, jak sądzę. Kwadratowa koperta. Wygląda na to, że w środku jest jakaś ważna informacja.

- Jakie ekscytujące! Mógłbyś ją otworzyć? Lloyd odszukał sztywną kremową kopertę.

- To wiadomość o narodzinach dziecka - wyjaśnił, rzucając okiem na kartę. - Lawrence'owi i Aramincie Selfom urodziła się córka, Gioconda Lucia. To jest dopiero imię i trzeba się postarać, by żyć odpowiednio do niego... Czy nadal tam jesteś?

- Tak, jestem - odpowiedziała, jak pomyślał Lloyd, raczej gwałtownie. - Czy przypadkiem nie podają wagi? Może ma gabaryty małego słoniątka i od razu kły?

Lloyd miał wrażenie, że traci grunt pod nogami.

- Pięć kilogramów i dwieście gramów. Czy to dobrze?

- Bardzo zadowolające, dziękuję. I to również możesz wrzucić do śmieci.

Lloyd zdecydował się zmienić temat. <sup>x</sup> - Jak tam w pracy?

- Bardzo dobrze. Chociaż przeżyliśmy ciężkie dni w związku z zaproszeniami dla Matsuhany, i to dzięki tobie. Pracuję nad specjalnym projektem z Sheri Crystal.

- Co to za projekt? - Co miała na myśli, mówiąc: „dzięki tobie”?

- Nie wolno mi powiedzieć. To poufne.

- Nie dla mnie, na miłość boską. - Lloyd się roześmiał. -W końcu jestem szefem Sheri.

- Naprawdę? - zapytała tonem, który uznał za irytująco niejasny. - Słuchaj, muszę już iść. Niezwykle ważna randka i tak dalej. Możesz mi szybko powiedzieć, jak się ma Pan Kipling?

- Kim, u diabła, jest Pan Kipling? Nie sądzę, abyśmy już go poznali. Chyba że to ten stary aktor mieszkający obok, zakochany w swoich kwiatach.

Rozległ się niski śmiech.

*128 Robyn Sisman*

- Proszę się nie wygłupiać. Pan Kipling to mój kot - no cóż, prawdę mówiąc, nie mój, ale w pewnym sensie adoptowaliśmy siebie nawzajem i...

Lloyd opuścił słuchawkę telefoniczną i trzymał ją przy piersi, by stłumić głos Susanny Wilding. O Boże,

**O** wszyscy święci pańscy! A więc to był Pan Kipling! Czuł, jak wzbiera w nim nierozsądny, niepohamowany gniew na kobiety. Dlaczego Betsy nie zapytała kogoś, zanim zawiozła tego cholernego kota do uspienia? Dlaczego ta Susanna Wilding nie mogła wyjaśnić, że Pan Kipling ma cztery nogi i mówi „miau”?

- ...wystarczy odrobina mleka i resztki - ciągnęła. Miała pogodny głos, lecz słuchanie jej sprawiało Lloydowi ból, gdy tłumaczyła tak pośpiesznie, nieświadoma tego, co się stało. Nie potrafił w żaden sposób powiedzieć jej, że kota nie ma już wśród żywych.

W jakiś sposób Lloyd zakończył rozmowę i odłożył słuchawkę. Jego dobry humor ulotnił się bez śladu. Zrobił sobie drinka, irlandzką whisky z wodą bez lodu, i zaniósł go do pokoju, próbując się odprężyć. Jednak pocztówka od ojca go zmartwiła. Martwił się również o pracę. Co zamyślała Sheri? Co ta Wilding miała na myśli, mówiąc o Matsuhanie? Czy Jewel próbował robić aluzje do czegoś? Dlaczego Harry Fox rozmawiał z prezesem Stateside? W końcu Lloyd uznał, że ma tego wszystkiego dość jak na jeden dzień. Wypił resztę whisky i przeszedł do sypialni, szukając pociechy. Na razie nie wspomni jeszcze Betsy o sprawie z kotem. Jakoś sam wyjaśni sytuację. Leżała odwrócona do niego plecami z głową opartą na ręce, czytając w łóżku. Miękkie włosy opadły z jej jasnej szyi. Miała nagie, gładkie ramiona. Lloyd rozebrał się, nie zwracając sobie głowy piżamą, i przytulił się do ciepłych pleców Betsy. Wolno posuwał się w górę jej ręki, pokrywając ją pocałunkami aż do ramiączka koszuli nocnej, i zerknął na Betsy przez ramię.

- Czytasz?

-Tak.

*Zupełnie obcy ludzie 129*

- Dobrą książkę?

- Bardzo dobrą.

- Przeczytasz mi kawałek? Głębokie westchnienie.

- Ach, proszę. Betsy odchrząknęła:

- „Do podejmowanej codziennie przez kobiety wymiany zdań zaliczyć należy szczerze rozmowy o ich pragnieniach i lękach oraz dotykaniu spraw podstawowych - czytała - mężczyźni natomiast przenoszą swe emocje na świat materialny. Obawiając się stracić pracę, kobieta wyrazi swój niepokój drugiej kobiecie; mężczyzna zaś w analogicznym stresującym położeniu kupi nowy samochód. Kobieta może zdobyć się na wyznanie: «czuję się ogromnie zmartwiona», mężczyzna jednak...". Chcesz, żebym czytała dalej?

Lloyd odwrócił się na plecy.

- Myślę, że lepiej zasnę.

Ułożył się, naciągając na siebie kołdrę. Przynajmniej kochali się w dniu jego urodzin. Nie może być zbyt wymagający. W przyćmionym świetle miał wrażenie, że ściany zamykają się nad nim. Na toalecie słabo połyskiwała srebrna ramka. Było zbyt ciemno, by zobaczyć zdjęcie, ale pamiętał śmiejące się usta zdradzające szczerłość i te dziwne włosy w kolorze cynamonu. „Niezwykle ważna randka" - powiedziała zupełnie jak nastolatka. Lloyd zamknął oczy. Czuł się stary jak świat.

## Rozdział trzynasty

Suze leżała na podłodze w sypialni, ciężko oddychając, zupełnie naga, wyjąwszy talk, którym obficie się posypała. Dlaczego, ach, dlaczego pozwoliła Jayowi namówić się na kupno tej gumowej sukienki? Gdy ją wkładała, było tak, jak gdyby próbowała wcisnąć się w szlauch ogrodowy. Kilka chwil temu suknia owinęła się wokół ramion właścicielki, przytrzymując jej ręce i stwarzając zatrważające wrażenie, iż ją zadusi. Przerażoną Suze nawiedziła bolesna i upiorna wizja, jak znajdują w mieszkaniu jej martwe ciało, w oczywisty sposób uznając ją za ofiarę jakiegoś trudnego do zdefiniowania autoerotycznego aktu, podobnie jak pewnych mężczyzn, których znaleziono uduszonych z pomarańczami w ustach.

Suknia sama w sobie była boska, głęboko wycięta, bez rękawów, w kolorze ciemnofioletowym z wyrazistym połyskiem, który cudownie współgrał z jej bladą cerą i żywym kolorem włosów. Znaleźli ją w sklepie z dziwnymi rzeczami w centrum East Village podczas raczej długiej przerwy obiadowej. Nadal widziała pełne podziwu spojrzenie na twarzy Jaya, gdy wyszła uroczystym krokiem z przymierzalni, i słyszała ton jego głosu, gdy powiedział:

- Nie wiem, co chcesz udowodnić tej figurze, jaką jest Nick, ale wyglądasz wystrzałowo.

A ona wyrzuciła z siebie:

- Nie pragnę niczego udowadniać. Ja jestem wystrzałowa.

### *Zupełnie obcy ludzie 126*

Jeszcze raz posypała się talkiem, wcisnęła suknię przez głowę i tym razem zdołała rozwinąć ją wolno wzdłuż ciała, jednocześnie wygładzając zmarszczki. Fiu! Zbyt późno, by teraz się zastanawiać, jak potem ją zdejmie. Najpierw starła ręcznikiem ślady palców i talku, a następnie dokończyła makijaż i przeczesała włosy z dołu do góry, tak że kiedy odrzuciła je do tyłu, powiewały jak brązowa grzywa. Z butami w ręce przeszła korytarzem do salonu i stanęła na kanapie, aby sprawdzić w lustrze, jak wygląda. Super! Pod warunkiem, że nie usiądzie ani się nie schyli. I nie będzie oddychać. Już wcześniej Suze włączyła jakąś muzykę, aby wprawić się w odpowiedni nastrój i psychicznie przygotować na imprezę. Teraz nie mogła się oprzeć pokusie, by nie wymachiwać rękami i nie podskakiwać lekko na poduszkach, wykrzywiając się do własnego odbicia. Szczęśliwa piszczała „like a virgin”, kiedy zabręczał domofon.

Był to Raymond, portier.

- Pani samochód już przyjechał, pani Wilding -oznajmił podejrzenie powściągliwym tonem.

- Co chcesz powiedzieć przez: „pani samochód”? Czy nikogo nie ma w środku?

- Jest tylko szofer.

A to heca! Suze zapięła paseczki pantofli, po raz ostatni skropiła się perfumami i zjechała windą do holu. Gdy wyszła po długim dywanie na ulicę i zobaczyła, jaki pojazd czeka, otworzyła szeroko oczy. „Samochód” to nie było właściwe słowo. Potężna limuzyna z oknami z przyeimmunego szkła i szoferem w liberii przytrzymującym otwarte drzwiczki dłonią w rękawiczce. Wymieniając w przelocie z Raymondem porozumiewawcze spojrzenie, pełna szalonej radości Suze wsunęła się do środka. Drzwi zamknęły się z kliknięciem, wskazującym na cenę auta.

Wnętrze przypominało plac zabaw dla dorosłych. Dwa długie wyściełane siedzenia z białej sztucznej skóry umieszczono naprzeciw siebie na małym traw-

niczku puszystego dywanu, który pachniał silnie od-świeżaczem powietrza. Z przodu kolejna tafla palonego szkła oraz zasłona ze złotymi frędzlami ukrywała kierowcę przed wzrokiem pasażerów; na tylnej półce znajdował się telefon i faks. Niemal na całej jednej ścianie samochodu stał barek z oszklonymi półkami, plastikowymi kieliszkami do szampana oraz różowymi papierowymi serwetkami ułożonymi w wachlarz i przymocowanymi do zadka pawia z drutu. Różnokolorowe patyczki do koktajli wystawały z głowy pawia, naśladując jego czub z piór. Po drugiej stronie znajdował się ogromny ekran telewizyjny i coś, co wyglądało na aparaturę stereo. Suze ostrożnie wcisnęła jeden z guzików i stwierdziła, że ogląda jakąś operę mydlaną po hiszpańsku, w której udział brali przesadnie wystrojeni ludzie z wyższych sfer, zwracający się do siebie tonem hamowanej wściekłości.

- Przepraszam - odezwał się jakby spod ziemi jakiś głos. Suze podskoczyła w poczuciu winy i wyłączyła telewizor. - Pan Bianco przepraszam, że nie wyjechał na spotkanie osobiście.

Nieoczekiwanie powstał jakiś problem w klubie. Spotka się z panią na miejscu. Tymczasem proszę korzystać z udogodnień w samochodzie.

- Dziękuję - odpowiedziała Suze nieśmiało do małej skrzynki, którą zlokalizowała na suficie. Otworzyła pokrytą lustrami i niesamowicie oświetloną szafkę z koktajlami. Wewnątrz znajdowały się miniaturowe alkohole i mieszarki wszelkiego rodzaju, małe paczuszki palonych orzeszków oraz wiaderko z lodem i cudowną małą buteleczką szampana spoczywającą w środku. Czy to było „udogodnienie w samochodzie”? Suze uznała, że z całą pewnością tak. Zdjęła korek i naląła sobie pienisty płyn do kieliszka. Smakował bosko. To dopiero życie. Najpierw usiadła po jednej stronie, a następnie po drugiej, a później położyła się na tylnym siedzeniu, leniwie obserwując przesuwane się za oknem budynki. Kiedy samochód zatrzymał się na czerwonym świetle, zobaczyła, jak plebs wy-

### *Zupełnie obcy ludzie 128*

tęża wzrok, aby zajrzeć przez okno, przez które można było patrzeć tylko z jednej strony, jak gdyby ogromna limuzyna mogła wieźć Yoko Ono lub Iwanę Trump. Suze wykrzywiła się do przechodniów, wiedząc, że i tak nie mogą jej zobaczyć. Telefon leżał kusząco w zasięgu jej rąk. Ani rodzice, ani nikt z jej londyńskich przyjaciół nie byłby uszczęśliwiony, gdyby obudziła ich w środku nocy tylko po to, by się pochwalić, więc po prostu dla zabawy zadzwoniła do zegarynki i słuchała głosu, który oddzielając słowa poinformował ją, że jest dokładnie trzecia piętnaście.

Skrzynka na suficie zatrzeszczała.

- Już prawie jesteśmy na miejscu, proszę pani. Suze opróżniła kieliszek, wytarła usta serwetką i wyjrzała. Zobaczyła błyskające światła i mrowie ludzi wrzeszczących coś wokół ogrodzonego sznurem wejścia, którego pilnował mężczyzna o sylwetce przypominającej wielką lodówkę. Suze poczuła ogarniający ją niepokój. Przypomniała sobie wszystkie te sytuacje, kiedy zgodziła się spotkać z Lawrence'em na przyjęciu tylko po to, aby spędzić pół godziny, krążąc z drinkiem w rę-^ku, zanim odkryła, że schował się gdzieś w kącie z serdecznym kumplem. Jak teraz uda się jej znaleźć Nicka? Gdy limuzyna bezszelestnie stanęła przy krawężniku, tłum odwrócił się, aby zobaczyć, co to za sławna osobistość przybywa. Wszyscy byli bardzo młodzi i bardzo piękni. Suze miała ochotę paść na podłogę i poprosić kierowcę, aby wysadził ją gdzieś z tyłu, lecz było już za późno. Drzwi się otworzyły, rozległy się okrzyki. Następnie pojawiła się jakaś ręka, chwyciła jej dłoń i delikatnie pociągnęła na chodnik. A tam stał Nick, tak bardzo chłopięcy i czarujący w swym kremowym garniturze, i przyglądał się jej z niekłamanym zachwytem.

- Jak mogłem pozwolić, abyś przyjechała sama? - wymawiał powoli kolejne słowa, zwracając się do siebie z wyrzutem i obracając ją, aby podziwiać ze wszystkich stron. - Jestem prostakiem, chamem i kompletnym idiotą. Czy kiedykolwiek mi przebaczysz?



Suze straciła nagle całe swoje poczucie humoru.

- Myślę, że tak - uśmiechnęła się nieśmiało.

Nick prowadził ją przez tłum, który cofał się z szacunkiem. Jakiś wykidajło otworzył obite skórą drzwi i weszli do środka. Uderzyła ją ściana dźwięków. Ogromna przestrzeń nieodparcie kojarzyła się z halą fabryczną. Z kolorowych lamp zwisających z wysokich stropów plamy światła padały na obracające się i wymachujące sylwetki ludzkie, nadając im karmazyno-wy, srebrny i akwamarynowy odcień. Suze zobaczyła kobiety mające na sobie przezroczyste suknie, plastikowe spodnie, atlasowe wycięte topy i kółka narysowane wokół pępka; mężczyzn w skórzanych, ciasnych czarnych koszulkach, drelichowych kamizelkach, rozpiętych, aby zaprezentować płaskie brzuchy. Na górze na wybiegu tańczył jakiś transwestyta - powtarzał te same ruchy niczym w transie, huśtając się na kilkucentymetrowych platformach, i od czasu do czasu rzucał w tłum lizaki. Suze starała się usilnie nie wybałuszać oczu na jego lub jej piersi z pleksiglasu, w środku których, jak była całkiem przekonana, widziała pływające złote rybki. Wokół parkietu do tańca na ogromnych ekranach wyświetlano dziwne surrealistyczne obrazy: wilki biegnące po śniegu i wytatuowanych muskularnych mężczyzn wykonujących cyrkowe sztuczki. Suze czuła, jak pulsująca muzyka wali pod jej stopami i wygina ciało.

- Chodźmy wyżej. - Poczowała ciepły oddech Nicka tuż przy swoim uchu.

Spoglądając do góry, zobaczyła, że całe pomieszczenie otacza rozległy balkon, do którego można się dostać schodami z balustradą ze stali. Znajdował się na nim bar; stoliki były odgródzone od siebie ściankami, tworzącymi boksy, gdzie ludzie mogli pić, tulić się do siebie czy też całować oraz obserwować całe przedstawienie poniżej. Nick owinał sobie wokół ramienia rękę Suze i poprowadził dziewczynę po zatłoczonych schodach. Wydawało się, iż wszyscy go znają, włączając w to

### *Zupełnie obcy ludzie 130*

niepokojącą liczbę niezwykle pięknych kobiet. Na górze poczuła, jak ściska ją ostrzegawczo.

- Uważaj, to typowy tłumek ludzi obżerających się surowymi marchewkami i wygadujących niestworzone rzeczy na swoich agentów. Szybko, schowajmy się. - Pociągnął ją do jednego z otoczonych ściankami stolików, usadził na miękkiej ławie i zajął miejsce naprzeciwko. - Czasami jestem już zmęczony własną uprzejmością.

Suze przesunęła się po łaskoczącym aksamicie. Miała wrażenie, że znalazła się w jakiejś ciepłej tajemniczej grocie. Jeśli przysuną się do siebie, będą mogli nawet usłyszeć, co do siebie mówią.

Natychmiast pojawił się obok nich mężczyzna z długimi sterczącymi lokami, w przepasce na biodrach zrobionej z pociętych fragmentów metalu, które mogły odpaść od pojazdu kosmicznego przy wejściu na orbitę.

- Proszę dwie wódki i sok żurawinowy - Nick złożył zamówienie. - 1 może jeszcze jedną z tych małych porcji kawioru, która postawi nas na nogi. - Podniósł głowę, patrząc na Suze. - Czy ci to odpowiada? - Wspaniale.

Nawet w tym klubie, gdzie panował niesamowity, złowrogi nastrój, kojarzący się z praktykami magicznymi, Nick emanował złotym blaskiem. Jego oczy były szczerze i pełne ciekawości, usta jakby stworzone do uśmiechu. Wyglądał tak, jak gdyby wyrósł na stekach, kukurydzy i blasku słońca. Mogła niemal wyczuć ciepło jego ciała.

- Czy mówiłeś, że ten klub dopiero co otworzyli? - spytała, starając się mówić spokojnym tonem. - Zdaje się cieszyć ogromnym powodzeniem.

- W zeszłą sobotę - przytaknął Nick. - Mieliśmy tu pokaz mody, rapującego artystę, dyskdzokeja homoseksualistę, który upierał się co do specjalnego gatunku wody mineralnej. Pieprzone pandemonium.

Suze oparła łokcie na stoliku.

- A co dokładnie robi człowiek zajmujący się organizacją przyjęć?

*136 Robyn Sisman*

- Gwarantuje, że pojawi się odpowiedni zestaw gości. Dba o to, aby coś się działo. Sprawdza, czy wszystkie komponenty są właściwe - ludzie, muzyka, jedzenie, tło.

- Ale w jaki sposób to robisz?

Nick sięgnął po krakersa i zaczął rozsmarowywać na nim kawior.

- Przede wszystkim rozmawia się z ludźmi. Najpierw trzeba poznać nowe modelki, szczególnie te nieznanne ogółowi. Zazwyczaj śpią na piętrowych łóżkach w jakimś potwornie zatłoczonym mieszkaniu i aż piszczą, aby się gdzieś wcisnąć i poznać ludzi: wydawców magazynów, producentów filmowych, bogatych facetów, którzy mogą ułatwić im kariery. - Posypał kawior posiekaną cebulką i jajkiem. - I oczywiście wszyscy nadziani faceci chcą poznać modelki. Następnie są domy mody, które zawsze szukają jakiejś imprezy, aby jak najlepiej przedstawić swoje kolekcje. Zawsze znajdzie się też jakaś wytwórnia muzyczna, pragnąca po raz pierwszy zaprezentować nową piosenkę. Ja po prostu mieszam razem wszystkie te składniki i bingo! Ciągła zabawa. Proszę, spróbuj tego. - Podał jej swojego krakersa.

Suze ugryzła kawałek, chichocząc, gdy okruszki wpadły jej za dekolt sukni. Próbowała dyskretnie je strzepnąć i przyłapała Nicka na tym, że ją obserwuje.

- Ekstrawagancka sukienka, co? - zaśmiała się nerwowo.

- To nie na sukienkę patrzyłem.

- A więc, wracając do twojej pracy, czy oznacza to, że znasz dużo gwiazd filmowych?

- Jasne. Powiedzmy, że wszystkich bywalców. Są to równi faceci, lecz nie mają orientacji w naszym środowisku. Tak więc dzwonią do mnie i lokują ich gdzieś na noc, upewniam się, że gość w drzwiach wie, iż przyjeżdżają, wyszukuję im jakieś kobiece towarzystwo, a później wypycham towarzystwo tylnym wejściem, jeśli paparazzi ich wywęszą.

### *Zupełnie obcy ludzie 132*

- A co się dzieje, jeśli przyjeżdża tu Demi lub Sharon czy też Winona? - zapytała Suze prowokacyjnie.

-Czy traktowane są w taki sam sposób?

Nick śmiał się uroczo przez dłuższą chwilę. Wyciągnął rękę i pieszczotliwie pogłaskał ją po policzku ciepłą dłonią, co sprawiło, że jej całe ciało zaczęło się topić.

- Nie dokuczaj mi. - Napełnił jej kieliszek. - Teraz opowiedz mi o sobie. Chcę poznać każdy szczegół, od kiedy się urodziłaś do chwili, gdy włożyłaś na siebie tę oszałamiającą suknię.

Suze przerzuciła pasmo swoich włosów na drugą stronę, pozwalając, by unosiły się swobodnie nad okiem.

- A więc... - zaczęła - przede wszystkim powinieneś wiedzieć, iż naprawdę nie nazywam się Susanna ani Suze, ale S-i-o-u-x-i-e - oświadczyła. - Moi rodzice poznali się na koncercie muzyki pop w latach sześćdziesiątych. Mieli zaledwie po dwadzieścia lat, kiedy się urodziłam. Żenujące, prawda?

Jednak Nick najwyraźniej uznał to za fascynujące. Stopniowo wyciągnął z niej całą romantyczną historię " o tym, jak jej rodzice spotkali się, mając po dziewiętnaście lat. Matka była zbuntowaną uciekinierką z klasy średniej, ze sfery pijącej gin z tonikiem, a ojciec synem górnika marzącym o innym życiu. Zakochali się w sobie od pierwszego wejrzenia, zamieszkali razem w kawalerce w Londynie i w końcu, przetrwawszy ognistą dezaprobatę obu par rodziców, wymienili kółka od zasłon zamiast obrączek i wzięli ślub. Suze urodziła się dziewięć miesięcy później. Spała w szufladzie, a nie w kołysce, i ze ścierkami zamiast prześcieradełek.

- A po kim odziedziczyłaś swoje wspaniałe włosy? - Nick złapał jedno grube i długie pasmo, pozwalając, aby przeleciało przez jego palce. Suze czuła mrowienie w szyi.

- Po ojcu, który jednak teraz siwieje. Matka była blondynką, włosy sięgały jej poniżej talii. Oboje odznaczali się wielką urodą.

### *138 Robyn Sisman*

- Idę o zakład. Z czego żyłście?

- Ojciec kupił pierwszy aparat fotograficzny, kiedy miał piętnaście lat. Oczywiście wszyscy w hrabstwie Der by myśleli, że to tylko smarkacz pozujący na artystę. „Ten chłopak nigdy do niczego nie dojdzie, skończy na tym, że fotografować będzie kompozycje kwiatowe i podobne rzeczy” ... Jednak miał prawdziwy talent. Dostał pracę jako asystent w ciemni fotograficznej i wkrótce robił zdjęcia takich ludzi jak Twiggy czy Marianne Faithfull. Prawdę mówiąc, był nawet kiedyś całkiem sławny.

Dużymi łykami popijała drinka, przypominając sobie przyjęcia ze świecami i laseczkami kadzidła oraz zdumienie, gdy znalazła dorosłych leżących spokojnie na podłodze. Nigdy nie czuła się zaniedbana, po prostu brała udział w zabawach rodziców. Zabierali ją na wędrowki po Afryce Północnej i na greckie wyspy, w zaczarowane miejsca pełne ciepła i koloru, gdzie można było chodzić na bosaka i jeść nagrzane słońcem soczyste owoce prosto z drzewa. Opowiedziała Nickowi, że pewnego razu umyła ją na dziedzińcu w fontannie wyłożonej kafelkami przedstawiającymi złote delfiny w turkusowym morzu i o tym, jak leżała w śpiworze na piasku, przyglądając się płomieniom obozowego ogniska i przysłuchując, jak ktoś gra na gitarze.

Przerwał im piskliwy sygnał. Nick jęknął, wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy i przycisnął do ucha. Słuchając czyjegoś głosu, uniósł przepaszająco brwi i popatrzył na Suze, sygnalizując jej swą bezradność.

- Mort, dziecinko, jak się masz?

Zamiast się nudzić, czekając, aż skończy, Suze skorzystała z okazji, aby pójść do przypominającej betonowy bunkier damskiej toalety, którą znalazła w piwnicy.

Dwie olbrzymki z długimi rękami przyglądały się sobie w lustrze, poprawiając identyczne fryzury blond i poruszając się w takt muzyki z parkietu. Ich oczy zwróciły się na ułamek sekundy w stronę Suze i natychmiast ją ominęły. Gdy Suze zamknęła się w kabin-

### *Zupełnie obcy ludzie 134*

ce, słyszała, jak kontynuują rozmowę, jak gdyby ona nie istniała.

- No i co powiedział? - odezwał się zaspany dziecienny głosik.

- Zapytał, czy chcę z nim pojechać na tydzień na jego łódkę na południe Francji. - Drugi głos ociekał pogardą. - Przypadkowo wiem na pewno, że stracił wszystkie pieniądze na jakimś przedsięwzięciu na Wall Street i nie jest nawet właścicielem tej żaglówki. Jak miałabym rozłożyć nogi dla takiej niemoty!

- Nie ma o czym mówić! - brzmiała pełna oburzenia odpowiedź. - Nie pocałowałabym nawet faceta wartego mniej niż pięć milionów. Przyszłam tu dziś wieczorem tylko dlatego, że słyszałam, iż Bliss Bogardo ma tu być. Obiecała, że przedstawi mnie fantastycznemu fotografowi, jednak nawet nie zadzwoniła.

- Traktuje tak każdego. Bliss to dwudziestocztero-karatowa suka. Słyszałam, że pojechała do Kalifornii, gdzie zrobili jej cycki.

- Jakie cycki?

Suze słyszała, jak obie prychnęły niczym szympanasy. Nic dziwnego, że Nick woli inteligentną kobietę taką jak ona. Wracając po schodach na górę, stwierdziła, że zagradza jej przejście jakiś śmiesznie przystojny ja-piszon. Obdarzył ją spojrzeniem lidera i oznajmił:

- Chciałbym, abyś była moją sekretarką.

- A ja chciałabym, żebyś był moją - odparowała Suze.

Gdy wróciła, Nick zakończył już rozmowę przez telefon. Kiedy przesuwała się na dawne miejsce, wziął ją za rękę i przyciągnął na ławę obok siebie.

- Skończ swoją historię - powiedział. - Co się stało z tym szalonym dzieckiem z lat sześćdziesiątych? Czy to wywiad? Żaden Anglik nigdy nie był tak nią zainteresowany ani też nie przyglądał jej się tak uważnie.

- Obawiam się, że później wszystko staje się zwyczajne - szkoła artystyczna, kurs projektów komputerowych, pierwsza praca et cetera.

*135 Robyn Sisman*

- A twoi rodzice? Co się z nimi stało?

- Nic się nie stało. - Suze się roześmiała. - Są nadal małżeństwem, nadal w sobie zakochani, mieszkają na obrzeżach Walii. Mój tata uczy teraz fotografowania, ale ciągle ma swojego harleya davidsona i doprowadza nas do szaleństwa, puszczając stare płyty Jimiego Hendrixa. Matka hoduje różne rośliny, specjalizuje się w ziołach. Na tyłach cieplarni ma kilka sztuk konopi indyjskich, tak więc mogą palić trawkę, kiedy myślą, że nie patrzą. Są, oczywiście, zbikowani. Jednak czasami myślę, że to najszcześniejsza znana mi para.

- Zbikowani - powtórzył Nick. - Uwielbiam to. A więc, Siouxi, mając taki wspaniały przykład, jak to się stało, że sama nie uległaś pokusie, by wyjść za mąż w dziewiętnastym roku życia? He masz lat - dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć?

- Coś koło tego. Ale małżeństwo - nie! - Suze odrzuciła głowę do tyłu wojowniczym ruchem. - W dawnych latach ludzie żyli inaczej - wszystko było zabawne i swobodne, i romantyczne. Teraz małżeństwo to taka ciężka praca. Każdy ma obsesję na punkcie własności - dorabiania się domów, mebli, dzieci, posiadania siebie nawzajem. Nie chcę być zamknięta w jednym z tych związków, gdzie pary spierają się, kto wynosi śmiecie, i rzuca się teksty: „Podobał nam się film, prawda, kochanie?”. Jak gdyby nie byli dwojgiem różnych ludzi. Już raczej wolę być stanu wolnego niż trzymać się kogokolwiek, kiedy skończą się fajerwerki. Czy ty też nie wybrałbyś tego?

Suze zwróciła ku niemu twarz i ich spojrzenia się spotkały. Nick patrzył jej w oczy z jakimś zaskakującym podziwem, jak gdyby naprawdę mu się podobała. Suze poczuła przyływ podniecenia i próbowała włączyć swoje systemy obronne. Byłoby szaleństwem zakochać się w kimś takim od razu na pierwszej randce.

Przesunął dłonią w dół po jej nagiej ręce.

- Chodź, zatańczymy - zaproponował.

### *Zupełnie obcy ludzie 141*

Poddała się muzyce i pozwoliła, aby energia wibrująca w pomieszczeniu przepływała przez jej skórę. Rozkoszowała się bliskością spoconych anonimowych ciał. Lawrence lubił taniec, ale sposób, w jaki potrząsał głową i stapał ciężko w stylu lat siedemdziesiątych, w głębi duszy żenował Suze. Nick zginał się i obracał, jego ciało rozluźniało się i falowało. Zostawił marynarkę na górze i mogła zobaczyć ruch mięśni pod koszulą. Chociaż prawie się nie dotykali, jego oczy wpatrzone były tylko w nią. Suze nie mogła się powstrzymać, by nie uśmiechnąć się do niego. Czowała, jak pogrąża się z zachwytem w falach ekscytujących doznań.

Gdy muzyka przechodziła od jednej melodii do drugiej, było jej coraz bardziej gorąco pod drugą skórą, jaką stanowiła jej sukienka. Kiedy obojgu zabrakło już tchu, Nick poderwał ją w obrocie z podłogi, znalazł pojedyncze wolne krzesło w cieniu pod balkonem i przyciągnął Suze na kolana. Czowała, jak wali mu serce - a może to było jej własne? Trzymał ją swobodnie, jego dłoń spoczywała w wygięciu jej talii, i obserwowali innych tancerzy - czy też przynajmniej udawali, że to robią. Suze wiedziała, że Nick na nią patrzy, a następnie obrysowuje palcem linię przy łuku jej policzka i pod brodą, zwracając ją w swą stronę. Przez długą cudowną chwilę wpatrywali się w siebie nawzajem, gdy on delikatnie wodził kciukiem po jej dolnej wardze. Następnie uśmiechnął się leniwie we właściwy sobie sposób i zaproponował:

- Jeszcze jednego drinka?

Tańczyli i pili, pili i tańczyli, aż świat zaczął wirować, i Nick powiedział, że starczy gorąca i hałasu jak na jedną noc. Świeże powietrze było dla Suze dużą ulgą. Ulice opustoszały. Słyszeli jedynie słaby świst opon samochodowych i syrenę tak odległą, że przypominała kojące i romantyczne pohukiwanie sowy. Razem wyszli powoli w ciepłą noc, zataczając się lekko po wielu wódkach. Głowa Suze spoczywała w zagłębieniu ramienia Nicka. Nie wiedziała, gdzie są ani dokąd idą, i zupełnie



*142 Robyn Sisman*

o tym nie myślała. Jej mózg przestał pracować. Wydawało jej się, że ciało ma lekkie i płynie w powietrzu. Chciała zostać w Nowym Jorku już na wieczne czasy.

Przeszli przez ulicę i doszli do jakiegoś skweru. Gdy otoczyły ich drzewa, zrobiło się chłodniej.

- Mam nadzieję, że nie ma tu żadnych nożowników - powiedziała Suze. Jej głos brzmiał dziwnie.

Nick roześmiał się i uściśnął ją uspokajającym ruchem.

- Zawsze tędy chodzę. Kiedy handlarze narkotyków

i włóczędzy już raz cię poznają, to zostawiają potem w spokoju. A zresztą mam jeszcze i to.

Sięgnął do tylnej kieszeni, wydobyl kawałek stali wielkości i kształtu grzebienia i stuknął kciukiem u góry. Wtedy ze środka wyskoczyło cienkie ostrze o niebezpiecznym wyglądzie. Suze wpatrywała się w nie zafascynowana i pełna zgrozy. Zanim zdołała coś powiedzieć, Nick schylił się, ściał czerwoną pelargonie z rabaty i wręczył jej eleganckim gestem.

- Kwiatek dla dziecka kwiatu.

Następnie podeszli do fontanny. Nick usiadł na kamiennym obramowaniu i wciągnął Suze na kolana, trzymając dłonie na jej talii i wpatrując się w nią z taką pasją, że pomyślała, iż buchnie płomieniem.

- Nigdy - powiedział surowo - nie ścinaj włosów. Suze kołysała leniwie biodrami w jego uścisku.

- A jak jest z tobą, organizatorze przyjęć? - Patrzyła mu prosto w oczy. - Powiedz mi, gdzie się urodziłeś i wyrosłeś.

- Ach... - Otrząsnął się z niechęcią. Jego spojrzenie przesunęło się gdzieś obok Suze.

- No, zaczynaj! - Głaskała go po policzku. - Tak będzie sprawiedliwie.

- Nie ma za dużo do opowiadania. Pochodzę z Oklahomy, która słynie z burz piaskowych. Moje życie nie przedstawiało się zbyt różowo: rodzice rozstali się, gdy byłem dzieciakiem. Później, kiedy miałem piętnaście lat, moja matka się zabiła.

### *Zupełnie obcy ludzie 138*

Och. - Suze oparła czoło o jego czoło, zamykając oczy. Opiekuńczym gestem splótła palce na szyi Nicka. - Czy wiesz, dlaczego?

- Była zmęczona i wyczerpana życiem, jak sędzę. Nie zostawiła żadnego listu. Ja udałem się na poszukiwanie ojca, który przebywał gdzieś daleko w Los Angeles. Czasami do mnie pisywał i chwalił się, że pracuje w Hollywood. Kiedy w końcu go wytropiłem, odkryłem, że myje auta na terenie jednego ze studiów filmowych. Tam też na początku pomagałem przy myciu samochodów. Następnie zacząłem pracować jako goniec, przenosiłem scenariusze, odbierałem wiadomości. Nikt nie zwracał uwagi na dzieciaka, ja jednak wszystko obserwowałem. Ludzie kina należą do najbardziej wymagających w całym wszechświecie. Musiałem dowiedzieć się, co nimi kieruje. Nauczyłem się, jak skłonić ich, by mnie polubili.

Suze objęła Nicka mocno, chcąc usunąć z jego twarzy smutek.

- Jak ktokolwiek mógłby cię nie lubić? Zaśmiał się gwałtownie.

- Dlaczego właściwie ci to opowiadam? Zazwyczaj mówię, że jestem z Kalifornii, i na tym poprzestaję. Nikt nie chce słuchać o sprawach innych ludzi.

- A ja chcę.

Suze czule odgarnęła włosy z jego czoła. Zaczęła go całować bardzo delikatnie, najpierw powieki, później zagłębienia na policzkach, a następnie atlasową skórę za uszami. Zanim dotarła do nieodparcie kuszących, wzniesionych do góry kącików ust, oboje już drżeli. Nogi zaczęły się pod nią uginać. Nick wydał z siebie głośny jęk i przycisnął ją mocno, więżąc pomiędzy swymi udami. Zamknął usta na jej wargach. Suze czuła, jak jego ręce ześlizgują się w dół po jej plecach i owijają wokół bioder, i przyciągnęła go do siebie. Fale gorąca przepływały po jej skórze. Chciała się położyć. Usłyszeli dziwny dźwięk. Nick sięgnął do kieszeni, najpierw nastąpiło jakieś szarpnięcie, później plusk,

*139 Robyn Sisman*

w końcu zaś nastąpiła cisza. Wrzucił telefon komórkowy do fontanny. Poczuli usta Nicka na swoich i jego gorący oddech, gdy szepnął:

- Chodźmy do domu.

Nie potrafiłaby powiedzieć, jak daleko szli lub jak długo, zanim potykając się nie stanęli na drewnianych schodach. Na górze Nick oparł ją ostrożnie o drzwi, wyjmując klucz. Pijana z pożądania Suze patrzyła w rozmarzeniu, jak pochylił głowę, aby manipulować przy zamku.

- Kocham twoją szyję. - Usłyszała samą siebie, wypowiadając te słowa.

Następnie znalazła się w przestronnym pokoju, tonącym w srebrzystej poświacie, po którym przesuwały się czarne cienie. Usta Nicka zdążyły w dół po jej szyi.

- Nie tak bardzo, jak ja kocham twoją - zamruczał. - Jak mam cię z tego wydobyć?

Czuła, jak szarpnął przód sukienki, a następnie przesuwał ręce w górę po udach Suze. Wygięła się jedynie do tyłu i zamknęła oczy, pozwalając jego wędrującym ręką, by działały, a wszystko w jej wnętrzu drżało.

- Myślę - odezwał się ochrypły głos do jej ucha - że obiorę cię jak pyszny soczysty owoc.

Usłyszała ostry trzask i poczuła coś lodowatego na nagim ciele. Otwierając oczy, zobaczyła ostrze noża Nicka spoczywające w zagłębieniu pomiędzy jej piersiami. Zadrżała. Cienkie ostrze przecięło spiczasty dekolt sukni i bezszelestnie przeszło przez gumę niczym nóż przez masło.

## Rozdział czternasty

Boże, dlaczego wypięła tamtą obrzydliwą różową wódkę? Kimkolwiek był ten, kto wymyślił pracę, powinien zostać rozstrzelany wraz z oprawcą, który włożył jej głowę w imadło i zapomniał odkręcić. Suze rzuciła niepewne spojrzenie na bladego karła w lustrze windy i jęknęła. Zostawiła żołądek gdzieś w okolicy trzeciego piętra i w dodatku straciła władzę w nogach. Czy można dostać artretyzmu w trzydziestym drugim roku życia?

Poruszając się niczym lunatyk, zlokalizowała swoje biurko, zdjęła marynarkę i powiesiła ją na wieszaku, krzywiąc się z bólu, gdy usłyszała metaliczny dźwięk. Marynarka wysunęła się jej z rąk, ale schylenie się raczej nie należało do ulubionego bieżącego repertuaru czynności Suze. Po omacku poszła korytarzem do automatu z kawą. Dzbanek był pusty.

- Co się stało? - zapytał sardoniczny głos. - Czy ktoś umarł?

Odwracając się ostrożnie całym ciałem, by nie złamać szyi, Suze zobaczyła, że Dee Dee obserwuje ją ze złożonymi rękami.

- Tylko mój mózg - wykrakała ochrypłym głosem. Wyciągnęła rękę po dzbanek z kawą, niezgrabnie wzięła go w palce i upuściła z trzaskiem na podłogę, rozrzucając fusy wokoło. Bardzo powoli opadła na podłogę i na czworakach zaczęła zbierać śmiecie do plastikowej filiżanki. W tej pozycji czuła się nieznacznie le-

*146 Robyn Sisman*

piej, co wydawało się dość zabawne. Być może będzie mogła pozostać tak przez cały dzień niczym jakiś nowy rodzaj biurowego zwierzątka. Mogłaby też udawać, iż właśnie nawróciła się na islam i musi nadrobić zaległości w modlitwie. Próbowała dotknąć głową podłogi, tylko po to, by stwierdzić, jakie to uczucie. Au! Wtedy poczuła czyjeś ręce na ramionach, które podniosły ją do góry. Dee Dee poprowadziła ją z powrotem do gabinetu. Suze opadła z wdzięcznością na krzesło z wysokim oparciem.

- Dziękuję ci, Dee Dee. Jesteś bardzo uprzejma. - Leciutko skinęła głową jak królowa matka. Nadal bolało. - Masz kaca - rzuciła oskarżycielskim tonem asystentka.

- Sza! - Suze podniosła chwiejny palec do ust. - Tylko nie mów Sheri. Mam ważne spotkanie dziś rano. Najważniejsze ze wszystkiego. Muszę błyszczeć.

- Hmm. Poczekaj tu.

To jedynie mogła zrobić. Wyłącznie siłą woli Suze starała się nie zwracać uwagi na zwykłe biurowe hałasy. Czas mijał. Czowała w sobie tyle energii co ślimak.

- Ach! - Aż podskoczyła, gdy zadzwonił telefon. Wepchnęła go do szuflady.

Wróciła Dee Dee, niosąc szklankę o złowróżbnym wyglądzie.

- Pan Schneider był jakiś czas temu na diecie po-midorowo-cytrynowej - wyjaśniła. - Wiedziałam, że znajdę jakieś resztki w lodówce zarządu. I nie martw się o Sheri, jest na konferencji z szefem i jakąś grubą rybą. Suze wzięła z rąk dziewczyny szklankę i zajrzała do środka. Zawartość przypominała pomyje.

- Co jeszcze tu jest?

- Nie pytaj.

Zamknęła oczy, zatkała nos i wypła całą porcję. Fu! Obrzydliwy napój ubrudził jej usta, a żołądek spazmatycznie się skurczył. Skronie Suze płonęły. Później zaś mała bomba rozsadziła czubek jej głowy. Otworzyła

### *Zupełnie obcy ludzie 142*

szeroko oczy. Poczuała się... lepiej. Ćwiczyła odwracanie głowy z jednej strony na drugą. Tocząca się ołowiana kula, którą sprytnie wszczepiono do jej mózgu, gdzieś znikła.

- Dee Dee, jesteś aniołem! Geniuszem!

Okrągłą twarz dziewczyny rozjaśnił uśmiech. Naprawdę byłaby całkiem ładna, gdyby straciła z dziesięć kilogramów.

- Wyjdźmy i kupmy dla ciebie coś fantastycznego w czasie przerwy na lunch - zaproponowała impulsywnie Suze. - Prezent ode mnie.

- Być może powinnaś najpierw pomyśleć o swym własnym stroju. Czy te spodnie nie są aby trochę za duże?

Suze przyjrzała się sobie uważnie. Zobaczyła spodnie w ceglastym kolorze podwinięte nad pantoflami, włożonymi ostatniej nocy, i ściśniętą mocno w talii męską białą koszulę, zwisającą częściowo pod paskiem, a częściowo nad nim, oraz bawełnianą pasiastą kamizelkę z nierówno zapiętymi guzikami. Do jej świadomości dotarło mętne wspomnienie, że kiedy obudziła się dokładnie w chwili, kiedy powinna być w pracy, nie miała zupełnie co na siebie włożyć, pomijając kawałek plastiku przypominający wypatroszoną torbę na śmieci. Nick starał się najlepiej, jak mógł. Utyskując i potykając się nad jej nagim ciałem, wyciągał jakieś rzeczy z szafy. Powiedział, że wygląda jak Diana Keaton, Suze pomyślała jednak, że znacznie bliższe prawdzie byłoby porównanie do Bustera.

- Czy wyglądam bardzo śmiesznie? - zapytała o zdanie Dee Dee.

- Nie, raczej dość irytująco. Jeśli poprawisz ubranie i poczeszesz włosy, prawdopodobnie mogłoby to ująć jako angielska moda uliczna.

Suze usłyszała w jej głosie uszczypliwą nutę. Uświa damiała sobie, że jej supermodne ciuchy wywoływał; u Schneidera Foxa komentarze, i nie wszystkie był życzliwe. Nowojorczyacy ubierali się szokująco konser-

### *143 Robyn Sisman*

watywnie, przynajmniej do pracy, i Suze szybko stonowała styl swej garderoby.

- Masz na myśli coś takiego, jak ta modna wycięta góra, którą miałam na sobie pierwszego dnia? Zaskoczona Dee Dee uświadomiła sobie, że dała się podejść zniecka, i jej normalny kamienny wyraz twarzy znikł nagle. Podchwyciła spojrzenie Suze, uśmiechnęła się jeszcze szerzej i nagle obie wybuchnęły śmiechem.

- Podobały mi się jednak te buty z wieżą Eiffla. -Dziewczyna westchnęła z rozmarzeniem. - Londyn musi być naprawdę ekstrawagancki, jeśli wszyscy tam chodzą ubrani tak jak ty.

Po piętnastu minutach spędzonych w damskiej toalecie Suze zaczęła się czuć w miarę normalnie. Czym był mały kac w porównaniu z ostatnią nocą? „Dynamit” - tego słowa użył Nick. Zadrzała na samo wspomnienie. Jednak nie była to przygoda na jedną noc. W sobotę zamierzał pokazać jej Nowy Jork; w niedzielny wieczór miał przyjść do niej na obiad. Ogarnęła ją fala szczęścia. Oto była nowa Suze, już nie tamta biedna samotna istota budząca zaciekawienie na proszonych obiadach ani nie obiekt żalonych zabiegów głupich męskich szowinistów w szelkach. Nie jest wariatką czy też wyrzutkiem społecznym. Prawda jest po prostu taka, iż do tej pory nie znalazła właściwego mężczyzny.

O wyznaczonej porze Suze stawiała się u Sheri. Prawie w ogóle nie widywała się z nią od czasu incydentu z Matsuhaną i teraz trochę się bała. Jednak tamta powiedziała tylko:

- Nie do wiary, co za oryginalny strój - a następnie poprosiła Suze, aby zamknęła drzwi.

- Żadnych rozmów telefonicznych, Dee Dee - rzuciła do swojego telefonu tak suchym tonem, że Suze poczuła ukłucie bólu, myśląc o swojej nowej przyjaciółce. - A teraz, Susanno. - Sheri wygięła szyję i odrzuciła io tyłu lśniące włosy. - Przede wszystkim chcę ci po-

### *Zupełnie obcy ludzie 149*

wiedzieć, że doszłam do wniosku, iż w imponujący sposób poradziłaś sobie z zaproszeniem dla Matsuhany.

- Naprawdę? Nie byłaś...

- Wykazałaś się nie tylko inicjatywą, aby przygotować wspólny projekt, ale i taktem, nie dając do zrozumienia, że wśród pracowników Schneidera Foxa istnieje jakaś różnica zdań. - Uśmiechnęła się ciepło do Suze. - Jestem pewna, że rozumiesz, iż w tamtej chwili nie na miejscu byłoby wyrażanie moich prawdziwych odczuć. Mam nadzieję, że teraz przyjmiesz moje podziękowania i gratulacje.

- Oczywiście. - Suze próbowała wyglądać nonszalancko, ale nie mogła powstrzymać pełnego zadowolenia uśmiechu podciągającego do góry jej usta.

- Ze względu na to - mówiła dalej Sheri - iż obecnie sytuacja w firmie jest bardzo poważna, będę musiała całkowicie polegać na twojej pomocy i dyskrecji. - Wyglądała uroczyście. - Nikt w całym biurze nie wie tego, co ci teraz powiem, oprócz Berniego i mnie. Rozumiesz?

Suze skinęła głową. To było ekscytujące. <sup>x</sup> Sheri złożyła ręce na biurku.

- Dotarły do nas pogłoski, że możemy stracić jedno z naszych podstawowych źródeł dochodu. Mówię o liniach lotniczych Passion. Mamy wrażenie, że rozważają przeniesienie się gdzie indziej.

- Ale dlaczego? - Suze nie zdołała się powstrzymać, by nie zadać tego pytania. - Jak mogliby to zrobić? Przecież nasze reklamy zawsze były takie błyskotliwe, i to od samego początku.

- Wiem - zgodziła się tamta. - To nie wydaje się możliwe - i może nie jest. Jednak Passion to nasz najcenniejszy i najbardziej prestiżowy klient i musimy obmyślić strategię, by uniknąć, być może, największego kryzysu w historii Schneidera Foxa. I będę potrzebować twojej pomocy.

- Dobrze - odpowiedziała Suze zdecydowanie. - Ale o co chodzi?



### *150 Robyn Sisman*

Sheri wyjaśniła, na czym polega niezwykła delikatność sprawy. Nie mogła zapytać wprost szefów marketingu Passion, czy odchodzą, ani poinformować pozostałych pracowników o zaistniałym problemie, na wypadek gdyby przeciekły jakieś wieści.

- Klienci nie lubią czuć się niepewnie.

- Co więc można zrobić? - spytała Suze.

- Przekonamy ich, że jesteśmy zbyt dobrzy, aby z nas zrezygnować, to właśnie zrobimy - oświadczyła Sheri konfidencjonalnym tonem. - Po Bożym Narodzeniu Passion otwiera nowe trasy, bezpośrednie przeloty atlantyckie tam i z powrotem z możliwością kontynuowania podróży przez całe Stany.

Potrzebują nowej kampanii, która to wszystko rozreklamuje. Myśleliśmy już o czymś od dłuższego czasu, ale teraz Bernie chce, abym pilnie wprowadziła ten plan w życie. - Sheri miała ważną minę. - Zamierza zorganizować spotkanie z ludźmi zajmującymi się marketingiem w Passion w ciągu następnych dwóch tygodni. Do naszych zadań - twoich i moich - należy wystąpienie z projektem, który zrobi na nich szalone wrażenie. W ten sposób, jeśli podjęli decyzję, by nas zostawić, sprawimy, że zmienią zdanie. Gdyby zaś okazało się, że tak nie jest, okazemy się po prostu nadzwyczaj gorliwi.

- Czy chcesz, abym pracowała nad poważną nową kampanią - abym kierowała nią artystycznie, sporządziła plany, prezentację, wszystko? - Suze prawie nie mogła w to uwierzyć.

- Chcę twojej pracy w każdym aspekcie, Susanno. Nie prosiłabym, gdybym nie myślała, że potrafisz to zrobić.

- Oczywiście, że dam sobie radę.

Nie mogła się doczekać, aż powie o tym Nickowi. Być może na ów obiad ugotuje coś naprawdę egzotycznego, aby uczcić swe nowe zadanie - na przykład homara. Mogliby wysysać mięso z odnóży, a potem, gdy ich usta i palce będą ciepłe i całe w maśle...

- Jest jeszcze jedna sprawa - mówiła Sheri tonem,

### *Zupełnie obcy ludzie 146*

jakiego Suze nie słyszała nigdy wcześniej, niemal jak gdyby była zakłopotana.

- O co chodzi?

- Boże, to takie trudne. - Sheri przycisnęła dłonie do skroni i głęboko odetchnęła. - Chodzi o to, że istnieje możliwość - po prostu nikłe podejrzenie - iż nasz klient nie ma żadnych problemów w pracy z nami jako przedsiębiorstwem, ale nie zgadza się z konkretną osobą w firmie. - Zrobiła znaczącą przerwę.

- Rozumiem. - Suze pomyślała jednak: o czym ona, u licha, mówi?

- Mam na myśli zarząd. -Aha.

- Chodzi, oczywiście, o Lloyda Rockwella. - Po głosie Sheri można było poznać, że jest zdenerwowana. -Ostatnio miały miejsce jeden lub też dwa incydenty, świadczące o tym, że przestał trzymać rękę na pulsie. No cóż, sama to widziałaś przy okazji tamtego zaproszenia. Wiem, iż Lloyd mieszka u ciebie w Londynie, i muszę mieć pewność, że nie wspomnisz mu o naszej nracy.

<sup>x</sup> - Dlaczego miałabym to zrobić? - Suze była zdumiona. - Rozmawiałam z nim tylko raz w życiu.

- Jestem pewna, że nawet nie zamierzałaśbys niczego powtarzać, ale wiesz, jacy są mężczyźni.

Czasami bywają tacy ograniczeni. Potrafią mieć takie ogromne poczucie własności, a ich biedne ego cierpi przy najlżejszym potrąceniu łokciem. I Lloyd... Cóż, tak naprawdę nie powinnam ci tego mówić... - Sheri ściszyła głos.

- Powiedz, proszę. - Suze była zaintrygowana.

- No cóż, pewnego razu po uroczystej gali z nagrodami przystawiał się do mnie w taksówce. Uporałam się z tym tak taktownie, jak tylko mogłam, ale on ogromnie się obraził. Później nie odzywał się do mnie całymi dniami.

- Jakie to nieprzyjemne! A myślałam, iż ma dziewczynę.

- Odkąd to mężczyzna się tym kłopotuje?

*147 Robyn Sisman*

- Masz rację. - Suze przypomniała sobie Lawren-ce'a i Minty.

- A więc ty i ja po prostu zajmiemy się tym, co zwykle w końcu robią kobiety - pozbieramy wszystkie kawałki i wykonamy całą robotę. Później możemy się spierać, kto zasługuje na całą chwałę. - Sheri podała jej rękę. - Umowa stoi?

Suze uścisnęła jej dłoń.

- Oczywiście.

- Dobrze. A teraz najpierw...

Zadzwonił telefon. Sheri wpatrywała się weń niedowierzająco, a następnie złapała słuchawkę.

- Mówiłam: żadnych rozmów, Dee Dee. - Słuchała przez kilka sekund, a następnie warknęła: - Powiedz mu, iż jestem zajęta - i rozłączyła rozmowę. Podniosła wzrok na Suze. - To Lloyd - wyjaśniła.

- O Boże - jęknęła Suze i wymieniły półuśmiechy współpracowniczek jak niegrzeczne uczennice.

- Akurat teraz nie mam mu nic do powiedzenia - westchnęła Sheri. - A więc dlaczego czuję się taka winna?

- Nie powinnaś - tłumaczyła jej Suze. - Przecież pomimo wszystko to ty musisz go kryć.

- Przypuszczam, że tak - zgodziła się tamta. - A więc dobrze, o czym to mówiłyśmy? Och, tak. - Wygładziła wysoki stos papierów obok siebie. - Twoje pierwsze zadanie będzie polegało na tym, aby poznać dotychczasową historię klienta. A oto szkic dotyczący profilu nowej kampanii, chociaż obawiam się, iż nieco fragmentaryczny. Byłoby nam łatwiej, gdybyśmy znalazły notatki Lloyda ze spotkania, ale zamknął je w komputerze. Lloyd, biedny staruszek, zawsze przesadnie dba o poufne wiadomości. Wścieka się, nawet jeśli go zapytać o numer telefonu klienta. Będziemy po prostu musiały je zabrać. - Obdarzyła Suze długim, pełnym zaufania uśmiechem. - Dwie kobiety muszą przechrzyć jednego mężczyznę, prawda?

Suze wyszła z biura Sheri, czując się silna, mądra i doceniona. Przynajmniej tym razem nie poklepano

### *Zupełnie obcy ludzie 153*

jej po głowie ani też nie poproszono, by zrealizowała cudzy wspaniały plan, lecz wybrano właśnie ją do specjalnej tajnej misji. Puszyła się z dumy, wyobrażając sobie, jak otrzymuje awans na stanowisko dyrektora artystycznego agencji, jak wzbudza posłuch w swym oficjalnym stroju i przejmuje władzę nad salą konferencyjną nieznacznym podniesieniem brwi oraz war-kliwie rzuca „żadnych rozmów” do swego telefonu.

Olśniona podobnymi wizjami przyszłości, przyłapała się na tym, iż stoi na samym środku swego gabinetu. Snop światła wpadał ukośnie przez żaluzje i oświetlał komputer Lloyda, tworząc niemal mistyczny obraz. Suze wpatrywała się weń z uwagą. „Gdybyśmy tylko mogły znaleźć notatki Lloyda”, powiedziała Sheri. Cóż, jeśli ktoś może dostać się do jego plików, to tylko Suze. Mężczyzna, zwłaszcza taka niezdara jak Lloyd Rockwell, nie dorównuje inteligentnej kobiecie.

Podeszła i na próbę dotknęła klawiatury. Tak naprawdę nie była to żadna kradzież. Poza tym, jeśli dobrze zagra swymi kartami, Sheri może znaleźć jej stałą pracę w Nowym Jorku. Pod wrażeniem tak błyskotliwej kariery - i kuchni - Nick proponuje, aby zamieszkali razem w eleganckim apartamencie na dachu wieżowca. Staną się jedną z tych rozchwytywanych par, których sylwetki przedstawiane są w „Vanity Fair”.

Szybko przebiegła przez pokój i zamknęła za sobą drzwi na korytarz. Potem wróciła, przysunęła krzesło bliżej i włączyła komputer zdecydowanym ruchem.

## Rozdział piętnasty

Betsy wybrała ze swojego przewodnika restaurację Capriccio, ponieważ, jak napisano: „lokal oferował autentyczny smak wyrafinowanej kontynentalnej kuchni w sercu londyńskiej krainy teatrów”. Okazało się, że była to staroświecka włoska gospoda w stylu rustykalnym. Sieci rybackie z plastikowymi krabami zwisały z nierówno otynkowanych ścian, czerwone świece tkwiły w butelkach po chianti, a na stolikach leżały karty z frędzlami wielkości tablic ogłoszeniowych, które wynajęci reklamiarze noszą zawieszane na piersiach i plecach. Kiedy jeden z kelnerów gwałtownym ruchem wyciągnął z kieliszka serwetkę, rozwinął staranne zgięcia jednym operowym gestem i położył ją na kolanach Betsy z takim szacunkiem, jak gdyby to było Dzieciątko Jezus, pochwyciła spojrzenie Lloyda i zarumieniła się lekko. Wiedziała, że dziś wieczorem wyglądała wyjątkowo korzystnie. Jej włosy lśniły szczególnym blaskiem, a szczupłe, opalone ciało prezentowało się znakomicie w jedwabnej sukience w kwiatki.

Lloyd odwzajemnił uśmiech Betsy. To wszystko, czego jej trzeba, pomyślał: uwagi. Ostatnio o wiele za często zostawiał ją samą. Wiedział, że Betsy uważa życie w Anglii za niezwykle trudne, i chciał wynagrodzić jej to rozczarowanie. Czując nagły przypływ optymizmu, nachylił się i wziął ją za rękę. - Niech ten wieczór zostanie w naszej pamięci - jako początek czegoś nowego. Zawsze miałem przeczu-

### *Zupełnie obcy ludzie 150*

cie, że spotka nas w Anglii coś cudownego, jeśli tylko na to pozwolimy.

Betsy zareagowała od razu, ściskając jego dłoń.

- I ja mam taką nadzieję. - Nie mogła oderwać od niego wzroku, a oczy jej zabłyśły w oczekiwaniu.

Lloyd nachylił się bliżej.

- Kochajmy się dziś wieczorem - wyszeptał. - Tak jak lubiliśmy, tak jak dawniej.

Betsy przytaknęła i cofnęła rękę.

- Dzisiaj kupiłam kuchenkę mikrofalową do mieszkania - oznajmiła. - Wiesz, jako rekompensatę za tamtego okropnego kota.

- Nie sądzę, że pani Susanna Wilding będzie się nią posługiwać - powiedział Lloyd ze śmiechem.

- Zapłaciłam horrendalną sumę. - Betsy wyprostowała się w obronnym geście. - Matka kupiła swoją za pół ceny w sklepie z przecenionymi towarami w Lexington. - Potrząsnęła głową. - Naprawdę nie rozumiem, jak ci Anglicy mogą sobie pozwolić, aby tutaj żyć.

Lloyd ze zdziwieniem słuchał, jak porównywała ceny kolejnych artykułów gospodarstwa domowego.

Jest pó prostu zdenerwowana, doszedł do wniosku. Już od dawna nie byli we dwoje w takim miejscu.

- Bardzo ładnie, że o tym pomyślałaś - odrzekł uspokajającym tonem. - Jestem pewien, że Susanna doceni wszystkie dokonane przez ciebie ulepszenia. A teraz złożmy zamówienie. Ufam, że nie podają tu nic z kuchenki mikrofalowej.

Jedzenie przyniesiono na ogromnych drewnianych talerzach, załadowanych parującymi kartoflami rozsiewającymi zapach czosnku.

- Nigdy w życiu nie widziałam tak wielu węglowodanów! - Betsy niemal straciła oddech. - Będę musiała żyć na cytrynach i gorącej wodzie przez resztę tygodnia.

- Nonsens. - Lloyd nalał jej do kieliszka ciemnoru-binowego wina. - Nie bój się życia, kilka kalorii ci nie zaszkodzi. - Odgryzł kęs świeżego chleba. - Masz wspaniałe ciało, Betsy, zrób mu raz przyjemność.

151 Robyn Sisman

Nadziała mały listek sałaty na widelec.

- Czy widziałeś list od matki? - spytała.

- Och...

- Oj, ty roztargniony stary profesorze! - Betsy westchnęła. - Specjalnie zostawiłam go na wierzchu dziś wieczorem. W każdym razie jest tam ważna wiadomość, iż Mary Beth wychodzi za mąż. Czyż to nie wspaniałe?

- Kto to jest Mary Beth? - wymamrotał Lloyd z ustami pełnymi krewetek.

- Na miłość boską! Mary Beth to moja najdawniejsza przyjaciółka. Przecież poznaliśmy się, gdy byłam u niej w domu na Long Island. - Betsy udała, iż się dąsa. - Nie mów mi, że nie pamiętasz, bo zaraz się rozplaczę.

Oczywiście, Lloyd przypominał to sobie. Kilka miesięcy wcześniej zakończył ów nieszczęsny romans z piękną, ale zwariowaną rzeźbiarką, która mieszkała w jakimś magazynie w dzielnicy, gdzie handlowano mięsem, i tworzyła monstrualne fallusy z betonu. Kiedy w końcu trafiła na odwyk, Lloyd zdecydował, że ma dość kobiet, w szczególności zaś mieszkanek Nowego Jorku. Wtedy dwoje bliskich przyjaciół - szczęśliwa, niezwiązana węzłami małżeńskimi para - zaprosiło go na tygodniowe wakacje na Long Island. Pływali we troje, żeglowali, objadali się owocami morza i grali namiętnie w pokera do wczesnych godzin porannych, jednak po tygodniu patrzenia, jak tamci prowadzą się do łóżka, Lloydowi zaczęła dokuczać samotność, haniebna pożądlivość, i poczuł się dziwnie samotny. Był w stanie frustracji, kiedy udał się ze swymi gospodarzami na przyjęcie do sąsiadów, i stwierdził, że pociągają go szczupłe, wygimnastykowane nogi Betsy i uprzejmość, z jaką radziła sobie z partnerem tyranem, który przypadł jej w udziale w rozgrywkach tenisowych. Miła, staroświecka dziewczyna, pomyślał z aprobatą. Później spotkali się całkiem przypadkowo i rozmawiali nad różnym podczas *barbecue*. Lloyd przypominał sobie, że zrobiło na nim wrażenie zaangażowanie Betsy w pracę

### *Zupełnie obcy ludzie 157*

naukową. Miał jednak raczej mgliste wspomnienia co do tego, co stało się później. Musiał zaprosić ją na obiad - a może był to teatr? W każdym razie po tamtej rzeźbiarce wydawała się cudownie normalna i niewy-magająca. Rozmowa z kimś, kto nie uważał, iż Jack London to coś, co się pije z butelki, była odświeżająca. Tak, na ogół wybierał dobrze. Lloyd poczuł zadowolenie i niemal sam sobie pogratulował. Betsy należała do tego typu dziewcząt, które mają za przyjaciółkę taką Mary Beth. W gruncie rzeczy, gdy teraz się zastanawiał, chyba przypominał sobie postawną, irytująco wesołą młodą kobietę, usilnie namawiającą go, by zjadł więcej sałatki.

- Och, tamta Mary Beth! - Lloyd otarł z brody ściekające masło. - A więc ktq będzie szczęśliwym małżonkiem, panem Mary Beth?

- Nie żartuj - zachichotała Betsy. - Nie jest aż tak zła. Najwyraźniej to starszy mężczyzna, który nigdy nie był żonaty, prawnik pracujący dla jakiejś korporacji. Nad wyraz godny szacunku, mówi matka. Ma mieszkanie na East Side i chce, aby Mary Beth rzuciła pracę. Zamierzają się pobrać uroczyście we wrześniu, w kościele świętego Jana - ona będzie cała w bieli w towarzystwie druzhen - i zaproszą ogromną liczbę gości. - Twarz Betsy nabrała ostrzejszego wyrazu z niepokoju. - Boże, co im kupić w prezencie? Oboje są tacy bogaci i prawdopodobnie mają wszystko.

- Seksowną bieliznę - odrzekł natychmiast Lloyd. - Będzie potrzebna pannie młodej, aby wzniecić żar namiętności w podstarzałym małżonku.

- Bądź poważny, kochanie. Myślałam, że może jakiś ładny czajnik do herbaty z Anglii byłby miłym prezentem albo coś z zastawy stołowej. Czy może też...

- Lepiej ty zdecyduj - przerwał Lloyd, lecz po tym, jak Betsy złożyła usta, zorientował się zaraz, że ją uraził. - Przepraszam - powiedział - śluby nie są moją mocną stroną.

- Istotnie masz rację - przyznała.



*158 Robyn Sisman*

Lloyd pośpiesznie wepchnął sobie do ust jeszcze większy kawałek chleba. Teoretycznie nie miał nic przeciwko małżeństwu, praktycznie jednak trudno było nie myśleć o wszystkich owych blondynkach, o których trzeba by wtedy zapomnieć, i o tym, że należałoby zjawiać się w domu na czas. Pomimo to ludzie codziennie decydowali się na taki krok. Chyba więc decyzja nie była zbyt trudna.

- Zastanawiam się, jaka jest żona Foxa - powiedział głośno.

Nazajutrz rano mieli pojechać na wieś do domu Harry'ego wynajętym samochodem. Zabawnie będzie jechać po niewłaściwej stronie w majestacie prawa.

- Niezależnie od tego, jaka ona jest, postaram się zachowywać nienagannie - obiecała Betsy, siląc się na afektowany miły uśmiech. - Kupiłam sobie nawet nową sukienkę.

Lloyd przypomniał sobie pognieciony kapelusz Harry'ego na rozgrywkach krykieta.

- Anglicy w ogóle nie zwracają na to uwagi.

- Wszyscy zwracają na to uwagę - sprzeciwiła się Betsy. - Jesteś taki naiwny, Lloydzie. Zrobienie dobrego wrażenia to podstawowa sprawa. To dzięki temu ludzie awansują.

- To na mnie chcesz zrobić wrażenie. - Lloyd znacząco poruszył brwiami. - Opowiedz mi o sukience. Czy jest absurdalnie krótka?

Betsy cmoknęła językiem i wydała pełne smutku westchnienie.

- A teraz co powiedziałem nie tak?

- Wiesz, że to nie wszystko, o co chodzi w związku między mężczyzną i kobietą. Oczywiście, element seksualny ma swoje miejsce, ale są i inne sprawy.

- Oczywiście, że są i inne sprawy, ale... - Lloyd urwał i zmarszczył czoło, próbując znaleźć odpowiednie słowa. - Seks jest odbiciem tamtych rzeczy. Wyraża w jakiś sposób wszystko, czym jesteśmy, wszystko, co znaczymy dla siebie. Jest to oddawanie nas samych

### *Zupełnie obcy ludzie 154*

- nie tylko naszych ciał - sobie nawzajem. Kiedy się Kochamy, to powinno być...

- „Powinno być” - powtórzyła Betsy jak echo. - No cóż, przykro mi, Lloydzie, ale dla mnie życie jest trochę poważniejsze. Kiedy myślę o tym całym praniu, sprzątaniu i gotowaniu, jakie dla ciebie robię, gdy ty tymczasem wychodzisz codziennie defiladowym krokiem do pracy, a kiedy wracasz do domu, rzucasz się na mnie...

- Nie to miałem na myśli - tłumaczył, pomimo to czuł się jednak winny. - Wiem, że jesteś tu samotna, ale to przecież ty sama chciałaś przyjechać do Anglii - przypomniał jej.

- Och, wiem. Nie narzekam, Lloydzie. Naprawdę. Cudownie jest być tu z tobą i dzielić twoje doświadczenia. Po prostu czasami chciałabym, abyśmy byli trochę... bliżej.

Czyżby właśnie tego nie powiedział? Lloyd nabił na widelec małą kałamarnicę i przeżuwał jej kończyny jak z gumy.

- Nawiasem mówiąc, myliłeś się co do tego, że Passion ma najtańsze loty - oznajmiła mu Betsy. - Do matki zatelefonował ktoś z innych linii lotniczych, proponując jej ofertę specjalną za pięćdziesiąt dolarów mniej.

- Naprawdę?

Było w tym coś dziwnego, ale Lloyd, zbyt zmrożony tym, co wypomniała mu Betsy, nie zastanawiał się nad ową sprawą dłużej. Zdecydowano - kiedy i kto to zrobił, Lloyd nie bardzo umiał powiedzieć - że wielkim finałem ich wyprawy do Anglii będzie tydzień spędzony na zwiedzaniu Krainy Jezior i Szkocji wraz z matką Betsy. Lloyd wolałby Paryż, ale Betsy uznała, że byłoby to zbyt kłopotliwe, bo co zrobić z ludźmi mówiącymi tylko po francusku i kanalizacją oraz instalacją gazową we Francji. Kraina Jezior słynęła z deszczów i Lloyd obawiał się, że ugrzęzną we troje w jakimś przegrzanym samochodzie, który będzie pachnieć jak mokry płaszcz, i będą spożywać wyszukane posiłki w hotelach

*155 Robyn Sisman*

w stanie agonii. Wiedział, że Betsy w obecności matki zacznie się zachowywać jak mała nieśmiała dziewczynka, on natomiast popadnie w coraz większe milczenie i ogarnie go głupia męska agresja.

- Kiedy przyjeżdża? - spytał neutralnie.

- Za dwa tygodnie, jak już ci mówiłam tysiące razy. Nie martw się. - Betsy posłała mu uśmiech. - Zarezerwowałam jej pokój w hotelu, bo najpierw przyjedzie do Londynu. Zamierzamy zrobić poważne zakupy. Ty musisz jedynie od czasu do czasu pojawić się na obiedzie.

- Jesteś cudowną kobietą. - Lloyd sięgnął po jej dłoń i złożył na niej pocałunek.

- Wiem.

Powrócił mu dobry humor i to na tyle, aby zamówić olbrzymi deser w morzu bitej śmietany. Betsy wybrała herbatę rumiankową, ale upewniwszy się, że w deserze nie ma absolutnie żadnych orzechów - najdrobniejszy okruszek mógłby spowodować fatalną reakcję jej organizmu - wydawała się dosyć usatysfakcjonowana połową jego porcji. Karmił Betsy łyżeczką i jednocześnie rozmawiali o tym, co zrobią po powrocie do Nowego Jorku. Ona chciała się przenieść do jakiejś większej spokojniejszej dzielnicy, gdzie mieliby za oknami zieleń. Zastanawiali się, czy przeprowadzić się do centrum, czy też wyjechać z miasta, i porównywali ceny z lokalizacjami. Entuzjazm Betsy okazał się zaraźliwy.

Mówiła o małym domku z werandą i dodatkowej sypialni dla znajomych, czystym powietrzu, życzliwych sąsiadach, rowerach, przyjemnych sklepach, dobrych szkołach...

- Poczekaj chwilę! - wtrącił Lloyd. - Nie obchodzą mnie szkoły.

- Mogą zacząć cię interesować pewnego dnia. - Betsy uśmiechnęła się nieśmiało.

Lloyd znacznie się ożywił na myśl o własnym gabinecie i mieszkaniu, w którym chyba znajdzie się nawet miejsce na pianino, w okolicy, gdzie można spacerować bez obawy, że ktoś rzuci się na ciebie z nożem lub wdepnie się w psie gówno.

### *Zupełnie obcy ludzie 161*

- .Czy nie byłoby to cudowne? - szepnęła, przysuwając się bliżej.

Lloyd odwzajemnił uśmiech. Nie pamiętał, by kiedyś wyglądała aż tak ładnie i pociągająco.

Było oczywiste, że kelner podziela jego zdanie, ponieważ pojawił się przy ich stoliku, niosąc dwa maleńkie kieliszki.

- Dla pięknej signoriny - powiedział śpiewnym głosem. - Na koszt firmy.

- Signorina - powtórzyła Betsy w zamyśleniu. - Czy to panna, czy pani? - Sączyła małymi łyčzkami swego drinka, krzywiąc się lekko.

Lloyd nie odpowiedział. Nadal pogrążony był w marzeniach o doskonałym domu, gdzie wszystko jest ustalone i uporządkowane. Miał to wszystko przed sobą w zasięgu ręki, pełny pakiet usług. Wystarczy jedynie sięgnąć i go wziąć.

Od otwartych drzwi powiał nagle wiatr. Przystojna kobieta wyglądająca na Cygankę weszła do restauracji, niosąc w ręku koszyk pełen czerwonych róż. Uśmiechając się zuchwale, chodziła od stolika do stolika. - Kwiatki dla pięknej pani?

Później Lloyd nigdy nie wiedział do końca, co w niego wstąpiło - czy powodowała nim litość dla kwiaciarki, czy też może pragnienie, by wynagrodzić Betsy przykry pobyt w Anglii, czy może chęć, aby wstąpić na wyżyny emocji jednym imponującym krokiem. Wyciągnął niedbale pełną garść banknotów.

- Wezmę je wszystkie.

- Kochanie! - zaprotestowała Betsy. - Nie możemy pozwolić sobie...

Zanim szczodroblivy dżentelmen zdołał się rozmyślić, kwiaciarka szybko wcisnęła kwiaty w ręce Betsy. Róże rozsypały się krwistą czerwienią na bieli obrusa. Inni goście wpatrywali się w nich zachwyceni tą sceną.

- Och, Lloydzie, jak romantycznie! - Betsy zebrała kwiaty, podniosła je do twarzy i głęboko wciągnęła powietrze. - Czy to oznacza, co myślę, że oznacza?

*162 Robyn Sisman*

Zanim zdołał odpowiedzieć, obłudny kelner był już przy ich stoliku.

- Luigi owinie je dla pani - oznajmił i strzelił palcami, by wezwać pomocnika. Jego domyślne piwne oczy spoczywały przez chwilę na Betsy, następnie zaś zbliżył do ust końce palców. - Ma pan szczęście - powiedział do Lloyda surowo i oddalił się od ich stolika, nucąc wesołym barytonem marsz weselny. Lloyd jak przez mgłę patrzył, jak kelner odchodzi, podrzucając na kolanie tacę w rytm melodii, i złapał się na tym, że sam cicho podśpiewuje wraz z tamtym Włochem. Śpiew - jedno podrzucenie - znowu kilka nut - i drugie. Miał poczucie, że jego głowa jest lekka jak bańka mydlana. Szumiało mu w uszach, jak gdyby przez czaszkę przepływał mu wodospad. W oddali widział pełną wyczekiwania twarz Betsy. Uśmiechnęła się, a potem jej usta się poruszyły.

- Kocham cię, Lloydzie.

Przy migotliwym blasku świec zastawa stołowa zdawała się unosić ze stołu i eksplodować milionami srebrnych kawałków. Lloydowi skakały przed oczami czarne plamy. Kręgosłup mu zeszywniał, jak gdyby właśnie otrzymał uderzenie w krzyż. Jakiś głos odezwał się nagle - a był to jego własny.

- Betsy - zapytał oficjalnym tonem - czy wyjdiesz za mnie za mąż?

Rozdział szesnasty

Czy to nie jest właśnie ten zakręt? C' - Chyba nie. Tu jest napisane Salisbury. Nie jedziemy przecież do Salisbury, prawda?

- Nie, ale dom Harry'ego znajduje się gdzieś w tym kierunku. Wymawiają to tutaj: „Sawlsbree”.

Wiesz, że nie trzeba jechać tą drogą aż do miejsca, o którym mówi znak.

- Wiem o tym.

- A więc, czy ta droga prowadzi w prawo, czy nie?

- Myślę, że może i tak być.

- Czy mogłabyś spojrzeć na tę mapę?

- Jesteśmy na niebieskiej czy czerwonej drodze?

- Jesteśmy na głównej drodze, to rodzaj autostrady i właśnie minęliśmy miejscowość Basingstoke. Na pewno możesz to znaleźć.

- Patrzą. Tylko po prostu te drogi są takie kręte. Och! A co to jest? Widzę czarną linię z zabawnymi małymi punkcikami wokół.

- To linia kolejowa. Ja w każdym razie zjeżdżam z głównej drogi.

Lloyd zwolnił, zastanawiając się, dlaczego Bóg postanowił pominąć w mózgach kobiet część odpowiedzialną za odczytywanie map. Z ulgą znalazł się poza głównym ruchem. Nigdy nie widział, aby ludzie jeździli tak szybko. Należało przestrzegać ograniczenia prędkości do siedemdziesięciu mil na godzinę, ale widocznie Anglicy uznawali to za teoretyczną zasadę, podob-

*164 Robyn Sisman*

nie jak socjalizm, który niekoniecznie należy rozumieć dosłownie. Gdy tylko było to możliwe, zatrzymał samochód i pochylił się nad ramieniem Betsy, aby pokazać jej trasę.

- Spójrz - wskazał - mieszkają tutaj. Winterbourne Gummer, wymawiane: Winegum.

- Niemożliwe!

- Masz rację. Niemożliwe.

Żartobliwie poklepała go po policzku, a następnie przyciągnęła do siebie, aby delikatnie musnąć ustami jego ucho.

- Czy nadal mnie kochasz?

- Oczywiście, że tak.

Stopniowo drogi stawały się coraz węższe, a zieleń coraz bardziej obfita. Powietrze było świeże i pachniało łąkami oraz żywopłotami. Wszystko wokół wydawało się zdumiewająco zielone, biorąc pod uwagę to, że zgodnie z prognozami należało przypuszczać, iż Brytanię zaatakowała poważna susza. Wyjeżdżając z Londynu, usłyszeli w radiu wiadomość o fali upałów, która miała potrwać nie krócej niż pięć nadchodzących dni. Zalecano dzielenie się wodą do kąpieli, a następnie zbieranie jej w wiadra, aby podlewać ogród. Usilnie namawiano starszych ludzi, aby odłożyli wyprawy po zakupy aż do chwili, gdy warunki atmosferyczne będą mniej niebezpieczne, a właścicielom psów przypominano, by nie zostawiali swoich ulubieńców w samochodach. Naukowcy prowadzili spekulacje na temat zagrożenia klimatem pustynnym. Gdyby tu nie mieszkali; Lloyd mógłby dojść do wniosku, że Anglia przemieszcza się po morzu i zatrzyma się gdzieś w okolicach wysp Tristan da Cunha. Termometr wskazywał trzydzieści osiem stopni.

Droga wiła się w górę po łagodnych zboczach, kontrastujących zielenią i żółcią na tle jasnoniebieskiego nieba, a następnie zapuszczała się w doliny chłodzone małymi strumykami, które lśniły w blasku słońca. Na poboczach staroświeckie drewniane drogowskazy

### *Zupełnie obcy ludzie 160*

z czarnymi napisami na białym tle pokazywały drogę do Over Wallop, Middle Wallop i Nether Wallop, do Broughton i Houghton, Woodbury Ring i Barton Lacey. Przejeżdżali przez wioski tchnące tak pełnym spokojem, że aż trudno było uwierzyć, że naprawdę mieszkają tu istoty ludzkie. Każda miejscowość miała własny kościółek i pub widoczny wśród ciągnących się długim szeregiem krytych trzciną chat z różnobarwnymi ogrodami. Lloyd poczuł przypływ uniesienia. Czy to jest właśnie szczęście? On, Lloyd Rockwell, zamierza się ożenić. Próbował to sobie wyobrazić: samą ceremonię, jak łączy się z Betsy już na zawsze, dzieci, wspólne konto bankowe, proces starzenia się, teściową... Zrobił niezadowoloną minę.

- O czym myślisz? - spytała sennie Betsy.

- Właśnie zastanawiałem się, skąd linia lotnicza wie, że twoja matka leci do Londynu. Co to była za linia?

- Myślę, że Stateside. Kogo to obchodzi? Czy nie możesz zapomnieć o pracy nawet na jeden dzień? Po przejechaniu zakurzonej ulicy, prowadzącej z kościoła, dojechali do imponującej bramy, po której obu stronach znajdowały się stare kamienne kolumny.

Betsy zeszywniała z napięcia

- Szkoda, że nie włożyłaś swojej eleganckiej marynarki.

- Już ci wspominałem, że Harry powiedział, iż to będzie bardzo nieformalne spotkanie.

Lloyd natychmiast pożałował swojego ostrego tonu. Pomimo wszystko\* dzisiejszego ranka sam wpatrywał się w szafę, rozważając dokładnie to samo, zanim zdecydował się na bawełniane spodnie i zwykłą koszulę. Czy to znak, że on i Betsy są przeznaczeni dla siebie? Spojrzał na nią pobieżnie - elegancką i nieskazitelną w białej płóciennym garsonce - i uśmiechnął się z aprobatą. - Prezentujesz się dostatecznie dobrze za nas oboje.

Wjechali na podjazd, który zakręcał pętlą pomiędzy wysokimi żywopłotami i prowadził do wysypanego



*166 Robyn Sisman*

żwirem parkingu otoczonego bujnym zielonym trawnikiem. Przed nimi znajdował się duży dom z różowej cegły z oknami przysłoniętymi pnącymi roślinami. Gdy się zatrzymali, dziewczynka i chłopiec, może w wieku pięciu i ośmiu lat, wypadli z piskiem zza krzaków. Gdyby nie tenisówki i przypadkowe smugi brudu, byłiby zupełnie goli. Za nimi gnał golden retriever, unosząc w pysku plastikową kaczkę. - Jaki kochany piesek! - wykrzyknęła Betsy.

Gdy Lloyd zaciągał ręczny hamulec, uświadomił sobie czyjąś obecność. Mała dziewczynka zaglądała przez okno do środka.

- Cześć - powiedziała wyczekującym tonem. - Czy naprawdę jesteś lordem? Czy masz swoich rycerzy?

- On nie jest lordem, idiotko. - Chłopiec odepchnął ją na bok. - To normalny człowiek, który nazywa się Lloyd.

Lloyd pomyślał, że to dość rzetelne streszczenie jego życiorysu.

- Zwyczajny człowiek, który wszakże ma coś dla was - odezwał się serdecznie, sięgając na tylne siedzenie po plastikową torbę. - Przykro mi, że nie jest opakowana.

Lloyd nie bardzo się orientował, co lubią takie dzieci. Wiedział jedynie, iż kiedy zobaczył tę zabawkę, wystawioną w sklepie, rozśmieszyła go ogromnie.

- To papuga! - Dziewczynka aż piszczała z radości, wyciągając ją z torby.

- Jest bardzo inteligentna - powiedział Lloyd. - Spójrz, musisz ją tutaj włączyć. - Pokazał jej przycisk na grzędzie ptaka. - Co umie robić? - spytał chłopiec sceptycznie. Papuga natychmiast zatrzepotała kolorowymi skrzydłami i powtórzyła skrzekliwym głosem:

- Co umie robić? Co umie robić?

Dzieci były zachwycone. Walczyły ze sobą o pierwszeństwo, kto ma skłonić ptaka do powtarzania głupot. Rozległ się powitalny okrzyk i oto Harry Fox wynurzył się ze sklepionego przejścia z jednej strony domu,

### *Zupełnie obcy ludzie 162*

w szortach koloru khaki i zniszczonym kapeluszu. Za nim szła bosą szczupłą kobietą o bladej karnacji i jasnych oczach. Lloydowi przypomniały się opowieści ludowe o kobietach, które zamieniły się w foki. Harry przedstawił im swoją żonę Lornę.

- Co za piękny dom! - zawołała Betsy, wręczając Lornie owinięty dużą ilością papieru prezent, nad którego wyborem zastanawiała się przez całe dni, cierpiąc męki niepokoju. Lloyd trzymał się z dala od tego i teraz nie mógł sobie przypomnieć, czy w końcu zdecydowała się na zestaw uchwyty do serwetek, czy na haftowane ręczniki.

- Powiedz: „tyłek”! - krzyczał chłopiec. Lloyd spojrzał ponuro na żonę szefa.

- Obawiam się, że może nie jest to ulubiona zabawka wszystkich rodziców.

- Nie bądź niemądry - uśmiechnęła się Lorna. - Powstaje jedynie pytanie, jak szybko uda się nam położyć dzieci do łóżek, abyśmy sami mogli się nią pobawić. - Miała niski i łagodnie śpiewny głos z wyraźnym akcentem, którego Lloyd nie umiał określić, i szczerą, inteligentną oczy. Od razu ją polubił.

Zatrzymała się w chłodnym korytarzu.

- Przypuszczam, że chcecie być w tym samym pokoju.

- Jeśli tak wam wygodnie. - Lloyd czuł się zakłopotany z powodu własnego grzecznie niepewnego tonu. Czuł, że Betsy w myślach daje mu sygnały. Nie wypowiedział słów, na które, jak dobrze wiedział, czekała.

- Czy nie masz zamiaru im powiedzieć? - odezwała się w końcu.

- Oczywiście - odchrząknął. - Ja, to jest my, prawdę powiedziałem, wczoraj...

Poczuł, że Betsy bierze go pod rękę.

- Jesteśmy zaręczeni - oznajmiła.

Na tarasie w cieniu bujnej wistarii czekał na nich uroczysty lunch z szampanem. Zachecona przez Betsy Lorna opowiedziała historię o tym, jak to poznała Har-

*168 Robyn Sisman*

ry'ego na stoku wzgórza w Szkocji w pobliżu domu, gdzie upłynęło jej dzieciństwo.

- Trochę lubi się dąsać - powiedziała, jakby dziwiąc się wszystkiemu w zabawny sposób, który rozśmieszył Lloyda. - Nie pamiętam nawet, jak się zaręczyliśmy. Z całą pewnością nigdy nie dałeś mi nawet pierścionka, ty stary sknerusie. - Szturchnęła męża w nogę bosą stopą. - Mówiąc szczerze, nie znałam nawet jego wszystkich imion, dopóki nie znaleźliśmy się w kościele. Gdyby powiedział mi wcześniej, że na drugie imię ma Hannibal, mogłabym się jeszcze rozmyślić!

- Miłość od pierwszego wejrzenia - zgodził się Harry. - Dlaczego nie? Jeśli zobaczysz coś cennego, chwytaj to. Czy to nie słuszne, Lloydzie?

Rockwell podniósł nagle wzrok i napotkał zagadkowy uśmiech Foxa. Nie pierwszy raz miał poczucie, iż poddawany jest jakiemuś ukrytemu testowi. Czy szef dawał mu do zrozumienia, że stracił okazję? Zanim zdołał pomyśleć, co odpowiedzieć, chłopiec odezwał się głośno.

- Jednak musiałeś się ożenić. W przeciwnym razie - w jego głosie brzmiała obawa - w przeciwnym razie nie mógłbyś mieć nas.

Zasiedzieli się przy stole, gawędząc nad kawą, a następnie nad lemoniadą, dopóki dzieci nie sterrozywały ich, aby zagrali w rodzinną wersję krykieta, co nieco utrudniał swą obecnością pies, który uważał, że piłka należy do niego i raz niemal przewrócił Betsy, kiedy próbowała nią rzucić. Lloyd uznał dzieciaki za wspaniałe. Po rozgrywce, kiedy Betsy poszła do domu, aby się zdrzemnąć, podwinął spodnie i gonił oboje po ogrodzie ze szlauchem, dopóki nie padli wyczerpani na trawę. Wtedy opowiedział im, jak to ojciec zabrał go kiedyś na kemping do Kanady, gdy Lloyd miał dziesięć lat, i widzieli tam prawdziwego niedźwiedzia grizzly. Lorna obiecała mu posadę niani, na wypadek gdyby kiedykolwiek zmęczył się pracą w świecie reklamy.

### *Zupełnie obcy ludzie 164*

Kiedy światło zmieniło się na miodowożółte, poszli w górę ścieżką, aby popatrzeć na kościół. Po drodze Lorna opowiedziała Lloydowi historię szesnastowiecznego szlachcica, syna dziedzica wioski, który zakochał się w miejscowej dziewczynie. Nie wolno mu było się z nią ożenić i kiedy jego wybranka stwierdziła, że jest w ciąży, powiesiła się na drzewie. Jej kochanek nigdy się nie ożenił. Kiedy otrzymał spadek, kazał ekshumować ciało samobójczyni z niepoświęconej ziemi za murami kościoła i umieścić szczątki w wielkiej marmurowej krypcie w świątyni - na tyle dużej, by zmieściły się tam dwie osoby, że aby kiedy nadejdzie czas, mógł spocząć obok niej na całą wieczność.

- Jaka smutna historia. - Lloyd był wzruszony.

- Ale romantyczna, nie sądzisz? Trudno wyobrazić sobie, że pozostał tak bardzo zakochany w kimś, kogo już nie był w stanie zobaczyć ani dotknąć.

Lloyd nie potrafił tego zrobić. Życie wydawało się zbyt gwałtowne, zbyt szybkie. Nawet teraz obrazy przed oczami przesuwały się w tak zawrotnym tempie, że łatwo było popełnić błąd. Z tyłu mógł usłyszeć, jak Harry uprzejmie wyciąga od Betsy informacje na temat jej pracy i przyszłych planów. Odpowiedzi wywołały na jego twarzy uśmiech. Lorna słuchała także, ponieważ przy krytej dachem bramie cmentarza zatrzymała się i odwróciła do Betsy.

- Czy wiesz, że dom Jane Austen znajduje się tu w pobliżu? Czemu nie miałybyśmy tam pojechać jutro rano? Na pewno bardzo chciałabyś go zobaczyć. A dzieci pobiegają sobie po ogrodzie.

- Och... - Betsy się zawahała. - To bardzo miło z twojej strony, ale planowaliśmy, że Lloyd mnie tam zabierze.

- Nonsens. Mężczyźni zawsze czują się znudzeni tego rodzaju obowiązkami. Pozwólmy im lepiej pójść na ryby! - Wzięła pod rękę Betsy i pociągnęła ją w górę ścieżką. - Teraz, kiedy macie się pobrać, istotną rzeczą stanie się obmyślanie zręcznych sposobów pozbywania

### *170 Robyn Sisman*

się męża od czasu do czasu. Będiesz tego potrzebować, zapewniam.

Odwróciła się z figlarnym uśmiechem, aby sprawdzić, czy Harry jej słucha, a Lloyd, który stał między nimi, przechwycił spojrzenie tak zaczepne, lecz i delikatne, że serce przeszła mu jakaś bolesna zazdrość.

- Jeśli się ociepli i zacznie się wyląg, najlepszą przynętą o tej porze roku będzie Greenwell's Glory lub Kite's Imperial. To ta biała muszka - tłumaczył Harry.

Lloyd wziął ze sobą małą skrzynkę muszek wędkarskich - każda z nich była pomysłowo umieszczona w osobnej plastikowej przegródce. Nie łowił ryb, odkąd był chłopcem. Zbierał wtedy robaki i gorliwie ustawiał wędki. Z nadzieją umieszczał je w mulistym dopływie rzeki na tyłach domu dziadków w stanie Iowa. Wyglądało to zupełnie inaczej niż teraz.

Tego ranka Harry i Lloyd stali nad płytką rzeczka. Przejrzysta woda płynęła spokojnie po żwirze, wydając bulgoczące dźwięki i przesuwając tam i z powrotem długie ogony zielonych chwastów. Na brzegach po obu stronach trawa była równo skoszona. Po drodze zatrzymali się na chwilę w absurdalnie malowniczej chacie wędkarskiej krytej trzcina, gdzie prowadzono staranne zapiski o połowach, a na ścianie zawieszono brudną mapę. Znajdowała się tam lapidarna relacja z protokołu wędkarskiego, w której Lloyd nie dostrzegł żadnej wzmianki o robakach. Łowienie pstrągów na wędkę w Anglii stanowiło niewątpliwie zajęcie dżentelmenów. Nie miało tu znaczenia, kto wygrał lub przegrał, ale jak się grało.

Okolice była idylliczna, pogoda doskonała. W ten niedzielny poranek świat rozbrzmiewał śpiewem ptaków. W kościele dzwoniły dzwony. Lloyd jednak się martwił. Zeszłej nocy obudził się całkiem niespodziewanie, jak gdyby jakiś głos przemówił mu po prostu do ucha. Wstał z łóżka i stanął przy oknie, wpatrując się w trawnik wysrebrzony światłem księżycy i jednocześnie próbując odkryć źródło swego niepokoju. Przez

### *Zupełnie obcy ludzie 166*

cały tydzień potykał się o małe kawałki układanki, która nadal nie tworzyła zrozumiałego dlań obrazu. Jednak instynkt podpowiadał mu jedno: coś dziwnego działo się u Schneidera Foxa. Tego ranka postanowił znaleźć sposobność, aby porozmawiać w cztery oczy z Harrym. Tylko z nim mógł się podzielić swymi obawami. Sheri wydawała się taka zajęta, kiedy dzwonił, a Betsy nudziły rozmowy na tematy zawodowe. Otworzył usta, aby przemówić.

W tym momencie Harry położył mu nagle rękę na ramieniu.

- Spójrz - powiedział spokojnie - tam, przed tą kępą wodorostów płynie pstrąg. Może sprawdzisz, czy uda się go złapać na twoją muchę? Pamiętaj, by nie zacieniać wody, bo wystraszysz rybę. To polowanie.

Lloyd niezgrabnie zszedł na brzeg w gumiakach sięgających mu do uda, które pożyczył od Harry'ego. W przelocie dotknął jakichś zielonych liści. Nagle zaczęła go piec ręka i potrząsnął nią gwałtownie.

- Mięczak - zaśmiał się Fox. - Czy w Ameryce nie macie pokrzyw?

<sup>v</sup> Lloyd nieśmiało zaczął zarzucać wędkę, tak jak pokazał mu gospodarz. Tego ranka ćwiczyli zarzucanie w ogrodzie i po półgodzinie Lloyd czuł, iż załapał, jak to się robi. Jednak wtedy odbywało się to na pustym trawniku bez haczyka na końcu linki.

- Delikatnie, człowieku! - mówił Harry. - Zrób ósemkę. Nie chcesz chyba wystraszyć ich na śmierć! Było za późno. Żyłka rozwinęła się i opadła w ciężkich zwojach tuż przed nim. Nylonowy kłębek utworzył przemyślną płataninę. Tymczasem upatrzona ryba majestatycznie odpłynęła w górę rzeki. Lloyd rozplątał żyłkę i dołączył do Harry'ego, który uśmiechnął się do niego figlarnie.

- Nie jest to takie łatwe, jak się wydaje, co?

- Nie, hm, Harry... Chciałem porozmawiać z tobą o niektórych sprawach, które trapią mnie w pracy - zaczął pośpiesznie.

*167 Robyn Sisman*

Z twarzy Harry'ego zniknął wesoły, dobroduszny wyraz.

- Posłuchaj mnie. - Jego oczy stały się lodowate. - Właściwie nie można powiedzieć, bym zbyt przestrogał jakichś reguł, ale jest jedna, której nigdy nie łamię. Rodzina to rodzina, a biznes to biznes. Nigdy nie łączę ze sobą tych dwóch spraw. Dziś jesteś moim gościem - moim i Lorny. Jeśli masz mi coś do powiedzenia na temat Schneidera Foxa, powiedz to w biurze. Czy to rozumiesz?

- Tak - odparł Lloyd. Pod naciskiem jego palców skrzynka na muchy, którą trzymał w ręce, otworzyła się z głośnym trzaskiem.

- Dobrze. Idę w górę rzeki, aby spróbować. - Harry znowu mówił serdecznym tonem. - Spotkamy się w samochodzie za godzinę.

Lloyd patrzył, jak Fox odchodzi. Czuł się głupio, ale był również rozdrażniony, że tamten tak bezlitośnie go j uciszył. Właśnie wtedy jakiś uprzejmy pstrąg pojawił

j się w odległości rzutu wędką w wartkim nurcie pod

pnem drzewa przy odległym brzegu. Przykucając na jednym kolanie, Lloyd zaczął rozwijać żyłkę.

Mucha upadła miękko na wodę, a następnie popłynęła w dół rzeki z nurtem. Rozległ się plusk i mucha znikła.

Poderwał wędkę zaskoczony i w odpowiedzi poczuł szarpnięcie. Nagle wierzchnia warstwa wody trysnęła w powietrze, a pstrąg wyskoczył z rzeki, rozpryskując kropelki w blasku słońca. Za chwilę runął na taflę i znowu wystrzelił z przerażającą szybkością, ciągnąc linę z piskiem odkręcającą się z kołowrotka. Jednak po kilku gwałtownych pluskach w rzece ryba zaczęła się męczyć i wkrótce Lloyd mógł już wyciągnąć ją na swoją rozpostartą siatkę. Wyjął pstrąga z wody i ruszył do brzegu. Cały aż się trząsł z emocji.

Ryba leżała w siatce, dysząc ciężko, i jednym okiem spoglądała na niego buntowniczo. Lloyd zachwyił się jej pięknnością. Miała złote boki nakrapiane ciemnobrązowymi plamkami i wydawała się pełna życia. Trzymanie

### *Zupełnie obcy ludzie 173*

tej płochliwej istoty na uwięzi, zdanej na jego łaskę i niełaskę, było przejmującym przeżyciem. Z jaką satysfakcją zdarłby tamten figlarny uśmiech z twarzy Harry'ego. Widział samego siebie - prawdziwego mężczyznę, polującego i gromadzącego zwierzynę, jak przechwalała się później Betsy i Lornie, pobrzękując sprzączkami długich butów w stylu macho. Jednak z tych względów nie warto było zabijać tak wspaniałego stworzenia. Lloyd nachylił się i odczepił muszkę, a następnie zaniósł pstrąga na brzeg, gdzie przykląkł i delikatnie umieścił go na mieliźnie. Przez moment ryba ociągała się, jak gdyby nie była pewna, czy ufać temu odroczeniu wyroku: następnie wystrzeliła do przodu w głębszą wodę i znikła.

Lloyd podniósł siatkę i stał spokojnie nad rzeką, oddychając pełną piersią. Zrobił to, co należało. Gdy już wracał, o wiele większy pstrąg, prawdziwe monstrum, odpłynął od brzegu tuż pod skarpą, gdzie przedtem stał Rockwell. Ów spryciarz był tam przez cały czas, czekał, aż wędkarz usunie się z drogi. Teraz ryba popłynęła prosto w bystry nurt rzeki, beztrąsco rzucając się w oczy człowiekowi, jak gdyby wiedziała, że Lloyd nie stwarza już żadnego zagrożenia.

Słońce nadal tkwiło wysoko na niebie, kiedy Lloyd po raz ostatni zatrąbił dzieciom na pożegnanie klaksonem i zjechał z podjazdu. Letnie dni w Anglii zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Trudno było uwierzyć, że dochodziła szósta. Opuścił okno, aby rozkoszować się wiejskim rześkim powietrzem, dopóki to możliwe. Słońce przyjemnie go ogrzewało. Czuł się najedzony, wypoczęty i szczęśliwy.

- Och. - Betsy opuściła głowę na oparcie siedzenia. Jej ręce opadły bezwładnie wzdłuż ciała, zupełnie pozbawione sił. - Jestem wyczerpana. Nie mogę uwierzyć w to, że dzieci tak wcześnie wstają.

- Czy rzeczywiście tak wcześnie? - Lloyd skrzywił się, aby ominąć na drodze bażanta. Pióra ptaka połyskiwały zielenią, brązem i purpurą. - Nie słyszałem ich.



*174 Róbyn Sisman*

- To z powodu takiej ilości wypitej whisky. Myślałam, że nigdy nie dotrzemy do łóżka.
  - Byłam uprzejmy. Lorna chciała mi opowiedzieć o wszystkich rodzajach alkoholu w Szkocji. - Uśmiechnął się promiennie. - Jest wspaniała, prawda? To zachwycające, jak radzi sobie z całą rodziną. - Ta-ak. - Sądząc z tonu głosu, Betsy nie była o tym przekonana. - Można odnieść wrażenie, że potrafi robić tosty i śmiać się z okropnych żartów dzieci, karmić psa, a jednocześnie trzymać Harry'ego w ryzach. - Mrugnął do Betsy. - Będziesz taka sama pewnego dnia.
  - Nie sądzę.
  - Na pewno będziesz.
  - W każdym razie nie, jeśli chodzi o psa.
  - Przecież mówiłaś, że jest kochany.
  - To było, zanim zostawił brudne ślady łap na mojej garsonce. Będę musiała oddać ją do prania, kiedy wrócimy do domu. Nie sądzę, abym mogła zaufać Brytyjczykom, że dobrze coś wyczyszczą. Lloyd milczał. Niektórych rzeczy wypowiedzianych przez kobiety najlepiej słuchać bez słowa sprzeciwu. Spróbował innej taktyki.
  - Podobało mi się bardzo, gdy żartowałaś sobie z Harry'ego, opowiadając, jak to staniesz się gospodynią domową, gdy skończysz już swoją rozprawę o Jane Austen. Jak mniemam, Australijczycy nie słyną raczej z feministycznych poglądów. Prawdopodobnie uwierzył w każde wypowiedziane przez ciebie słowo. Betsy nie odpowiadała przez tak długi czas, że Lloyd się odwrócił, aby popatrzeć na wyraz jej twarzy. - Być może wcale sobie z niego nie żartowałam - odrzekła z jakimś dziwnym uśmiechem. - Co to znaczy?
  - Nie powiedziałam mu przecież, że pragnę być gospodynią domową. Po prostu powiedziałam, iż nie jestem pewna, czy chcę pracować naukowo.
- Lloyd poczuł w głowie zamęt.

### *Zupełnie obcy ludzie 170*

- Przecież całymi latami studiowałaś literaturę angielską. Co teraz zamierzasz robić?
- Zamierzam wyjść za ciebie za mąż, głuptasie.
- No cóż... tak. Ale czy nie chcesz przekazywać innym tego, czego się nauczyłaś? Albo też uczyć w szkole lub pisać książki - lub robić coś w tym rodzaju? W dużej mierze dlatego właśnie pracuję tak ciężko, zarabiam pieniądze, aby utrzymać nas oboje, dopóki ty nie będziesz gotowa zająć się własną pracą.
- To nie tylko twoje pieniądze. Nie zapomnij o moim wkładzie finansowym.
- Nie, oczywiście. - Lloyd jednak nie mógł nic poradzić na to, że myślał o wszystkich tych wydatkach, do których się nie dokładała, jak czynsz, rachunki, kina, obiady, wakacje. Przeważająca część pieniędzy Betsy szła na stroje i rzeczy do mieszkania, niekoniecznie takie, które on sam by wybrał. Poczul się zawstydzony własnym skąpstwem. - To nie pieniądze są ważne - wyjaśnił. - Myślałem, że pragniesz równego partnerstwa, równego statusu - wiesz, tego, co Virginia Woolf miała na myśli, gdy mówiła o własnym pokoju. Chciałbym, abyś miała własne, niezależne życie, a nie jedynie usługiwała mi przy stole.
- Zawsze będę chciała, naturalnie, rozwijać swój intelekt. - Betsy zamknęła oczy. - Nie jest ci trochę niedobrze? Nie jestem pewna, czy łoś, którego jedliśmy wczoraj wieczorem, był dogotowany. Nie mogłam uwierzyć, że podają go z głową i wszystkim. To okropne białe oko! - Wzdrygnęła się lekko. - Nawiasem mówiąc, czy dzwoniłeś do tej Wilding i powiedziałeś jej o kocie?
- Jeszcze nie. - Lloyd zapomniał o całej sprawie. Teraz zadrżał na samą myśl o swej misji. Co mógł powiedzieć właścicielce Pana Kiplinga?
- Możesz zrobić to dziś wieczorem po kolacji. Nie oznacza to, że ja mogłabym cokolwiek przełknąć - ziewnęła. - Czy zmartwi cię, jeśli trochę się zdrzemnę?
- Oczywiście, że nie. - Lloyd poczuł się dziwnie mało ważny. - Przykro mi, że nie bawiłaś się zbyt dobrze.

*171 Robyn Sisman*

- W porządku. - Poklepała go po udzie. - To dlatego tu jestem, aby udzielać ci wsparcia w pracy. Jechał w kierunku Londynu, mając czerwieniejące niebo za plecami, a jego myśli szybowały swobodnie. Jutro porozmawia z Foxem i przekaże mu swoje obawy. Prawdopodobnie Harry uzna, że Lloyd martwi się niepotrzebnie. Pomimo wszystko nie miał żadnego dowodu na poparcie swych niejasnych podejrzeń. Niemal sam w to wszystko nie wierzył. Żałował, że nie udało mu się skontaktować z Sheri w piątek. Spróbuje zrobić to znowu jutro. W każdym razie w ten niedzielny wieczór nie może już nic uczynić.

Czy aby rzeczywiście? Lloyd jechał szarą drogą, nie dostrzegając brzydkich podjazdów i ponurych kompleksów budynków przemysłowych, które wypełniały peryferie Londynu. Niedostrzegalnie zwiększył nacisk stopy na gaz. W jego umyśle rodzi się plan.

Rozdział siedemnasty

**M**ozart czy Oasis? Trudna decyzja, Z jednej strony Suze chciała zrobić wrażenie wyrafinowanej i poważnej kobiety, a nie tylko łatwej dziewczyny w gumowej sukience, z drugiej zaś pragnęła, aby Nick uznał ją za wesołą i dowcipną, a nie zadzierającą nosa ważniaczkę. Czy jazz będzie dobrym kompromisem? Błyskawicznie przejrzała płyty kompaktowe, a jej twarz wyrażała po kolei aprobatę, zmieszanie i pogardę.

Był gorący niedzielny wieczór. Suze właśnie wzięła prysznic i biegała po mieszkaniu w kuszącej bieliźnie, chłodząc się do ostatniej chwili. Nick miał wkrótce przyjść na **doskonałą** kolacyjkę we dwoje. Suze nie mogła się niemal doczekać tego wieczoru w domu. Ganiała z kuchni do salonu i znowu z powrotem w szczęśliwym transie.

Wczoraj przeżyła najbardziej romantyczny dzień w całym życiu. Spotkali się w południe pod zegarem na Grand Central Station, tak jak Lauren Bacall i Humphrey Bogart w starym filmie, który kiedyś oglądała. Przypominająca katedrę hala dworca była wysoka i chłodna. Przecinały ją strumienie światła słonecznego, w którym tańczyły drobiny pyłu. Kiedy Suze dostrzegła Nicka w olśniewająco białej koszuli i obcisłych dżinsach, ledwie mogła uwierzyć, że to zjawisko czeka na nią.

Najpierw zeszli do baru z ostrygami, gdzie usiedli przy kontuarze na wysokich taboretach, popijając

### *178 Robyn Sisman*

Krwawą Mary i karmiąc się nawzajem płatami wędzonego łososia. Wypełnione krzątającymi się ludźmi, wyłożone boazerią pomieszczenie to najbardziej typowy przykład wytworzonego Nowego Jorku, pomyślała Suze. Nick musnął nagim łokciem jej łokieć. Z bliska i w świetle dnia wydawał się jeszcze przystojniejszy niż przedtem. Wyglądał na zachwyconego towarzystwem Suze: podziwiał jej sukienkę i żartował z akcentu. Suze odcinała mu się wesoło:

- Czy rzeczywiście się cieszysz, że mnie widzisz? A może masz w kieszeni telefon komórkowy?

Później Nick zaproponował, aby poszli na wernisaż jakiegoś modnego nowego rzeźbiarza; jeden z jego klientów niespodziewanie podrzucił mu kilka zaproszeń.

- Ale ja myślałam, że zamierzasz pokazać mi miasto - protestowała Suze.

- Chyba nie masz na myśli... tych wszystkich głupstw dla turystów? - Sprawiał wrażenie przerażonego.

Uparła się jednak. To jej pierwszy pobyt w Nowym Jorku, a być może ostatni. Przecież wcześniej obiecał jej zwiedzanie. Nieważne, że to staromodne; chce wszystko zobaczyć i już.

Tak więc najpierw stanęli w kolejce, aby wjechać windą na taras widokowy Empire State Building, śmiejąc się z japońskich maniaków z aparatami fotograficznymi i na zmianę czytając informacje z przewodnika Suze. Odkryła, że jej towarzysz nie wie nic o historii i architekturze, a kiedy w końcu dotarli na sto drugie piętro, wpatrywał się w odległy zamglony widok z takim zdumieniem, że zaczęły ją nurtować pewne podejrzenia. W końcu żartami i pochlebstwami skłoniła Nicka do wyznania, że w ciągu piętnastu lat spędzonych w tym mieście nigdy nie był tu na górze.

Następnie poszli długą i krętą alejką przez Central Park: było to o wiele zabawniejsze niż spacer po jakimś londyńskim parku. Obserwowali żonglerów i klaunów oraz fanatycznych entuzjastów latawców, kwakali do kaczek i jeździli na starej karuzeli, a także całowali się

### *Zupełnie obcy ludzie 174*

pod cienistymi drzewami nad stawem. Gdy jednak oczy Suze zabłysły na widok jednej z dorożek, Nick zaprotestował.

- A co będzie, jeśli ktoś mnie zobaczy? Bliss Bogardo ma apartament gdzieś w tych okolicach. Może właśnie teraz stoi przy oknie, obserwując przez lornetkę, co robimy.

- Kto to jest Bliss? - zaczęła pytać Suze, ale w tym momencie Nick postanowił ją pocałować. Ów pocałunek zagłuszył wszelkie sygnały płynące z jej mózgu, tak więc później mogła jedynie iść na miękkich nogach przez żółknącą trawę, z sennym uśmiechem na twarzy.

Kiedy zrobiło się gorąco i poczuli się strasznie zmęczeni, pojechali taksówką do doków nad rzeką Hudson i opłynęli Manhattan łódką. Powoli okrążali całą magiczną wyspę, sącząc małymi łyżkami zimne piwo, a Suze machała do ludzi stojących na lądzie - biednych smutasów, którzy nie byli zakochani - dopóki Nick nie powiedział jej, że ostatnio z mostu w Bronk-sie zastrzelono dwóch turystów.

-Wiem, co możemy zrobić później! - zawołała z ożywieniem. Opowiedziała, jak to jej ojciec kupił butelkę szampana w pewnym klubie na Manhattanie kiedyś w latach sześćdziesiątych, i poprosił, aby odłożyli ją dla jego córki, dopóki nie zgłosi się po odbiór. - Myślę, że był to po prostu chwyt reklamowy owego lokalu. Musiałam wtedy być małym dzieckiem. - Położyła rękę na ramieniu Nicka.

- Och, chodźmy tam! Tata mówił, że to jedno z jego „magicznych miejsc”, a nie przychodzi mi do głowy nikt inny, z kim chciałabym się podzielić tym szampanem.

- Jaki to klub? - spytał Nick z zawodowym zainteresowaniem.

- Nazywa się Dwadzieścia Jeden. Czy o nim słyszałeś?

- Taak, Suze - odrzekł niechętnie Nick. - Tam właśnie chodzą biznesmeni. Nad barem wiszą miniaturki

### *175 Robyn Sisman*

samochodów, a różne nudne stare pierdoły siedzą w fotelach i gadają o wielkiej forsie.

Prawdopodobnie przez głośniki ciągle puszczają Franka Sinatrę.

- Och. - Suze poczuła się zgaszona. Pośpiesznie wycofała się, proponując restaurację w SoHo, która, jak czytała, była tak modna, że należało tam zarezerwować stolik z trzymiesięcznym wyprzedzeniem, przypuszczając, iż Nick lubi ten rodzaj wyzwania. Miała rację: z miejsca odzyskała pewność siebie i dobry humor.

- Zostaw to mnie - oświadczył z nonszalanckim uśmiechem.

Słuchała z poczuciem winy, gdy dzwonił do restauracji i przypominał im o wszystkich sławnych osobistościach, które przyprowadził tam w zeszłym roku.

- Wyrzucicie kilka zer z narożnych stolików - zaproponował, mrugając do Suze, a ona ukryła twarz w jego olśniewającej koszuli, próbując nie myśleć o ludziach, którym zabrali stolik.

Lokal okazał się całkiem zwyczajny, pomijając jedną lub^dwie twarze, które Suze jak sądziła, prawie rozpoznała i zanim Nick poprosił o rachunek, była gotowa, aby wrócić do domu.

Po tak pełnym wrażeń dniu mieszkanie wydawało się spokojne i tchnęło atmosferą intymności. Suze zostawiła gościa w salonie, a sama w kuchni przyrządziła Manhattan Killers z lodem. Nick przechadzał się po pokoju z ciekawością, drwiąc z umeblowania, książek i doboru płyt.

- Można od razu stwierdzić, że to mieszkanie należy do przeciętniaków. Takie krzesła były modne w latach osiemdziesiątych i nikt nie trzyma ich teraz-w domu. I spójrz na to! - Suze widziała, jak wymachuje do niej od drzwi jakąś szczególnie okropną płytą kompaktową. Ze zdziwieniem zauważyła, że przyjmuje pozycję obronną. Mieszkanie Rockwella miało kilka miłych cech.

Postanowiła w duchu, że nigdy nie wyjawি Nickowi, iż sama wymyśliła wystrój swego londyńskiego

### *Zupełnie obcy ludzie 181*

gniazdka. Po chwili wszedł do kuchni, gdzie ledwie starczyło miejsca dla nich dwojga.

- Spójrz tylko na siebie - żartował, obejmując ją w talii - jaka z ciebie mała gosposia. Ja nie widziałem chyba mojej kuchni od 1992 roku.

- Gdzie w takim razie jadasz posiłki?

- W restauracjach i tam, gdzie można kupić coś na wynos. Nikt już teraz nie gotuje w Nowym Jorku.

- Ja gotuję, w pewnym sensie.

- Czy to nie jest słodkie? - Na chybił trafił otwierał szuflady i szafki. - Ludzie, którzy tu mieszkają, muszą być stuknięci. Wyobraź sobie tylko, że wydajesz pieniądze na garnki i patelnie... Co to jest?

- To pędzel do ciasta. Używa się tego do... Nick! - Suze zachichotała, gdy pochylił się, aby musnąć delikatnym puszkiem jej piersi.

Następnie zaniósł ich drinki na kanapę - nalegał, aby usiedli na tej skórzanej, prowokująco unosząc brwi. Wyciągnął się na poduszkach, patrząc na nią wygłodzonymi, na wpół otwartymi oczami. Suze zapaliła papierosa, starając się zrobić wrażenie opanowanej; nie chciała, aby Nick myślał, że jest zupełnie uległa. Nagle wyrwał jej papierosa z ręki, posadził ją sobie na kolanach, a potem zaczął całować, szarpiąc na niej ubranie. Jego ręce wślizgnęły się w miękkie sekretne miejsca. Suze przez ułamek sekundy poczuła wyrzut sumienia<sup>^</sup> że robi to na czyjejs kanapie, zanim jej umysł wypełniła fala gorących doznań. Ciało Nicka było ciężkie i ciepłe: Suze miała wrażenie, że ona sama płonie. A to dopiero, naprawdę płonęła! - czy też raczej płonęła kanapa. Suze cofnęła się i z przerażeniem ujrzała swój papieros tłący się na drogiej czarnej skórze. Jednak Nick tylko się roześmiał, zgasił wąskie pasmo dymu, polewając je koktajlem, i przyciągnął ją znowu do siebie.

Suze z niezadowoloną miną popatrzyła na czarną dziurę, której nie można było nie zauważyć, i to na samym środku kanapy. Co będzie, jeśli ci Rockwellowie



## *182 Robyn Sisman*

zażyczą sobie, aby kupiła im nową? Umieściła ozdobną poduszkę na wypalonym miejscu i wróciła do kuchni.

Następnego dnia obudziła się wcześniej i z rozczarowaniem stwierdziła, że Nick już sobie poszedł. A przecież tak bardzo się cieszyła na wspólne, długie leniwe śniadanie. Nick zostawił jej wiadomość, wyjaśniając, że musi wyjść, aby załatwić pewien interes z australijską gwiazdą opery mydlanej, z którą można się skontaktować jedynie o osobliwych porach, i że zobaczą się dziś wieczór - słowo to napisał przez „u” otwarte i z małym kółeczkiem tworzącym kropkę nad literą „i”. Och, no cóż, pomyślała Suze, nie można mieć wszystkiego.

Rzuciła okiem na zegarek. Ratunku! Musi natychmiast wziąć się do roboty! Już wcześniej odkryła, że przygotowanie doskonałej kolacyjki wcale nie jest takie łatwe, jak się wydaje. Połowa potrzebnych składników miała tutaj inne nazwy i na przykład wiosenna cebulka znana była jako szalotka.

Wprawdzie wszystkie sklepy pracowały w niedziele, lecz o kupnie najzwyklejszego w świecie kubeczka tłustej śmietanki nie można było nawet marzyć. Suze nie zdołała znaleźć czegokolwiek do jedzenia, co nie zostałyby pozbawione tłuszczu lub zawierało większą jego ilość, albo też nie przypominało bladych pomyj nafaszerowanych chemią. Nic nie szkodzi. Jej menu stanowiło wzór wyrafinowanej prostoty: sałata z utartym parmezanem, okoń z wody z młodymi warzywami i poziomki nasączone cointreau. Daniem popisowym miał być sos holenderski domowej roboty, przepis, którego jeszcze nie wypróbowała, ale cóż to za trudność połączyć kilka żółtek z masłem? Właśnie umieściła składniki w garnku z podwójnym dnem i zmierzała w kierunku sypialni, aby włożyć sukienkę, kiedy zadzwonił telefon. Jeśli to dzwoni Nick, by odwołać kolację, zamorduje go. Był to jednak Lloyd Rockwell. Ten facet miał talent do telefonowania w niewłaściwym momencie.  
- Tak? - spytała szorstko.

### *Zupełnie obcy ludzie 178*

- Halo - zaczął ostrożnym głosem. - Przykro mi, że znowu sprawiam kłopot, ale obawiam się, że mam kolejne złe wiadomości.

Co teraz? - zastanawiała się Suze. Miała nadzieję, że mały Hitler z elektrowni nie wyłączy znowu dopływu prądu, ponieważ nie zapłaciła rachunku w wyznaczonym dniu.

- Czy możesz się streszczać? Właśnie coś gotuję.

- Chodzi o twojego kota - wyjaśnił Lloyd. - Rzecz w tym, że jest, no cóż, prawdę powiedziawszy, zmarł.

- Zmarł?

- Nie żyje, jeśli wolisz.

- Pan Kipling? Och, nie... - Suze przycisnęła rękę do ust.

Pomyślała o wszystkich tych chwilach, kiedy przyjaciel dodawał jej otuchy, z dumną miną wkraczając do jadalni. Siadał i po prostu poruszał ogonem, jak gdyby chełpiąc się bez słów niewypowiedziane śmiałymi wyczynami na szczytach dachów w północnym Londynie, a następnie zapadał w sen przy kaloryferze i umiłował jej samotność swoim towarzystwem. Nigdy nie należał do Suze oficjalnie, ale to stanowiło część jego uroku. Przychodził, kiedy chciał; karmiła go, jeśli akurat miała coś, co mógł zjeść. Przypominała sobie, że szczególnie lubił babeczki z serem od Marksa i Spencera. Nie mogła opanować łkania.

- Nie płacz - odezwał się Rockwell. - Proszę nie płakać.

- Co się stało? - Pociągała nosem. - Czy ktoś go przejechał?

- Niezupełnie... Zrozum, przecież my nie wiedzieliśmy, że to twój kot. Kiedy zobaczyliśmy, że wchodzi do domu i wychodzi, kiedy chce, pomyśleliśmy, iż to jakiś przybłąda. No cóż, nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale uznaliśmy, że najlepiej będzie zabrać go do weterynarza. Lekarka stwierdziła, że i tak jego życie dobiega już końca, toteż trudno byłoby znaleźć mu dom, więc... więc...

*179 Robyn Sisman*

- Więc go zamordowaliście! - dokończyła rozwścieczona Suze. - Jak mogliście to zrobić? - wybuchnęła złością. - Biedny, niewinny kot, który jedynie szukał odrobiny towarzystwa.

- Wiem. Przykro mi. Naprawdę. Nie umiem wyrazić, jak bardzo mi przykro. Rozumiem teraz, że postąpiliśmy okropnie. Wiem, że nie ma sposobu, aby ci to wynagrodzić, chociaż zrobiłbym to, gdybym tylko mógł.

Z tonu jego głosu niezbitnie wynikało, że naprawdę mu przykro. Wzburzona Suze strzeliła jedną podwiązką o udo. Była zmartwiona i chciała wyładować na Lloydzie swój gniew, ale czuła, że jej rozmówca na to nie zasługuje.

- Betsy kupiła ci w prezencie kuchenkę mikrofalową. Nie ma to być żaden rodzaj rekompensaty, oczywiście - dodał szybko - lecz jedynie mały dowód, iż jest nam przykro.

Suze z nachmurzoną miną patrzyła na telefon. Kuchenki mikrofalowe to coś dla nudziarzy. Gdy tak stała, zacinając się w upartym milczeniu, zdała sobie sprawę, że coś dziwnie pachnie. >

- Och, nie!

Szybko wpadła do kuchni, ciągnąc za sobą długi sznur od telefonu. Katastrofa! Zamiast holenderskiego sosu w garnku znajdowała się cuchnąca brązowa masa.< Suze rzuciła się, aby zdjąć garnek z palnika, oparzyła się w rękę, krzyknęła i upuściła słuchawkę. Podskakując z bólu, znalazła rękawicę do gorących naczyń, postawiła garnek na suszarce i polała dłoń zimną wodą. Drugą ręką pomachała sobie przed nosem. Zapach był obrzydliwy. Co pomyśli Nick?

- Halo? Halo? - pisał z podłogi głos Lloyd'a.

- A teraz o co znowu chodzi? - Podniosła ze złością słuchawkę.

- Co się stało?

- Spaliłam tylko swój holenderski sos, to wszystko. A on tu będzie lada chwila. Wszystko musi być dosko-

### *Zupełnie obcy ludzie 185*

nałe. Nie jestem nawet jeszcze ubrana. - Rosnąca panika sprawiła, że mówiła ostrym tonem.

- Może uda się go uratować. Jak wygląda?

Suze zajrzała do rondla. Dawne wspomnienie popołudnia spędzonego z Bridget wkrótce po narodzinach Tommy'ego wreszcie na coś się przydało.

- Jak kupka noworodka.

- Uuch. A więc niezbyt wspaniale, przyznaję. Dlaczego nie zrezygnujesz z sosu? Każdy mężczyzna byłby zadowolony, że ktoś w ogóle ugotował dla niego obiad, nieważne, z sosem czy bez.

- Nie rozumiesz - jęczała Suze. - To nie jest „każdy mężczyzna”. Wszystko musi być doskonałe. Chcę powiedzieć, że to ktoś, kto wyrzuca wizytową koszulę, gdy już raz ją włoży.

- Masz rację. Ale nie rozumiem, czy ten facet nie słyszał o pralniach?

- Mówi, że nigdy nie udaje im się doprowadzić kołnierzyka do właściwego stanu - wymamrotała Suze. Nawet ona uznawała ów zwyczaj Nicka za nieco ekstrawagancki.

" - Twojemu mężczyźnie nie spodoba się ryba z podobną mazią, czy właśnie to chcesz mi powiedzieć?

- Tak! - wyrzuciła z siebie w całkowitej panice. - I będzie tu lada chwila, a nie mam już więcej szalotek i...

- W takim razie po prostu będziemy musieli zrobić to inaczej.

- My? - Suze przestała wymachiwać ręką.

- Oczywiście\* Chciałbym ci pomóc, tyle przynajmniej mogę zrobić. Zajrzyj do szafki nad kuchenką i poszukaj białego winnego octu. Jak sądzę, stoi na drugiej półce.

Suze wahała się, niepewna, czy mu zaufać. Większość znanych jej mężczyzn uważała, że żywność otrzymuje się w zgrabnych celofanowych paczuszkach. W każdym razie sprawdziła w szafce. Ocet był istotnie na drugiej półce. Robiło to wrażenie.

*186 Robyn Sisman*

- Już mam - powiedziała.

- Dobrze. Teraz wlej trzy łyżki octu i dwie zimnej wody do rondelka i doprowadź do stanu wrzenia. I przygotuj następną porcję masła i żółtka.

Suze zauważyła ze zdziwieniem, że go słucha. Miał taki cudownie kojący głos. Może ten sos okaże się pomimo wszystko dobry. Znalazła fartuszek z falbankami i włożyła go na bieliznę, a następnie zaczęła rozbijać jajka do miseczki, z telefonem wetkniętym pod brodę. Nagle spostrzegła mieszankę z octem.

- Och, nie! Ta octowa mieszanka znika!

- „Zmniejsza się” - to właściwe słowo. Spokojnie, musisz poczekać, dopóki nie zostanie tylko mniej więcej łyżka. Czy nigdy wcześniej nie gotowałaś żadnej potrawy?

- Oczywiście, że tak - odpowiedziała z dumą Suze. Umiała ugotować jajka na twardo, zrobić tosty z serem, fasolkę po bretońsku... wiele różnych dań. - Moja przyjaciółka Bridget i ja pewnego razu wyprawiliśmy przyjęcie z jedzeniem kojarzącym się z seksem - oświadczyła. - Tylko że wcześniej tak się wstawiliśmy, iż spaliłyśmy na wiór gigantyczne kiełbaski i musiałyśmy skoczyć na ulicę po curry. Później całymi tygodniami jadłyśmy truskawkowe musy w kształcie piersi.

Roześmiał się. Miał przyjemny śmiech. \*

- Dobra, została już tylko łyżka.

- Świetnie, teraz wlej to do garnka i wymieszaj z żółtkami. Następnie po troszeczkę zacznij dodawać masło. I uważaj, aby woda pod spodem się nie zagotowała.

- Po troszeczkę - powtórzyła zamyślona Suze. - To termin techniczny, prawda?

- Powiedz mi coś więcej o tym doskonałym mężczyźnie.

- Nie nazywaj go tak. Jest naprawdę miły. To Amerykanin, można się z nim dobrze zabawić i...

- ...i podobasz mu się.

*Zupełnie obcy ludzie 182*

- ...i chyba mnie lubi. Ale cóż można przewidzieć, jeśli chodzi o mężczyzn.
  - Ha! - Jego pełen oburzenia głos zabrzmiał nagle głośno tuż przy uchu Suze. - To wy, kobiety, jesteście niezbadane. Biedny facet, prawdopodobnie właśnie teraz stoi za drzwiami mieszkania z bukietem kwiatów w rękach, zastanawiając się, czy pamiętasz, że go zaprosiłaś... Czy nadal mieszasz?
  - Tak. W moim przepisie jest napisane, że sos powinien „przyklepić się z tyłu łyżki”.
- Lloyd zachichotał.
- Opowiedz mi o pozostałych daniach.
- Suze właśnie wyjaśniała mu dokładnie, jak przyrządziła poziomki, gdy nagle urwała zadziwiona.
- Spójrz!
  - Susanno, to jest telefon. Proszę o opis.
  - Wszystko to zgęstniało i ma jakiś bladożółty odcień. Wygląda, nie uwierzysz, ale wygląda jak sos holenderski.
  - Oczywiście, że tak. Teraz dodaj do niego kilka kropel soku cytrynowego i odrobinę soli i powiedz mi, jak smakuje.
- Zrobiła, co polecił, i oblizała łyżkę.
- Zupełnie fantastyczne. Dlaczego dotąd nie umiałam tego zrobić?
  - Właśnie zrobiłaś.
  - Dzięki tobie. - Suze wpatrywała się w ronderek z dumą. - Jeśli kiedykolwiek stracisz pracę, zawsze będziesz mógł założyć specjalną linię telefoniczną i zajmować się udzielaniem pierwszej pomocy w kuchni. Czy nie byłoby to genialne? Mój rachunek telefoniczny będzie ogromny.
  - Posłuchaj... chciałem cię spytać, czy mogłabyś wyświadczyć mi przysługę w pracy?
  - Oczywiście! Wszystko, o co tylko poprosisz.
  - Jest pewien plik, którego potrzebuję z biura. Jeśli podam ci nazwę i hasło, czy prześlesz mi go pocztą elektroniczną z mojego komputera?

*183 Robyn Sisman*

- Oczywiście. Tylko niech to sobie zapiszę. - Suze poszła do salonu i zaczęła szukać kartki. - To ty jesteś owym facetem, który z uporem maniaka ostrzy ołówki?

- Prawdopodobnie.

- Żyjesz również w panicznym lęku, że zabraknie ci pomidorów w puszkach, masz niewiarygodnie długie stopy i jesteś hipochondrykiem. Nigdy nie widziałam szafki z taką ilością lekarstw!

- To Betsy. Lubi być przygotowana na epidemię, która może wybuchnąć na Manhattanie.

Suze oderwała kawałek papieru. - Dobrze. Jestem gotowa.

Lloyd zaczął mówić i Suze nagryzmoliła dane, obiecując, że wyśle pocztę elektroniczną od razu w poniedziałek rano. W głosie Rockwella wyczuwało się uprzejmość i wdzięczność. Coś jednak nadal intrygowało Suze. - Na marginesie, jak udało się wam zabrać Pana Ki-plinga do weterynarza?

Zazwyczaj nie pozwalał się dotknąć. Nienawidził tego.

Nastąpiła krótka przerwa.

- W plastikowej torbie.

- Nie bądź głupi. Nie można nieść kota w plastikowej torbie. - Ze złości zaczęła mówić niewyraźnie.

- Masz rację. Myślę, że to był koszyk. Prawdę mówiąc, Betsy tak nim manewrowała, że kot znalazł się w pułapce. Bardzo dobrze sobie radzi z podobnymi sprawami.

Suze wsłuchiwała się w jego niepewny głos, głos mężczyzny, który nienawidzi kłamać i właśnie musi to robić. Nagle zrozumiała.

- To wcale nie ty, prawda? To twoja dziewczyna się go pozbyła.

- Nie, nie. Absolutnie nie.

Nigdy nie słyszała, aby ktoś łgał tak nieprzekonywająco. Na pewno bierze na siebie winę swojej partnerki. Czy ktoś może być aż tak miły? - zastanawiała się gorączkowo. Musi mieć gdzieś jakąś skazę. Pomyślała o małym teście.

*Zupełnie obcy ludzie 189*

- Jeszcze jedno pytanie na koniec, czy naprawdę lubisz Phila Collinsa?

- Oczywiście, że nie! Przynajmniej nie za bardzo.

Tak jak myślała: płyta stanowiła dziewczęcy prezent od dziecinnej dziewczyny. Suze uśmiechnęła się do słuchawki.

- Dziękuję jeszcze raz za lekcję gotowania. Do usłyszenia!

Poszła się ubrać. Biedny stary Pan Kipling... Chociaż, prawdę mówiąc, ostatnio stawał się dość kapryśny i zaczął cuchnąć. Miała nadzieję, że nie był zbyt przerażony u weterynarza. W sypialni stwierdziła, że nadal ściska kurczowo w dłoni kawałek papieru. Spojrzała na kartkę jeszcze raz i zrobiła niezadowolona minę, przypominając sobie, co mówiła Sheri o dyskrecji. Lloyd jednak nie robił wrażenia faceta o paranoicznych skłonnościach. Z drugiej strony Suze uznała za ważne, by nadal cieszyć się sympatią szefowej.

Włożyła sukienkę, zastanawiając się, co zrobić. Gdy starannie malowała usta i mrugała rzęsami, aby osuszyć tusz, postanowiła, że powie Sheri o prośbie Lloyda, zanim wyśle mu plik. To nikomu nie zaszkodzi.



Rozdział osiemnasty

Chwileczkę, panie Rockwell.

Lloyd zatrzymał się w recepcji w budynku Schneidera Foxa, gdyż właśnie zbliżył się doń ochroniarz z kwaśnym wyrazem twarzy. Lloyd widywał tu czasami tego faceta, kiedy sam pracował do późna. Strażnik zazwyczaj ledwie spoglądał nań znad swojej gazety, aby coś odburknąć. Dzisiaj wszakże emanowało zeń poczucie własnej ważności. -Tak?

- Pan Fox polecił mi, aby zaprowadzić pana prosto do jego biura, kiedy pan przyjdzie.

- Dobrze. Tylko...

- Otrzymałem polecenie „natychmiast”.

- Och... Dobrze.

Razem ruszyli po schodach na pierwsze piętro i przeszli przez korytarz do biura Harry'ego. Lloyd był zaintrygowany. Musiało się nieoczekiwanie wydarzyć coś ważnego. Czyżby zapomniał o jakimś spotkaniu? To przecież wtorek, prawda? Czyżby bardzo się spóźnił dziś rano? Sprawdził godzinę: kwadrans po dziewiątej.

Wzruszył ramionami. Każdy znany mu szef był w jakimś stopniu nieprzewidywalny, miał również skłonności dyktatorskie i wydawało się, że Harry nie stanowi w tym względzie wyjątku. Wczoraj przez cały dzień Lloyd bezskutecznie usiłował porozmawiać z nim na osobności, a teraz Fox domagał się, by rozmawiali, zanim jeszcze Amerykanin zdąży zdjąć płaszcz.

### *Zupełnie obcy ludzie 186*

Ochroniarz zapukał do gabinetu dyrektora, a następnie gestem wskazał Rockwellowi, aby wszedł, i zamknął za nim drzwi.

Zaskoczony Lloyd zobaczył, że Piers stoi z Harrym przy oknie. Uśmiechnął się do Piersa, ale uśmiech zamarł mu na ustach, kiedy Harry odwrócił się i spojrzał na niego. Zazwyczaj panujący nad emocjami Australijczyk wyglądał na rozwścieczonego. Lloyd poczuł nagły niepokój.

- Co się stało? - spytał.

Przyszło mu na myśl, że Julian Jewel pomimo wszystko zachęcił Passion do porzucenia Schneidera Foxa. Jednak było to niemożliwe, nie do pomyślenia.

- Poprosiłem Piersa, aby tu przyszedł, ponieważ myślę, że to ważne, aby nasi klienci wiedzieli dokładnie, co się dzieje - zaczął Harry.

Lloyd stał, przypatrując się mu, z płaszczem przeciwdeszczowym przewieszonym przez ramię i nadal trzymając w ręce walizeczkę.

- W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin stało się dla nas jasne, że ktoś ujawnił poufne wiadomości dotyczące klientów - ciągnął dalej Harry. Mówił dziwnie oficjalnym tonem. - Wygląda na to, że do części pasażerów, którzy zarezerwowali promocyjne transatlantyckie loty w Passion, zwrócono się z konkurencyjną ofertą ze Stateside. Osoby, które wystąpiły z tą propozycją, zdawały się wiedzieć dokładnie, kim są klienci Passion i jaką otrzymali ofertę.

- Możliwe - zgodził się Lloyd. - To ma sens. Harry zignorował jego odpowiedź.

- Ta informacja mogła, oczywiście, wyjść z Passion - mówił - my jednak myślimy, że wyszła od Schneidera Foxa.

Lloyd potrząsnął głową.

- To zupełnie niemożliwe. Jak wiesz, analizowaliśmy efekty naszej ostatniej promocji, ale nikt spoza mojego działu nie miał dostępu do danych. - Usilnie próbował odgadnąć, do czego to wszystko zmierza.

*187 Robyn Sisman*

Harry znowu jak gdyby nie słyszał, co powiedział Lloyd. Piers zaś unikał jego wzroku.

- W ciągu ostatnich dwunastu godzin przeprowadziliśmy kontrolę, aby sprawdzić, czy któryś z pracowników Schneidera Foxa, mający dostęp do listy klientów, nawiązał bezpośredni kontakt z kimś w Stateside. W taki to sposób natrafiliśmy na tę wiadomość. - Harry rzucił Lloydowi kartkę papieru.

Była to fotokopia kartki z notesu Dee Dee. - „Tony dziękuje za listę”. Poznajesz to?

- W pewnym sensie. - Lloyd wolno skinął głową. - Dee Dee, moja sekretarka z Nowego Jorku, przekazała mi taką wiadomość w zeszłym tygodniu. Byłem już w Londynie, gdy odebrała ową rozmowę telefoniczną. Ja jednak nie mam pojęcia, od kogo pochodzi ta informacja i co oznacza.

- Czy powiesz mi również, że nie znasz człowieka nazwiskiem Tony Salvino, szefa marketingu w Stateside?

- Cóż, nie, nie znam, chociaż słyszałem to nazwisko. - Lloyd wreszcie dostrzegł grożące mu niebezpieczeństwo. - Chwileczkę, czy uważacie, że ujawniłem firmie Stateside listę pasażerów Passion? - Myśl ta była tak absurdalna, że niemal się roześmiał.

Niemal.

- Tak właśnie myślę. - Oczy Harry'ego były zimne.

- Ale to niedorzeczne! Ja... ja... ja po prostu nie potrafiłbym zrobić czegoś podobnego.

Spojrzał błagalnie na Piersa, który poruszył się niespokojnie.

- Harry, być może powinniśmy...

- Otwórz swoją walizkę. - Harry wykonał nagły ruch głową w stronę Lloyd'a.

-Co?

- Połóż tę swoją cholerną walizkę na stole i ją otwórz. Lloyd posłuchał z zaciśniętymi ustami.

Na wierzchu leżała gazeta. Harry cisnął ją na bok, przesuwając jabłko, które potoczyło się po biurku i upadło na podłogę. Lloyd wyjął plik notatek i teczek,

### *Zupełnie obcy ludzie 193*

a następnie przezroczystą plastikową kopertę. Harry błyskawicznie ją złapał, a następnie podał Piersowi.

- Czy to wystarczy?

Za późno, zrozumiał Lloyd.

- Proszę poczekać... - zaczął.

- De ci zapłacili, Lloydzie? - przerwał mu Fox z goryczą. - Dużo ładnych okrągłych zer, prawda? A w gruncie rzeczy lubiłem tego drania - mówił teraz do Piersa. - On i jego narzeczona odwiedzili nas na wsi nie dalej jak w zeszły weekend. Uznałem za dziwne to, że usiłował wyciągnąć ode mnie informacje na temat Passion, ale nie rozumiałem, dlaczego to robił - aż do wczoraj.

Lloyd poczuł nagle, że kręci mu się w głowie. Wiedział, że powinien przerwać, powinien wyjaśnić, dlaczego zrobił to, co zrobił, ale był oszołomiony. Nic nie miało sensu. Za co dziękowali mu w Stateside? Czy tamci również myśleli, że jest winien?

- Bernie i ja rozmawialiśmy wczoraj wieczorem. Począwszy od tej chwili, przestajesz być pracownikiem Schneidera Foxa. Oto zwolnienie z pracy. Chcę, abyś natychmiast opuścił ten budynek.

- Harry Fox mówił tak, jak gdyby wypowiedane słowa napawały go wstrętem. - Pracownicy firmy otrzymają polecenie, aby z tobą nie rozmawiać. Masz oddać wszystkie rzeczy należące do przedsiębiorstwa, jakie posiadasz. Uprzątniemy twoje biurko i zwrócimy ci przedmioty osobistego użytku we właściwym czasie. Przypominam o zobowiązaniu dotyczącym tajemnicy zawodowej, jakie złożyłeś, kiedy zacząłeś pracować u Schneidera Foxa. Jeśli spróbujesz zrobić użytek z dalszych zastrzeżonych informacji, zastosujemy wobec ciebie sankcje karne. Ponieważ Lloyd się nie poruszył, Harry dużymi krokami podszedł do drzwi i sam je otworzył z rozmachem. Ochroniarz czekał na zewnątrz. - Proszę wyprowadzić pana Rockwella z budynku.

- Harry...

- Wynoś się. I to już!

## Rozdział dziewiętnasty

Rozległ się piskliwy odgłos klaksonu, przed jego oczami pojawiła się jakaś rozmazana czerwona plama, a podmuch powietrza, gdy obok przejechał samochód, sprawił, że zatoczył się do tyłu.

Gniewny męski głos zawołał:

- Czy jesteś kompletnie ślepy? Stał na skraju chodnika dwie lub trzy ulice dalej od Schneidera Foxa zwrócony twarzą w stronę jezdni. Serce waliło mu młotem z przerażającą szybkością. Lloyd słyszał swój ciężki oddech. Nie wiedział, jak się tu znalazł. Teraz miał wrażenie, że nie może się poruszyć. Próbując odzyskać panowanie nad sobą, postarał się skupić na czymś uwagę. Na ziemi znajdowały się jakieś dwa czarne przedmioty: zwężające się lekko, zaokrąglone, może o szerokości centymetra, o gładkiej powierzchni i żywym połysku - zmusił się, aby je opisać, jak gdyby był biegłym w procesie o morderstwo. Jeden z nich się poruszył. Były to, jak sobie uświadomił, czarne noski jego własnych butów. Gwałtownie odwrócił się od jezdni, a jakaś młoda kobieta szybko przyciągnęła do siebie dziecko, omijając go ostrożnym łukiem. Narkotyki, mówił jej przerażony wzrok, alkohol lub schizofrenia. Zjawiska te były tutaj na porządku dziennym.

Z jednej strony chodnik ograniczony był kamiennym murem, sięgającym Lloydowi do pasa. Tworzył on poręcz mostu nad kanałem. Lloyd oparł tam ręce, pró-

### *Zupełnie obcy ludzie 190*

bując uregulować oddech. Głowa mu opadła. Patrzył w dół i w dół, i jeszcze bardziej w dół. Woda była głęboka, ciemna, kusząco zielona.

Wylano go. Wyrzucono z biura i powiedziano, aby więcej nie wracał. Nie ma pracy, celu w życiu oraz miejsca, gdzie mógłby codziennie chodzić, nie ma pensji ani przyszłości. Jego koledzy uważają go za oszusta i kłamcę - albo jeszcze gorzej: za przestępcę.

Dzwoniło mu w uszach; owe dźwięki narastały, aż wydawało mu się, że znowu słyszy odbijające się echem na korytarzu trzaśnięcie metalowych drzwi oraz pisk alarmów elektrycznych. Czuł coraz wyraźniej niemiłą woń taniego jedzenia i potu oraz środków dezynfekujących. We wspomnieniach zobaczył kogoś niegdyś pewnego siebie, a teraz w szorstkim więziennym stroju, boleśnie poniżonego, i oczy, które nie dawały mu spokoju niczym błagające oczy spaniela. Przejęty wstrętem i poczuciem winy Lloyd przycisnął mocno twarz do ramienia, dopóki cały świat nie pokrył się mrokiem.

Trzeba spróbować pomyśleć. Co mogło się wydarzyć? Zaledwie dwa dni temu był gościem Harry'ego, śmiał się razem z jego żoną, żartował z dziećmi. Czy Fox przez cały czas prowadził jakąś fałszywą grę? Lloyd podniósł głowę i spojrzał w dół na kanał. Ktoś łowił ryby. Rockwell pomyślał o tym, jak nad brzegiem rzeki próbował porozmawiać z Harrym o swoich obawach związanych z Passion, i żałował, że nie okazał się bardziej uparty. Dlaczego zawsze musi być tak cholernie uprzejmy?

Przesunął palcem wokół ciasnego kołnierzyka koszuli, a następnie impulsywnym gestem zerwał krawat, oznakę biurowej zależności, i wrzucił go do wody. Dopiero kiedy zobaczył, jak wolno płynie, przypomniał sobie, że ofiarowała mu go Betsy.

Betsy... Lloyd poczuł delikatny przypływ ciepłych uczuć. Kiedyś, na początku ich związku, przez cały tydzień nie poszła do biblioteki, aby móc opiekować się

*191 Robyn Sisman*

nim, gdy był chory. Wtedy właściwie jeszcze ze sobą nie chodzili. Był to naprawdę bezinteresowny gest. Wspomnienie spokojnej obecności Betsy wypełniło jego myśli. Wiedziała dokładnie, co należy zrobić. „Wypij zupę”. „Przykryj się jeszcze jednym kocem”. „Czas na lekarstwo”. Działała kojąco i umiała sobie ze wszystkim poradzić. Pamiętał owo niezwykle przyjemne uczucie poddawania się poleceniom drugiej osoby.

Betsy była inteligentna. Miała bystry umysł, logiczny i precyzyjny po latach studiów uniwersyteckich. Wszystko za niego rozwiąże i powie mu, co należy zrobić.

Zanim zdał sobie z tego sprawę, już szedł znajomą trasą do domu przez Caledonian Road, a następnie swą ulubioną ulicą, gdzie znajdowały się samoobsługowe pralnie i sklepy z artykułami żelaznymi, a każdego domu strzegła para sfinksów wielkości zwierząt domowych i dalej przez spokojne placyki z ukrytymi ogrodami, prowadzące do miejsca wydającego się azylem, o którym Lloyd już myślał jak o domu. Wbiegł na górę po schodach, wykrzykując jej imię. Co będzie, jeśli gdzieś wyszła? Jednak Betsy pojawiła się na podeście z wyrazem zaskoczenia na twarzy.

- Co tutaj robisz? - Wyszła na korytarz, aby go przywitać. - Gdzie twój krawat?

Otoczył ją ramionami i przez długą chwilę obejmował, wdychając pełen świeżości znajomy zapach i czując ciepło jej ciała. Obecność i bliskość Betsy działała na niego kojąco.

- Co to znaczy? - spytała jeszcze raz, uwalniając się z uścisków Lloyd'a.

- Straciłem pracę.

- Co? - Betsy wyglądała na przerażoną. - Dlaczego? Co zrobiłeś?

- Ja... - Lloyd potrząsnął głową. - Nie wiem. - Wyjaśnił, co się stało: nagły ciąg zdarzeń, szok.

Betsy pocieszająco położyła mu rękę na ramieniu.

- Musiało zajść jakieś nieporozumienie, kochany.

### *Zupełnie obcy ludzie 197*

Ci Anglicy nie znają się na interesach. Dlaczego nie zadzwonisz do Berniego i nie wyjaśnisz, o co chodzi?

- Jeśli Harry mi nie uwierzył, to Bernie z całą pewnością tego nie zrobi.

- Czy jest ktoś jeszcze, kto może wiedzieć, co się dzieje? Co z Sheri?

Sheri! Tak, ona może coś z tego wszystkiego pojąć. Przecież wiedziała więcej niż ktokolwiek inny o ich planach dotyczących Passion.

- Masz rację - powiedział. - Zatelefonuję do niej natychmiast.

- Nie możesz na razie do niej dzwonić. Śpi. A ja zrobię ci kawę i przygotuję kąpiel, dobrze?

Wyglądasz okropnie. Spróbuj przez chwilę się zrelaksować.

Lloyd nie wytrzymał dłużej niż do dwunastej czasu angielskiego - siódmej rano w Nowym Jorku.

Sheri już się obudziła, ale nadal jest w domu. Trochę się już uspokoił. Zabrał telefon do sypialni i wykręcił domowy numer koleżanki, przysłuchując się znajomemu warkotowi na liniach amerykańskich, tak różnemu od angielskiego dzwonienia. \ - Halo?

- Sheri, tu Lloyd. Muszę z tobą porozmawiać.

Słysząc było, jak ktoś wstrzymuje oddech, a następnie trzask odkładanej słuchawki. Lloyd przeżył szok, gdy dotarło to do jego świadomości: wiedziała już, że go wylano! Trwał oszołomiony przez chwilę, a potem poszedł do Betsy.

Siedziała przy komputerze i wyglądało na to, że pilnie pracuje. Niemal się uśmiechnął, gdy zobaczył, jak szybko zdejmuje okulary do czytania - tak bardzo nienawidziła, gdy ktoś ją w nich widział.

Zerwała się na równe nogi i podeszła do niego.

- Jakie wieści?

- Nie chce ze mną rozmawiać. - Opadł na krzesło. Betsy spojrzała na niego zamyślonym wzrokiem.

- Wiesz, może trzeba sobie powiedzieć, iż nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Mógłbyś przecież



*198 Robyn Sisman*

poszukać pracy gdzieś indziej. Zawsze uważałam, że u Schneidera Foxa nie doceniają cię dostatecznie. Wielu mężczyzn jest już w zarządzie, zanim osiągną twój wiek.

- Betsy - wyjaśnił Lloyd cierpliwie - pomyśl! Kto w całym biznesie reklamowym zatrudni faceta, który przekazywał tajemnice dotyczące klientów potężniejszej konkurencji.

- Jednak ty tego nie zrobiłeś. - Nastąpiła długa przerwa. - Prawda? Bo nawet jeśli to zrobiłeś, wiesz, że przebaczyłabym ci, kochanie. - Zastanowiła się na chwilę. - Być może tamci by cię zatrudnili.

- Oczywiście, że nie zrobiłem tego! - Lloyd walnął pięścią w oparcie krzesła, na tyle mocno, że Betsy odskoczyła do tyłu. - Do jasnej cholery! - wrzasnął. - Nie wiem nawet dokładnie, co, ich zdaniem, zrobiłem.

- W porządku - powiedziała w końcu cienkim, obrażonym głosem. - Ale nie musisz przeklinać.

Lloyd przesunął ręką po włosach.

- Musiało zajść jakieś poważne nieporozumienie. Gdybym tylko miał zdolność jasnego myślenia, może mógłbym pojąć, o co chodzi.

Jego spojrzenie krążyło bezładnie po pokoju, jak gdyby w poszukiwaniu natchnienia. Jednak zobaczył jedynie duże książki o sztuce i projektowaniu, pochylone w różne strony na półkach, metalową lampę z niekontaktującym przewodem, który sprawiał, że migotała, zamiast świecić równo, stepującego Freda Astaire'a - wszystkie owe dziwne i zabawne ślady życia jakiejś innej ludzkiej istoty, które teraz częściowo stało się jego własnym. Lloyd wstał.

- Wracajmy do domu. Poszukam innej pracy. Możemy się przenieść do innego miasta - Chicago, Seattle. - Ruszył dużymi krokami w kierunku telefonu. - Dziś wieczorem możemy znaleźć się w samolocie.

- Ale nie możemy teraz wyjechać!

- Dlaczego nie? - Szybko podniósł słuchawkę w rozpaczliwym pragnieniu jakiegoś stanowczego działania.

### *Zupełnie obcy ludzie 194*

Betsy patrzyła nań wytrzeszczonymi oczami, zdumiona, niemal śmiejąc się z politowaniem, jak gdyby był pomyłony.

- Zapomniałeś o mamie? - spytała cichym, pełnym dezaprobaty głosem. - Wiesz, że przylatuje w przyszłym tygodniu. Tak bardzo się cieszyła na tę podróż. Nie możemy jej teraz rozczarować.

Stała obok niego, wyciągając rękę po słuchawkę. Lloyd oddał ją bez słowa komentarza, lecz gdzieś w głębi jego duszy narastał gniew. Przemierzał pokój dużymi krokami, poprawiając książki, przesunął drobiazgi na kominku; czuł się uwięziony w klatce i sfrustrowany. Miał ochotę walić we wszystko dookoła.

- Napisałaś dzisiaj jakiś wspaniały rozdział? - Przyjrzał się badawczo ekranowi jej komputera. - Zobaczymy, co my tu mamy?

- Nie patrz! - rzuciła ostro Betsy. - To osobiste.

- „Srebro, wzór z wianuszkami, osiem nakryć” - czytał na głos Lloyd. - „Porcelana firmy Spode z wzorem, osiem nakryć. Prześcieradła o podwójnej szerokości... Poszewki na poduszki obszyte lamówką... elektryczna maszynka do wafli...”. - Czuł, jak jego gniew potężnieje, by zaraz eksplodować. - Nie mów mi, że znalazłaś zgubioną dawno temu listę zakupów Jane Austen?

Betsy wyciągnęła rękę i uderzyła w klawisze. Ekran zrobił się pusty.

- Po prostu pomyślałam, że powinniśmy zawieźć naszą listę z zamówieniami do magazynu Bloomingdales. Mają zwykle pełne ręce roboty o tej porze roku.

Lloyd pomyślał że ból rozsadzi mu czaszkę. Chwytał Betsy za ramiona.

- Słuchaj, straciłem pracę. Brak pracy oznacza brak pieniędzy. - Potrząsnął nią. - Nie rozumiesz? W tej sytuacji nie będzie żadnego ślubu!

## Rozdział dwudziesty

Suze zmarszczyła niepewnie brwi, patrząc na odratuj pane drzwi, od których płatami odchodziła farba, a następnie cofnęła się, aby podnieść wzrok i przyjrzeć się uważnie kwadratowemu budynkowi z czerwonej cegły. Wyglądał jak opuszczona fabryka. Czy ktoś naprawdę może tu mieszkać?

Dwukrotnie sprawdziła adres na świstku papieru, wzruszyła ramionami i przycisnęła guzik dzwonka. Niemal natychmiast zabrzączał domofon.

- To ty, Suze? - Był to bez wątpienia głos Jaya. - Wchodź na górę! Piąte piętro.

Pchnęła drzwi i przeszła przez pusty betonowy hol do windy. Był to rodzaj klatki używanej w budownictwie, z ciężkimi siatkowymi drzwiami, które należało samemu zamknąć. Mam nadzieję, że nie spyta mnie o Lloyda, pomyślała, gdy winda z brzękiem unosiła się wolno do góry.

W pracy miała okropny dzień. Atmosfera ogólnego wzburzenia poraziła Suze, gdy tylko dziś rano weszła do biura, a kiedy zobaczyła notatkę od Berniego, czekającą na nią na biurku, zrozumiała, co się stało. Okres zatrudnienia Lloyda Rockwella w przedsiębiorstwie dobiegł końca w następstwie ujawnienia konfliktu interesów zawodowych. Za radą prawników poleca się pracownikom nie kontaktować się z panem Rockwellem, ani też nie odpowiadać na pytania prasy. Wiem, że możemy liczyć na twoją lojalność. Biedna Dee Dee

### *Zupełnie obcy ludzie 196*

chodziła zapłakana. Suze sama była mocno zmartwiona na myśl, że jej pobyt w Nowym Jorku może ulec skróceniu. Nie ma mowy, by wróciła teraz do domu. Na razie mogła tylko założyć, że Lloyd zostanie w Londynie: dzięki Bogu, w przeciwnym razie już spałaby u kogoś na podłodze. Lub też w łóżku Nicka...

Kiedy wyszła z windy, zobaczyła, że Jay stoi w otwartych drzwiach, ubrany w zniszczone džinsy, śnieżnobiałe trampki i koszulkę z napisem: „Dlaczego ja?” wydrukowanym ogromnymi czarnymi literami. Sam jego widok ją rozweselił.

- Cześć - powiedział, całując Suze od niechcienia. - Wyglądasz, jak gdybyś potrzebowała drinka.

Cofnął się, aby ją wpuścić, i weszła do jednego z najbardziej niezwykłych pokoiów, jakie kiedykolwiek widziała. Właściwie nie był to wcale pokój, lecz salka dwa razy tak wysoka i około dwudziestu razy większa od jej lokum w Londynie, z szeregiem dużych kwadratowych okien, z których rozpościerały się wspaniałe pocztówkowe widoki na Manhattan. Najbardziej fantastyczne było jednak to, że wszędzie wokół znajdowały się talerze, plakaty, posągi, popielniczki, lampy i różne staroświeckie drobiazgi wszelkiego rodzaju. I wszystkie owe rzeczy ukazywały wizerunek jednego człowieka.

- A to dopiero!

- Witaj - powiedział Jay - na wystawie największej na świecie kolekcji przedmiotów poświęconej Johnowi Fitzgeraldowi Kennedy'emu. - Zatrzymał się dla wzmocnienia efektu dramatycznego. - Prawdopodobnie jest to jedyny taki zbiór na świecie.

- Wiedziałam, że musi być jakiś powód, dla którego cię polubiłam, Jay. Jesteś poważnie rąbnięty. Wzruszył ramionami.

- Powiedzmy tylko, że cierpię na obsesje. Urodziłem się w dniu, kiedy zastrzelono JFK. Rozejrzyj się, jeśli chcesz, a ja tymczasem zrobię nam coś do picia. A może miałabyś ochotę na odrobinę lodowatego chardonnay?

*197 Robyn Sisman*

- Wspaniale.

Rzuciła torbę na krzesło, zsunęła niewygodne buty, jakie nosiła do pracy, i zaczęła rozglądać się z ciekawością dookoła. Z położonego w środku mieszkania holu wielkości kortu tenisowego prowadziły drzwi do różnych pomieszczeń - znajdowała się tu mała kuchnia, duża łazienka oraz ogromna sypialnia, a także różnorodne szafy i schowki, do których można było nawet wejść. Po drugiej stronie jakieś drzwi prowadziły do innej obszernej sali. Było to bez wątpienia studio Jaya, zavalone aparatami fotograficznymi, puszkami z filmami, reflektorami oraz sprzętem do nagrywania wyglądającym na drogi. Znajdowało się tam biurko i telefony oraz przynajmniej dwie ciemnie fotograficzne. Na ścianach wisiały plakaty z klasycznych filmów i oprawione w ramki dyplomy. Suze była pod wrażeniem. Wyglądało to na poważne przedsięwzięcie.

- Nadchodzi wino! - zawołał do niej pan tego domu.

Przeszła przez gładki parkiet i opadła na białą kanapę przy oknie. Jay przyniósł dwa duże kieliszki. Suze wypiła łyk i aż jęknęła z zachwytu. Jay usiadł na krześle naprzeciwko i wyciągnął nogi.

- A więc powiedz mi - spytał - jaka była ta ważna randka?

- Wystrzałowa. Jay, nie mogę się doczekać, aż ci o tym opowiem.

- Wal śmiało.

Tak więc Suze zaczęła mówić, a Jay przysłuchiwał się opowieści, jaki to przystojny, stylowy, jaki dowcipny i delikatny jest Nick...

- Czy gumowa sukienka wywołała zachwyt?

- Och, tak, bardzo duży. - Suze uśmiechnęła się głupio.

- Ten facet wydaje się doskonały. Chciałbym z nim chodzić.

- Ręce precz! - Roześmiali się oboje. - Jay... czy myślisz, że można zakochać się w kimś, kogo naprawdę się nie zna?

- To całkiem możliwe.

### *Zupełnie obcy ludzie 203*

- Naprawdę myślę, że mogę być w nim zakochana. Jest taki... no cóż, jest taki wspaniały pod każdym względem.
- Widzę, że wiele za nim przemawia.
- Naprawdę myślę, że może być tym Jedynym... -paplała uszczęśliwiona Suze, kiedy popijali wino, obserwując, jak słońce rzuca łunę na budynki jeden po drugim. Stopniowo jej poczucie niezadowolenia z siebie i zdenerwowania zniknęło i zastąpiła je ogromna wesołość. Oparła się o ozdobne poduszki, podwijając nogi pod siebie. - Czy mieszkasz tu sam?
- Zazwyczaj. Czasami któryś z moich chłopaków mieszka tutaj przez pewien czas. - Jay wykrzywił się, mówiąc te słowa. - Czy zauważyłaś, że słowo „chłopak” nabrało obecnie nowego znaczenia? Kiedyś było tak, że dziewczęta miały chłopców, których pewnego dnia poślubiły, a wtedy stawali się oni mężami. Później przestano wychodzić za mąż i się żenić, homoseksualiści zaczęli być widoczni i dość kłopotliwe stało się nazywanie czterdziestoletniego mężczyzny, z którym się żyje od dziesięciu lat, „chłopakiem”, a więc wymyśliliśmy wszystkie te nowe określenia: „partner”, „kochanek”, „druga połowa”. Obecnie chłopak kojarzy się z odrobiną rozrywki, niczym poważnym, kimś na jedną noc lub na tydzień, okazjonalnym pójściem do łóżka - zarówno w wypadku mężczyzn, jak i kobiet. „Chłopak” to z definicji ktoś, kogo się absolutnie nie poślubi. - Rzucił jej nagle badawcze spojrzenie. - A więc jak to jest z Nickiem? Czy jest chłopakiem? Zmieszało ją to pytanie, napiła się więc wina.
- Tak naprawdę nie jestem za małżeństwem.
- Dobra odpowiedź! - Jay roześmiał się z tego uniku, czytając w jej myślach. Wstał. - Chodźmy coś zjeść, zanim zamienię się w profesora socjologii.
- Hura!
- Czy masz dostatecznie dużo odwagi?
- Jestem pełna brawury.
- Dobrze, zostaw to mnie.

*204 Robyn Sisman*

Zabrał ją do małej japońskiej restauracji tuż za rogiem, gdzie zamówił tajemniczą „łódź dla dwojga”. Kiedy przyplłynęła, Suze ze zdziwienia straciła oddech. Pośrodku ogromnej wiklinowej tacy, która istotnie miała kształt łodzi, spoczywały wspaniale ułożone paski surowej ryby, warzywa pocięte w gwiazdy i kwiaty, zwinięte wodorosty oraz jakieś przezroczyste bladoróżowe płaty. Złapała pałeczki i jęknęła z łakomstwa.

- Jak przedstawiają się sprawy u Schneidera Focha? - spytał Jay.

Suze wiała się jak na mękach. Nie miała na razie ochoty wspominać mu o Lloydzie.

- No cóż, wiesz, że pracuję nad specjalnym projektem z Sheri.

- Och, tak, ze sławną Sheri.

- Tak. - Suze ściągnęła usta. - Jay, nie oczekuję, że to zrozumiesz, ale wspaniale się z nią pracuje. Jest taka silna, asertywna i skoncentrowana. I naprawdę bardzo na mnie polega. To daje mi poczucie, że jestem potrzebna. - Nie dalej jak tego ranka Sheri zwierzyła się jej, że muszą zrobić wszystko, co w ich mocy, żeby przekonać tych z Passion, aby z nimi zostali, nawet jeśli Lloyd już odszedł. Mają na przygotowanie nowej propozycji zaledwie dziesięć dni i Sheri oświadczyła, że nie zrobi tego bez Suze. - A najlepsze, co można o niej powiedzieć - ciągnęła dalej - jest to, że nie przyjmie byle czego od tych na górze.

- Naprawdę? A co z Berniem? Co bierze od niego? Suze się zarumieniła.

- W ogóle jej nie rozumiesz - powiedziała chłodno. Nastąpiła niezręczna cisza; bez apetytu skubali rybę.

- Suze - Jay zaczął delikatnie - czy już nie najwyższy czas, abyś opowiedziała mi o Lloydzie?

Przeżyła szok. Przyłożyła do ust serwetkę, grając na zwłokę.

- Chcesz powiedzieć, że wiesz, iż go wylano?

- Oczywiście, że tak. Jest moim najlepszym przyjacielem. Dzwonił do mnie dziś rano, aby mi o tym donieść.

*Zupełnie obcy ludzie 200*

Rozdrażniona Suze grzebała w stosie jedzenia. Jeżeli wiedział wszystko przez cały czas, dlaczego nic nie mówił?

- A więc co ci powiedział?

- Że oskarżono go o przekazywanie konkurencyjnemu przedsiębiorstwu poufnych informacji dotyczących klientów.

- I przypuszczam, że temu zaprzecza? - Suze prychnęła pogardliwie.

- Oczywiście, że tak.

- No cóż, przypadkiem wiem, że to zrobił. - Odrzuciła do tyłu włosy, unikając jego wzroku. Sheri oznajmiła jej dziś rano o telefonie Tony'ego Salvino.

Jay wyglądał na rozgniewanego.

- Skąd wiesz?

Teraz naprawdę się zdenerwowała.

- Po prostu wiem. Nie powinnam rozmawiać z tobą na ten temat. W każdym razie - mówiła dalej - uważam, że jeśli Lloyd nie może trzymać rąk przy sobie, jeśli chodzi o kobiety, to tym bardziej dlaczego miałyby przejmować się pracą?

Jay uderzył pałeczkami o stół.

- Co ty, do cholery, wiesz o Lloydzie i kobietach?

- Nie krzycz na mnie. - Suze niemal płakała. - Sheri sama mi opowiedziała, że Lloyd rzucił się na nią w taksówce.

- Och, cóż - stwierdził Jay sarkastycznie - jeśli Sheri tak mówi...

Suze ucichła na moment. Uważała, że ma rację, ale widziała też, iż jego słowa ranią Jaya. -



- Dlaczego miałyby to wymyślić? - spytała spokojnie. - Posłuchaj, nigdy nawet nie widziałam Lloyda. Dla mnie może się pieprzyć z kimkolwiek chce. Ja tylko wiem, że dowody wskazują na to, iż jest winny.
- Suze, Lloyd jest ostatnią osobą na świecie, która zrobiłaby coś podobnego, ponieważ... Och, co to ma zresztą za znaczenie?

## 202 Robyn Sisman

Ogromnie jej zależało, aby ten wieczór zakończył się miłym akcentem.

- Ponieważ co...? Wytlumacz mi.

- Dlaczego miałbym to zrobić? On cię i tak nie obchodzi. - Wstał. - No, chodźmy już. - Gdy wychodzili z restauracji, Jay dokończył: - Lloyd jest uczciwy do szpiku kości. Jego problem, jeśli w ogóle jakiś ma, tkwi w tym, że jest zbyt lojalny.

Później w nocy Suze leżała w łóżku, analizując to, co powiedział Jay. Cokolwiek zrobił lub też czego nie zrobił Lloyd, miał w Jayu prawdziwego przyjaciela - kogoś, kto zawsze stanie w obronie kumpla, kiedy ten znajdzie się pod wozem. Suze wiedziała doskonale, dlaczego każdy lubi Jaya, ale nie rozumiała, co Jay widzi w Lloydzie. Mężczyźni są taką tajemnicą. Jej myśli zwróciły się nagle ku Nickowi. Po całym owym zamieszaniu z sosem holenderskim zadzwonił - i to późno - aby powiedzieć, że nie przyjdzie. Jakaś gwiazda rocka przyjechała nieoczekiwanie do miasta i trzeba było nią się zająć właśnie tego wieczoru: Suze zrozumie, kiedy się dowie, kto to jest. Prawdę mówiąc, nie była szczególnie wyrozumiała, jednak urok Nicka przełamał jej opór i pozwoliła mu pochlebstwem skłonić się do wyrażenia zgody na wspólny weekend - ten weekend.

Objęła się ramionami w pełnym podniecenia oczekiwaniu, wyobrażając sobie, jak to będzie. Pojadą do małej nadmorskiej miejscowości znanej Nickowi. Będzie go miała tylko dla siebie z dala od miejskich rozrywek: dwoje zwykłych ludzi cieszących się zwykłymi przyjemnościami życia. Będą pływać i żeglować oraz jeść homary, a następnie wchodzić po schodach do jakiejś rozklekotanej starej gospody, aby kochać się pod zwiewnymi muślinowymi zasłonami łóżka z kolumnkami. Nie mogła się tego doczekać.

Rozdział dwudziesty pierwszy

A więc jak urządziłeś swój? - Myślę, że można to nazwać stylem plantatorów. Połączenie „Przeminęło z wiatrem” z „Pożegnaniem z Afryką”. Dużo wikliny. Mogę podać ci nazwisko mojego dekoratora, jeśli chcesz.

- Dzięki, ale nie mógłbym zdradzić Helgi. Jest taka kreatywna. Myślałem o wystroju biurowego wnętrza w stylu „Obywatela Kane”, ale ona uważa, że starożytny Rzym znacznie bardziej do mnie pasuje.

- Mojej żonie by się to spodobało. Uwielbia ruiny. - Kitty? Czy jest tutaj ?

- Do diabła, nie! Ożeniłem się z Carlą Gland zeszłej jesieni. Kitty żyje ze swoim duchowym przewodnikiem. Te alimenty naprawdę się czuje, nieprawdaż?

- Opowiedz mi o tym.

Suze zakaszła cicho z rozpaczy. Stała na zatłoczonej werandzie, gdzie zostawił ją Nick, wciśnięta między dwóch mężczyzn ze srebrzystymi włosami i olśniewającą opalenizną, którzy, jak przypuszczała, mieli łącznie około stu pięćdziesięciu lat, ale tkwili w przerażającym stanie sztucznej młodości.

- Czy zmieniacie wystrój swoich domów? - spytała z żywym zainteresowaniem.

- Naszych odrzutowców. - Ich wyblakłe oczy spojrzały na nią bez zainteresowania.

- O Boże. Chyba znalazłam się na niewłaściwym przyjęciu - stwierdziła Suze.

208 *Robyn Sisman*

Wycofywała się, lawirując między płóciennymi marynarkami i skąpyimi czarnymi sukienkami, obok nagich opalonych pleców i koszul z wyzywającymi wzorami, dopóki nie dotarła do schodów. Tam postawiła kieliszek na balustradzie i spojrzała wokół. Pora koktajlu w East Hampton: co za widok. Przed nią rozciągał się trawnik, na którym gawędziły grupki pięknych ludzi, ocieniony markizami oraz frontonem ogromnej białej rezydencji z tyłu. Dalej znajdował się pas piasku, któremu fale przepływające tysiące kilometrów z wybrzeża Portugalii nadały doskonale jasny kolor. Wszystko wokół świadczyło o pieniądzech - soczysta zieleń roślin, przycięte trawniki, które otaczały basen olimpijskich rozmiarów, milczący kelnerzy oferujący przysmaki na wykałaczkach. Nawet samo morze, oświetlone znajdującym się nisko na niebie wieczornym słońcem, wyglądało jak roztopione złoto.

Nick podjechał po nią do budynku Schneidera Foxa wkrótce po lunchu. Sheri zaskakująco szybko wyraziła zgodę, by Suze wyszła wcześniej - nawet zachęcała ją do tego.

- To dopiero będzie doświadczenie - powiedziała z miną dobrze poinformowanej, podnosząc przy tym brwi, co Suze uznała za nieco niepokojące.

Nick przyjechał kabrioletem o dwóch siedzeniach, z włączoną klimatyzacją i opuszczonym całkowicie dachem, by nie wpuścić przypadkiem osłabiającego żaru Manhattanu. Ruch uliczny, uprzedził, będzie ogromny; z pewnością go to przygnębiało, bo był małomówny i podenerwowany. Jednak jeśli chodzi o Suze, to fakt, że dołączali się do masowego exodusu z okazji weekendu, dawał jej poczucie, iż naprawdę mieszka w Nowym Jorku. Gdy przejeżdżali przez East River, obejrzała się za siebie i popatrzyła na miasto, zbrązowiałe pod przykrytym tumanem kurzu niebem, i poczuła, jak jej podniecenie rośnie.

Powoli zostawili za sobą wrzawę przedmieść i kompleksy przemysłowe. Szosy się zwęziły, a krajobraz co-

### *Zupełnie obcy ludzie 205*

raz bardziej nabierał koloru. Ciemne wody rzeki na Manhattanie rozjaśniły się i miały odcień czystego oceanicznego błękitu. Suze zaczęła dostrzegać nazwy miejsc, które kojarzyły się jej mgliście z indiańskimi -Patchogue, Saratonk, Montauk. Na kilkanaście ostatnich minut jazdy Nick podniósł dach i sunęli przez drogi otoczone żywopłotami, obok sklepów ze starociami i przydrożnych stoisk z owocami, trąbiąc na rowerzystów. Znajdowały się tam elegancko ogrodzone stadniny i ładnie odrestaurowane wiatraki, które nadawały okolicy wiejski koloryt. Nie upłynęło zbyt wiele czasu, a Suze uświadomiła sobie, że nie jest to, ściśle rzecz biorąc, wioska, lecz raczej rozległy wakacyjny kurort. Jej marzenie o spokojnej nadmorskiej miejscowości zaczęło się rozwiewać, by pierzchnąć całkowicie, kiedy wreszcie skęcili z drogi i wjechali do rezydencji, która bez wątpienia była wielkopańską prywatną posiadłością. Niemal słyszała szelest banknotów w ciszy cienistych drzew, a także syk opon i chrzęst żwiru na gładkim podejździe, gdy zaparkowali za szeregiem małych drewnianych domków pomalowanych na niebiesko.

Wyjeżdżając z miasta, Nick wyjaśnił, że zatrzymają się tam na weekend jako goście faceta o nazwisku Shrine Wackfest.

- Kogo? - zachichotała Suze.

- Shrine Wackfest to jeden z najbogatszych ludzi w Stanach Zjednoczonych - mówił Nick, dając jej do zrozumienia, że nie aprobeuje owego lekceważącego śmiechu - i do tego fantastycznie hojny mecenas sztuki. Bez niego Herb Damon byłby nikim.

Suze odrzekła, że nie obchodzi jej, kim jest gospodarz, byle tylko poszli popływać natychmiast, gdy przyjadą. Nie ośmieliła się przyznać, że nigdy nie słyszała o Herbie Damonie.

Wrzucili torby do „chaty” - w rzeczywistości był to luksusowy domek stanowiący połączenie sypialni i jadalni z łazienką, kuchnią oraz małym prywatnym patio - włożyli kostiumy kąpielowe i ścigali się, biegnąc do

206 Robyn Sisman

morza. Woda była tak zimna, że Suze aż piszcziała, i wkrótce wycofali się na plażę, aby wymieniać tam słone pocałunki i wygrzewać się na słońcu w błogim lenistwie. Pokryci piaskiem i zaczerwieniem, wrócili do chaty, aby wypróbować łóżko. Było absolutnie wspaniałe.

O dziwo, ich ubrania same przeniosły się do szuflad i na wieszaki, chociaż Suze nikogo nie widziała. Zarumieniła się, kiedy Nick wyciągnął coś z szafy i zwrócił się do niej, kołysząc wieszakiem zawieszonym na palcu.

- Co to jest? - spytał ze zmysłowym uśmiechem.

Było to seksowne, wycięte czarne body, które kupiła w ostatnim momencie, obawiając się, że Nick się nią znudzi. Porządnie zawieszona na wieszaku, z krzyżującymi się zwisającymi koronkami, wyglądało absurdalnie. Nie mogła znieść myśli, że jakaś pokojówka naśmiewała się z tego.

- Miała to być niespodzianka - wymamrotała niewyraźnie - na później.

- No, no - powiedział. - Już cieszę się na później. Gdy przebierali się po prysznicu, Nick przedstawił program na weekend.

- Dziś wieczorem koktajl oraz kolacja w nowej włoskiej restauracji, gdzie serwują owoce morza, a następnie przyjęcie przy basenie. A jutro, gdy wszyscy wrócą z sali gimnastycznej...

- Sali gimnastycznej? Czy odbędzie się przyjęcie w sali gimnastycznej?

- Oczywiście, że nie. Jednak wiesz, ludzie muszą zachować formę.

- Czy nie można po prostu iść na spacer? Myślałam, że to „wieś”.

Nick przewrócił oczami.

- Gdy wszyscy wrócą z sali gimnastycznej...

- Nie ja.

- Dobrze, a więc gdy wszyscy pozostali wrócą z sali gimnastycznej, odbędzie się *barbecue*, następnie zaś pojedziemy na motocyklach na inne przyjęcie koktajlowe.

- Ale przecież nie mamy motocykli.

### *Zupełnie obcy ludzie 211*

- Wynajmuje się je, głuptasie. - Ton Nicka sprawił, że poczuła się jak wieśniaczka. - Następnie jest kolacja, później w programie figuruje przyjęcie z fajerwerkami i może jeszcze nocny klub.
- Czy nie będziemy zbyt pijani, aby wrócić na motocyklach do domu?
- Zjawi się obsługa i zabierze je ciężarówką.
- Och. Oczywiście.
- W niedzielę przeniesiemy się gdzie indziej na połączone śniadanie i lunch, być może pogramy trochę w tenisa, a później pojedziemy z powrotem do miasta. Myślisz, że to wytrzymasz?
- To mi wygląda na bardzo skomplikowany sposób spędzania weekendu.

Nick się roześmiał.

- Suze, uwierz mi, nigdy w życiu lepiej się nie bawiłaś.

Z uśmiechem przyglądała się jego małym rytuałom <- goleniu i poprawianiu mankietów tak, aby były doskonałe. Wyglądał teraz jak gwiazda rocka - ubrany był całkowicie na czarno i miał fantazyjny złoty zegarek, pasujący do koloru włosów.

Usłyszeli, że w pobliżu zatrzymuje się jakiś samochód, i Nick podszedł szybko do okna.

- Spójrz, kto tutaj jest! - Przyciągnął Suze do siebie. Mężczyzna około pięćdziesiątki z wybrylantynowanymi, zaczesanymi do tyłu włosami i w przeciwsłonecznych okularach szedł ścieżką do sąsiedniego domku.

- To - oświadczył Nick triumfalnym tonem - jest Manfred Zarg, producent z Hollywood. Shrine zagiął na niego parol, aby nakręcił film. Chce ubić z nim interes podczas tego weekendu.

A teraz, stojąc na werandzie, Suze nieśmiało wygładziła dół sukni, którą Nick przysłał jej jako rekompensatę za zniszczenie gumowej. Była to zaprojektowana przez Donnę Karan czarna kreacja bez ramiączek, z obrożą z materiału na szyi. Suze wahała się, czy coś takiego jest całkiem w jej stylu, ale Nick wyraźnie poprosił,

212 *Robyn Sisman*

aby ją przywiozła, mówiąc, że to będzie „właściwy” strój. Suze założyłaby nawet ścierkę do podłogi, by sprawić mu przyjemność.

Nagle dostrzegła go w samym środku małej grupy, gdy opowiadał jakąś anegdotę, zabawiając swe towarzystwo. Nawet stąd mogła zobaczyć jego entuzjastyczny uśmiech. Patrzył przez wszystkich wokoło w kierunku Suze i dał jej znak, aby podeszła. Zachwycona zeszła po schodach. Kiedy dołączyła do grupy, Nick przedstawił ją kobiecie mniej więcej w tym samym wieku, która miała okulary, jakie zwykle noszą babcie i nosiła coś, co wyglądało na różową jedwabną piżamę.

- Wy dwie musicie się poznać. - Po głosie Nicka można było poznać, że działa na niezwykle wysokich obrotach. - Laura także siedzi w reklamie. Jest absolutnie olśniewająca.

Suze spojrzała na nią serdecznie.

- Czy również jest pani projektantką? Kobieta przesunęła nerwowo okulary.

- Wolę nazywać się artystką.

- Czy my wszyscy nie wolimy? - roześmiała się Suze. - Jednak trzeba żyć. Z jakim rodzajem klientów pani pracuje?

- Nie działałam na polu komercyjnym. Moja praca jest bardziej wywrotowa, to bardziej paredia gatunku. - Ach.

- Lubię czerpać obrazy z wachlarza konwencjonalnych reklam i konstruować swoją własną ikonografię.

Suze starała się to zrozumieć.

- I co? Ludzie kupują pani prace i wieszają je na ścianach, czy tak?

Nastąpiła chwila milczenia.

- Właśnie teraz udoskonalam styl. Nie chcę osiągnąć maksimum możliwości zbyt szybko.

Przepraszam, właśnie zobaczyłam swojego dealera.

- Z czego ona żyje? - spytała Suze Nicka, kiedy kobieta ruszyła dalej.



*Zupełnie obcy ludzie 209*

- Ona nie musi pracować. To milionerka, nie brak jej ptasiego mleka.

- Ma też chyba ptasi mózdzek.

- Uwielbiam Angielki - zachichotał, otaczając ją ramieniem i mocno tuląc do siebie.

Razem okrążyli wszystkich zebranych na przyjęciu. Nick wskazał jej agentów literackich, prawników zajmujących się światem rozrywki, wydawców magazynów mody, projektantów, architektów oraz kilku mężczyzn z nazwiskami takimi jak Raleigh i Todd, którzy tajemniczo „utrzymywali się z własnych funduszy”.

Wszyscy ci ludzie są, powiedział Nick, *la creme de la creme*.

- A to jest Chester Delaware, pisarz. - Nick pomachał mu ręką. - Nie jest jeszcze żonaty i powinnaś zobaczyć, jak kobiety biją się o niego. Shrine kupił prawa do sfilmowania jednego z jego utworów. A oto i sam Shrine.

Shrine Wackfest okazał się pulchnym mężczyzną około czterdziestki, który mógłby być księgowym, gdyby nie jego niezwykle silne przeświadczenie o własnej wyższości, widoczne nawet z daleka.

- Czy nie powinniśmy podejść i przywitać się z nim? - spytała Suze. - Chciałabym przynajmniej podziękować za zaproszenie.

Nick spojrzał na nią, jak gdyby powiedziała coś osobliwego.

- Shrine po prostu lubi mieć tu właściwe osoby. Nie musi wcale zawierać z nimi znajomości.

Chciała się roześmiać, ale w tej chwili jej uwagę zwrócił przerażający widok.

- Spójrz! - Szarpnęła Nicka za marynarkę. - Ten samolot zaraz się rozbije.

- To hydroplan, głuptasie. Prawdopodobnie jakiejś sławy. Chodźmy zobaczyć.

Zabrał jej kieliszek i postawił obok swojego na tacy przechodzącego kelnera. Trzymając się za rękę, przeszli na taras wychodzący na wybrzeże i patrzyli,

## 210 Robyn Sisman

jak maleńki samolot plusnął do morza i popłynął aż do końca doku. Drzwiczki się otworzyły i ukazała się dziewczęca noga, a za nią pozostałe części ciała energicznej kobiety po sześćdziesiątce. Nosiła maleńką czarną sukienkę z wąskimi paseczkami na ramionach i miała dziwaczne, pomarańczowe, krótko przystrzyżone włosy.

- Hej, to Lois! - Nick wstał, aby pomachać energicznie przybyłej, i został nagrodzony pocałunkiem zdmuchniętym ze szkarłatnych koniuszków palców. - Musisz poznać Lois Trout, królową mody. Miała guz mózgu, ale zoperowali ją w samą porę. Teraz wszyscy naśladują jej fryzurę. - Spojrzał na zegarek.

- Czy mogę zostawić cię samą na kilka minut? Zaraz wracam.

- A nie będzie już żadnych rozmów telefonicznych? - spytała nadąsana Suze.

Nick wziął ją pod ramię.

- Chodź tutaj i poznaj Melisę i resztę. Zaopiekują się tobą.

Poprowadził Suze w kierunku domu, przedstawiając ją jako „swoją przyjaciółkę z Londynu” grupie wystrzałowych blondynek, które sprawiły, iż poczuła się jak karzeł z nadwagą.

- Uwielbiam Nicka, a ty? - westchnęła Melissa, patrząc, jak odchodził. - Jest taki wspaniały. Kiedy po raz pierwszy przyjechałam do miasta, był dla mnie taaki miły.

Pozostałe dołączyły się do tych zachwyków - jak zauważyła Suze - trochę zbyt entuzjastycznie.

- Jednak żadna z was naprawdę z nim nie chodziła? - spytała, rozglądając się wokoło po twarzach blondynek.

- Chcesz powiedzieć, że nie była jego dziewczyną? - Melissa roześmiała się głośno. - Jak można umawiać się na randki z facetem, który zawsze jest na przyjęciach? Oprócz tego ożenił się już przecież ze swoją komórką.

Zmieniły temat i zaczęły rozmawiać o nowych, robionych na szydełku topach od Galliana, a Suze ulotni-

### *Zupełnie obcy ludzie 215*

ła się niepostrzeżenie. Nagle zmęczona całym tym gadaniem i szczebiotem, porwała z tacy jeszcze jeden koktajl i przeszła przez przerwę w żywopłocie. Basen był cichy i pusty, kusząco błękitny. Suze pomyślała, że byłoby zabawnie zostać tu z Nickiem, gdy inni pójdą na kolację, wiedziała jednak, że on uzna to za niemożliwe. Zaczęła rozumieć, skąd owo napięcie, jakie wyczuwała w nim od chwili, kiedy zabrał ją sprzed Schneidera Foxa. Jest w pracy, pomyślała.

W tej ciszy zdała sobie sprawę z powtarzającego się stukotu, który, jak wywnioskowała, pochodził z loggii we włoskim stylu na drugim końcu basenu. Usłyszała, jak ktoś liczy:

- Trzydzieści pięć, trzydzieści sześć, trzydzieści siedem...

Zobaczyła tam dziewczynę mającą może z piętnaście lat, ubraną w prostą białą sukienkę. Odbijała piłeczkę paletką pingpongową. Uśmiechnęła się do Suze, ale nadal liczyła, dopóki nie przepuściła piłki.

- Pięćdziesiąt jeden! - powiedziała bez tchu. - To mój najlepszy wynik do tej pory. Próbowałam sprawdzić, czy mogę dojść do setki.

- Czy nie podoba ci się przyjęcie?

- Pewnie, że nie. - Tamta wzruszyła ramionami. - Po prostu nie znam tu nikogo.

- Witaj w klubie - uśmiechnęła się do niej Suze. Dziewczyna była zdumiewająco ładna i wyglądała na wysportowaną. Miała długie nogi, lśniące czarne włosy do ramion oraz turkusowe oczy w ciemnej oprawie. Nie robiła wrażenia kogoś z Nowego Jorku, a jej sposób mówienia wskazywał, że pochodzi z południa.

- Czy jesteś tutaj z rodzicami? - spytała Suze.

- Nie. - Lekceważący ton dziewczyny sprawił, że słowo to zdawało się posiadać kilka oddzielnych sylab. Towarzyszył mu dość dziwny uśmiech, który sprawił, że Suze roześmiała się głośno. -

Przyjechałam tu z kilkoma innymi dziewczynami, wiesz, modelkami. Osoba, która mnie zaangażowała, powiedziała, że muszę tu

216 *Robyn Sisman*

być, jednak nie wiem, co mam tu niby robić. - Potrząsnęła raketką. - Czy chcesz zagrać w ping-ponga?

Zagrały trzy razy. Suze dowiedziała się, że tamta naprawdę ma siedemnaście lat, pięcioro rodzeństwa i psa, który nazywa się Kumpel, i marzy o własnym piętrowym domku. Jeszcze dwa miesiące temu pracowała w fabryce wyrobów tytoniowych gdzieś w Karolinie Północnej. Teraz zgłosiła się do wielkiej agencji w Nowym Jorku, gdzie uznano, że powinna nazywać się Pierre. Naprawdę miała na imię Jodie. Było jasne, że rozpaczliwie tęskni za domem.

- Mój chłopak ma komórkę - zaproponowała Suze. - Jestem pewna, że pozwoli ci zadzwonić do rodziny, jeśli tylko zechcesz.

- Moi w piątek wieczorem grają w kręgle. Ale bardzo dziękuję za propozycję.

Teraz zrobiło się już niemal ciemno. Suze uświadomiła sobie, że zebranych ogarnęła zbiorowa panika, ponieważ rozpoczęła się ogólna dyskusja, gdzie coś zjeść. Zobaczyła, jak uderzają w przyciski telefonów, gorączkowo pragnąc dokonać rezerwacji. Ponad piskiem aparatów rozlegał się warkot wyjeżdżających samochodów.

- Czy wracamy na przyjęcie? Myślę, że wszyscy mamy jechać na kolację.

- Nareszcie! - zawołała Jodie. - Zjadłabym konia z kopytami.

Restauracja była nieludzko zatłoczona. Przy wejściu znajdowało się ogromne akwarium, gdzie można było spojrzeć swej kolacji prosto w oczy przed wysłaniem jej na rzeź. Nick objął kierownictwo nad grupą, oczarował kelnerki i zarządził, aby zestawiono razem stoliki, zyskując więcej miejsc dla gości. Suze posadzono na drugim końcu obok baryłkowatego mężczyzny, który wydawał się nieco przesadnie wystrojony w swoim trzyczęściowym garniturze. Suze rozpoznała w nim Chestera Delaware'a, „pisarza”.

- A więc - cedził słowo po słowie, zwracając się do niej - co powiesz o tej imprezie?

*Zupełnie obcy ludzie 213*

- Wydaje się, że robi bardzo duże wrażenie.
  - Wrażenie... - zastanowił się uważnie nad tym określeniem. - Tak. Myślę, że nawet ma na celu wywołanie wrażenia, nie sądzisz?
  - No cóż, ja tam jestem pod wrażeniem.
  - Dobrze. Powiedz mi, w jakiej branży działasz? Czy też jesteś po prostu znana z tego, że jesteś sławna? - Jestem projektantką.
  - Ubrania, magazyny, oprogramowanie?
  - Pracuję w reklamie. Schneider Fox, jeśli to panu coś mówi.
  - Aha. A więc jesteś jedną z osób usiłujących namówić nas do zakupu towarów, których naprawdę nie chcemy lub nie potrzebujemy, czy tak?
  - Coś w tym rodzaju.
- Suze nie była pewna, czy ta rozmowa sprawia jej przyjemność, ale wydawała się mniej idiotyczna niż niektóre fragmenty zdań, jakie dochodziły do jej uszu ze wszystkich stron stołu.
- Błonnik to bezwzględnie sekret mojego życia.
  - Jej znak zodiaku to Panna, więc czego można się spodziewać?
  - Stałam się bardzo uduchowiona od czasu mojej operacji.
  - Nie zrozum mnie źle - odezwał się Delaware, machając kleszczami kraba, aby podkreślić swoją wypowiedź - ale czy nie myślisz, że reklama jest niemal zawsze formą kłamstwa? A jeśli tak, to co powiedzieć o ludziach pracujących w tym biznesie? Suze popatrzyła na niego śmiało.
  - To z pewnością może być forma kłamstwa - odrzekła pewnie - podobnie jak dziennikarstwo lub polityka, kino czy też lokata kapitału w banku oraz praktycznie wszystko, co nas otacza. Wiem, że niektórzy ludzie pracujący w reklamie są skorumpowani, ale podobnie dzieje się i gdzie indziej. To chyba zależy od jednostki, czy zachowa uczciwość, czy nie, prawda?
- Pisarz uśmiechnął się lekceważąco.

## 214 Robyn Sisman

- Jakie to uroczo naiwne. - Następnie zaś odwrócił się, aby porozmawiać z sąsiadem po swej drugiej stronie.

Suze w milczeniu skończyła posiłek, rzucając ukradkowe spojrzenia na Nicka.

Wreszcie kolacja dobiegła końca. Wyjechali samochodem z grupą innych osób. Gdy wrócili do rezydencji, na balkonie grała orkiestra, a basen był oświetlony. Nieskazitelnie ubrany człowiek w czerni wyjaśnił, że, jeśli goście chcą, mogą obejrzeć ostatni film Manfreda w prywatnej sali kinowej Shrine'a gdzieś w suterenie.

Suze tańczyła z Nickiem, próbując przywołać oszałamiającą magię ich pierwszej randki, ale on miał wzrok utkwiony gdzie indziej, rozglądał się, kto jest z kim, bacznie obserwując, co się dzieje. Około drugiej w nocy znowu zniknął, aby zadzwonić do Australii. Suze znalazła fotel z sali klubowej, stojący teraz tuż obok basenu, i usiadła z boku, zastanawiając się, czy ktokolwiek zwróci na nią uwagę. W końcu jeden z mężczyzn się odwrócił, spojrzał na nią badawczo, a następnie nachylił się poufale. - Ostatnim razem, kiedy tu byłem, Bliss Bogardo siedziała właśnie w tym miejscu, gdzie jesteś teraz. Mój Boże, była taka piękna. - Wydał z siebie głębokie westchnienie pełne żalu i wstał. - Czas, aby ponownie napełnić kieliszek.

Suze pomyślała, że sprawdzi, czy już wyświetlają film, i właśnie zbliżała się do budynku, kiedy zobaczyła znajomą męską postać, zdecydowanym krokiem zmierzającą w kierunku parkingu. Zaczęła biec, chwiejąc się w swych wizytowych pantoflach i wołając:

- Nick! Poczekaj na mnie.

Odwrócił się i uśmiechnął do niej sztywno.

- Nie zajmie mi to dużo czasu. Obiecałem, że przywiozę pewne rzeczy dla Shrine'a. - Pobrząkiwał kółkiem z kluczykami.

- Jedziesz samochodem? - W wyobraźni Suze pojawił się obraz, jak we dwoje mkną przez noc samochodem z odsłoniętym dachem niczym Cary Grant i Grace

Kelly, czując wiatr we włosach i zachwycając się blaskiem księżyca na oceanie. - Wspaniale! - Oplotła go ramieniem. - Pojadę z tobą. Nick potrząsnął głową.

- Na pewno w rzeczywistości wcale tego nie chcesz. Zostań i baw się dobrze na przyjęciu.

- Naprawdę, chciałabym pojechać. Tak mało czasu spędziliśmy razem. - Oparła się o niego przymilnie. - To żadna przyjemność bawić się bez ciebie.

Delikatnie uwolnił się z jej objęć.

- Muszę jechać sam.

Suze przyjrzała się jego twarzy. Wyglądało na to, że ma poczucie winy. Nie mogła się powstrzymać i spojrzała na samochód, zastanawiając się, czy Nick nie ukrył tam jakiejś innej kobiety. Auto było jednak puste.

- Dokąd jedziesz? - wypytywała go. - Dlaczego nie mogę pojechać z tobą?

Nick odwrócił wzrok niecierpliwie.

- Już ci mówiłem. Muszę coś odebrać. To... osobiste. W ciszy, jaka zapadła pomiędzy nimi, z wybrzeża dochodziły odgłosy przyjęcia - wybuchy śmiechu, dziewczęcy pisk i pluski. Zmysły Suze wyostrzyły się nagle i teraz czuła nawet żwir pod cienkimi podeszwami pantofli. Wpatrując się w piękny profil zakłopotanego nieco Nicka, nagle wszystko zrozumiała.

- Och, już chwytam. Wpatrywał się w ziemię, nic nie mówiąc.

- Nick, dlaczego ty? - Suze złapała go za rękę, próbując nakłonić, aby na nią spojrzał. - Co będzie, jeśli policja cię zatrzyma? - Po prostu obiecałem, że to zrobię. - Stał przed nią zimny i obojętny. - To przysługa. - Och, naprawdę? - Wydawało się, że ma ochotę wyświadczać przysługi każdemu bez wyjątku, pominawszy ją samą. Puściła jego dłoń i złożyła rękę.

- A więc handlujesz narkotykami, nieprawdaż?

- Nie bądź głupia! - Nick gwałtownym ruchem podniósł głowę do góry i wpatrywali się w siebie przez peł-

ne napięcia sekundy. Następnie niemal błagalnym tonem dodał: - To nie zbrodnia chcieć uszczęśliwić ludzi.

Podszedł bliżej i ujął jej twarz w swoje ręce. Suze poczuła, że opuściła ją cała stanowczość.

Automatycznie odwróciła głowę, aby pieszczotliwie ocierać policzek o jego palce.

- Posłuchaj - powiedział przekonywająco - wróć do domku, włóż na siebie tę czarną koronkową rzecz i poczekaj tam na mnie, dobrze?

Patrzyła, jak odjeżdżał. Czekala, aż tylne światła samochodu znikną za zakretem podjazdu, a ryk silnika ucichnie. Jakieś poruszenie zwróciło jej uwagę i zobaczyła, że dwie pokojówki rozmawiają z pomocnikiem z kuchni, paląc razem papierosy pod drzewami na skraju parkingu. Wszyscy byli nadal w strojach do pracy. Pokojówki pochodziły zapewne z Filipin, mężczyzna wyglądał na Meksykanina. Po raz pierwszy Suze pomyślała, że wszyscy bez wyjątku goście spotkani dzisiaj w tym domu byli biali.

Nie mając ochoty wracać prosto do domku, zdecydowała się na ostatni spacer wzdłuż plaży. Przyjęcie przy basenie się ożywiło. Niektóre z kobiet zrzuciły kostiumy kąpielowe i Suze słyszała szelesty i stłumiony śmiech za żywopłotem. Zdjęła buty i szła po piasku, dopóki nie znalazła się sam na sam z gwiazdami, światłem księżyca i swoim własnym chwiejnym cieniem. Ocean szemrał cicho i Suze zatrzymała się na długą chwilę, pozwalając, aby fale muskały jej stopy. Następnie zawróciła. Dom był oświetlony niczym jakiś historyczny monument. Architektonicznie, uświadomiła sobie teraz, było to pomieszanie z poplątaniem. Jak wyłby z rozpaczy Lawrence, widząc mieszaninę doryckich kolumn, pseudopalladiańskich frontonów i holenderskich trójkątnych okien u góry z boku dachu. Myśl ta sprawiła, że Suze uśmiechnęła się smutno. „Czy go kochałaś?” - zapytał niedawno Jay. Suze westchnęła. Cokolwiek czuła, teraz wiedziała, że nie była to taka miłość, jakiej pragnęła.



### *Zupełnie obcy ludzie 217*

Gdy wróciła do domku, wzięła prysznic, skropiła się perfumami i włożyła swoje czarne koronkowe body. Efekt był wspaniały, ale nie wiadomo czemu czuła się raczej zbrukana niż frywolnie nieprzyzwoita. Włożyła jedną z sukienek i wyszła na patio na papierosa. Nick nie lubił, gdy paliła. Kilka minut później usłyszała jakiś śmiech i wyjrzała w ciemność, aby zobaczyć parę, która zataczając się szła po oświetlonej ścieżce. Rozpoznała Manfreda Zarga. Ku zaskoczeniu Suze towarzyszyła mu Jodie. Niemal już krzyknęła na nią, ale się rozmyśliła. Żadna z goszczących tu osób nie była taka, jaką się wydawała. Mężczyzna otworzył drzwi sąsiedniego domku i oboje weszli do środka. Kiedy Nick wrócił, siedziała w niskim fotelu z czasopismem „Vanity Fair” ułożonym dyskretnie na kolanach, a lampa na stoliku świeciła najbardziej przyciemnionym światłem. Suze czuła, że ta poza jest trochę sztuczna, ale odniosła pożądany efekt. Nick obdarzył ją długim przeciągłym spojrzeniem i ryknął:

- Chodź tutaj!

Bardziej ze zdenerwowania niż z jakiegoś innego powodu zarzuciła włosy na jedno oko i odpowiedziała:

- To ty chodź i weź mnie.

- Ach, dobrze, jeśli tak tego pragniesz. - W mgnieniu oka Nick zrzucił buty i marynarkę. Wyciągnął Suze z fotela, odwrócił ją i rzucił na wysokie, twarde oparcie łóżka.

- Poczekaj - zaczęła na wpół roześmiana. - Mógłbyś przynajmniej się rozebrać.

Rozsunął brutalnie jej uda i ściągnął ją do połowy z łóżka. Czuła, jak zapięcie między jej nogami otwiera się z trzaskiem.

- Spodoba ci się to - powiedział, szarpiąc za rozporek.

Ale jej się nie spodobało. Ani jedna chwila. Jej nogi znajdowały się w powietrzu, a szyja i klatka piersiowa były mocno ściśnięte.

- Nick, poczekaj! Nie jestem...

## 218 Robyn Sisman

Nie słuchał. Napierał na nią, przyciskając jej uda, i rozdzielając je boleśnie szeroko. Suze przygryzła wargę, oburzona taką brutalnością.

- Proszę... - błagała. Wyciągnęła ręce, chcąc go przygarnąć, myśląc, że nie byłoby aż tak źle, gdyby jakoś przeżywali to razem.

Nick napierał na nią coraz mocniej i głębiej. Otoczył rękami jej nadgarstki, przyciskając je do łóżka.

- Ty mała dzika kotko, och ty.

Zaczęło ją ogarniać przerażenie. Zdrętwiała szyja uniemożliwiała jej niemal oddychanie. Suze bezskutecznie próbowała chwycić się krawędzi łóżka. Łzy bólu i upokorzenia potoczyły się po jej twarzy. Nick poruszał się nad nią, dziko skoncentrowany na czymś, w czym nie mogła brać udziału. Jego oczy wpatrywały się w jej oczy, ale były puste, jak gdyby znajdował się całkiem gdzie indziej. Mógł być zupełnie obcym człowiekiem.

Za ścianą rozległ się nagle przeszywający krzyk. Suze usłyszała niski, pełen wściekłości wrzask, a następnie straszne, głuche uderzenie. Na sekundę Nick rozluźnił uścisk i wtedy zdołała się unieść na jednym łokciu.

- Co to było? - spytała ochrypłym głosem.

- Zabawiają się. - Popchnął ją w dół. - Tak jak my. Nastąpił kolejny wrzask, trzask szkła, a później jeszcze gorszy dźwięk - rozpaczliwe, głośnie łkanie. Suze nie mogła tego znieść. Cofnęła nogi, odepchnęła się i kopała, aż w końcu Nick zatoczył się do tyłu, z rozpiętymi spodniami i koszulą podwiniętą do połowy piersi. Miał oszołomione spojrzenie byka na arenie.

W jednej chwili Suze zsunęła się z łóżka, złapała szlafrok i pobiegła do drzwi. Ból przeszywał jej ciało przy każdym kroku.

- Dokąd idziesz? - wybełkotał Nick niewyraźnie. Nawet się nie obejrzała. Zawijając ciasno pasek, pędem pognęła na bosaka po ciernistej trawie i zapukała do drzwi chaty.

### *Zupełnie obcy ludzie 223*

- Jodie, jesteś tam? Czy wszystko w porządku?

Cisza. Suze walnęła jeszcze raz, głośniej, przyciskając ucho do drzwi. Słyszała jakiś ruch i szelest. Drzwi się otworzyły i stanął w nich wielki hollywoodzki producent z podniesionymi brwiami, wyrażającymi grzeczne pytanie, ogromny nawet w jedwabnym szlafroku, którym się owinał, trzymając poły kurczowo w dłoniach. Suze zauważyła, że brakuje paska. W poprzek jednej ręki miał ślad po rozmazanej szkarłatnej szmince.

- Cześć - odezwał się uprzejmie.

- Cześć. - Suze zachwiała się na nogach. Zdała sobie sprawę ze swojego niedbałego wyglądu. W domku panowała zupełna cisza, drzwi na końcu korytarza były zamknięte. Czy mogła popełnić błąd? Przełknęła ślinę. - Czy jest tutaj Jodie?

- Minęła czwarta rano. Dobranoc. - Wielki człowiek próbował zamknąć drzwi.

Suze weszła dalej.

- Wiem, że jest tutaj. - Przycisnęła ręce do klamki, patrząc mu prosto w oczy. - Wydostanę ją siłą, jeśli będę musiała. Małe, bojaźliwe oczy mężczyzny przesunęły się wolno po jej twarzy. Uśmiechnął się fałszywie i zawołał przez ramię:

- Chcesz iść do domu, dziewczynko?

Na końcu korytarza rozległ się stłumiony dźwięk. Suze zobaczyła, jak obraca się klamka, a drzwi otwierają i staje w nich Jodie cała naga, między udami ściskając żaloszny węzełek z ubraniem. Szminka rozmazała się wokół jej ust, a gdy wolno i ostrożnie podeszła bliżej, Suze zobaczyła, że ktoś namalował również koła szminką wokół jej sutków.

- Witaj, Jodie - odezwała się Suze, usiłując mówić normalnym głosem. - Czy chcesz pójść ze mną?

Tamta stała milcząca i wystraszona. Mężczyzna otworzył szeroko drzwi wejściowe.

- A więc idźże, skoro zamierzasz wyjść - zawołał wesoło. Jednak gdy Jodie przemykała się obok niego,

przysunął twarz do jej policzka i szepnął złośliwie w ucho: - Dlaczego od razu nie powiedziałaś, że wolisz dziewczyny?

Suze otoczyła ją ramieniem i pośpiesznie ruszyła w kierunku swego domku. Nick gdzieś zniknął. Jodie usiadła na brzegu łóżka. Miała szeroko otwarte oczy i szczękała zębami ze zdenerwowania. Nie wyglądało na to, aby tamten zrobił jej krzywdę. Suze wyjęła tobolek ubrań z zaciśniętych palców dziewczyny i odetchnęła głośno z wrażenia. Nadgarstki Jodie związane były jedwabnym paskiem tak mocno, że Suze nie mogła poradzić sobie z jego rozplątaniem. Gdy rozglądała się po pokoju, jej wzrok padł na marynarkę Nicka. Z całą pewnością w jednej z kieszeni był nóż. Jednym cięciem uwolniła Jodie, a następnie przyniosła zmoczony w ciepłej wodzie ręcznik z łazienki, aby umyć jej ręce i wytrzeć twarz.

- Położył jakiś biały proszek na nadgarstku i powiedział mi, abym to wdychała - wyznała dziewczyna drżącym szeptem. - Wiedziałam, że to musi być jakiś narkotyk, jednak czułam się wspaniale... przez chwilę. A później znalazłam się w jego pokoju i...

Suze pogładziła jej włosy.

- Cicho... Nie myśl już o tym. Jesteś bezpieczna. Pomogła małej włożyć parę swoich dżinsów i jedną z koszul Nicka, a następnie sama się ubrała, doznając nagłego uczucia wstrętu, gdy zdejmowała czarną bieliznę i rzuciła ją na podłogę. Sprawdziła zawartość portfela, zastanawiając się, czy wystarczy jej pieniędzy, aby zamówić taksówkę, która zawiozłaby Jodie do domu, gdy drzwi wejściowe do chaty się otworzyły. Był to Nick nieskazitelnie ubrany i opanowany.

- Wszystko załatwione - powiedział do Jodie z łagodnym uśmiechem, nie patrząc nawet na Suze. - Na zewnątrz czeka samochód, aby zabrać cię do miasta. Zadbam o to, by odesłano ci ubrania. - Podeszedł i uklęknął obok dziewczyny, delikatnie biorąc ją za rękę. - Już w porządku, prawda, kochanie? Pan Zarg zo-

### *Zupełnie obcy ludzie 221*

stał powiadomiony, że właśnie otrzymałaś jakieś złe wiadomości z domu, i chciałby, abyś wzięła to na opłacenie powrotnego biletu lotniczego.

Odwrócił dłoń Jodie ku górze i zamknął jej palce na pliku złożonych banknotów. Następnie wyprowadził ją na zewnątrz, a Suze obserwowała to, stojąc w drzwiach. Widziała, jak troskliwie pomaga jej wsiąść do samochodu i czeka jak dżentelmen, dopóki auto nie odjedzie. Czuła, że zaczyna mu przebaczać. Jak poradziłaby sobie bez niego? Gdy wracał ścieżką, zawołała z entuzjazmem:

- Och, Nick, dzięki Bogu! Położył dłoń na jej karku i wepchnął ją do domku, zamykając za nimi drzwi błyskawicznym ruchem stopy. Z jego twarzy biła brutalna złość.

- Nie waż się już nigdy więcej zrobić mi czegoś podobnego!

Suze zatoczyła się na ścianę.

- Czego zrobić?

Oczy Nicka płonęły wściekłością.

- Wiesz, kto to jest? - Wskazał palcem w kierunku sąsiedniej chaty. - To producent, z którym Shrine chce zrobić swój film. Mówiłem ci o tym. - Patrzył na nią oskarżycielskim wzrokiem, popychając ją wzdłuż korytarza. - Co więcej, posadziłem cię obok tego cholernego pisarza przy kolacji. Nasz gospodarz zapłacił milion kawałków za jego opowiadanie. Głównym celem tego weekendu było wywarcie nacisku na producenta. Wyobraź sobie, jak będzie wstrząśnięty Shrine, gdy usłyszy, co się stało dziś w nocy.

Suze nie wierzyła własnym uszom.

- A to, co przeżyła ta biedna dziewczyna? - przypomniła mu. - Nie można było tak po prostu nie zwracać na nią uwagi. Ten człowiek zadawał jej ból. - Nieświadomie Suze otoczyła rękami własne ciało. - Nie działa jej się żadna krzywda. - Nick popatrzył na nią lodowato. - Czego oczekiwała, idąc do sypialni mężczyzny w środku nocy?

222 *Robyn Sisman*

- Do cholery, przecież ona nie zdawała sobie sprawy z tego, co robi - zaprotestowała Suze. - Co się z tobą dzieje? Od razu było widać, że jest śmiertelnie przestraszona. Dał jej kokainę. Nawet nie wiedziała, co to!

Patrzyli na siebie z nienawiścią. Suze nie powiedziała już nic więcej, ale z jej twarzy można było odczytać myśli.

- Nie patrz na mnie takim wzrokiem. - Nick przysunął się do niej. - Nie dawałem jej narkotyków.

- Mogłeś to właśnie zrobić - odpowiedziała gwałtownie. - Byłeś taki zadowolony z siebie, gdy zostawiłeś mnie samą i pojechałeś, aby przywieźć je dla twojego drogiego Shrine'a. Czy nie widzisz tego, Nick? - Podniosła głos. Wszystko ją bolało z żalu i rozczarowania. - On nie jest twoim przyjacielem. Żaden z tych ludzi nie jest twoim przyjacielem. Traktują cię jak - jak jakiegoś ulubionego pudła. Pożałowała tych słów natychmiast, gdy tylko je wypowiedziała. Ale było już za późno. Nick złapał ją za ramię i przyciągnął brutalnie do siebie, oddychając ciężko w jej twarz.

- A kimże ty niby jesteś, co? I czemu to zaczęłaś nagle patrzeć na mnie z góry, zadzierać nosa i rozkazywać mi, jak mam się zachowywać?

- Przepraszam - zaczęła Suze. - Nie chciałam...

- Nie jesteś bogata ani sławna. Nie wyglądasz nawet tak znowu rewelacyjnie. O Jezusie, spędzam życie otoczony pięknymi modelkami. A komu ty jesteś potrzebna? - Odepchnął ją mocno. - Ty głupia angielska suko, zabrałem cię ze sobą przede wszystkim dlatego, że Sheri poprosiła mnie, abym to zrobił.

W pokoju zapadła cisza.

- Co? - spytała z niedowierzaniem Suze.

- Chyba nie myślisz, że wybrałem właśnie ciebie z własnej nieprzymuszonej woli, co? - Jego głos pełen był zjadliwości. - Sheri powiedziała, że jesteś samotna i potrzebujesz rozrywki. Miałem jej wyświadczyć przysługę ze względu na dawne dobre czasy.

*Zupełnie obcy ludzie 227*

- Dawne czasy? - Suze poczuła, jak całe jej ciało ściska bolesny skurcz. Odwróciła się gwałtownie, obejmując rękami brzuch.

- Tak, to prawda. - Nick stał przy niej, drżąc ze złości. - Sheri i ja kilka razy ruszyliśmy w tango. I powiem ci jedno - wbił palec w jej ramię - ona wie, kto jest szefem w łóżku.

Suze przycisnęła ręce do uszu.

- Przestań! - szlochała. - Proszę. Ale on nie chciał skończyć.

- Szalone dziecko z lat sześćdziesiątych, mała Siou-xie. Wiesz, kim jesteś? Poyerką. „Nick, spójrz, jak wyglądam w mojej seksownej bieliźnie. Spójrz, jak bawię się w chowanego i ukrywam za moimi włosami”. - To, jak ją naśladował, było nie do zniesienia. Przyciągnął Suze, aby popatrzyła mu w twarz. - To ja jestem kimś. - Uderzył się w pierś. - To ja zapraszam cię na wspaniałe przyjęcia i przedstawiam ważnym ludziom. A co ty masz takiego wspaniałego do zaoferowania?

Jego twarz była odrażająca. Suze nie mogła uwierzyć, że potrafił tak na nią patrzeć.

- Nie dbam o przyjęcia i o ludzi - wybuchnęła. - Myślałam, że jesteśmy sobie równi. Nie wiedziałam, że to jakieś zawody.

- Odpowiedz na moje pytanie. Co takiego masz do zaoferowania? - powtórzył.

Suze pochyliła głowę z łkaniem.

- Dałam ci...

- Niczego mi nie dałaś! - zawołał, nie posiadając się z wściekłości. -» Nowy Jork pełny jest dziewczyn, które tylko czekają, aby rozłożyć się na jedno moje skinienie, chętnych i gotowych, aby to zrobić. Bez żadnej głupiej gadaniny o równości. Nie chcę, by jakaś mała feministyczna suka z Londynu mówiła mi, jak mam się zachowywać.

- Feministyczna? - Suze nagle ogarnęła wściekłość. Odrzuciła do tyłu głowę. - To, że nie lubię, gdy starszy mężczyzna związuje ręce młodej, naiwnej dziewczynie,

nie ma nic wspólnego z feminizmem. Ani jeśli protestuję, gdy ktoś właściwie próbuje mnie zgwałcić. To nie feminizm uważać, że mężczyźni i kobiety mogą traktować się jak równe istoty ludzkie. - Oddychając ciężko, rozmazywała ręką łzy na twarzy. - Brzydzę się tobą! -zawołała. -I sama sobą też się brzydzę! - Zamazany obraz przed jej oczami zaostrzył się nagle, gdy spojrzała na pewien mały, lśniący przedmiot, leżący na niskim stoliku: nóż Nicka. Złapała go i otworzyła jednym naciśnięciem. - Dopełnijmy tylko obrazu, dobrze? - wykrzyknęła. Złapała garść włosów i odcięła je nożem. - Suze... nie!

Było to przerażająco łatwe. Włosy pozostały w jej dłoni niczym ogonek robaczywego jabłka.

- Czy tak naprawdę mnie postrzegasz? - Rzuciła odciętym pasmem w zaszokowaną twarz Nicka.

Opadło lekko na podłogę. - Czy to jest dla ciebie dostatecznie feministyczne?

Nastąpiło jeszcze jedno cięcie; później emocje ją opuściły. Nagle poczuła, że mało brakuje, by runęła na podłogę.

- Dałam ci.... - Ledwie mogła teraz mówić. Odetchnęła, drżąc cała. - Dałam ci siebie.

Następnie cisnęła nóż na podłogę do jego stóp, złapała portfel i wybiegła z domku.

Na dworze już dniało i wzdłuż horyzontu sączyła się w jasnoszare niebo linia ostrego pomarańczowego koloru. Suze biegła na oślep, słysząc własny ciężki oddech. Nagle znalazła się na parkingu. Szofer opierał się o zderzak samochodu z wygodnie złożonymi rękami w oczekiwaniu na swego pasażera. Kiedy zobaczył, jak Suze, potykając się, idzie w jego kierunku, wyprostował się zaniepokojony.

- Czy wraca pan do Nowego Jorku? - zawołała w rozpacz. - Czy mógłby pan mnie podwieźć?

- Przepraszam - zawołał za nią rozdrażniony głos. -To mój samochód!



*Zupełnie obcy ludzie 225*

Suze odwróciła się i zobaczyła wysoką chudą dziewczynę w okularach przeciwsłonecznych, która szła przez pokryty rosą trawnik. Miała na sobie obcisłe białe legginsy do łydek; jej mokre, dopiero co umyte włosy związane były z tyłu czerwoną wstążką w kropki.

Za nią włókł się meksykański chłopiec ze spuszczoneymi oczami, który niósł gigantyczną walizę w jednej ręce i zestaw sfatygowanych toreb w żywych kolorach w drugiej.

- Czy mogłabym pojechać z panią? - Suze starała się, aby jej głos brzmiał normalnie. - Muszę się dostać do domu. To nagła sprawa.

- Niemożliwe. Za dwie godziny robię-sesję zdjęciową na samej górze Empire State Building. Potrzebuję całkowitej samotności.

- Proszę - błagała Suze. A niech to diabli, znowu zaczynała płakać.

Dziewczyna przeszła tuż obok niej. Suze patrzyła, jak zgina jedną długą nogę niczym kurczak, schyla głowę i wchodzi do samochodu. Usadowiła się na sprężystym siedzeniu, na tyle dużym, że zmieściłyby się tam aż cztery osoby, przesuając swój mały tyłeczek tam i z powrotem, aż podskakiwała jej śmieszna kokardka we włosach. Była to ostatnia kropla.

Suze poszła za nią i wsunęła głowę do samochodu.

- Wyobrażasz sobie, że kim ty właściwie jesteś? - ryknęła. - Myszka Minnie?

Nastąpił syk wyrażający szok. Bardzo powoli dziewczyna opuściła okulary, aby przyjrzeć się uważnie każdemu centymetrowy zmaltretowanego oblicza Suze, na którym widoczne były ślady ubiegłej nocy.

- Ja jestem, oczywiście, Bliss Bogardo. Wsiadaj, skarbie.

Rozdział dwudziesty drugi

Czy moje życie się skończyło, pomyślał Lloyd, popychając wózek przez przejścia w supermarkecie. Teraz, kiedy nie miał pracy, przyłączył się do podklasy smutnych wykolejeńców skazanych na nudę. Istniała zaskakująca liczba ludzi robiących to samo: Lloyd czuł, że wszyscy byli wyrzutkami tak jak on. Ile czasu upłynie, zanim on także zacznie nosić spodnie od dresu i zasuwana na zamek błyskawiczny ortalionową kurtkę z idiotycznym napisem i zmuszony będzie odżywiać się przetworzonym sztucznie jedzeniem?

Było niedzielne popołudnie. Betsy wysłała go, aby zrobić zakupy.

- Ponieważ nie dokładasz się finansowo - powiedziała szorstko - możesz przynajmniej pomóc mi w obowiązkach domowych.

Miała, oczywiście, rację. Nie wydano prawa, że zakupy są obowiązkiem kobiet. W czasach przed Betsy nic nie sprawiało mu większej przyjemności niż wpadanie do Balducciego i wynurzanie się z większą ilością serów, salami i dziwacznych grzybów, niż mógłby zjeść jakikolwiek zdrowy człowiek. Niemniej jednak obecnie czuł się poniżony. Wprawiony w trans lekką muzyką płynącą z głośnika, miał zawroty głowy, atakowany przez tysiące produktów w jaskrawym kolorze. Szedł przygnębiająco wolnym krokiem, powłócząc nogami. Kawa. Odhaczona na liście. Płatki. Odhaczone. Masło. Zaznaczone. Mąka - hmmm. Pszena? Żytia?

### *Zupełnie obcy ludzie 227*

Z proszkiem do pieczenia? Lloyd ścisnął kurczowo na wysokości oczu starannie wypisaną przez Betsy listę, oglądając z uwagą opakowania na półce. W końcu zdecydował się wziąć po jednym każdego rodzaju.

Przez cały tydzień trwał w stanie zawieszenia i pasywności, mając w myślach zamęt. Pobito go na całej linii. Po raz pierwszy, odkąd był nastolatkiem, oglądał bezkrytycznie telewizję, jeden program po drugim, dopóki komunikaty z wiadomościami, reklamy samochodów i dramaty rozgrywające się w szpitalu oraz zwyczajne kojarzenia się w pary małych szerokonosych małp tropikalnej Ameryki nie wywołały w jego głowie kakofonii, i to na tyle głośniejszej, aby uciszyć niepokoje, które nadchodziły w nocy. Zaczął spacerować na chybilił trafił po Londynie, czasami przez pięć lub sześć godzin, doprowadzając się do stanu wyczerpania.

Nadal nie mógł pojąć, co się stało. Nie miał żadnych wiadomości od Schneidera Focha, odkąd w środę po popołudniu goniec na motocyklu podrzucił pudełko z kilkoma należącymi doń drobiazgami z londyńskiego biura. Po groźbie Harry'ego, że wytoczą mu proces, sam Lloyd nie ośmielił się pierwszy z nikim nawiązywać kontaktu. Reakcja Sheri na jego telefon sprawiła, że czuł się upokorzony. Ona też uważała go za zdrajcę. Wszyscy tak myśleli. Z bólem widział, że z taką łatwością zdawali się zgodnie uznawać jego winę. Dee Dee także nie zadzwoniła. Wydawało się, że nikt nie wierzy, że Lloyd mógłby mieć coś do powiedzenia.

Życie, które uważał za swoje, zostało kompletnie rozbite. Lloydowi przyszła do głowy dziwna myśl. Czy jego ojciec czuł się podobnie?

Betsy robiła, co mogła, by go podtrzymać na duchu. Zaczęła sugerować możliwości pracy gdzie indziej.

- Jestem pewna, że tata może załatwić ci pracę u Champs'a, co wyprowadzi nas z trudności finansowych - zaproponowała jednego dnia przy śniadaniu. Ojciec Betsy był małym mównym pracocholikiem, który niemal zarzucił już rynek nowym gatunkiem psiego je-

dzenia w postaci bezwonných kulek. - Jakiś czas temu szukali kogoś takiego jak ty do filii biura w New Jersey - ciągnęła.

Po tej uwadze Lloyd odbył spacer rekordowej długości.

Jedyną osobą bezwzględnie mu wierzącą był Jay. „Człowieku, załatw sobie prawnika. Walcz!

Pokonaj tych drani!" - mówił.

Jednak Lloyd nie potrafił tego zrobić. Nie miał wystarczającej energii, nie znał żadnych angielskich prawników. Co zresztą mógłby udowodnić? Nie ośmielił się nawet zadzwonić do Susanny Wilding w sprawie mieszkania. Z całą pewnością zastanawia się, czy Lloyd i Betsy wracają wcześniej do Stanów; to zakrawa na brak dobrego wychowania z jego strony, że nie wyjaśnił jej sytuacji. Jednak cały czas odkładał rozmowę, jak gdyby był czymś zażenowany. Dlaczego, na litość boską? Przecież nawet nie widział tej kobiety. Niczego o niej nie wiedział, oprócz tego, że jest bałaganiarą, nosi czarny pas do pończoch, nie umie gotować, lubi Bessie Smith, często wychodzi z mężczyznami i ma o jednego kota za mało. Betsy zmusiła go, by obiecał, że zadzwoni do Susanny dziś po południu.

Martwiło go to.

Przez półtorej godziny Lloyd obszedł wzdłuż i wszerz każdy pasaż co najmniej trzy razy, cofając się po brakujące rzeczy. Ciekawe, że nadal nie mógł znaleźć żadnych angielskich bułeczek. Zamiast tego kupił torebkę czegoś opisanego na etykietce jako amerykańskie pączki - najwidoczniej był to luksusowy produkt, sądząc ze stylowego opakowania oraz zdumiewającej ceny. Czekaając w długiej kolejce do kasy, otworzył torebkę i wyciągnął najmniejszego pączka, jakiego kiedykolwiek widział. Ugryzł. Pozbawiony smaku, suchy, naszpikowany tłuszczem kawałek glinowatego ciasta, posypany cukrem pudrem: no tak, rzeczywiście były amerykańskie. Jak rozkosznie nieprzewidywalni są ci Anglicy.

*Zupełnie obcy ludzie 229*

Przy wyjściu znajdował się duży teren ogrodzony stojakami z czasopismami. Gdy Lloyd niósł swoje torby, zauważył ostatnie wydanie „Magazynu Ogłoszeń” i uzbroidł się w odwagę, aby spojrzeć na anonse dotyczące pracy. Może potrzebują jakichś specjalistów od reklam w Mongolii Środkowej. Przekartkował szybko tylne strony, wzdrygając się na widok zwykłego napuszonego słownictwa: „posiadaczy kluczowych posad”, „agresywnych inicjatyw” oraz „celów strategicznych”. Nie było nic, co nadawałoby się dla niego. Zmroziło go, gdy zobaczył, że praktycznie wszędzie szukają pracowników poniżej trzydziestego piątego roku życia.

Gdy puścił pozostałe strony, chcąc odłożyć czasopismo na stojak, z przerażeniem dostrzegł swoją własną fotografię. Podpis poniżej głosił: „Rockwell... Sam wykonał nagły skok czy też ktoś go popchnął?”. Lloyd przycisnął czasopismo do piersi, mając takie poczucie winy jak morderca stojący twarzą w twarz z własnym plakatem, na którym napisano „Poszukiwany”, i przejrzał pobieżnie artykuł.

*Nagle odejście od Schneidera Foxa ulubieńca wszystkich, Lloyda Rockwella, podczas czterotygodniowej delegacji do Zjednoczonego Królestwa owiane jest mgłą tajemnicy. Dyrektor zarządu Harry Fox zachowuje milczenie i jedyna wewnętrzna wiadomość, jaka do nas dotarła, dotyczyła „naruszenia zaufania klienta w sposób nie do przyjęcia”. Rockwell, przebywający obecnie w Londynie jako jedna ze stron transatlantyckiego programu wymiany Schneidera Foxa, jest niedostępny, by to skomentować. Nie wiadomo, czy będzie szukać kolejnej posady w biznesie reklamowym.*

*Rockwella typowano na potencjalnego następcę starzejącego się nowojorskiego szefa Schneidera Foxa, legendarnego Berniego Schneidera. Współpracownicy Rockwella w Stanach wyznają, że są zaszokowani jego bliżej nieokreślonym wykrocze-*

234 Robyn Sisman

*niem. Rockwella uznawano za jednego z czołowych autorów kampanii reklamowych w biznesie. To jemu agencja zawdzięcza wiele spośród najbardziej nowatorskich projektów, szczególnie dla linii lotniczych Passion. Jego nieoczekiwane odejście następuje bezpośrednio po rezygnacji Juliana Jewela zajmującego się nadzorem Passion w Zjednoczonym Królestwie. Jewel odszedł do Sturm Drang zaledwie trzy tygodnie temu. Przyszłość Passion jest teraz przedmiotem spekulacji. Jeśli firma ta porzuci Schneidera Foxa, Sturm Drang będzie oczywistym wyborem.*

*Tymczasem stałe pogłoski łączą Schneidera Foxa z głównym rywalem Passion - liniami Stateside. Wczoraj Harry Fox rozwiął owe spekulacje, określając je jako „kompletne bzdury. Nigdy nie wzięlibyśmy nawet pod uwagę prowadzenia dwóch tak bezpośrednio rywalizujących ze sobą przedsiębiorstw”.*

*Być może nie... ale gdyby firma Passion zdecydowała się porzucić agencję, Schneider Fox miałby wolną drogę, aby sięgnąć po Stateside. Oczekujcie więc jeszcze większych zmian foteli, ponieważ rywalizacja o lukratywne przewozy transatlantyckie staje się coraz bardziej gorąca...*

Lloyd stwierdził, że drży. Zamknął gwałtownie magazyn. Nie zrobiłem tego! Chciał krzyknąć i być może nawet krzyknął. Ekspedientka zmierzyła go bez wątpienia podejrzliwym wzrokiem zza swojej kasy. Wyjął czasopismo i zapłacił za nie. Kiedy wydawała mu resztę, niezdarnie wziął wręczone pieniądze. Monety wyleciały mu z ręki i zaczęły się toczyć we wszystkich kierunkach. Lloyd zbierał je z podłogi przykucnięty jak żebrak. Teraz jego poniżenie było zupełne.

Kiedy przyszedł do domu, zastał Betsy pochłoniętą lekturą ulotek turystycznych, na których widniały slogany: „Przygoda z Wordsworthem”, „Szlak dziedzictwa

### *Zupełnie obcy ludzie 231*

tartanu", „Kraj Walecznego Serca". Pokazał jej artykuł w „Magazynie Ogłoszeń".

- Och, nie... - Zbladła. - Jak mogli to zrobić? Przecież mówiłam im, że nie chcemy żadnego rozgłosu.

- Mówiłaś im? - Lloyd był zdumiony. - Chcesz powiedzieć, że dzwonili? Tutaj? Dlaczego mi o tym nie wspomniałaś?

- Pomyślałam, że tylko się zmartwisz. Próbowałam rozegrać to taktownie.

Lloyd był zbyt rozgniewany, aby się odzywać. Nie potrzebował ochrony, nie był wszak dzieckiem. Ciężkim krokiem wszedł do kuchni i pochował zakupy, trzaskając drzwiczkami szafek. W porywie rozczulania się nad sobą wytarł kuchenne blaty, wyrzucił śmieci, wymienił plastikową torbę i umył kuchenkę. Jeśli ma już być domowym wołem roboczym, to niech zasłuży na owo miano. W końcu jednak, kiedy zabrakło mu usprawiedliwień, aby dalej się ociągać, podniósł słuchawkę i wykręcił numer.

- Halo? - odezwał się stłumiony głos.

Mówiła, jak gdyby nadal była w łóżku. Lloyd spojrział na zegarek, zastanawiając się, czy przypadkiem nie pomylił mu się czas, ale nie - w Nowym Jorku dochodziła już jedenasta. Nie mogła jeszcze spać. Oczywiście są inne rzeczy, jakie ludzie robią w łóżku.

- Susanna? Przykro mi, że ci przeszkadzam. Czy dzwonię o nieodpowiedniej porze?

- Och, to ty. - Jej głos brzmiał bezbarwnie i niezbyt serdecznie. A więc ona także sądzi, iż Lloyd jest oszustem. <sup>4</sup>

- Słuchaj, zdaję sobie sprawę, iż ta rozmowa jest równie niezręczna dla ciebie, jak i dla mnie. Jak sądzę, słyszałaś, że straciłem pracę...

- Tak. - Z jej głosu wynikało, że prawie w ogóle nie jest tym zainteresowana. Być może ma gripę.

- ...i pomyślałem, że powinniśmy omówić kwestię mieszkań.

- W porządku.

232 *Robyn Sisman*

- Co w porządku?

- Dobrze, omówmy to. Chcesz przyjechać jutro? Wspaniale. Chcesz zostać przez następnych dziesięć lat? W porządku. - Jej głos zadrżał. - Naprawdę nie mogłoby mnie to mniej obejść.

Lloyd czuł się tak zaszokowany, że sam nie wiedział, co powiedzieć. Czy ją zmartwił? Gdy szukał właściwej odpowiedzi, usłyszał łatwy do rozpoznania odgłos. Płakała.

- Susanno... czy dobrze się czujesz?

- Tak. Nie. Nie wiem. - Jej głos brzmiał rozpaczliwie smutno.

- Czy jest coś, o czym chciałabyś porozmawiać? Rozległo się głośne pociągnięcie nosem.

- Właśnie zerwałam ze swoim chłopakiem, to wszystko.

- Czy chcesz, abym odłożył słuchawkę?

- Nie, to zupełnie normalne. Moje życie zawsze było w rozsypce.

- Przykro mi. To nie jest... - Lloyd się zawahał. - To chyba nie... ten facet od sosu holenderskiego?

- Nie! - Usłyszał urywany szloch, po którym nastąpiło jeszcze głośniejsze pociągnięcie nosem.

- Czy jesteś w łóżku? - spytał.

- Tak. Dlaczego pytasz?

- Stolik przy łóżku. Druga szuflada. Chusteczki higieniczne.

Usłyszał, jak otwiera szufladę i szuka.

- Dzięki. - Następnie zaś powiedziała dobitnym tonem: - W żadnym wypadku jednak nie chodziło o moją kuchnię. Nie pojawił się nawet na obiedzie, nędzna kreatura.

Lloyd uśmiechnął się na ów nagły wybuch gniewu.

- Sama więc widzisz. Nie warto płakać z powodu jakiejś nędznej kreatury.

- Płacę ze względu na samą siebie. Jestem taka głupia. - Usłyszał słabe westchnienie. - Myślę, że zrezygnuję z mężczyzn. - Wydmuchała dość gwałtownie



### *Zupełnie obcy ludzie 237*

nos, a następnie dodała: - Przepraszam. To nie ma znaczenia.

- Susanno, oczywiście, że ma znaczenie. Chciałbym zrobić coś, abyś poczuła się lepiej.

- Jest jedna rzecz, jaką możesz zrobić, aby mnie pocieszyć - powiedziała w końcu.

- Co to jest?

- Zaczynij nazywać mnie Suze. Ostatnią osobą, która nazywała mnie Susanną, była moja dyrektorka w szkole.

- Dobrze. Słuchaj... Suze, jeśli chcesz wrócić od razu, jestem pewien, że znajdziemy sobie jakieś inne lokum. - Lloyd nie mógł uwierzyć w to, co sam mówił. Betsy poinstruowała go, aby nie pozwolił jej wrócić aż do przyszłego weekendu.

- Nie uciekam - odpowiedziała z zaskakującą siłą. - Przyjechałam tu, aby się zabawić i, do jasnej cholery, zamierzam to zrobić.

- No i bardzo dobrze. - Ku swemu zaskoczeniu Lloyd stwierdził, że ta rozmowa niemal sprawia mu przyjemność. Po raz pierwszy od wtorku opuścił go ponury nastrój. - Już wiem. Dlaczego nie miałbym ci opowiedzieć jednego z moich żartów?

- Nie, dzięki.

- Spróbujmy... Dwóch facetów spotyka się w sklepie z artykułami żelaznymi. Jeden mówi: „Dałem mojej teściowej nowe krzesło na Boże Narodzenie”. „Naprawdę?” - odpowiada ten drugi. - „Jak jej się podobało?”. „Nie wiem - pada odpowiedź. - Nie włączyła go jeszcze do kontaktu”. - Lloyd usłyszał parsknięcie przez łyzy. - Widzisz, roześmiałaś się w końcu.

- To z czystej litości. Okropny dowcip.

- W takim razie ty spróbuj.

- Nie mogę... Jest tylko jeden dowcip, który zawsze pamiętam.

- Więc chciałbym go usłyszeć. Nastąpiło potężne westchnienie.

- Jeśli musisz. A oto on: Gdzie Cezar trzymał swój "arsenał?"

238 *Robyn Sisman*

- Wiesz, zawsze się nad tym zastanawiałem. Gdzie Cezar trzymał swój arsenał?

- Pod togą!

Śmiech Lloyda zmienił się w nieprzerwany dziecięcy chichot, który sprowadził Betsy do salonu.

Podniosła do góry brwi w delikatnym pytaniu. Widząc, że nadal rozmawia przez telefon, pomachała pięścią, naśladując gest pochylania konewki. Lloyd opanował się.

- Właśnie weszła Betsy. Chce wiedzieć, jak się mają jej rośliny.

Nastąpiło długie, pełne poczucia winy milczenie.

- Wspaniale! - wykrzyknął Lloyd, kiwając uspokajająco w stronę Betsy. - Powiem jej. Dalej tak trzymaj!

Jednocześnie usłyszał, jak Suze mruczy:

- Nie jest to aż tak wredne jak mordowanie cudzych kotów. Trafiony!

Betsy odkurzała, jak gdyby miała zaraz poprosić Lloyda, aby wypytał dalej Suze w kwestiach dotyczących gospodarstwa domowego.

- Myślę, że lepiej już skończę - powiedział.

- Dobrze. - W jej głosie słychać było zaskoczenie. Czy powiedział to zbyt szorstko?

- I przyjmij ode mnie dobrą radę. Jeśli czujesz się w dołku, nie oglądaj telewizji i nie pij, szczególnie jednocześnie. Będziesz miała ochotę poderżnąć sobie gardło.

- Co proponujesz zamiast tego? Uporządkować szufladę z majteczkami?

Jak to wspaniale brzmi, o wiele bardziej działa na wyobraźnię niż „bokserki” lub... - Lloyd zajął się udzieleniem odpowiedzi na jej pytanie. - No cóż... lubisz Freda Astaire'a, prawda?

- Skąd o tym wiesz?

- Pamiętasz swój obrazek na ścianie, który, nawiasem mówiąc, ogromnie mi się podoba? Nikt nie może oglądać Astaire'a i jednocześnie płakać. Kasetę znajdziesz...

- Nic mi nie mów. Muzyka popularna, podkategoria

*Zupełnie obcy ludzie 235*

wokaliści, podkategoria męczyzna, pod A. Zajęło mi to trzy tygodnie, ale rozpracowałam twój system. Droczyła się z nim, ale jemu to się podobało.

- Tak jest lepiej niż układać wszystko w wielką Krzywą Wieżę w Pizie i czekać, aż runie - odciął się żartobliwie. - Krzywa Wieża, jeśli mogę ci zwrócić uwagę, nadal stoi. I wyjaśnij mi proszę: dlaczego trzymasz Fatsa Wallera pod „P”?

- Ach. To „P” jak pianino.

Roześmiała się - szczerym, gorącym, spontanicznym śmiechem i Lloyd poczuł się dziwnie zadowolony. Mógł sobie dokładnie wyobrazić, gdzie jest, jak patrzy na zdjęcie nad komodą, gdy złote promienie dobijają się do okien. Z nowojorskiej ulicy przez telefon dobiegł do jego uszu głośny ryk pojazdów. Do tej pory nie tęsknił za Nowym Jorkiem ani przez sekundę; teraz poczuł ukłucie nostalgii. - Przepraszam, że beczałam - powiedziała.

- Beczałam?

- To eleganckie dziewczęce określenie na zanoszenie się płaczem. To właśnie robi się w szkole z internatem, kiedy kapitan hokeja na trawie utrże ci nosa.

- Jeśli tak twierdzisz.

- I dzięki za wsparcie duchowe.

- Zawsze do usług. Dlaczego teraz nie wstaniesz, nie włączysz jakiejś muzyki i...? - Przerwał. Myślał gorączkowo, co robią zazwyczaj kobiety, aby wprawić się w lepszy nastrój. Poczuł przyływ nagłego natchnienia. - I umyj głowę - zakończył, zadowolony z własnej inteligencji.

- Oooh... - Rozległ się głośny jęk pełen udręki.

- Co takiego powiedziałem?

- Nic. Boże, jak ja nienawidzę męczyzn!

I to już wszystko. Odłożyła słuchawkę. Nagle Lloyd znalazł się z powrotem w czerwonym salonie sam na sam z szelestem deszczu spadającego z szarego nieba i głuchym telefonem w ręku.

Suze odłożyła słuchawkę i rzuciła się z powrotem na stos poduszek, patrząc bezmyślnie w biały sufit. Znała go już dobrze. Leżała tu w duszącej spiekocie niczym rozgwiezda osiadła na plaży, odkąd samochód Bliss Bogardo wyrzucił ją pod domem wczoraj wczesnym rankiem. Lloyd miał rację. Teraz nadszedł czas, aby wstać i stawić czoło światu. Zacznie od siebie.

Czując, że się chwieje, ruszyła po dywanie do łazienki i przygotowała się duchowo, że stanie jak zwykle na palcach, aby spojrzeć w lustro. Chociaż na ten moment zbierała całą swoją odwagę, zaszokowało ją to, co zobaczyła. Miała podpuchnięte i zaczerwienione oczy od płaczu i plamy na policzkach. Jednak najtragiczniejsze były włosy. Już od samego patrzenia na nie wszystko przewracało się w żołądku. Zamiast niesfornie opadać na ramiona, trzepotały wystrzępione przy uchu w najgorszym z możliwych kształcie miski na pudding, jak gdyby obcięte przez ślepego szaleńca. Szyja przedstawiała się teraz żałośnie goło i w bezlitosnym świetle widać było zarysowane na niej delikatnie zmarszczki. Nos wydawał się olbrzymi. Suze wpatrywała się we własne odbicie przygnębiona i nieszczęśliwa. To była prawdziwa ona: nudna, zwykła i stara.

Odwróciła się gwałtownie i usiadła na brzegu wanny, kołysząc się w przód i w tył, z twarzą ukrytą w dłoniach. Słowa Nicka nadal dźwięczały w jej mózgu: „suka”, „pozerka”, „mała Siouxie”. Suze odczuwała ból upokorzenia. Widziała samą siebie, gdy odrzucając włosy ruchem rozpuszczonego dziecka, opowiadała Nickowi o harleyu davidsonie i Twiggy oraz melinach, gdzie palono trawkę, i o tym, że pragnienia innych trzydziestolatek są dla niej zbyt nudne. Nic dziwnego, że pomyślał, iż zaakceptuje wszystko w Eart Hampton. Następne łyzy przeciekły jej przez palce. Nikt nie zniszczył jej życia. Nikt nie musiał tego robić, sama się o to postarała.

Z jakiegoś powodu przyszedł jej na myśl głos Lloyda, kiedy pytał w charakterystyczny dla siebie niepew-

### *Zupełnie obcy ludzie 241*

ny sposób: „Chyba to nie ten facet od holenderskiego sosu...?” - i na jej twarzy niemal zagościł uśmiech. Otarła łzy. Był dla niej bardzo miły.

Zauważ jednak, powiedziała do siebie, że nie widział, jak okropnie wyglądasz.

Wizerunek jego osoby w wyobraźni Suze był nieco pogmatwany. Najpierw wyobrażała sobie pana Rock-wella jako nudnego biznesmena; ale jak w takim razie Jay mógłby mieć takiego przyjaciela? Było oczywiste, że jest beznadziejny w pracy i, co gorsze, dopuścił, by go wylano. Jednak dzisiaj wydawał się taki... miły, uprzejmy, współczujący. Suze skrzywiła się okropnie na te przesłodzone słowa. Od kiedy to zastanawiała się, czy mężczyzna jest „miły”? Z takimi myślami znajduje się na najlepszej drodze, aby jako następna w kolejce układać kwiaty w wiejskim kościółku.

Czy Fred Astaire naprawdę ją pocieszy? Można przynajmniej spróbować. Chwilę później stała na słowniku Webstera przed lustrem w łazience z nożyczkami w ręku, a stary Fred z amerykańskim akcentem wesoło śpiewał o tańcach i romansach. Ze względu na tę wymowę człowiek czuł się idiotycznie, jeśli był Anglikiem i próbował śpiewać razem z nim. Mimo wszystko nie było to takie idiotyczne jak jej fryzura. Za każdym razem, kiedy Suze myślała, że już wyrównała włosy, wystarczyło, by poruszyła głowę, a nowe pojawiające się skądś kosmyki niszczyły efekt. W końcu będzie wyglądać jak chłopak! Jutro musi wyjść wcześniej i jeszcze przed pracą obciąć gdzieś przyzwoicie włosy. Będzie udawać, że to jakiś niesamowicie wystrzałowy nowy styl i jedynie ona jest na tyle modna, by to zrozumieć. Gdy odwróciła głowę, aby złapać ostatni opadający lok z tyłu, straciła równowagę i spadła ze słownika. Dlaczego to fatalne lustro wisi tak niewygodnie wysoko? Wtedy przyszło jej do głowy, że Lloyd tutaj się goli. Na pewno jest bardzo wysoki.

Suze przypomniała sobie pudełko z fotografiami, które kiedyś znalazła na dnie jednej z szaf. Nie ma  
dzi-

siaj nic więcej do roboty i jest zaintrygowana postacią swego zmiennika. Nie zrobi nikomu krzywdy, jeśli sobie zerknie na tamte zdjęcia.

Siedząc ze skrzyżowanymi po turecku nogami na łóżku, uniosła pokrywkę pudełka po butach przejęta poczuciem winy, obiecując sobie, że odłoży je na miejsce natychmiast, gdy zawartość okaże się zbyt osobista. Próbując umknąć nieporządku, zaczęła przeglądać fotografie od spodu, zatrzymując się przy tych, które wyglądały interesująco. Pierwsze wyciągnięte zdjęcie pokazywało elegancko ubranego mieszczucha siedzącego w cieniu na masce dużego amerykańskiego samochodu: oczywiście nie był to Lloyd. Ale widoczny obok chłopiec w wieku około piętnastu lat, w szortach i sportowej koszulce bez rękawów z numerem na przodzie, mógłby być nim. Był wysoki, miał długie nogi i ciemne włosy kręcące się tuż przy uchu, a szczerze spojrzenie jego niebieskich oczu sprawiało, że wyglądał bardzo po amerykańsku. Trzymał puchar i uśmiechał się, jak gdyby właśnie wygrał wyścig. W pudełku leżało więcej zdjęć tego samego chłopca, na niektórych wydawał się bardziej dziecinny, na innych trochę poważniejszy, a na jednym najwidoczniej był z rodzicami. Jego ojciec wyglądał zupełnie tak samo, ale miał stylowy urok dorosłości. Inna fotografia ukazywała dużo starszą dziewczynę - może siostrę Lloydę. Była to sympatyczna rodzina - wszyscy wysocy, roztaczali wokół siebie aurę amerykańskiego dobrobytu. Fotografowali się na żaglówkach, plażach, przyjęciach na świeżym powietrzu połączonych z pieczeniem kiełbasek i często pozowali przed tym samym domem z czerwonej cegły w stylu kolonialnym. Znalazła jedno zdjęcie starszego już Lloydę, wyglądającego idiotycznie w todze i czapce uniwersyteckiej. Każdy szczegół jego postawy wskazywał na walkę pomiędzy dumą a pełnym nieśmiałości poczuciem niższości. Suze uśmiechnęła się na wspomnienie tego, jak się czuła, kiedy poszła do szkoły średniej i jej rodzice uparli się, że zrobią jej zdjęcie w nowym szkolnym mundurku.

### *Zupełnie obcy ludzie 239*

Nagle Suze natknęła się na znajomą twarz. To był Jay - wyglądał bardzo modnie i młodzieżowo w postrzępionych džinsach i obcisłej koszulce w stylu wczesnych lat osiemdziesiątych. Za nim znajdowała się ogromna skała z płaskim wierzchołkiem wynurzająca się z piasku i suchych niskich drzew i krzewów, co przywiodło jej na myśl Teksas i Utah. Musieli zrobić to zdjęcie podczas owej sławnej wyprawy przez Stany Zjednoczone, o której Jay jej opowiadał. Jay był szczuplejszy i młodszy i nie miał takich blond włosów jak obecnie, ale jego żartobliwy uśmiech wydawał się taki sam jak teraz. Suze poczuła przyływ ciepłych uczuć. Było tam jeszcze kilka zdjęć Jaya, a na paru znajdował się jeszcze drugi mężczyzna, który, jak stopniowo uświadomiła sobie Suze, musiał być Lloydem. Zainteresowanie jej wzrosło. Dorosły, z przyjemnie muskularnymi nogami i długimi włosami Lloyd był wyraźnie elegancki. W gruncie rzeczy jednak pozostał owym skromnym i wrażliwym chłopcem z fotografii, którą wyjęła najpierw.

Samochód wyraźnie przewijał się na serii zdjęć, ilustrujących trasę podróży Lloyda i Jaya z zachodu na wschód Ameryki. Niektóre przedstawiały Jaya w stroju barmana z muszką i Lloyda w białym fartuchu, jakie noszono w restauracjach z hamburgerami. A więc to wtedy nauczył się gotować. Inne ujęcia pokazywały Lloyda grającego na pianinie w tonących w mroku barach. Na jednym z tyłu znajdowała się dedykacja napisana pismem z zawijasami, która głosiła: „Hej, kochanie. Nie zapomnij o Błękitnym Kojocie i kochającej cię aż po grób Darlenie”. Pod podpisem narysowano uśmiechniętą buzię. No, no.

Jeszcze więcej dziewcząt pojawiło się na zdjęciach, prawdopodobnie robionych w college'u - ujrzała tam istoty z udreńczonym spojrzeniem Sylwii Plath, ubrane na czarno, oraz rasowe blondynki, wysportowane dziewczyny w bluzach Uniwersytetu Nowojorskiego. Następnie znalazła kilka czarno-białych zdjęć zrobio-

nych, gdy pełnił obowiązki służbowe - Lloyd w wieczorowym stroju w towarzystwie nieznanym ludzi, wygłaszający mowę, wymieniający uścisk dłoni z jakimś nieznanym ważniakiem. Na samej górze pudełka Suze odkryła kopertę z klasycznymi zdjęciami z wakacji. Na większości z nich widniała szczupła, poważna kobieta w białej płóciennej garsonce i słomianym, nasuniętym na oczy kapeluszu, obejmująca ramieniem Lloyd'a.

Suze westchnęła. Oczywiście: szczęśliwe zakończenie. Ostateczne znalezienie swojej pary, domowa atmosfera, upięte zasłony, przyjęcia. Jakże przygnębiająco przewidywalne. Z nachmurzoną miną zapakowała zdjęcia do pudełka i umieściła je ponownie w szafie. Następnie ubrała się i wyszła na długi spacer, człapiąc ciężkim krokiem po Central Parku z rękami w kieszeniach i ze spuszczonej oczami, by uniknąć kontaktu wzrokowego z innymi ludźmi. Nie mogła się powstrzymać, by nie myśleć o Nicku i o tym, jak spacerowali tu razem. Wtedy czuła się godna pożądanego, ładna, szczęśliwa i zabawna. A Nick - czy cały ten czas udawał?

W drodze powrotnej zatrzymała się w restauracji, gdzie można było kupić jedzenie na wynos, i zamówiła pizzę rozmiarów pokrywki od kosza na śmieci. Zjadła wszystko prosto z kartonu, siedząc przy stole w domu w jadalni, i gdy się ściemniło, obserwowała, jak para naprzeciwko kolejny raz wykonuje zwyczajowe rutynowe czynności: przynosi naczynia, je, rozmawia, ogląda telewizję. Po zjedzeniu pizzy Suze poczuła się tłusta i obła, przesiąknięta czosnkiem, niekochana i pozbawiona uroku. Odmieni swoje życie, postanowiła, podrzucając palcami postrzępione końce włosów. Świeże owoce, ćwiczenia, cztery litry wody mineralnej dziennie, jak zalecają czasopisma dla kobiet, oraz klasztorna dyscyplina. Widziała już niemal, jak lśniącą staje się jej cera, a ciało wysportowane i zgrabne, ze sprawnie funkcjonującymi mięśniami. Nowa energia zacznie emanować z każdego centymetra skóry. Zacznie polegać na samej sobie i zachowywać się tajem-



*Zupełnie obcy ludzie 241*

niczo. „O nieba, Suze, wyglądasz wspaniale! - będą mówić znajomi. - Byłaś może na wakacjach?”.

Wszyscy przestaną snuć przypuszczenia, dlaczego nie wyszła jeszcze za mąż, rozważając zamiast tego, gdzie na świecie znaleźć mężczyznę, który okazałby się dostatecznie dla niej dobry.

Marzenie to nie opuszczało jej, gdy zrzucała ubranie na dywan Rockwella, myła zęby, wklepywała w twarz krem na noc i kładła się do zmiętoszonego łóżka. Leżała na boku w ciemności, przysłuchując się biciu własnego serca - bum-bum, bum-bum - i zastanawiała się, czy przez resztę życia pozostanie sama.

Rozdział dwudziesty trzeci

Cieszę się, że udało się pani wreszcie tu dotrzeć, pani Wilding.

Z drugiego końca sali konferencyjnej Bernie patrzył zimno na Suze. Wokół stołu siedziało już około piętnastu osób. Przed każdym uczestnikiem zebrania leżały starannie umieszczone osobiste drobiazgi: notesy, długopisy, fotografie i szkice oraz papierowe kubeczki. Zegar ścienny wskazywał dziewiątą trzynaście.

Kurza stopa! Skąd miała wiedzieć, że dzisiejsze zebranie zostało przełożone na dziewiątą? Suze uznała samą siebie za cholernie inteligentną, bo znalazła fryzjerkę, która mogła zająć się nią o tak wczesnej porze; najwidoczniej nie było to jednak dostatecznie wcześnie. Nie planowała raczej takiego triumfalnego wejścia, aby zaprezentować się w nowej fryzurze.

Obok Sheri pozostało jedyne puste miejsce i Suze podkraśla się, aby tam usiąść, czując łagodny niesmak z powodu bliskiego sąsiedztwa kobiety, o której Nick powiedział, że jest taka wspaniała w łóżku. Sheri potwierdziła, że dostrzegła jej obecność, ściągając niemal niewidocznie usta. Suze wyczuwała, że szefowa jest podekscytowana niczym aktorka oczekująca za kulisami na występ. Jej lśniące niebieskie oczy utkwione były w Bernie i czekała, aż zacznie mówić dalej.

- Dobrze, moi państwo - podsumował - koniec przemówienia. Naszą misją, powtarzam, jest przekonanie Passion, że Schneider Fox to dla nich nadal najodpo-

### *Zupełnie obcy ludzie 243*

wiedniejsza agencja. Teraz oddaję głos Sheri, aby przedstawiła w ogólnym zarysie koncepcje, które opracujemy na piątek. Sprawuje nad tym kontrolę i chcę, abyście wiedzieli, że cieszy się moim pełnym zaufaniem.

- Dziękuję ci, Bernie. - W stalowoniebieskiej garsonce, ze złotymi włosami splecionymi z tyłu w nieskazitelnym francuski warkocz Sheri wyglądała jak królowa Walkirii. Obrzuciła wzrokiem siedzących dookoła stołu, nawiązując z nimi kontakt. Następnie zaczęła mówić niskim sugestywnym głosem: - To chwila, w której wszyscy mamy szansę wykazać się kreatywnością. Musimy przejść do całkowicie nowej fazy naszego twórczego partnerstwa z Passion. Wiele osób tutaj zebranych doznaje uczucia smutku i zdumienia w związku z Lloydem Rockwellem, ale przypomnijcie sobie, że nikt nie jest samotną wyspą. W naszym biznesie nie chodzi o jednostkę ani o czyjeś ego. Chodzi o dzielenie się doświadczeniami, o pracę zespołową i dawanie z siebie wszystkiego. W piątek chcę poprowadzić tę prezentację, wiedząc, że każdy z was bez wyjątku jest ze mną duchem i mówi: „Naprzód, Sheri! Naprzód, Schneider Fox!”. - W poczuciu władzy podniosła dłoń w geście pozdrowienia i tu nastąpiła burza spontanicznych oklasków. Zażenowana Suze splótła ręce na kolanach. - A teraz - mówiła dalej Sheri z ożywieniem - do dzieła.

Przez następne dwie godziny analizowali statystyki i dane naukowe, oglądali filmy i dyskutowali na temat środków wizualnych, wybierając i udoskonalając koncepcje dotyczące finalnej prezentacji. Dee przez cały czas miała opuszczoną głowę i w milczeniu robiła notatki. Schneider obserwował Sheri z półuśmiechem właściciela, od czasu do czasu pochylając głowę, aby nagrać jakieś wspaniałe myśli na swój mały dyktafon - prawdopodobnie zamawiając lunch, pomyślała Suze, mierząc wzrokiem jego potrójny podbródek. W końcu podniósł się, aby jak zwykle na zebraniach wygłosić słowa zachęty, przypominając, jakie to ważne dla przedsiębiorstwa, aby prezentacja odniosła sukces.

Oczekiwał całkowitego zaangażowania, nawet jeżeli oznacza to, że wszyscy będą pracować bez wytchnienia dniem i nocą. Suze zarumieniła się lekko, gdy to usłyszała. Dziś wieczorem, postanowiła, będzie pracować do późna. Ostatecznie nie ma nic innego do roboty.

Gdy spotkanie się skończyło, Sheri zasygnalizowała swej pomocnicy, że ma iść za nią. Wracając zdecydowanym krokiem do biura, a Suze podążała za nią. Zatrzymała się tylko po to, aby zwalić Dee Dee na biurko mnóstwo papierów. Kiedy obie znalazły się już w gabinecie, zamknęła drzwi i oparła się o nie, zamykając oczy i robiąc głęboki oddech.

- Czy dobrze się czujesz? - spytała Suze.

Sheri znowu otworzyła oczy i uśmiechnęła się promiennie.

- Absolutnie wspaniale. O Boże, cóż za oryginalna fryzura! Wy, Angielki, jesteście takie niekonwencjonalne. - Zmrużyła oczy, oceniając jej włosy. - Wiesz, myślę, że powinnaś być obecna na prezentacji w piątek. Przyjdzie sam Ross Bannerman. Pasujesz do obrazu Passion. Możesz włożyć jeden z tych swoich dziwacznych ciuchów. - Zmarszczyła brwi. - Oczywiście, nie ma mowy o gołym ciele. A teraz do rzeczy, potrzebuję twojej pomocy...

. Suze wyszła z gabinetu Sheri, czując się podniesiona na duchu. Wydawało się, że ma odegrać główną rolę w nadchodzącej prezentacji. Ha! Nie jest więc nikim, cokolwiek myślał o niej Nick. Mężczyźni zawsze lubią poniżać innych; to kobiety wspierają się nawzajem w momencie kryzysu. Co z tego, jeśli nawet Nick i Sheri spali kiedyś ze sobą? To wolny kraj, a owo zdarzenie miało miejsce kawał czasu temu. A nawet jeśli Sheri' zasugerowała, aby Nick zabrał gdzieś Suze, czy nie były to po prostu względy, jakie jedna kobieta okazywała drugiej? Nie miała racji, czując się upokorzona. Była to raczej siostrzana przysługa.

Suze postanowiła zafundować sobie nagrodę w postaci małej wyprawy do kawiarni znajdującej się na

### *Zupełnie obcy ludzie 249*

zewnątrz. Tego ranka nie miała czasu na śniadanie i poziom nikotyny w jej organizmie był niebezpiecznie niski. Gdy szła korytarzem, zobaczyła biedną starą Dee Dee harującą przy kserokopiarce. Coś w postawie dziewczyny, gdy tak tkwiła nieruchoma i milcząca, zaniepokoiło Suze. Podeszła bliżej i zrozumiała, dlaczego. Asystentka płakała. Suze otoczyła ręką jej ramię.

- Hej, o co chodzi? - spytała delikatnie.

Tamta potrząsnęła głową - nie mogła wykrztusić z siebie słowa. Ścisnęła jakąś kartkę - może list. Suze przyjrzała się uważniej, zastanawiając się, czy to może jakiś liścik miłosny, ale były to tylko zwykłe papiery biurowe. Poglaskała Dee Dee po ramieniu zachęcająco.

- Powiedz mi, co się stało.

- Jego charakter pisma... - zawodziła asystentka. -Przypomina mi to wszystko. I czuję się taka winna. Nawet z nim nie rozmawiałam. - Znowu zaczęła szlochać.

Suze nic z tego nie rozumiała, ale było jasne, że dziewczyna potrzebuje pocieszenia.

- No chodź, wyjdźmy stąd. - Poprowadziła ją w stronę windy. - Porządna dawka kofeiny, oto czego ci trzeba.

Gdy znalazły się w kawiarni na dole, Suze usadowiła Dee Dee przy stoliku na zewnątrz, znalazła jakieś papierowe serwetki do otarcia łez i kupiła obu po kawie i rogaliku.

- Jestem na diecie. - Dziewczyna pociągała nosem.

- Bzdura.

Tamta wydała z siebie słaby śmiech, któremu towarzyszyła czkawka,

- Co to znaczy?

- Powiem ci później. Przede wszystkim powiedz mi, co cię trapi.

Tamta nadal przyciskała do piersi świstek papieru. Położyła go teraz na stole.

- Lloyd to napisał. Znalazłam to w stercie, jaką Sheri przyniosła mi do odbicia na ksero. - Wzniósła okrągłe szczere oczy, błyszczące jeszcze od łez. - Był taki wyją-

250 *Robyn Sisman*

kowy. Nigdy nie będę miała drugiego takiego szefa. Dzięki niemu czułam się kimś ważnym, jedną z całego zespołu, a nie po prostu jakąś głupawą sekretarką.

- To Lloyd był twoim szefem? - spytała zaskoczona Suze. - Myślałam, że Sheri.

Dee Dee popatrzyła gniewnie.

- Jest nią od teraz. Spóźniłaś się na tę część zebrania, kiedy Bernie ogłosił, że powierzył jej stanowisko tymczasowego dyrektora artystycznego. Dobrze, że „tymczasowego”. Gdybym nie była grzeczną, dobrze wychowaną dziewczyną, określiłabym ją brzydkim słowem zaczynającym się na literę k. -

- Kabotynka? Kałamarnica? Komediantka? - Suze otrzymała nagrodę w postaci słabego uśmiechu. -

No wiesz, Dee Dee, Sheri może się za bardzo rządzi, ale musisz przyznać, że robi niesamowite wrażenie. To wspaniale przynajmniej raz zobaczyć kobietę na kierowniczym stanowisku.

- Wiedziałam, że nic nie zrozumiesz - odrzekła dziewczyna z goryczą. - Jesteś jej ulubienicą.

- No cóż... - zawahała się Suze. Nie był to właściwy moment na przechwałki, ale z pewnością wszyscy rozumieli, że Sheri wybrała ją z uwagi na talent.

- Dała ci nawet pokój Lloyda, tuż obok swojego.

- Czy to dlatego na początku nie byłaś wobec mnie zbyt serdeczna?

Tamta wyglądała na zakłopotaną.

- Chodziło po prostu o sposób, w jaki od razu przejęłaś jego obowiązki. Sprawiałaś wrażenie tak pewnej siebie i bawiłaś się jego rzeczami. Tak jak gdybyś wiedziała, że już nigdy nie wróci.

- Nie bądź śmieszna. - Urażona Suze podniosła dumnie głowę na ten oskarżający ton. - Nie wiedziałam nic o Lloydzie, kiedy tu przyjechałam. I nadal nie wiem. Jednak słyszałam pewne pogłoski. Sheri naprawdę martwiła się o interesy Passion - i jak się okazuje, całkiem słusznie. A Lloyd doprowadził do tego, że sprawy przybrały zły obrót.

*Zupełnie obcy ludzie 247*

- Nie uwierzę w to nawet przez moment! - Dwie błyszczące krople pojawiły się na pulchnych policzkach asystentki. - Pracę Lloyda dla Passion oceniano bardzo dobrze. Zbierał nagrody. Zapraszano go nawet, aby prowadził seminaria w szkołach biznesu. - Utkwiła w niej wyzywający wzrok.

Suze małymi łydkami popijała kawę. Żarliwość tej dziewczyny była przekonująca.

- A więc uważasz, że Lloyd dobrze wykonuje swą pracę?

Dee Dee popatrzyła na nią jak na wariatkę.

- Jest olśniewający! Wszyscy o tym wiedzą. Jak uważasz, dlaczego zrobili go dyrektorem artystycznym? - Pochyliła się z entuzjazmem w kierunku Suze. - Z Lloydem jest tak, że może wziąć nawet najgorsze przedsiębiorstwo i znajdzie w nim przynajmniej jedną dobrą cechę. Bo właśnie na tym się koncentruje. W ten sposób, jak mówi, nie tylko zyskuje się zaufanie klienta, ale dochodzi do tego, iż pracownicy mają tak dobre samopoczucie, że sami z siebie zaczynają lepiej pracować. „Gdy twoje kampanie są pozytywne, możesz sprawić stają się zabawą”. Lloyd jest w tym dobry.

Suze pokiwała wolno głową. Ona również lubiła pracować w taki sposób.

- I nigdy nie odniosłaś wrażenia, że jest źle zorganizowany?

- Lloyd? - Dee Dee wybuchnęła śmiechem. - Lloyd słynie ze swoich list. Zawsze żartowałam sobie z niego, że co wieczór robi plan, w co się ubierze następnego dnia.

- Zapomniał o zaproszeniu dla Matsuhany - przypomniała jej Suze.

Dee Dee zacisnęła usta.

- Lloyd dał Sheri pięciostronicową notatkę podsumowującą na tydzień przed twoim przyjazdem.

Przepisywałam ją osobiście.

Suze strzepnęła ostatnie okruszki rogalika rozsypane wokół talerza, czując się nieswojo. Zaczęła w myśli

powtórnie odtwarzać niczym z taśmy ostatnie trzy tygodnie, z wyszczególnieniem tego, co Sheri powiedziała jej o Rockwellu. Przypomniła sobie porządnie wyostrzone ołówki Lloyda, inteligentny i dokładny system katalogowania płyt i nieudolne kłamstwa na temat, kto wyprawił na tamten świat Pana Kiplinga.

- Dee Dee, powiedziałaś, że czujesz się winna z powodu Lloyda. Dlaczego?

- To ja przyjąłem obciążającą go wiadomość. Nawet ją zapisałem, aby wszyscy mogli zobaczyć! - Dziewczyna ukryła twarz w dłoniach.

- To nie twoja wina. Pomimo wszystko naprawdę ktoś do niego zadzwonił.

- Tak, ale kiedy przekazałem Lloydowi wiadomość, nie wiedział, od kogo pochodziła - tłumaczyła Dee Dee. - Cały czas o tym myślał. Wiem, że nie kłamał. - Westchnęła. - W każdym razie naprawdę źle się stało, że ci z londyńskiego biura znaleźli tajną listę klientów u Lloyda w walizeczce.

Wydobyłem tę historię od asystentki Berniego. Nikt nie wie, skąd ją miał, ale był to gwóźdź do trumny.

Suze poczuła, jak płonie jej twarz.

- Listę? - spytała zdawkowo. Z całą pewnością nie mogła to być lista, którą przesłała Lloydowi pocztą elektroniczną!

- Poufne informacje dotyczące klientów. Nie wiem, co tam dokładnie było, ale cokolwiek to było... - Dee Dee przesunęła palcem po gardle. - Chodzi o to, że nie wierzę, by Lloyd kiedykolwiek zrobił coś na boku. Nie jest tego typu człowiekiem.

- Ale... - zaczęła Suze i zaraz zamknęła usta. Należało się nad tym zastanowić. Po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że Lloyd mógł być całkowicie niewinny, tak jak twierdziła Dee Dee. I gdyby nie Suze, nadal miałby pracę. Poczowała, że robi się jej trochę niedobrze.

Ulice zaczęły się teraz wypełniać pracownikami biur, którzy wychodzili na lunch. Wyglądali na zaję-



### *Zupełnie obcy ludzie 253*

tych i skoncentrowanych, pędzili, aby załatwić w czasie przerwy swoje sprawy, lub śpieszyli z powrotem do swoich biur, niosąc jedzenie w brązowych papierowych torebkach. Suze przyłapała się na tym, że wyobraża sobie, jakby to było nie mieć pracy, wyglądać z okna dzień po dniu, obserwując, jak inni biegną na umówione spotkania lub do metra, gdy tymczasem twój telefon uparcie milczy i nie ma powodu, aby nawet wstać z łóżka.

- Dee Dee - odezwała się energicznym tonem - chcę, żebyś pokazała ten notes z wiadomościami, o którym mówiłaś. Chcę też zobaczyć notatkę dotyczącą Matsuhany. I chciałabym to pożyczyć, jeśli można. - Wzięła kartkę papieru z pismem Lloyda.

- Oczywiście. - W oczach dziewczyny zapaliła się iskierka nadziei. - Co zamierzasz zrobić?

- Zobaczymy. - Suze nie miała zielonego pojęcia. Jednak pomyślała, że wie, od czego zacząć. -

Powiedz mi uczciwie, dlaczego twoim zdaniem Sheri jest dla mnie taka miła i traktuje mnie jak...

- Swoją pupilkę?

<sup>v</sup> - Chciałam powiedzieć: jak protegowaną.

- Przyszłaś z zewnątrz i jesteś z dala od układów. Uwierzyłaś we wszystko, co ci powiedziała. A także... - Dee Dee urwała nagle.

- Tak?

- No cóż, spójrz na siebie. - Dee Dee pomachała ręką. - Sheri prawdopodobnie zakładała, że przez cały czas będziesz myślała jedynie o ciuchach i chłopakach i nie zauważysz sbyt wiele z tego, co dzieje się w firmie.

Suze poczuła, że pali ją twarz. Czy rzeczywiście tak postrzegają ją inni ludzie? Czy widzą w niej głupią dziewczynę, która ma pusto w głowie, i jest zbyt zaabsorbowana sobą, aby pomyśleć, co się dzieje poza jej maleńkim światem? Czowała się tak, jak gdyby ktoś wręczył jej lusterko, w które spojrziała z uśmiechem i pewnością siebie tylko po to, aby zobaczyć w nim brzydką nieznajomą. Nie jestem taka! - chciała zaprotestować.

## 254 Robyn Sisman

Jednak szczerłość dziewczyny ją poraziła. Może była właśnie taka. W taki czy inny sposób zraniła ludzi -Dee Dee, Lloyd, a nawet Nicka.

- Rozumiem - odpowiedziała nieśmiało.

- Dlaczego obcięłaś włosy? - Tamta wpatrywała się w nią krytycznie;

- Co? - Przez chwilę Suze nie wiedziała, o czym mówi asystentka. Podniosła rękę i dotknęła szorstkich, krótko przystrzyżonych kosmyków, przypominając sobie gorący, pogrążony w ciemności pokój w Eart Hampton - splątane białe prześcieradła, dziką twarz Nicka, jego nóż rzucony na dywan. Pomyślała o godzinach, które spędziła, użalając się nad sobą, gdy wpatrywała się w swą zeszpeconą przez nową fryzurę twarz w lustrze, i zawstydziła się nagle. Nie było to już takie ważne.

Zdobyła się na samokrytyczny uśmiech od ucha do ucha.

- Sukces, czyż nie?

- Podobało mi się, gdy miałaś długie włosy - stwierdziła Dee Dee. - Wyglądałaś wtedy bardziej po ludzku.

Zanim upłynął ten wieczór, nowa rola pochłoniętej bez reszty swym zadaniem pracoholiczki zaczęła budzić w Suze wstęt. Wszyscy pozostali poszli do domów wiele godzin temu. Światło dzienne zgasło, zastąpiła je nocna porcja blasku jarzeniówek, które działały jedynie w miejscach użyteczności publicznej, pogrążając resztę świata w ciemności. Puste biura wydawały się w pewien niesamowity sposób pełne życia, jak gdyby zostały opanowane przez duchy przysyłające wiadomości pocztą elektroniczną i włączające z warkotem faksy. Po tak wielu godzinach spędzonych przy komputerze Suze czuła się wręcz radioaktywna. Zaczynała mieć dziwne zawroty głowy, a jej ciało zdawało się opadać i kołysać nad ekranem. Cierpiała na rwący ból głowy. Czuła się tak, jakby poprzedni kac powrócił. Nagle przypomniała sobie cudowne lekarstwo Dee Dee: cytryny z sokiem

### *Zupełnie obcy ludzie 251*

pomidorowym z prywatnej lodówki Berniego Schneidera. Być może znajdzie się tam również i lód. Zostawiając buty pod biurkiem - zrzuciła je już wcześniej - Suze ruszyła szybko do windy i wjechała na dwudzieste drugie piętro. Kiedy drzwi się otworzyły, wyjrzała ostrożnie. Nie było widać nikogo i wszędzie panowała głucha cisza. Suze śmiało wyszła na korytarz. Natychmiast odgadła, gdzie musi się znajdować biuro Berniego - ze względu na obfitość egzotycznych roślin i pas lepszego dywanu, który prowadził do szeregu pokoi umiejscowionych w rogu budynku. Pierwsze pomieszczenie, do którego weszła, okazało się maleńką kuchnią. Suze uśmiechnęła się. Łatwizna.

W lodówce nie było wprawdzie soku pomidorowego, jedynie kilka pojemników z jogurtem, trochę wody z tonikiem i dwanaście czekoladowych batoników Sni-ckersa, lecz w przegródce z lodem Suze dostrzegła butelkę wódki. Próbowwała odkręcić kapsel, kiedy usłyszała jakiś cichy dźwięk.

Zaniepokojona wystawiła głowę na korytarz. Nic. Potem dostrzegła jakiś nieznaczny ruch na tablicy informacyjnej koło windy. **KW** wjeżdżał na górę.

Suze patrzyła, jak numery pięter zapalają się po kolei coraz wyżej na oświetlonej szybie. Dziewiąte, dziesiąte, jedenaste... W budynku jest czterdzieści pięć pięter, powiedziała sobie. Ryzyko, że winda zatrzyma się dokładnie tu, było minimalne. Niemniej jednak, kiedy nalewała sobie drinka, stanęła w drzwiach kuchni, śledząc rozwój sytuacji. Dziewiętnaście... dwadzieścia. Winda chyba zaczęła zwalniać. Chryste! Jedynie szklana ściana oddzielała Suze od jasno oświetlonego korytarza; nie mogła tu pozostać. Wcisnęła wszystko do najbliższej szafki - kieliszek, butelkę, pojemnik z lodem - i rozejrzała się za miejscem, gdzie mogłaby się ukryć. Instynktownie zwróciła się w przeciwnym kierunku niż korytarz z windami. Znajdowało się tam jeszcze troje drzwi, a dalej pusta ściana. Suze spróbowała przekręcić gałkę w drzwiach naprzeciwko: nic

252 *Robyn Sisman*

z tego - zamknięte na klucz. Następne prowadziły do małej prywatnej toalety, tu jednak nie było gdzie się schować, a nie ośmieliła się zamknąć w kabinie. Teraz usłyszała, jak winda delikatnie się kołysze, stając. Były jeszcze tylko jedne drzwi. O Boże, gałka nie chce się przekręcić! Drzwi windy otworzyły się, wydając niski ciągły dźwięk. Usłyszała głosy. Szybko!

Szarpnęła gałką gwałtownie w drugą stronę i wpadła do ogromnego gabinetu rozjaśnionego z zewnątrz bardzo małymi plamkami światła z tysiąca okien przeciwległego drapacza chmur.

Rozejrzała się błędnym wzrokiem dokoła. Pod oknem na drugim końcu znajdowała się ogromna kanapa, ale była dosunięta do ściany. Suze pomyślała, żeby przykucnąć za stojącą tam na cokole rzeźbą, lecz ta okazała się za mała. Głosy były coraz bliżej. Koszmar! Wtedy zobaczyła biurko, masywne modernistyczne dzieło z gładkimi kasetonami sięgającymi niemal podłogi z trzech stron.

Mamrocząc cicho do siebie, Suze opuściła się na kolana na miękki dywan. Czmychnęła pod biurko i podciągnęła stopy milisekundę wcześniej, nim otworzyły się drzwi.

- Poczekaj, zapalę światło - odezwał się męski głos.

- Och, nie, niech tak na chwilę zostanie. Masz tutaj taki fantastyczny widok.

Suze zamknęła oczy w udęce: Bernie i Sheri. Usłyszała szelest pończoch, a następnie zmysłowe westchnienie.

- Och, Bernie, kiedy tak siedzisz w tym wielkim biurze i spoglądasz w dół na wszystkich tych małych ludzi na zewnątrz, musisz czuć się bardzo dumny.

Rozległ się stłumiony śmiech kogoś zadowolonego z siebie.

- Jak sądzę, moje dokonania nie są takie najgorsze.

- Nie najgorsze? Jesteś człowiekiem, który w reklamie odniósł największe sukcesy na całym

Manhattanie. Miałam jedną ambicję od czasu, gdy zaczęłam działać w tej branży, a była nią praca z Berniem Schnei-

### *Zupełnie obcy ludzie 253*

derem. Tak wiele można się nauczyć od doświadczonego mężczyzny.

- Miło to słyszeć. Przynieść nam drinka?

Suze zamarła. Och, nie! Zobaczy, że brakuje pojemnika z lodem. A co się stanie, gdy odkryje wszystkie te rzeczy wrzucone do szafki?

- Dzięki, Bernie, ale nie mogłabym, nie po tym całym wypitym już winie. - Sheri roześmiała się prowokująco. - Nie próbujesz chyba mnie upić, prawda?

- No cóż... chcę powiedzieć... oczywiście, że nie.

- Może później, hmmm? Najpierw chciałabym pokazać ci te plany. Nie mogę spuścić z nich oka. Czułabym się o wiele lepiej, gdybyś schował je w sejfie, jak już skończymy.

- Oczywiście. Rozległ się głuchy odgłos, gdy coś umieszczono na biurku nad głową Suze. Usłyszała dwukrotny brzęk przy otwieraniu teczki i szelest papierów. Cicho pstryknęła włączona lampa.

- Rozłożę tutaj wszystko, abyś mógł mieć pełny obraz. Och, czy to długopis? Chyba coś spadło z biurka. Nie zwracaj sobie tym głowy. Sprzątaczkę podniosą.

Dwie pary obuwia pojawiły się tuż obok siebie kilka centymetrów przed nosem Suze - męskie półbuty z niegustownymi złotymi sprzączkami i lakierki na wysokich obcasach, które zwęzły się ostro w palcach w stylu Cruelli De Vii.

- To jeden z pomysłów, które niby przygotowujemy na piątek - mówiła, Sheri. - Naturalnie, nigdy nie miałam zamiaru tego prezentować. Jednak jeśli plan B wejdzie w życie, zrobimy tylko to - nastąpił kolejny szelest - i bingo! Co o tym myślisz?

Bernie oddychał dość ciężko.

- Niech zdejmę marynarkę. Jest tutaj raczej duszno. - Czarne półbuty się cofnęły.

- Oczywiście, mam nadzieję, że będziemy mogli zatrzymać Passion - mówiła dalej Sheri - ale w ten spo-

sób jesteście kryci, niezależnie od tego, jak podskoczy Ross Bannerman.

Buty Berniego pojawiły się ponownie, trochę bliżej pantofli Sheri niż przedtem.

- Jak skłoniłaś dział Quincy'ego, aby to zrobił? To absolutnie nie nadaje się na reklamę Passion.

- Przestań się martwić, Bernie. - Głos Sheri był słodki jak miód. - Quincy nigdy tego nie widział.

Posłużyłam się tą małą projektantką z Londynu. Jest po prostu jak dziecko zagubione w ciemnym lesie. Nic nie wie. To właśnie dlatego ją wybrałam.

Pod biurkiem Suze zeszywniała z oburzenia i niemal trzasnęła głową o dno szuflady. Gdy ponownie przykucnęła w nowej pozycji, dostrzegła mały przedmiot połyskujący słabo na dywanie. Ale nie był to długopis, lecz dyktafon Berniego.

- To było sprytne. Wiesz, naprawdę myślę, że to się uda. W pewnym sensie Rockwell wyświadczył nam przysługę...

Rockwell! Suze nie wiedziała, o czym rozmawiają ci dwoje, ale cokolwiek to było, brzmiało wyraźnie podejrzanie. Ukradkiem wyciągnęła rękę i podniosła dyktafon. Przez małe plastikowe okienko zobaczyła przewijającą się taśmę; upadek ją uruchomił. Suze nastawiła głośność na „max” i delikatnie położyła urządzenie ponownie na dywanie.

- Dobrą stroną całego interesu jest to - mówił Bernie - że jeśli powiesz nam się sprawa ze Stateside, być może ten dupek Fox wreszcie przestanie mnie kontrolować i krytykować.

- Za kilka miesięcy będzie cię błagał, abyś wykupił jego udziały w przedsiębiorstwie.

- Co z ciebie za dziewczyna, Sheri, równie inteligentna jak piękna. Wiesz, kiedy przejdę na emeryturę, pocieszająca będzie dla mnie świadomość, że agencja znajduje się w dobrych rękach.

- Na emeryturę? - Sheri udało się wykrztusić to tak zdumionym tonem, jak gdyby Bernie właśnie oznaj-

### *Zupełnie obcy ludzie 259*

mił, że ma zamiar utworzyć zespół rockowy. - Nie wierzę w to! Ile ty masz lat, pięćdziesiąt dwa, może trzy?

- W zimie skończę sześćdziesiąt jeden.

- Głędzenie na miękko. - Sheri przeciągała słowa, zamieniając je w uwodzicielskie nawoływanie syreny.

Bernie dał się złapać na przynętę jak łapczywy pstrąg.

- Nadal pracuję na pełnych obrotach - zamruczał -i mówię to całkiem poważnie.

Przez kilka chwil nie padły żadne słowa, ale pewne odgłosy i ciężkie oddechy mówiły same za siebie. Suze słuchała i ku swemu przerażeniu stwierdziła, że coraz bardziej rozjaśnia jej się w głowie. Buty Berniego znajdowały się teraz nasek przy nosku obok pantofli Sheri. Drażniący zapach męskiego potu wypełniał powietrze, przytłumiając perfumy kobiety. Przed samymi oczami Suze spadła nagle na podłogę stalowoniebieska marynarka.

- Och, dziecinko - jęknął Bernie. - Tak bardzo cię pragnę.

- Ja także. - Rozległo się nagłe sapanie. - Och, Bernie ^ szepnęła Sheri. - Spójrz no tylko na to. Nie wiem, czy będę mogła pomieścić w sobie tę wspaniałą ogromną rzecz... A teraz, chwileczkę, Bernie. Poczekał na... och!

Nagle lakierki Sheri w jednej chwili znikły z pola widzenia. Suze poczuła potężny głuchy odgłos nad swoją głową i biurko zaczęło się kołysać oraz gwałtownie trząść, a jego spojenia skrzypiały. Miała wrażenie, że tkwi uwięziona w środku prywatnego wulkanu o sile Etny. Patrzyła, jak spodnie Berniego zwijają się powoli w harmonijkę przy jego kostkach, i odwróciła głowę. Po drugiej stronie złociste włosy zwisały w lokach z biurka. Biedna stara Sheri. Obecnie nastąpiła seria mokrych cmoknięć przeplatanych gwałtownymi przerywanymi oddechami, jak gdyby Bernie i Sheri ścigali się, aby sprawdzić, kto może zjeść więcej Kentucky Fried Chicken. Bolesne pomrukiwania Sheri sugerowały, że dostawała niestrawności już we wczesnej fazie tej gry.

260 *Robyn Sisman*

- Czy nie byłoby... au! Nie byłoby bardziej... aach! -wygodnie na kanapie?... Bernie? Skarbie?...

Mogłabym pokazać ci kilka moich specjalnych numerów.

Suze patrzyła, gdy szli przez pokój, zataczając się jak pijani. Schneider ścisnął kurczowo spodnie na wysokości kolan, a jego słoniowaty zadek zwisał z niebieskich spodenek z wzorem w złotą koronę.

Sheri była do połowy naga, spódnicę miała podwinięta do góry wokół talii.

- Chodź tu, mój duży chłopcze. - Przewróciła Berniego na kanapę. - Tym razem ja będę na górze. - I wyrzucając gwałtownie jedną nogę, opadła okrakiem na jego cielsko, jak gdyby dosiadała wyjątkowo tłustego kuczka. Wyścig się zaczął.

Nadszedł czas, by się zbierać. Suze wyłączyła dyktafon, wyjęła taśmę i schowała ją do stanika.

Ponownie położyła urządzenie na dywanie, zostawiając otwartą klapkę. Jeśli będzie miała odrobinę szczęścia, Schneider pomyśli, że taśma wypadła sama i wciągnął ją odkurzacz. Następnie skulona, w stylu komandosów, zaczęła cichutko przesuwac się ze swej kryjówki obok nóg dyrektorskiego fotela Berniego i dookoła biurka. Tutaj była zasłonięta i tamci nie mogli jej dostrzec z kanapy. Na wprost otwarte drzwi znajdowały się tuż przed nią, ale aby się tam dostać, musiała pokonać kilka metrów dywanu niemal na ich oczach, w pełnym świetle padającym ukośnie z korytarza. Czy się ośmieli? Odgłosy z kanapy dobiegały w uporczywym rytmie. Suze miała odczucie, że Sheri nie będzie przedłużać przyjemności ponad to, co jest całkowicie konieczne. Była to więc kwestia - teraz albo nigdy. Podniosła się ostrożnie, by iść na czworakach. W jej stawie kolanowym rozległo się głośne trzaśnięcie.

- Co to było? - spytała Sheri piskliwym głosem.

- Nie przerywaj - wrzasnął Bernie - bo cię wyleję! Odgłosy nasiliły się ponownie. Powoli, cicho Suze czołgała się po dywanie w stronę drzwi. Wystarczy, że odwrócą głowy, a ją zobaczą. W każdej chwili oczekiwania-



### *Zupełnie obcy ludzie 261*

ła, że rozlegnie się pełen wściekłości wrzask. Żaden krzyk jednak się nie rozległ. Uciekła. Zerwawszy się na równe nogi, pognąła korytarzem, kalkulując szybko. Zdecydowała, że musi podjąć ryzyko i pojechać windą: drzwi na schody są teraz zamknięte. Jednak synchronizacja w czasie musi być doskonała. Z palcem zawieszonym w powietrzu nad przyciskiem „w dół” Suze w całkowitym skupieniu nasłuchiwała przytłumionych odgłosów z biura Berniego. Brzmiały trochę tak, jak gdyby zamknięto na klucz dużą turkawkę ze szczekającym piskliwie pekińczykiem.

I wtedy nagle Sheri wykrzyknęła:

- Jesteś najlepszy!... Najpotężniejszy! Najcudowniejszy! Najwspanialszy ze wszystkich Berniech!

Jej słowa padły w odpowiednim momencie.

- Za chwilę nadejdzie! - zawył Bernie. - To jest to! Och, Boże... O Boże...

Suze nacisnęła guzik. Podczas gdy kochankowie, ciężko oddychając, dążyli do najwyższego punktu, winda wjeżdżała cicho. Jednocześnie osiągnęli szczyt.

Rozdział dwudziesty czwarty

Betsy w koszuli nocnej siedziała na brzegu wanny, obracając bez końca w dłoniach małą różowo-białą paczuszkę. Obok niej, na rozklekotanym krześle stał duży kubek z wodą, na wypadek gdyby przedtem nie wypila dostatecznej ilości płynu. Położyła obok siebie zegarek, aby sprawdzać czas. Zamknęła drzwi od łazienki - nie żeby miało to jakieś znaczenie, ponieważ Lloyd i tak nie wrócił jeszcze do domu. Wszystko przygotowane. Na co czekała?

Odetchnęła głęboko, otworzyła opakowanie i wyjęła małe elementy plastikowego wyposażenia.

Wyglądały o wiele zbyt tandetnie i tanio jak na swoją doniosłą funkcję. Rozłożyła ulotkę z instrukcjami i zaczęła czytać. Procedura była ogromnie prosta. Nie minie więcej niż pięć minut, a pozna odpowiedź. Różowy kolor lub biały. Tak czy też nie. Dobrze albo źle. Nagle czując, że jest jej zimno, Betsy objęła się rękami i kołysała nerwowo w przód i w tył. Prawda była taka, że sama nie wiedziała, czego pragnie.

Jeszcze w ostatni wtorek uważała, że wszystko układa się zgodnie z jej oczekiwaniami. Lloyd się oświadczył i mama została w końcu „uciszona”, jeśli słowo „uciszyć” było tu na miejscu. Po wstępnej przemowie, która świadczyła niezbitcie, że nie posiada się z radości - Betsy dostrzegła w niej przerażające podobieństwo do pani Bennet, udzielającej Lizzie pochwały za zdobycie niemiłego, lecz posiadającego wspaniałe zasoby fi-

### *Zupełnie obcy ludzie 259*

nansowe pana Darcy'ego, mama nie tyle wycofała swą macierzyńską uwagę, ile przesunęła jej punkt ciężkości. Kiedy odbędzie się ślub? Musi wiedzieć to w odpowiednim czasie, tak aby wszyscy jej przyjaciele mogli się zjawić i na własne oczy zobaczyć triumf Betsy. Jaki będzie dobór kolorów? Chce zamówić dla siebie odpowiednią kreację. Gdzie zamieszkają Betsy i Lloyd? Jak szybko zostanie babcią?

Betsy nie ośmieliła się dorzucić do tego entuzjastycznego potoku szczęśliwych spekulacji nieprzyjemnej wiadomości o zwolnieniu Lloyda z pracy u Schneidera Foxa. Nie było sensu martwić mamy, zanim przyleci do Anglii. Oprócz tego przyznanie się, że mężczyzna, którego wkrótce ma poślubić, jest teraz bezrobotny, było nieco żenujące. Gdyby tylko Lloyd się pośpieszył i znalazł inną pracę, może w ogóle nie byłoby konieczności wspomniania o tym, co się stało. Mogliby po prostu ogłosić, że ma nową posadę, przedstawiając to jako spektakularny awans.

Jednak Lloyd się nie śpieszył. Nie dzwonił nawet do osób, z którymi utrzymywał kontakty. Nie robił nic, tylko obijał się po domu jak sflaczały stary balon urodzinowy lub też znikał na całe godziny. Wiele osób straciło pracę, Betsy czytała o tym w gazetach. Dlaczego więc on musi robić z owego faktu aż taki wielki dramat? Jeszcze przed całą tą kłopotliwą historią u Schneidera Foxa Betsy wyczuła, że Lloyd się zmienił, jak gdyby jakiś wirus tkwiący w angielskim powietrzu zainfekował jego psychikę, osłabiając te cechy charakteru, które kochała, i wzmacniając te, których się obawiała. Jak na przykład mogła mu sprawiać przyjemność zabawa z dziećmi Foxa? W drodze powrotnej z Chawton całkowicie zniszczyły jej poczucie bliskości z duchem Jane Austen, gdy siedząc z tyłu, wyśpiewywały na cały głos „Waltzing Matilda”. I to okropne mieszkanie: Lloyd zaskoczył Betsy parę dni temu, mówiąc, że ma ono „charakter”. Przyłapała go nawet na tym, że słuchał jakichś znalezionych tu taśm Jimiego Hendrixa! Od kiedy stra-

cił pracę, tylko raz słyszała, jak się śmiał - było to wtedy, gdy rozmawiał przez telefon z tą Wilding. Opowiadali sobie dowcipy! Powiedział więcej tej Angielce podczas jednej rozmowy telefonicznej niż Betsy w ciągu wielu dni.

Następnie była jeszcze ta jego bezsensowna obsesja, aby ona podjęła pracę. To nigdy nie należało do scenariusza. Kształtowanie własnego intelektu w atmosferze kulturalnego spokoju to jedna sprawa; natomiast myśl, aby rzeczywiście pracować na uczelni - pamiętając o rygorach pracy naukowej, walce o stałą posadę, pracach semestralnych i obowiązkowych zajęciach - sama w sobie wystarczała, aby spowodować jedną z migren Betsy. Nie ma nic złego w tym, by oczekiwać od mężczyzny, że zapewni kobiecie dom, bezpieczeństwo i ładne meble. To właśnie oznacza małżeństwo.

Betsy odczuła narastającą panikę. Wstała i zaczęła kręcić się po łazience, zataczając małe kółka, dopóki nie ujrzała się w lustrze. Wyglądała na spiętą i miała smutny wzrok. Niedługo skończy trzydzieści pięć lat. Zamykając oczy, pomasaowała czoło i skronie delikatnym, powtarzającym się ruchem, dopóki się nie uspokoiła. Zainwestowała dwa lata życia w ten związek. Lloyd oświadczył się i przyjął go. Mogła to być jej ostatnia szansa. Nagle zdecydowana, wzięła zestaw do ręki i podłączyła plastikową rurkę do czarnej linki. Lloyd może starać się ją przekonywać, że jest marnym kandydatem na męża, ale nigdy nie ucieknie od własnego dziecka.

Zakończyła kolejny etap badania i czekała, aż miną trzy wymagane minuty, kiedy usłyszała dzwonek telefonu. W nagłej obawie, że coś przydarzyło się Lloydowi, porzuciła fiołki, przez chwilę zmagając się z zamkiem w drzwiach i pośpieszyła, aby podnieść słuchawkę.

-Tak?

- Halo. Czy mogłabym, proszę, rozmawiać z Lloydem? Przepraszam, że dzwonię tak późno, ale to strasznie ważne.

### *Zupełnie obcy ludzie 261*

Mogła się tego domyślić. Była to ta cała Susanna, Betsy miała pewność - choć Angielka nie okazała się na tyle uprzejma, by się przedstawić lub rozmawiać z Betsy jak z prawdziwą ludzką istotą, a nie automatyczną sekretarką udzielającą informacji.

- Nie ma go w tej chwili w domu - odrzekła zniechęcającym tonem.

- Psiakrew! - Padła odpowiedź pełna irytacji. -Gdzie on jest? Czy szybko wróci?

- Czy mogę się dowiedzieć, w jakiej sprawie pani dzwoni? - Betsy nie zamierzała przyznawać, że nie ma pojęcia, gdzie w tej chwili przebywa Lloyd. - Może będzie mógł skontaktować się z panią telefonicznie, kiedy... kiedy skończy załatwiać swoje sprawy. To znaczy, jeśli zechce pani zostawić nazwisko i numer telefonu.

W słuchawce rozległa się kaskada śmiechu.

- Wielkie nieba, jak to niegrzecznie z mojej strony! Mówi Suze Wilding i oczywiście zna pani numer, ponieważ jestem w pani mieszkaniu. To pani musi być Beth.

- Betsy.

- Oczywiście. Betsy. No cóż... witaj w końcu. <sup>v</sup>- Witaj.

Zapadło przykre milczenie.

- Dzwonię w sprawie Schneidera Foxa - mówił dalej uparty głos.

Wystarczyło, że Betsy usłyszała tę nazwę, a już zawrzał w niej gniew.

- Lloyd nie chce przyjmować kolejnych wiadomości od Schneidera Foxa. Wiesz, że jest jeszcze mnóstwo innych miejsc pracy.

- Taak - usłyszała niepewną odpowiedź. - Ale tak naprawdę to chyba nie ma nic do rzeczy, prawda?

- Wydaje się to dość sensowne z naszego punktu widzenia.

- Jednak z pewnością jest ważne, aby oczyścić swe imię. Jay również tak myśli.

Betsy nie mogła się nadziwić swobodnej pewności siebie tamtej kobiety. Mówiła tak, jak gdyby mieszka-

ła z nimi od lat. Przybrała swój najbardziej lodowaty ton - podobny do tego, jakim matka zwracała się do facetów od napraw.

- I rozmawiałaś o Lloydzie z Jayem Veritasem?

- Tak. Całkiem się zaprzyjaźniliśmy. Jest uroczy, prawda?

Uroczy? Ten złośliwy, palący papierosa za papierosem homoseksualista z włosami w nienaturalnym kolorze? Betsy miała wrażenie, jak gdyby wysunął jej się z rąk własny mały prywatny wszechświat. Oto kobieta, której nigdy nie spotkała, zupełnie nieznajoma, korzystała z jej telefonu, prawdopodobnie rozwalala się u niej na łóżku i zachowywała się, jak gdyby Jay był jej najlepszym przyjacielem. Tłumaczyła Betsy, co jest najlepsze dla jej narzeczonego - i to wszystko owym protekcjonalnym grzecznym angielskim tonem, który zdawał się mówić, że ona sama zupełnie się nie liczyła. Nadszedł czas, aby przejąć kontrolę nad rozmową.

- Proszę przekazać mi wiadomość. Zapewniam, że Lloyd ją otrzyma.

- Nie mogę tego zrobić. Jest nieco skomplikowana.

- Jestem pewna, że zrozumie, jeśli będziesz mówić bardzo powoli.

- Nie to miałam na myśli. Chodzi o to, że po prostu muszę porozmawiać z nim osobiście. Ja... no cóż, jestem mu to winna.

Sugestia, że ta kobieta i Lloyd mają jakąś tajemniczą sprawę, w której Betsy nie może brać udziału, napełniła ją jadem.

- Mówiąc o tym, kto co komu jest dłużny, mam nadzieję, że docenisz kuchenkę mikrofalową, którą dla ciebie kupiłam. To takie dobrodziejstwo dla was, samotnych kobiet.

- Och, wspaniale! - błyskawicznie odparł imperty-nencki głos. - Jeśli trafi mi się jakiś następny kot przybłąda i będę miała ochotę go się pozbyć, nie muszę sobie nawet zawracać głowy weterynarzem. Po prostu sama go spalę!

### *Zupełnie obcy ludzie 267*

Betsy na moment straciła oddech. Lloyd zaklinał się, że wziął na siebie winę za incydent z kotem. Jak mógł ją okłamać? Otworzyła usta, aby wydobyć z siebie miazdzącą, ciętą ripostę, jednak Angielka była szybsza.

- Przepraszam - odpowiedziała lakonicznie. - To było bardzo niegrzeczne. Słuchaj, ta rozmowa do niczego nie prowadzi. Jeśli chcesz dopomóc Lloydowi, poproś, by do mnie zadzwonił, dobrze? -1 odłożyła słuchawkę.

Betsy zatrzęsała się ze złości. Rozglądała się wściekłym wzrokiem po salonie, nienawidząc całej tej gradami w jaskrawych kolorach. Te zadzierające nosa karierowiczki wyobrażały sobie, że kim niby są? Nagle przypomniała sobie, co robi, i pobiegła do łazienki z bolesnym okrzykiem. Płyn nie był ani różowy, ani biały, lecz w brudnym, szarzielonym kolorze. Betsy złapała instrukcję i przeczytała to, o czym i tak już wiedziała. Czekala za długo i zmarnowała test. Nie można było ponownie użyć zestawu. Będzie musiała kupić drugi.

W niepohamowanej wściekłości pochwyciła wszystkie pojemniki i wepchnęła je gwałtownie do pudełka, chcąc wyrzucić te idiotyczne zużyte rzeczy do śmieci. Jednak oczywiście nie mogła tego zrobić. Znajdowała się w Anglii, Anglicy zaś nie byli zwolennikami koszy w łazience - podobnie jak nie opowiadali się za serwetkami na stole czy też wodą z lodem do posiłku. Betsy zaczęła kopać wannę i robiła to tak długo, dopóki nie wybuchnęła płaczem. Łkając żałośnie, powlokła się do salonu. Zlokalizowała kosz, rozmazując po twarzy łzy, i wrzuciła do niego bezużyteczny test, a następnie padła na okrepną sofę tej okropnej Susanny Wilding. Nigdy nie czuła się taka samotna i opuszczona. Gdzie jest Lloyd?

Mijały minuty. Łzy Betsy obeschły. W końcu sięgnęła po telefon i zaczęła wykręcać numer. Mama będzie wiedziała, co zrobić.

Pięć kilometrów dalej, w sercu Covent Garden, Lloyd stał przy barze Jagnię i Flaga.

To pub w moim stylu, myślał otepiały, przyglądając się uważnie niskim ciemnym belkom na suficie, żółtemu tynkowi i wypolerowanemu mosiądzowi dźwigni pompujących piwo. Powietrze zalatujące drożdżami i wesołe salwy śmiechu działały przyjemnie i niemal jak narkotyki. Popijał małymi łydkami drinka i patrzył nieobecny wzrokiem wokół siebie, przesuwał się od czasu do czasu, aby spojrzeć badawczo na stare ryciny i dziwne pamiątki przeszłości.

Powinienem wracać do domu, do Betsy, powiedział sobie, ale te słowa nie miały żadnego wpływu na jego działanie.

Wyszedł od razu po śniadaniu, tak aby mogła dalej pisać swą pracę. Musi być jej przykro, że snuł się beczynnym po mieszkaniu. Dzisiaj bezcelowe wędrówki zawiodły go na południe, w kierunku rzeki, do miejsca, gdzie splatały się ze sobą zakręcające drogi, i do otoczonych wysokim murem bocznych uliczek, które niegdyś musiały tworzyć serce dickensowskiego Londynu. Czosnkowe Wzgórze, Aleja Ostryg, ulica Cynamonowa, Doki Tabakowe - wszystkie te nazwy wyczarowały w jego wyobraźni rojny i gwarny świat wibrujący kolorami i egzotycznymi zapachami, gdzie ludzie odznaczyli się pełną energią przedsiębiorczością. Imperium Brytyjskie przeminęło już dawno temu, stare domy handlowe padły, budynki były opuszczone. Wąskie przejście zawiodło Lloyda na spadziste kamienne schody porośnięte roślinami, które prowadziły do zielonej wody. Stał tam przez chwilę, patrząc na zachód i czując w nozdrzach kwaśny zapach Tamizy. Obserwował, jak chmury przybierają różne kształty i znikają nad wieżyczkami Tower, gdzie szereg następujących po sobie tyranów pozbywało się niebezpiecznych rywali i niechcianych żon. Ponura atmosfera, upadek, zniszczenie, przygniatający ciężar przeszłości: otoczenie doskonale harmonizowało z nastrojem Lloyda.

Później podążał za pętlami rzeki aż do Chelsea i wracał niemal tą samą drogą, aż do chwili, gdy wy-



*Zupełnie obcy ludzie 265*

czepany wszedł, potykając się, do sali kinowej i zasnął, zanim jeszcze skończyły się reklamy. Kiedy wyszedł, był głodny. Zapchał żołądek zapiekanką; kilka kieliszków whisky pozbawiło ją smaku. Teraz dzień dobiegał już niemal kresu. Jeszcze raz udało mu się zakończyć kolejny wieczór bez żadnych uczuć.

Gdy cofał się, obejrzawszy uważnie osiemnastowieczną rycinę w ramach, potracił w łokieć innego pijącego mężczyznę i ów przez niego wylał piwo na podłogę. Mężczyzna uśmiechnął się do niego nieśmiało.

- Przepraszam - powiedział.

Lloyd potrząsnął głową, uśmiechając się sennie. Czarowała go owa głęboko zakorzeniona uprzejmość, która sprawiała, iż Anglicy przepraszali za swoją fizyczną obecność, jak gdyby fakt, że ktoś wszedł ci na nogę lub prawie wybił oko prętem parasolki, był ze strony poszkodowanego towarzyskim *faux pas* zasługującym na krytykę. - To moja wina - zaprotestował. - Niech pan pozwoli, że postawię panu jeszcze jedno piwo. - Doprawdy, nie powinienem już pić.

- Ja również, ale zamierzam to zrobić.

- Dobrze. Na zdrowie. W takim razie poproszę pół gorzkiego.

Lloyd przekazał tę tajemniczą prośbę barmanowi i wziął dla siebie jeszcze jeden kieliszek whisky. Zupełnie nie rozumiał, na czym polega urok angielskiego piwa - ciepławej ciemnej mieszanki smakującej jak resztki z dna jakiegoś wiadra z pomyjami.

Usiedli i zaczęli rozmawiać. Mężczyzna zbliżał się do pięćdziesiątki. Miał na sobie eleganckie, lecz niedrogie ubranie, może był handlowcem lub dyrektorem.

- Jest pan Amerykaninem, prawda? - zapytał. - Zawsze potrafię ich rozpoznać.

- To na pewno po brwiach.

Tamten miał przez chwilę zakłopotaną minę, a następnie roześmiał się niepewnie.

- A pan? - ciągnął dalej grzecznie Lloyd. - Czy mieszka pan tu gdzieś w okolicy?

266 *Robyn Sisman*

- Ja? Nie. Tu jest zbyt hałaśliwie. Mieszkamy z dala od centrum, w kierunku Wimbledonu. Przyjemne miejsce dla dzieci - teraz są już, oczywiście, dorosłe.

- A więc co sprowadza pana do miasta? Mężczyzna uśmiechnął się do niego dziwnie.

- Jestem na konferencji, czyż nie? Moja żona nie oczekuje mnie wcześniej niż we wczesnych godzinach porannych. - Ale... gdzie odbywa się owa konferencja? - Lloyd był zdezorientowany. - Dlaczego pan w niej nie uczestniczy?

- Ponieważ już mnie nie chcą. Nie potrzebują ludzi z dwudziestoletnim doświadczeniem. Mają teraz komputery i młodych chłopaków prosto po wyższych uczelniach z „kwalifikacjami”. - Wyartykułował wyraźnie to słowo pogardliwym tonem.

- Stracił pan pracę - zrozumiał Lloyd i zaczęło mu świtać, o co chodzi.

- W piątek miną trzy tygodnie.

- I nie powiedział pan o tym żonie?

- Nie mogę. - Mężczyzna położył dłoń na jego rękawie i zbliżył do niego pełne napięcia oczy. - Rozumie pan to, prawda? Zapewniałem jej utrzymanie przez wszystkie lata naszego małżeństwa. Nie mieści jej się w głowie, że mogłoby być inaczej.

Lloyd odsunął się z niechęcią. Nic nie mógł na to poradzić.

- Ale co pan robi przez cały dzień? Gdzie pan chodzi? Nie można tak po prostu siedzieć w pubie.

- To wspaniale zdać się na łut szczęścia. Nie, nadal wpadam do biura. Zaproponowali mi zajęcie - porządkowanie akt. Rozumie pan, wiem o wszystkim, co tam się działo. Oczywiście, nie będą mi już dłużej płacić. Nie mogłbym się nawet tego spodziewać. Jednak dzięki mojemu zadaniu nie znalazłem się przynajmniej na ulicy.

Lloyda ogarnęło przerażenie.

- Jednak to jest... - zaczął. Wtedy zobaczył ból upokorzenia w oczach mężczyzny. Jak ktokolwiek mógł

### *Zupełnie obcy ludzie 271*

unieść ,ciężar tak nieprawdopodobnego kłamstwa? -Oczywiście - odparł. - Rozumiem.

Pięć minut później dużymi krokami zmierzał w kierunku metra, uciekając przed swoim żalnym towarzyszem i narastającym poczuciem paniki.

Ja nie jestem taki! - powtarzał samemu sobie. - Ja nie jestem smutnym nieudacznikiem. Ludzie nie muszą litować się nade mną.

Mżył drobniutki deszczyk i światła z restauracji oraz barów odbijały się na gładkich chodnikach. W środku Lloyd widział grupy śmiejących się przyjaciół i pary pochylające się blisko siebie. Tak mocno czuł odcięcie od reszty świata, że aż był przerażony. Gwałtownym ruchem odwrócił głowę. Nie wolno mu patrzeć, nie wolno rozmyślać. Zdawało mu się, że jakieś ciemne niebezpieczne idee czają się w jego podświadomości niczym zniekształcone stwory morskie w pozbawionych światła odmętach.

Jeśli wydobiją się na powierzchnię, kto może przewidzieć, czemu będzie musiał stawić czoło?

Przed stacją metra napisane odręcznie zawiadomienie ostrzegało pasażerów o długich przestojach ze względu na „ciało na trasie”. Lloyd zadrżał, przeczytawszy ów ponury zwrot, i ciasno zapiął wokół gołej szyi kołnierz płaszcza. Nie było go stać na taksówkę, system autobusowy uznawał natomiast za niezwykle skomplikowany. Będzie musiał iść pieszo.

Kiedy wrócił, światła w mieszkaniu były już pogaszone. Na podłodze przed sypialnią znalazł liścik: „Twoja mała przyjaciółka pani Wilding chce, abyś pilnie do niej zadzwonił. Mam migrenę. Nie budź mnie, kiedy będziesz się kładł”. Lloyd zwinął kartkę w rulonik, a następnie odwinął go i jeszcze raz przyjrzał się starannie napisanym słowom. Czy Betsy znowu jest na niego wściekła? Patrząc spode łba, wepchnął kartkę do kieszeni i ciężko stawiając kroki, poszedł do kuchni. Tak czy owak, nie był gotowy, aby iść spać. Potrzebował jeszcze jednego kieliszka whisky.

Zaniósłszy pełną szklanę do salonu, położył się na rozklekotanej kanapie „pani Wilding” i oparł głowę na stosie ozdobnych poduszek. Czuł, że jego ciało jest przyjemnie zmęczone, a umysł przyćmiony alkoholem. Tam na ścianie tańczył stary Fred, stepując, aż spadały mu skarpetki. Lloyd leniwie zanucił kilka taktów piosenki: „Mglisty dzień w Londynie” - to wspaniały utwór. Zastanawiał się, czy Suze doszła już do siebie po utracie chłopaka - jakiejś nędznej kreatury. Być może powinien się dowiedzieć.

Według Jaya Suze nie miała zbyt wiele szczęścia do facetów. Jakiś starszy gość najpierw zwodził ją latami, a w końcu źle się z nią obszedł. Z mruknięciem oznaczającym wysiłek Lloyd przesunął telefon na brzuch, a w trakcie tej czynności o mało co nie zwałił się na podłogę. Może i jest trochę pijany.

- Cześć - powiedział poufale, gdy tylko podniosła słuchawkę.
- Czy to ty, Lloydzie? Hura! Gdzie byłeś? Lloyd był właśnie w trakcie ziewania.
- W pubie - odpowiedział niewyraźnie.
- A więc zmusz swój umysł do działania. Mam najnowsze wiadomości.

Słuchał, gdy paplała o tym, jak została uwięziona .w pułapce w biurze Berniego i była świadkiem jakiejś miłosnej akcji na biurku, z udziałem Schneidera i Sheri. Nadzwyczajna rzecz, nagrała ich rozmowę. W głosie Suze pobrzmiwała energia i zdecydowanie. Uśmiechnął się i zamknął oczy. Miło było słuchać jej głosu.

- Rozumiesz, co to oznacza? - podpowiedziała.
  - Jasne. Bernie i Sheri mają romans. A ja mówię, pozwól im się kochać. - Pomachał ręką w powietrzu, rozlewając trochę whisky na sofę. - To wolny kraj.
  - Na miłość boską, słuchaj uważnie. Nie możesz być aż tak pijany. Oznacza to, że coś się dzieje. Coś, co jest związane ze sprawą Passion - i z tobą.
- Lloyd znowu wypił odrobinę ze swej szklanki.
- A więc co z tego? Nie pracuję już więcej dla

*Zupełnie obcy ludzie 273*

Schneidera Foxa. Hej, być może powinni zmienić nazwę na: Schneider Fuks. - Zaśmiał się z własnego dowcipu.

- Czy nie obchodzi cię Passion? - upierał się głos Susanny Wilding.

-Nie.

- Ani utrata pracy? -Nie.

- Ani to, że wszyscy myślą o tobie jako o oszuście?

Lloyd otworzył usta, aby coś powiedzieć, ale nie wykrztusił ani jednego słowa. Nagle znowu miał siedemnaście lat i czytał nagłówki gazet, które matka bezskutecznie próbowała przed nim ukryć.

Opadł bezwładnie na łóżko. Nagle poczuł się całkowicie pokonany.

- Z całą pewnością wiesz, co zrobić, żeby facet miał dobre samopoczucie - powiedział w końcu.

- Chcę zrobić jeszcze więcej - padła lakoniczna odpowiedź. - Chcę pomóc ci odzyskać pracę.

Lloyd podniósł się na łóżku. - Że jak? Co proszę?

- Czy nie chcesz jej odzyskać?

- Och... - Lloyd skręcał się z zakłopotania. - Teraz jest już za późno. Harry i Bernie nigdy nie zmieniają zdania. Wszyscy w reklamie myślą, że jestem oszustem. Nikt we mnie nie wierzy.

- Ja wierzę.

Oświadczyła to tak prosto i spokojnie, że zabrakło mu tchu z wrażenia. Wierzyła w niego! Był jak miotający się bezładnie pływak, który nagle znalazł oparcie dla stóp na masywnej skale.

- Dlaczego? - spytał.

- Z wielu różnych powodów. Po pierwsze, Dee Dee i Jay są pewni, że nigdy nie zrobiłbyś niczego paskudnego. Następnie ta rozmowa, którą podsłuchałam dziś wieczorem - czy nie uważałeś? I nie zapomnij, że mieszkam w twoim mieszkaniu oraz pracuję w twoim gabinecie od trzech tygodni i porozumiewam się z tobą przez telefon. Wiem, że byłam przerażająco tępą, ale nagle dotarło do mnie, że Lloyd Rockwell, jakiego

znam, jest zupełnie niepodobny do tego faceta, o którym ciągle opowiadała mi Sheri. Szczerze mówiąc, Lloydzie, ta kobieta systematycznie cię obsmarowuje, odkąd tu przyjechałam. Zmarszczył czoło.

- Jestem pewien, że co do tego nie masz racji. Sheri to ambitna dziewczyna, ale nie mogę uwierzyć, aby rozmyślnie chciała zniszczyć cudzą karierę.

Na linii rozległ się cyniczny śmiech Suze.

- To dlatego, że jesteś zbyt uczciwy. Potrzebujesz czyjegoś paskudnego, wrednego umysłu, takiego jak mój, aby ocenić, jak działają inni ludzie. Nie rozumiesz? Sheri chce być najważniejsza. Najpierw pozbywa się ciebie, następnie zaś rzuca się na najatrakcyjniejszego klienta agencji. W tym czasie robi Berniemu wodę z mózgu, aby wierzył we wszystko, co mu powie.

Czy mogła to być prawda? Po raz pierwszy w ostatnich dniach Lloyd pozwolił swojemu mózgowi działać. Przypomniawszy sobie, jak Bernie nie przejął się niepowodzeniem jego wyprawy do Londynu; Sheri natomiast wydawała się tym zmartwiona. I kiedy kilka godzin później załatwiono w cudowny sposób nową wymianę, kto zadzwonił z dobrymi wiadomościami? Sheri. Następnie owe wszystkie rozmowy telefoniczne, na które nie było odpowiedzi. Próbował znaleźć miejsce dla większej liczby kawałków tej układanki, ale nie pasowały do obrazka.

- A co z listą klientów Passion, o której wysłanie cię prosiłem? Sheri nie mogła o tym wiedzieć. Rozległ się cichy jęk.

- Owszem, mogła i wiedziała. Sama jej powiedziałam. To było wtedy, kiedy pragnęła utrzymać mnie w przekonaniu, że jesteś nieporadnym idiotą, który robi kłopoty całej agencji. I ponieważ jestem w nastroju do wyznań, mogę równie dobrze ci powiedzieć, że wydostałam także z komputera wszystkie twoje tajne pliki i przekazałam Sheri twoje notatki na temat Passion.

### *Zupełnie obcy ludzie 271*

- Wypowiedziała te słowa jednym tchem. - Naprawdę bardzo mi przykro.

Lloyd się nie odzywał. Był dotknięty i zły. „Nieporadny idiota”, te słowa go ubodły. Nie mógł znieść myśli, że przeszukiwano jego prywatne pliki.

- Jak mogłaś to zrobić?

- Sama nie wiem - odrzekła nieszczęśliwym głosem Suze.

Jednak w ciągu kilku następnych minut, gdy wyjaśniła, jak przedstawiało się to od jej strony - jak pomyślała, że Passion może odejść, ponieważ Lloyd źle się zajmował interesami tej firmy, jak pochlebiało jej, że uciekła od budzącego lęk Quincy'ego i przyjęła czasowo funkcję osobistego kierownika artystycznego u Sheri - Lloyd zaczął ją rozumieć.

- Zanim jeszcze cię wylano, Sheri miała obsesję na punkcie Passion - mówiła dalej Suze. - Teraz jej życiową misją stało się: zachować ją lub umrzeć. Kazała nam wszystkim pracować po godzinach, aby przygotować na piątek gigantyczną prezentację.

- Na ten piątek? - Lloyd poczuł ostry ból, gdy pojął, że go z tego wyłączono.

- Tak. Ross Bannerman przyjeżdża tu osobiście. Jednak dziś wieczorem w biurze Berniego wyraźnie słyszałam, jak Sheri mówiła: „Jesteśmy kryci niezależnie od tego, jak podskoczy Ross Bannerman”.

Jak myślisz, co to znaczy?

- Nie mam pojęcia.

- Dojdziemy do tego. Zrozum, że teraz jestem po twojej stronie. Pomogę ci się bronić. Musimy jedynie udowodnić, że to nie ty przekazałeś tamtą listę, i dowieść Passion, iż jesteś właściwym człowiekiem do promowania ich działalności.

- Czy to wystarczy? - westchnął Lloyd. - Kłopot polega na tym, że wszyscy myślą...

- Mniejsza o to, co myślą inni - przerwała mu Suze.

- Słuchaj, Lloydzie, działamy w reklamie. Umiemy sprawić, by jeszcze przed śniadaniem ludzie pomyśleli

276 *Robyn Sisman*

o dziesięciu niemożliwych rzeczach. Prowadzenie dobrego samochodu jest lepsze niż seks! **Ib** naprawdę, naprawdę ma ogromne znaczenie, jakiego proszku do prania używasz. Zapychanie twoich dzieciaków krowimi wnętrznościami połączonymi z frytkami to wspaniała zabawa! - Cmokała niecierpliwie językiem. - Tu nie chodzi o to, co myślą inni ludzie, lecz o prawdę. Ty jesteś przecież niewinny. I jesteś dobry w tym, co robisz.

Lloyda ogarnęło cudowne poczucie zdrowego rozsądku. Jeśli Suze w niego wierzyła, być może i on ponownie zdoła uwierzyć w siebie.

- Dobrze - powiedział. - Zróbmy to. Chociaż szczerze mówiąc, nie wiem jak.

- Sam na to wpadniesz - odparła zdecydowanie. - Dee Dee mówi, że zawsze w ostatniej chwili występujesz z jakimś znakomitym pomysłem.

- To coś zupełnie innego. Zabierz mnie do tej sali konferencyjnej w piątek - przerwał - tylko że ja się znajduję tysiące mil od Nowego Jorku i ochrona firmy Schneider Fox nie wpuści mnie nawet do budynku oraz nie mam dostępu do potrzebnych informacji. Ani też do dyrektora artystycznego.

Tu zapadło ciężkie milczenie.

- Aha - powiedziała Suze.

Oczywiście. Ale przecież jest projektantką - do tego, jak słyszał, dobrą. Lloyd nieco się ożywił.

- Nie myślisz chyba, że ty...?

- Dlaczego nie? No dalej, Lloydzie, musimy to zrobić. - Entuzjazm Suze dodawał mu odwagi. -

Wychodzę teraz z domu, aby skopiować tę taśmę i błyskawicznie ci ją prześlę przez kogoś - mówiła dalej z pasją. - Jutro zaś przefaksuję ci wszystkie szczegóły, jakie tylko wpadną mi w ręce, abyś mógł przygotować ten projekt. Zobaczysz, co się da zrobić.

- Dzięki, Suze, ja...

- Zadzwoń do ciebie, gdy wrócę z pracy. Obawiam się tylko, że będzie to bardzo późno według twojego czasu.



*Zupełnie obcy ludzie 273*

- W porządku. Słuchaj...

- Chodzi o to, że nie odważę się zadzwonić do ciebie z pracy, bo jeszcze przyłapie mnie Sheri. - Przerwała grzecznie. - Przepraszam, czy chciałeś coś powiedzieć?

Lloyd się uśmiechnął.

- Owszem. Chciałem podziękować za to, że mi tak pomagasz. Nawet jeśli nic z tego nie wyjdzie, doceniam, co robisz. Przywróciłaś mi wiarę w siebie. Gdyby nie ty...

- Szsz! Nie myśl o tym za dużo. Pomogłeś mi w gotowaniu i pocieszyłeś mnie. Teraz po prostu się rewanżuję. Prawdę mówiąc, chcę odpłacić Sheri za to, że zrobiła ze mnie kosmiczną idiotkę.

Również... - Po raz pierwszy się zająknęła. - No cóż, tak właśnie należy postąpić, prawda? - Nagle jęknęła ze zgrozą. - Fe, czy to, co mówię, nie brzmi strasznie pobożnie? Mam nadzieję, że nie zostanę zakonnica.

Lloyd ryknął śmiechem.

- Myślę, że to, co mówisz, jest cudowne! - zawołał. Milczała całkowicie zaskoczona. W tej ciszy można było niemal usłyszeć, jak kolejne barykady angielskiej rezerwy wylatują w powietrze. \*<sup>v</sup> - Och. No cóż, bardzo dobrze - mówiła krótkimi, urywanymi słowami. - Zadzwonię do ciebie jutro. Do widzenia. Gdy się rozłączyła, Lloyd siedział spokojnie przez chwilę, a na jego twarzy trwał jeszcze uśmiech. Potem zerwał się na równe nogi.

- No dalej, do dzieła, zaczyna się zabawa! - powiedział głośno.

Podszedł do biurka i przesunął na bok papiery Betsy, szukając jakiejś kartki i długopisu, który by pisał. Musiało być bardzo późno, ale jego mózg działał na szybszych obrotach. W końcu napisał:

1. *Lista klientów - sprawdzić.*

2. *Prezentacja - piątek!*

3. *Harry?*

4. *Stateside?*

Umysł Lloyda pracował z coraz większym rozmachem. Pełen optymizmu, pozwolił sobie na fantazję, jak by to było, gdyby odzyskał dobre imię i znowu stał się sobą. Tylko jedna chmurka unosiła się na skraju owych różowych myśli. Co to takiego? Lloyd podniósł wzrok znad biurka i oparł brodę na ręce, poszukując źródła swego niepokoju. Odkrycie, gdy nadeszło, okazało się szokujące. Wcale nie chciał się ożenić z Betsy.

Natychmiast obudziło się w nim poczucie winy i niepokoju, jakby pragnął zagłuszyć nimi tę myśl. Betsy była kochająca, wrażliwa i zależna od Lloyda. Dbała o niego - a nawet go rozpieszczała. Wybrała ją ze wszystkich kobiet w świecie i nie mógł jej zawieść. Jednak owa myśl pojawiła się ponownie i tym razem Lloyd dokładnie ją zanalizował. Przyznał przed samym sobą, że Betsy nie udzieliła mu wsparcia, jakiego potrzebował w związku z obecnym kryzysem. Wzbraniała się przed konfrontacją, tak jak i on. Razem stanowiąc będą bojaźliwą, nudną parę, zgorzkniałą wskutek wzajemnych urazów. Sięgając do kieszeni, Lloyd wyjął i wygładził kartkę. „Nie budź mnie, kiedy będziesz się kładł”. Przypomniał sobie reakcję Jaya na wiadomość o jego zaręczynach, bezbarwne „moje gratulacje”, wypowiedziane z takim entuzjazmem, jak gdyby przyjaciel usłyszał dźwięk cmentarnych dzwonów. Ogarnął go chłód. Był bliski poślubienia niewłaściwej kobiety.

Lloyd wepchnął kartkę od Betsy do kosza na śmieci. Gdy to robił, zauważył zgięty karton. Automatycznie jego mózg znowu zaczął działać, profesjonalnie oceniając, co oznaczają blade kolory i nierzucający się w oczy napis. Co to za produkt? Balsam do ciała, być może, lub jeden z owych cuchnących niemiłosiernie kremów depilacyjnych, jakich używają kobiety! Lloyd schylił się i obrócił karton tak, aby mógł zobaczyć etykietkę. „Domowy test ciążyowy” - przeczytał. Dźwięk, który nagle rozległ się w jego mózgu, przypominał pisk opon tuż przed rozbiciem się samochodu.

## Rozdział dwudziesty piąty

Tamtej nocy Suze spała głębokim nieprzerwanym snem sprawiedliwego, a gdy się obudziła, odkryła dwie niespodzianki. Jedną była kolekcja ubrań, jaką zostawiła w Hamptons. W tajemniczy sposób dostarczono je w ciągu nocy w nowiutkiej torbie od Louisa Vuittona. Jak bardzo w stylu Nicka. Odsunąwszy suwak, znalazła wiadomość: „Siouxie, kochanie, proszę, zadzwoń do mnie - N". Po tekście następowały cztery różne numery telefoniczne. Odłożyła kartkę na bok. Czy wspominała ostatnio komukolwiek, że nienawidzi mężczyzn? Drugą niespodzianką był długi faks od Lloyd'a, który przeczytała z wzrastającym entuzjazmem. To dopiero będzie zabawa.

Pełna energii weszła zdecydowanym krokiem do budynku Schneidera Foxa, jak gdyby była jego właścicielką, zboczyła z drogi obok stanowiska pracy Dina i porozmawiała z nim przymilnie, prosząc, aby „pożyczył" od kogoś pewien sprzęt z działu sztuki, i siedziała już przy swoim biurku z pochyloną głową, gdy pojawiła się Sheri. Suze ze wstrzemięźliwym zachwytem obserwowała, jak tamta przemierza korytarz królewskim krokiem. Ani jeden sterczący niepo-rządnie kosmyk włosów czy też najsłabszy rumieniec nie zdradzał igraszek Sheri z Berniem po godzinach pracy. Suze odczekała przyzwoicie trochę czasu, a następnie pojawiła się nieśmiało w otwartych drzwiach szefowej.

280 *Robyn Sisman*

- Strasznie mi przykro, Sheri, ale mam dziś po południu wizytę u lekarza. Obawiam się, że może mi to zająć dość dużo czasu. Popracuję wieczorem, aby to nadrobić. - Napotykalając pełne oburzenia spojrzenie tamtej, Suze spuściła wzrok i postarała się wyglądać na zażenowaną. - Sprawy kobiece - wymamrotała.

- Och... dobrze. Jednak chcę, abyś skończyła pracę nad tymi materiałami, by jutro były gotowe do przeniesienia na slajdy.

- Nie ma problemu - zaśpiewała Suze, wycofując się energicznie. Świetnie. Właśnie załatwiła sobie kilka dodatkowych godzin. Przydadzą się jej bardzo.

Następnie znalazła Dee Dee i zwabiła ją do damskiej toalety na tajną naradę. Kiedy dziewczyna wyszła, jej podbródek wyrażał determinację, a w oczach błyszczały bojowe ogniki.

Zanim nadszedł czas lunchu, Suze usiadła pod winoroślą na dziedzińcu cudownej małej greckiej restauracji w Village. Opierając ręce na stole, przysunęła się do Jaya z błyszczącymi oczami.

- Wiesz co? - wyznała mu z dumą. - Lloyd jest niewinny!

- Co ty powiesz? - Żartobliwy półuśmiezek Jaya sprawił, że chciała go trzasnąć.

. - A jednak tak myślę.

- W takim razie to musi być prawda.

- Och, koszałki opałki. - Suze odrzuciła włosy - lub raczej próbowała to zrobić. Niestety, brakowało mniej więcej dwudziestu centymetrów. - Jeśli nie potrafisz zachować powagi, nie powiem ci wszystkiego. Jay uniósł brwi, zdziwiony jej zachowaniem.

- Mówiąc poważnie, czy mógłbym cię powstrzymać?

Przy retsinie uraczyła go opowieścią o miniromansie Sheri-Bernie i wyjaśniła, w jaki sposób ma zamiar zrehabilitować się w oczach Lloyda.

- Schneider Fox to szalona instytucja, bo pozwoliła mu odejść. Jestem pewna, że go wrobiono. Teraz musimy to udowodnić.

*Zupełnie obcy ludzie 277*

-My?

- Lloyd i ja, oczywiście. Już zaczął opracowywać fantastyczny plan. Oboje będziemy musieli wykazać się niewiarygodną odwagą i błyskotliwością i sędzę, że wszystko to skończy się katastrofą, ale...

- Ale co?

- Nie wiem, lecz myślę, że to świetna zabawa. Nie ma jak naprawdę ciężka praca nad projektem z kimś, kto odbiera absolutnie na tych samych falach i cały czas jedna osoba zachęca drugą do tworzenia coraz większej ilości cudownych pomysłów. - Roześmiała się i usadowiła wygodnie w fotelu. - To zabawne, jak go sobie wyobrażałam, kiedy zaczęła się ta wymiana - gruby amerykański biznesmen, mający około stu dwunastu lat - nudny, nudny i jeszcze raz nudny. - Ścisnęła Jaya za rękę z udaną paniką. - On nie jest nudny, prawda? Przysięgnij mi, że wcale nie jest nudny.

- Jak mój przyjaciel mógłby być nudny? - Jay wyglądał na zaszokowanego nawet samą taką myślą.

- Próbowałam powiedzieć ci wcześniej, że mylisz się co do Lloyda, ale byłaś tak całkowicie pochłonięta swoim nowym chłopakiem, że wcale nie słuchałaś. Jak się ma pan Bianco, nawiasem mówiąc? Udany weekend?

Suze aż się cofnęła. Jedną rękę podniosła nieświadomie do swych krótkich włosów. Dziwne - ku własnemu zaskoczeniu stwierdziła, że nie chce się pławić w minionych cierpieniach i rozpamiętywać ich ciągle na nowo. Zdobyła się na smutny uśmiech.

- Popełniłam błąd. Albo też może on popełnił błąd. Szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, aby było to właściwe miejsce dla mnie.

Aby rozbawić Jaya, zaczęła mu opowiadać o najbardziej upiornych gościach.

- Ach, lista B! - Skinął współczująco głową. - Buli-micy, bałwany, brykające bachory, bogacze oraz blondynki. Czy był to zupełny koszmar?

- Gorzej. A kto w takim razie znajduje się na Uście A? Jay wypił łyk wina.

278 *Robyn Sisman*

- Alkoholicy, aktorki, artyści i aroganckie dupki -oświadczył.

- Zmyślasz - zachichotała Suze. - W każdym razie niezależnie od tego, jaka to była lista, to nie widniało na niej moje nazwisko. Może nie jestem aż tak wyrafinowana, jak myślałam.

Jay spojrzał na nią uważnym wzrokiem.

- A może dorastasz? - podpowiedział.

Suze zerknęła na niego ostrożnie. Zazwyczaj nienawidziła, gdy ktoś jej to mówił. Lawrence miał zwyczaj drażnić się z nią, że pewnego dnia „dorośnie”, kreśląc wizerunek Suze przygotowującej wcześniej posiłki, by włożyć je do zamrażarki, lub też układającej włosy w fale pod kaskiem suszarki w zakładzie fryzjerskim. Teraz zdała sobie sprawę, że istnieją jeszcze inne sposoby dorastania i nie wszystkie są takie złe.

- Opowiedz mi więcej o Lloydzie - poprosiła, zmieniając temat. - Nadal nie mogę zrozumieć, dlaczego nie zrobił szumu, gdy go wylano. Musisz przyznać, że brak jakiegokolwiek reakcji i zgoda na wszystko sprawiły, iż wydawał się zdecydowanie winny.

Jay bawił się menu, szukając właściwych słów.

- Ludzie są skomplikowani - stwierdził w końcu. - Czasami mają powody, aby nie robić oczywistych rzeczy. - Jakie na przykład? - drażyła temat Suze. - Przepraszam, czy jestem zbyt wścibska? Pytam tylko dlatego, że wydaje się... całkiem miły. Chciałabym go lepiej zrozumieć.

Jay uśmiechnął się do niej.

- Złożmy zamówienie - zaproponował.

Postanowili podzielić się zestawem przystawek, które przyniesiono w małych miseczkach kusząco posypane świeżymi ziołami i papryką. Światło słoneczne sączyło się do ich zielonej kryjówki wśród winorośli. Jay wziął marynowaną paprykę i skubał ją w zadumie.

- Dobrze - zaczął. - Opowiem ci o Lloydzie, ponieważ myślę, że można ci ufać. Ale nie wolno o tym plot-

### *Zupełnie obcy ludzie 283*

kować, rozumiesz? - Ostrzegawczo pogroził jej papryką. - To nie jest coś, co się wywleka jako smakowitą historyjkę na jednym z waszych wytwornych angielskich obiadów.

- Nigdy bym tak nie postąpiła! - odpowiedziała Suze gwałtownie, choć już w chwili, gdy wypowiadała te słowa, poczuła się nieswojo. Nagle coś zrozumiała: dawna Suze robiła podobne rzeczy.

Opuszczając wzrok, zanurzyła kawałek chleba w ciemnym sosie z bakłażanów. - Zaczynj wreszcie.

- Przede wszystkim musisz zrozumieć amerykańskie przedmieścia, szczególnie owe pełne zieleni małe miasteczka w pobliżu Nowego Jorku z przyjemnymi centrami handlowymi i ładnymi białymi kościołami, gdzie wszyscy mieszkańcy są tacy bogaci i uprzywilejowani, że pełno tam nastolatków z problemami. Wszyscy ojcowie dojeżdżają do miasta do pracy i wszystkie mamy dzielą swój czas pomiędzy zakupy i klub pań domu. W takim właśnie miejscu dorośliśmy Lloyd i ja. Mój tata był prawnikiem - grubą rybą, a ojciec Lloyda maklerem, który odnosił bardzo duże sukcesy i przy tym öd-znaczał się ogromnym urokiem osobistym. Jestem jedynakiem, a gdy Lloyd się urodził, jego siostra miała już dziesięć lat, a więc obaj byliśmy w pewien sposób samotni. Lubiliśmy książki i wielkie idee oraz angielski i literaturę. Mieliśmy też takie samo poczucie humoru.

- Chcesz powiedzieć, niesamowite - uśmiechnęła się Suze.

Jay skinął głową, przyznając jej słuszność.

- Gdy dorośliśmy, zbuntowaliśmy się oczywiście. Kiedy wszystkie dzieciaki w szkole słuchały lekkiego rocka lub heavy metalu, my uwielbialiśmy Sex Pistols. Ubieraliśmy się na czarno i czytaliśmy Tomasza Pynchona oraz rozmyślaliśmy o bezsensie życia nad czekoladowymi milkshakami. Gardziliśmy telewizją, wyjąwszy angielskie programy, takie jak Monty Python i Fawłty Towers. Myślę, że nawet mógł być taki etap,

kiedy mieliśmy zwyczaj pozdrawiać się *Salut, mon vieux*. Mówię ci, byliśmy odlotowi. Gdy mieliśmy mniej więcej piętnaście lat, wysłano nas do różnych szkół w Nowej Anglii - dwóch rozpuszczonych chłopaków, gotowych, aby podbić świat. Kiedy pamiętaliśmy, pisaliśmy do siebie długie listy pełne głębokich obserwacji i ciętego dowcipu. W czasie wakacji przyjeżdżaliśmy do miasta i spędzaliśmy dużo czasu w centrum muzycznym Tower Records lub też ciągnąłem Lloyda do kin studyjnych, gdzie grano filmy artystyczne, aby obejrzeć dzieła Bergmana i Renoira. Oczywiście wiedział, że jestem gejem. Był pierwszą heteroseksualną osobą, której to wyznałem. Nigdy ta sprawa nie miała dla niego znaczenia.

Latem, gdy chodziłem jeszcze do młodszej klasy, pewien chłopak ze szkoły, prawdziwy ciemniak nazwiskiem Murray Rose, którego my nazywaliśmy Ciekącym Nosem, podszedł do mnie i zapytał szyderczo, co teraz myślę o swoim przyjacielu Rockwellu. Pokazał mi nagłówek w naszej lokalnej gazecie. Napisano tam: „Oszust Rockwell aresztowany”.

- Oszust! - powtórzyła Suze. - Co on zrobił?

- Okazało się, że wykryto pewne nieścisłości w kalkulacjach dotyczących inwestycji klientów. Pan Rockwell popełnił klasyczny błąd, biorąc pieniądze z jednego funduszu, aby uzupełnić brakującą sumę na innym, czekając na dużą dywidendę, która wyciągnie go z kłopotów.

- Jednak nigdy nie nadeszła?

- Okazało się to jeszcze bardziej zagmatwane. Ojciec Lloyda od lat miał romans ze swoją sekretarką. Jak to często bywa, stale obiecywał, że rozwiedzie się z żoną, ale oczywiście nigdy tego nie zrobił. Pewnego dnia sekretarka zmęczyła się czekaniem, zaczęła działać i zdmuchnęła cały domek z kart.

- Jakże to okropne!

- Gorsze, niż można sobie wyobrazić! Zdarzają się przecież wielkie skandale finansowe, przy nich było to



### *Zupełnie obcy ludzie 281*

małe piwo, ale kłopot tkwił w tym, że ojciec Lloyd'a cieszył się ogromną popularnością: stanowił filar klubu golfowego, należał do rady szkoły i był duszą każdego przyjęcia. Promieniował energią i budził zaufanie, więc w rezultacie pół miasta zainwestowało u niego swoje oszczędności. Gdy wszystko runęło, ludzie okazali się piekielnie mściwi. Czy zauważyłaś, że to bogaci najbardziej nienawidzą tracić pieniądze?

- Co robili?

- Och... małe świństwka. Kamienie wrzucane przez okna, śmieci w basenie, paskudne telefony. Pierwszego ranka po powrocie ze szkoły Lloyd otworzył drzwi do ogrodu i znalazł na werandzie ich psa -zabitego. Strzelono mu w głowę.

Suze odsunęła się od stołu z okrzykiem oburzenia.

- Mili sąsiedzi, co? - Jay wykrzywił usta. - To właśnie wtedy przyjechali dziadkowie Lloyd'a - oczywiście rodzice jego matki, i zabrali wnuka, aby go „chronić”. Ojciec siedział już w więzieniu. Nikt nie zebrał kaucji, aby nie trafił tam przed procesem. Nie wiem nawet, czy Lloyd się z nim widział.

<sup>K</sup>- Biedny Lloyd. Musiał czuć się całkowicie opuszczony. A przypuszczam, że ty nie mogłeś mu pomóc, jeśli byłeś gdzieś daleko w szkole.

- Owszem, mogłem - twarz Jaya się zasepiła - jednak nic nie zrobiłem. Zupełnie nic. Nie napisałem, nie zadzwoniłem, żyłem jedynie z tą wiedzą jak ze straszną tajemniczą chorobą. Sądzę, że nie wiedziałem, co zrobić - miałem dopiero siedemnaście lat. Dorośli zrobili to, co zrobili, asdzieciaki po prostu patrzyły. Jednak nienawidzę się teraz za to. Zanim przyjechałem do domu na wakacje, odbył się proces pana Rockwella, a Lloyd wraz z matką przeniósł się do Kalifornii. Dalej żyłem swoim zwykłym samolubnym życiem nastolatka, tęskniłem jednak za nim.

- Jak ponownie nawiązałeś z nim kontakt?

Jay zapalił papierosa i usiadł wygodnie w fotelu. Oboje zapomnieli zupełnie o jedzeniu.

286 *Robyn Sisman*

- W dniu osiemnastych urodzin postanowiłem powiedzieć rodzicom, że jestem gejem, że chcę zostać reżyserem i nie ma mowy o tym, abym kiedykolwiek studiował prawo. Byłem wtedy bardzo zapatrzony w siebie. Prawdopodobnie nie owijałem słów w bawełnę, dając wyraźnie do zrozumienia ojcu, co myślę o takim pracującym od świtu do nocy tłuściochu jak on. W każdym razie nastąpiła ostra wymiana zdań i zmyłem się do San Francisco, gdzie, jak słyszałem, zawsze świeci słońce, ludzie są szczęśliwi i praktycznie co drugi facet jest gejem. - Jay uśmiechnął się z wysiłkiem. - Nienawidziłem tego. Wszyscy żyli na takim cholernym luzie, że pomyślałem, iż najlepiej zasnąć i nigdy więcej się już nie obudzić. Z uwagi na wieczne słońce nikt tam nie używał też nigdy słowa „mgła”. Dobrze natomiast okazało się to, że znowu zeszedliśmy z Lloydem. Był dość przybity. Ojciec w więzieniu, matka biedna, opuszczona i zgorzkniała. W szkole zaś koledzy nie znosili go za to, że przyjechał ze wschodniego wybrzeża.

Suze siedziała z brodą opartą na dłoniach, próbując sobie wyobrazić, jak to musiało być. Nic podobnie złego nigdy jej nie spotkało. Poczwała nagły przypływ ciepłych uczuć do własnej rodziny i przyjaciół. Jakże miała szczęście!

- Pomyślałem, że nadszedł czas, abyśmy obaj wyrwali się stamtąd. Postanowiliśmy udać się w podróż i podjąć każdą pracę, jaką znajdziemy, jednocześnie zastanawiając się, co dalej robić. Dziewięć miesięcy zajęła nam droga do Nowego Jorku. W tym czasie Lloyd dość mocno wziął się w garść. Ja poszedłem do szkoły filmowej, a on na wyższą uczelnię i życie mniej więcej wróciło do normy.

- A co z ojcem Lloyd'a?

- Mogło być gorzej. Został przeniesiony do jednego z tych miejsc dla ludzi z klasy średniej, gdzie można zdobyć tytuł naukowy oraz ćwiczyć uderzenia w golfie, i zwolniono go warunkowo po pięciu lub sześciu la-

### *Zupełnie obcy ludzie 283*

tach. Oczywiście więzienie jest więzieniem. Kiedy wyszedł, nie miał ani centa, żona rozwiodła się z nim, a żadne z dzieci nie chciało go znać - włączając w to Lloyda.

Suze pokiwała wolno głową.

- Przysłał Lloydowi kartkę na urodziny, a ten kazał mi ją wyrzucić.

- Sama widzisz. - Jay zmarszczył brwi. - Osobiście myślę, że był bardziej marzycielem niż przestępcą. Mam jednak wrażenie, że Lloyd chce wymazać cały ten fatalny epizod. Ma bzika na punkcie uczciwości. Jeżeli chodzi o tę sprawę u Schneidera Foxa - czuję, że przez połowę życia spodziewał się, iż przydarzy mu się coś okropnego, tak jak jego ojcu.

Siedzieli razem w milczeniu, paląc papierosy. Suze pomyślała, że trudno nie czuć się samotnym, dźwigając taką tajemnicę z przeszłości.

- Ma szczęście, że jesteś jego przyjacielem - powiedziała Jayowi.

- To ja mam szczęście - sprzeciwił się gwałtownie. - Byłoby mi bardzo przykro, gdybym znowu go stracił.

Suze popatrzyła na niego zaskoczona.

- Dlaczego miałbyś go stracić?

Jay jak gdyby chciał coś jeszcze powiedzieć, ale jakiś dziwny cień na jego twarzy wskazywał, że nie chce zdradzić swych prawdziwych odczuć.

- Okoliczności się zmieniają - zauważył enigmatycznie.

Zanim Suze zdołała go mocniej przycisnąć, pochylił się nad stołem i c<sup>u</sup>le pogładził ją po policzku.

- Cieszę się, że mu pomagasz. Nikt nie mógłby cię nazwać nerwusem. Prawdopodobnie wydobywasz z niego to, co najlepsze.

- Nic mi o tym nie wiadomo - wymamrotała zarumieniona Suze. Gdy cofnął rękę, złapała go za nadgarstek i odwróciła tak, aby mogła sprawdzić godzinę na zegarku. - O Chryste! Muszę brać się do pracy. Prawdę mówiąc, to dlatego poprosiłam cię, abyś się ze mną

288 *Robyn Sisman*

spotkał. Potrzebuję twojego twórczego umysłu -i sprzętu filmowego. - Obdarzyła go przymilnym uśmiechem. - Czy możemy wrócić teraz do ciebie, do twojego studia? Wyjaśnię ci, o co chodzi. Zapłacili rachunek i weszli po schodach, które prowadziły z dziedzińca restauracji na chodnik. Na górze Suze odwróciła się do Jaya.

- Dziękuję, że wyjaśniłeś mi sytuację Lloyda. Nie powiem nikomu.

- Wiem, że nie powiesz. - Potargał jej włosy dłonią. - Nawet lubię tę nową Suze. Wyglądasz jak zbuntowany anioł.

. Ona jednak nadal myślała o Lloydzie.

- Jeśli uważasz, że tak będzie lepiej, nie miałabym nic przeciwko temu, aby Lloyd się dowiedział o moich osobistych sprawach. - Przystanęła na moment. - Chodzi mi o to, że możesz opowiedzieć mu o Lawrensie, jeśli chcesz.

Jay rzucił papierosa na ziemię i zgasił butem maleńką iskrę.

- Już to zrobiłem.

Po godzinie spędzonej w studiu Suze pośpieszyła z powrotem do mieszkania, mając w głowie mnóstwo projektów i nowych myśli. Było piękne popołudnie, jasne i gorące, z ochładzającym wietrzykiem od rzeki. Suze przyspieszyła kroku, idąc po teraz już znajomych ulicach, po których o pierwszej krążył ruchliwy tłum przechodniów. Przed nią pojawiły się na niebie wysokie budynki Manhattanu niczym wiązka strzał wymierzonych prosto w słońce. Była szczęśliwa.

W mieszkaniu włożyła obcięte džinsy i starą koszulkę, jeszcze raz przestudiowała faks Lloyda i zabrała się do roboty. Przez następne dwie godziny bez przerwy telefonowała w różne miejsca, próbując znaleźć potrzebne jej rzeczy. Następnie włączyła komputer i nastawiła mózg na twórcze myślenie. Pomysły Lloyda były dobre; pomyślała jednak, że może uda się jeszcze je ulepszyć. Siedziała przy biurku otoczona stosa-

### *Zupełnie obcy ludzie 285*

mi papierów, kolorowego kartonu, otwartych czasopism oraz książek telefonicznych, gdy nagle ktoś zadzwonił do drzwi. Zaskoczona Suze szybko przeszła przez korytarz i ostrożnie je otworzyła. Stała przed nią przystojna sześćdziesięcioletnia kobieta w zwojach kwiecistego jedwabiu, z imponujących rozmiarów torebką w ręku.

- Dzień dobry - oznajmiła wylewnie nieznajoma. - Jestem panią Rennslayer. - Jej pełen wyczekiwania uśmiech trochę się zmniejszył w wyniku zakłopotanego spojrzenia Suze. - Matką Betsy - wyjaśniła. - Och. - Tłumiąc rozdrażnienie, że jej przerwano, Suze otworzyła szeroko drzwi. - Proszę wejść - powiedziała grzecznie.

Obcasy pani Rennslayer zastukały, gdy przechodziła przez parkiet.

- Przyszłam, aby wziąć trochę ubrań dla Betsy. Ma kłopoty z waszą angielską pogodą. Próbowałam się dodzwonić, ale słyszałam tylko sygnał, że zajęte. - Odwróciła się i spojrzała na Suze z wyrzutem.

Tą wskazała na papiery.

- Mam dużo pracy.

- To widzę. - Pani Rennslayer okrążyła rozłożone na podłodze materiały i torowała sobie drogę do pokoju: idąc, rozglądała się z uwagą. - Och! Przesunęła pani kanapę! - Pośpiesznie podeszła do sofy i zaczęła trzepać poduszki. Następnie poprawiła abażur lampy stojącej na stoliku.

- Myślę, że znajdzie pani ubrania w sypialni - zasugerowała Suze. - Ja łąże zrobię herbatę, gdy tymczasem pani załatwi sprawę.

- Jak uprzejmie, że pani to proponuje. Proszę się nie niepokoić, absolutnie w niczym nie przeszkodzę. Zakradnę się do sypialni i wezmę potrzebne rzeczy. Chciałabym również skorzystać z łazienki, jeśli można.

- Oczywiście.

Suze wstawiła wodę na herbatę i wróciła do komputera, ale nie mogła się już skupić. Słyszała, jak matka

Betsy otwiera i zamyka szuflady oraz stuka wieszakami - pani Rennslayer postanowiła prawdopodobnie dobrze się rozejrzeć i wetknąć nos we wszystkie dostępne i niedostępne miejsca. Zamiast skupić się na pracy leżącej na biurku, Suze oczami wyobraźni widziała napełniające serce tamtej rozpaczą pobojowisko, na które składały się nieposłane łóżko, stos bielizny przewieszony przez krzesło oraz porozrzucane kremy do twarzy na toaletce, a także do połowy przeczytane książki w miękkich oprawkach leżące na stoliku przy łóżku. Usłyszała szum wody spuszczonej w łazience. W końcu pani Rennslayer pojawiła się znowu - świeżo uczesana i z pomalowanymi ustami, niosąc małą torbę podróżną. Miała zakłopotany wyraz twarzy.

- Czy odkurzacz nie działa? - spytała.

- Myślę, że działa. - Suze była zaintrygowana. - Dlaczego pani pyta?

- Zdawało mi się, że widziałam koty pod łóżkiem. Betsy musi uważać na kurz. Ma delikatny organizm.

Suze przygryzła wargę.

- Woda się gotuje.

Pani Rennslayer poszła za nią do kuchni z wyrazem zaciekawienia na twarzy. Zatrzymała się w drzwiach, oddychając ciężko.

- Mój Boże!

- Przepraszam za bałagan. Rozległo się bolesne westchnienie.

- Cóż, rozumiem, że wy, pracujące dziewczęta, nie macie czasu na sprzątanie. Och nie, kochanie, nie w tych okropnych kubkach. Weźmy ten ładny porcelanowy serwis. Zawsze jestem zdania, że herbata o wiele lepiej smakuje, gdy jest odpowiednio podana.

Suze wsypała cukier do cukierniczki, wlała mleko do ozdobnego małego dzbanuszką, a herbatę do dzbanka, ułożyła srebrne łyżeczki na spodeczkach i zniosła wszystko do jadalni. Usiadły naprzeciwko siebie przy stole. Suze schowała brudne stopy przed wzrokiem

*Zupełnie obcy ludzie 291*

matki Betsy. Miała niejasne poczucie, że jest zbyt niedbale ubrana jak na oficjalną herbatkę.

- A więc... - Pani Rennsayer podniosła i przechyliła lekko głowę. Z oczami jak paciorki i przyprószonymi siwizną włosami, opadającymi falą miękkich loków, przypominała przebiegłą, starą papugę. - Jak rozumiem, pracuje pani dla Lloyd'a.

- No cóż, pracujemy w tym samym przedsiębiorstwie. Zajmuję się projektowaniem.

- To cudowne, jakim człowiekiem sukcesu stał się Lloyd. Betsy jest z niego taka dumna.

- Owszem - zgodziła się Suze ostrożnie. Czy nikt tej kobiecie nie powiedział, że Lloyd stracił pracę? Jakże to dziwne.

- Mam wrażenie, że wy dwoje znacie się bardzo dobrze, jeśli chodzi o relacje zawodowe?

- Prawdę mówiąc, nigdy go nie widziałam. Pani Rennsayer lekko zmrużyła oczy.

- Jednak pisze do pani. Czy nie widziałam przypadkiem listu leżącego na stole?

Suze podniosła wzrok i popatrzyła na nią ostro. Do czego zmierza?

- To faks - przyznała. - Pracujemy razem nad poufnym projektem.

- Nie do wiary, nie do wiary... „Pracujemy razem”. Lloydowi musi być miło ze świadomością, że ma tu w domu małą pomocnicę, gdy tymczasem on kieruje londyńskim biurem.

Suze z trudem powstrzymywała narastającą złość. Nie mogła znaleźć riposty, która nie zdradziłaby Lloyd'a.

- Jeszcze trochę herbaty?

- Dziękuję pani. - Pani Rennsayer wyjęła z rękawa chusteczkę i przyłożyła ją do kącików ust. - Musi to być dla pani wspaniała gratka - przyjechać tak do Stanów Zjednoczonych i móc zobaczyć, jak tu żyjemy.

- Bardzo mi się tu podoba - odparła zimno Suze. - Czy jestem dobrze poinformowana, że w najbliższym

czasie zamierza pani odwiedzić Anglię, aby poznać bliżej naszą kulturę?

Pani Rennslayer zmierzyła ją podejrzliwym wzrokiem.

- Zamierzam odwiedzić córkę - poprawiła. - Jednak, oczywiście, kocham Anglię. Jest taka osobliwa.

- Osobliwa? - Suze zmęczyła się już tą grą. - Zapewne nie była tam pani od czasów młodości, pani Rennslayer. Odkryje pani, że lepianki już niemal zupełnie zanikły. Ucywilizowały nas programy Oprah Winfrey i coca-cola.

Pani Rennslayer pobrzękiwała srebrną łyżeczką na talerzyku, usta miała mocno zaciśnięte. Po chwili podniosła głowę i wbiła w Suze wzrok, z nieszczerym uśmiechem na ustach.

- Jak sądzę, ma pani w Anglii chłopaka?

- Akurat teraz nie.

- Nie martw się, kochanie. - Pani Rennslayer położyła jej na ramieniu rękę pokrytą plamami wątrobia-nymi. - Znajdzie pani kogoś.

- Nie martwię się. - Suze, praktycznie rzecz biorąc, odwróciła się do niej tyłem.

- To dobrze. Mężczyźni nigdy nie lubią, gdy się na nich poluje. - Świdrujące oczy pani Rennslayer wbijały się w nią z uporem. - Na szczęście moja Betsy nigdy nie miała kłopotów w tej dziedzinie. Jednak nie każdy jest tak utalentowany i atrakcyjny jak ona. - Jej spojrzenie niby trzaśnięcie bicia zsunęło się po nieporządnej koszulce Suze. - Lloyd, wie pani, po prostu ją uwielbia.

- To musi być miłe. - Suze popatrzyła na nią kamiennym wzrokiem.

Zapadła cisza.

- Och, mój Boże! Która to godzina? - Pani Rennslayer wytwornie wstała od stołu. - To była urocza herbatka, ale nie mogę marnować czasu na pogawędki

o nieważnych sprawach.

- Nie chcę pani zatrzymywać. - Suze zerwała się i niemal podbiegła do drzwi.



*Zupełnie obcy ludzie 289*

Czekała z ręką na klamce, gdy pani Rennslayer zbierała swoje rzeczy i sprawdzała w lustrze, jak wygląda. Suze przyjrzała się uważnie jej profilowi, zdradzającemu chłód i zadowolenie z siebie. Szła o zakład, że pod małżeńskim podwójnym łóżem w Chateau Rennslayer bezwzględnie nie ma żadnych kotów. Matka Betsy przygładziła włosy.

- Tak - mówiła dalej - to dla mnie taki pracowity czas, przecież zbliża się już moja podróż - no i, oczywiście, przygotowania do ślubu. - Zamilkła wyczekująco.

- Och? - Suze ostatni raz spróbowała być grzeczna.

- Czy ktoś się żeni?

Pani Rennslayer odwróciła się, szeroko otwierając oczy.

- Z pewnością Lloyd powiedział pani?

- Nie. - Nagle poczuła się mała i głupia. - O czym miał mi powiedzieć?

- Jakżeż to - że on i Betsy się pobierają.

- Pobierają? - Ręka dziewczyny zsunęła się z drzwi.

- Jest pani pewna?

- Oczywiście, że jestem pewna. - Pani Rennslayer zaśmiała się krótko, chociaż jej oczy były zimne jak stal. - Nigdy nie wspomniał mi o tym.

- Trudno uznać to za sprawę służbową. - Tamta wydobyła z torebki parę białych rękawiczek i z trzaskiem zapięła zamek. - Są zaręczeni niemal od dwóch tygodni. - W jej głosie pobrzmiwał triumf.

- Chce pani powiedzieć, że zaręczyli się w Londynie?

- Czy to nie romantyczne? - Matka Betsy stanęła tuż obok, czekając, aż Suze otworzy drzwi. - Dziękuję pani za gościnność. - Podała jej do uściśnięcia czubki palców. - Nie sądzę, abyśmy się jeszcze spotkały. - Szybko popłynęła w stronę windy, nie patrząc za siebie.

Suze zamknęła drzwi i oparła się o nie oszołomiona. Dzięki Bogu już się skończyło, powiedziała do siebie. Teraz może ponownie zająć się projektem. Jednak kie-

294 *Robyn Sisman*

dy jakieś dziesięć minut później zabrzączał domofon, stwierdziła, że zamiast pracować pali papierosa i wygląda bezmyślnie przez okno.

- Przesyłka dla pani, pani Wilding - oznajmił wesoły głos Raymonda.

Suze przypomniała sobie o wszystkich rzeczach zamawianych przez telefon. Amerykanie są tacy sprawni. Być może jedno z zamówień już przybyło.

- Dzięki. Zejdę na dół.

Gdy tylko Raymond ją zobaczył, popędził jak strzała do portierni.

- To pani szczęśliwy dzień - powiedział rozpromieniony, wracając z ogromnym bukietem.

Zdumiona Suze przyglądała się szeleszczącemu celofanowi. Najpierw pomyślała, że Lloyd przysłał jej kwiaty w podziękowaniu. Wszechwiedząca pani Rennsayer miałaby za swoje. Szybko rozerwała kopertę. Na kartce w środku dzieciinną ręką anonimowej pomocnicy kwiaciarki napisano słowa: „Od Nicka Bianco”.

Suze zgmiotła bilecik w dłoni i szybko poszła do windy, a kwiaty kołysały się zwrócone główkami do dołu niczym stara tenisowa rakietka. Nie chciała ich. Gdy tylko wejdzie na górę, wrzuci je prosto do kosza na śmieci.

- Ogromnie podoba mi się pani fryzura! - zawołał tuż za nią Raymond.

Coś w jego głosie - bezpośredniość, pełna prostoty usłużność, chęć sprawienia jej przyjemności - zawstydziło Suze. Jakże musi się wydawać zepsuta i samolubna! Zwolniła kroku i odwróciła się do niego. Raymond, z odstającymi uszami, stał, uśmiechając się niewinnym, pełnym optymizmu uśmiechem. Suze podeszła do niego.

- Raymondzie, czy masz dziewczynę? Jego uśmiech zrobił się jeszcze szerszy.

- Mam żonę, Rositę. Pobraliśmy się trzy miesiące temu.

- O Jezu, Raymondzie, a wyglądasz, jakbyś miał ze dwanaście lat! Posłuchaj... Tak naprawdę wcale nie

*Zupełnie obcy ludzie 291*

potrzebuję tych kwiatów. - Podała mu bukiet. - Dlaczego nie miałbyś dać ich Rosicie? Powiedz żonie, że ją kochasz.

- Ona już to wie.

- Nigdy nie mówi się tego kobietom zbyt często. No proszę, weź je.

Suze patrzyła, jak szereg emocji odbija się po kolei na szczerzej twarzy chłopaka. W końcu zwyciężył profesjonalizm: lokator ma zawsze rację, choćby nawet i stracił rozum.

- Dzięki. Są piękne. - Z szacunkiem wziął bukiet. - Teraz życzę pani miłego dnia.

Wjeżdżając na górę, Suze skuliła się w kącie, krzyżując i zaciskając mocno na piersiach ramiona. W lustrze widziała zaniedbaną kobietę, którą najwyraźniej cechował upór.

Mam trzydzieści dwa lata, pomyślała, a nie wiem nic - nic! - o mężczyznach. Dlaczego Lloyd nie powiedział jej, że się żeni? Czy nie zdobyła sobie prawa do jego zaufania? Oczywiście, oczywiście, to nie jej interes, z kim się żem, ale postawił ją w fałszywym położeniu. Ośmieszono ją i to jego wina.

Nic dziwnego, że jest zirytowana.

W mieszkaniu posprzątała naczynia po herbacie i wrzuciła je do wody z detergentem, krzywiąc się na widok czerwonego śladu po szmince na filiżance pani Rennslayer. Dlaczego Lloyd miałby ochotę obarczać się taką okropną teściową? Jeśli już o tym mowa, czemu miałby w ogóle poślubić taką lodową dziewicę jak Betsy? Wtedy przypomniała sobie fotografie: mężczyźni nigdy nie potrafią się, oprócz ładnej buzi. „Delikatna” - powiedział Jay. I skończyła porządny uniwersytet, a nie szkołę artystyczną. Zna się na mikrofalówkach i wie, jak utrzymywać przy życiu rośliny domowe. Bez wątplenia typ dbającej o wzorowy ład gospodyni odpowiadał Lloydowi, który sam miał metodyczny i uporządkowany umysł.

Suze wytarła ręce o tył szortów i uderzeniem otworzyła ruchome drzwi do salonu.

292 *Robyn Sisman*

No cóż, dzięki Bogu, nie jestem żadnym wzorem gospodarności, rozmyślała, chodząc po pokoju. Musiała być jednak przejęta całą sprawą, ponieważ powtórzyła to sobie w myśli kilka razy. W końcu niespokojne krążenie po salonie doprowadziło ją ponownie do niskiego stolika, gdzie znajdował się telefon. Przez chwilę stała, wpatrując się w aparat, czując zamęt w głowie, a następnie podniosła słuchawkę i wystukała numer. Kiedy odezwał się głos, zawahała się tylko na chwilę.

- Cześć, Nick - powiedziała wesoło. - Tu Suze.

Rozdział dwudziesty szósty

Pani York? Tu Lloyd Rockwell z obsługi klientów linii lotniczych Passion. Dzwonię, aby sprawdzić, czy jest pani zadowolona z warunków przelotu do Londynu w przyszłym miesiącu.

Ze znużeniem potarł ręką od kilku dni niegoloną brodę, powtarzając te same stare słowa. Była druga w nocy. Twarz mu zeszywniała od nieszczerego uśmiechu. W ciągu ostatnich kilku godzin musiał przeprowadzić z pięćdziesiąt rozmów telefonicznych.

Pani York powiedziała, że nic nie wie o ustaleniach dotyczących ich podróży; zostawiała załatwianie tego rodzaju rzeczy mężowi. Następny na liście znajdował się pan Young; nie było go w domu. Pani Yusef powiedziała mu, że ma chore dziecko, i odłożyła słuchawkę. Pani Zabar poradziła, aby zajął się własnymi sprawami. Jednak przy pani Zimmerman strzelił w dziesiątkę.

- Nie latamy już liniami Passion. - W jej głosie słyszał zakłopotanie. - Zamieniliśmy nasz bilet.

- Przykro mi to słyszeć. - Lloyd sięgnął po długopis. - Czy mogę spytać, dlaczego? Zawsze chcemy wiedzieć, czemu klienci są niezadowoleni z naszych usług.

- Och, nie - odpowiedziała mu uprzejmie. - Wcześniej zawsze podróżowaliśmy z Passion. Nasz syn ożenił się z Angielką i odwiedzamy ich każdego lata. W tym roku lecimy linią Stateside wyłącznie dlatego, że taniej.

- Rozumiem. Jestem wszakże zaskoczony, ponieważ mamy zwyczaj utrzymywać nasze ceny na tak niskim

poziomie, jak tylko to możliwe. Musi pani umieć wynajdywać promocyjne oferty.

- Tak naprawdę to nie. Ktoś do nas zadzwonił - miły młody mężczyzna, taki jak pan. Powiedział, że jeśli przejdziemy do Stateside, zaoszczędzimy po pięćdziesiąt dolarów na każdym bilecie. To oznacza dla nas dużo pieniędzy.

- Oczywiście, że to dużo! Rozumiem. Skąd pani zdaniem wiedział, że planujecie podróż do Londynu?

- No cóż... Czy te wszystkie rzeczy nie są teraz zapisywane w komputerach?

- Z pewnością. Dziękuję, że poświęciła mi pani czas, pani Zimmerman. I powiem, co zrobię. Zamierzam wysłać pani talon ze studolarową bonifikatą, na wypadek gdyby w przyszłości zechciała pani polecieć liniami Passion do Londynu. Być może zdołamy panią przekonać, aby państwo do nas wrócili.

- No cóż, bardzo dziękuję!

- Jeszcze jedna rzecz. Czy może pani sobie przypomnieć, kiedy tamten ktoś dzwonił?

- Może mam i siedemdziesiąt dwa lata, ale pamięć nadal mi dopisuje. Było to dwa tygodnie temu, zaraz po tym, jak wróciłam z kursu garniarstwa. Chodzę na te zajęcia co poniedziałek.

- Pani Zimmerman, jestem pod wrażeniem takiej precyzji. Dziękuję pani. Cudownej podróży.

Lloyd odłożył słuchawkę i zrobił uwagę przy nazwisku Zimmerman na liście przed sobą. Następnie osunął się na kanapę Suze, stukając ołówkiem w zęby. Spośród osób wybranych na chybił trafił z jego spisu, do których do tej pory zadzwonił, udało mu się dotrzeć do trzydziestu pięciu. Osiem dało mu do zrozumienia, w takiej czy innej formie, aby nie zwracał im głowy; z pozostałych dwudziestu siedmiu klientów dwudziestu firma Stateside zaoferowała tańsze loty.

Dwadzieścia osób; oznaczało to, że obiecał talony warte dwa tysiące dolarów. Jeśli się pomylił, jeśli Passion nie zechce honorować owej umowy - będzie mu-

### *Zupełnie obcy ludzie 295*

siał sam skądś wytrzasnąć te pieniądze. Plus astronomiczną sumę za telefony, którą jest winien Suze. Taką cenę warto jednak zapłacić, aby odzyskać dobre imię.

Miał przy sobie duży blok papieru w linie, na którym napisał kilka pytań. Ze stojącego na niskim stoliku dzbanka nalał sobie jeszcze jedną filiżankę kawy i znowu spojrzął na listę z komputera, pokrytą teraz notatkami. Odpowiedź tkwiła gdzieś tutaj; musiała tu być.

Wydrukowana na papierze komputerowym lista wymieniała alfabetycznie nazwiska wszystkich klientów, którzy posiadali w Passion bieżące rezerwacje na transatlantyckie loty klasy ekonomicznej. Schneider Fox miał bezpośredni dostęp do tych danych i na każdą listę wprowadzano na bieżąco poprawki w chwili wydruku; leżącą teraz przed nim wydrukowała wczoraj w tajemnicy i przysłała mu Suze. Każda pozycja uwzględniała nazwisko, adres oraz numer telefonu osoby dokonującej rezerwacji, datę zgłoszenia i lotu, a także kody wskazujące na liczbę podróżujących osób, zapłaconą sumę i wszelkie specjalne promocje, jakie można było zastosować. Ich zasady nie wydawały się zbyt skomplikowane: Passion starała się zaoferować jedną standardową opłatę dla każdej klasy. Na tym podstawowym założeniu opierała się działalność firmy.

Lloyd zaczął systematycznie sprawdzać notatki przy siedmiu osobach, z którymi nie skontaktował się nikt ze Stateside i tych, do których dotarł, porównując szczegóły. Świadomość celu działania wyostrzyła jego inteligencję, usuwając z myśli cały zamęt. Czuł się szczęśliwy, że może w końcu coś zrobić - cokolwiek. Sprawdzanie danych stanowiło żmudny proces, ale zanim doszedł do ostatniej osoby, wiedział, że jest na właściwym tropie. Jego nadzieje wzrosły o jeszcze jedną kreskę i nagle przyszła mu do głowy jeszcze pewna myśl; było to dlań trudne, ale warto spróbować. Sięgnął po telefon, tym razem nie sprawdzając nic na liście. Odpowiedział mu dziecinny głosik.

*300 Robyn Sisman*

- Halo?

- Miliardy słodkich całusków, czy to Billy?

- Wujek Lloyd! - Zadowolenie w głosie dziecka sprawiło, że Lloyd uśmiechnął się radośnie.

Rozmawiali przez minutę lub dwie, zanim matka chłopca nie odebrała mu słuchawki.

- Lloyd, czy to ty? Myślałam, że nadal jesteś w Londynie.

- Tak, jestem.

- Na litość boską, która u was godzina?

- Pracuję do późna. Nancy, przepraszam, że zawracam ci głowę, ale czy ktoś ostatnio telefonował do ciebie z propozycją taniego lotu do Anglii?

- Tak jest. Facet ze Stateside dzwonił około dwóch tygodni temu. Myślał, że już zarezerwowałam lot w Passion, a więc trochę go zwodziłam. Wysłałam ci liścik na ten temat, tak jak prosiłeś. Sądzę, że nikomu w biurze w Nowym Jorku nie przyszło do głowy, aby go przekazać.

- Na to wygląda.

- Czy wszystko w porządku?

- Zrobiłaś właśnie to, czego chciałem.

- Cieszę się, jeśli ci pomogłam. Powiedz mi szybko, zanim spalę obiad, jak ci się tam podoba?

Co mógł powiedzieć?

- Jest wspaniale.

- A jak się ma Betsy?

- Także wspaniale. Oczywiście, teraz śpi. Jego siostra się roześmiała.

- Ten sam stary Lloyd. Milczący jak głaz. Czy kiedykolwiek nas odwiedzisz? Zanim się spostrzeżesz, Billy zacznie studiować. A może przyjedziesz w Święto Dziękczynienia? Betsy będzie również mile widziana, oczywiście.



- Być może - odrzekł Lloyd automatycznie. Usłyszał nieśmiałe westchnienie i zdał sobie sprawę, że jego wypowiedź była zupełnie pozbawiona entuzjazmu -za to ostrożna i wymijająca. A przecież, pomimo wszystko, to jego rodzina. - Spróbuję - obiecał.

*Zupełnie obcy ludzie 298*

- Naprawdę? - Jej zapał go zawstydził.

- Postaram się. Och... kto jeszcze przyjeżdża?

- Jeśli chcesz wiedzieć, czy zaprosiłam ojca, to odpowiem tak, zaprosiłam. Nie bądź na mnie zły, Lloydzie. Wiem, że zepsuł ci wiele rzeczy w życiu, ale to było tak dawno temu. Czuje się taki samotny i chciałby cię zobaczyć.

Lloyd szarpnął sznur od telefonu.

- Dam ci znać - odrzekł lakonicznie i skończył rozmowę.

Natychmiast podniósł blok i wrócił do swego problemu. Była to piekielnie trudna kwestia: musiał dowieść, że jest niewinny, co, jeśli się nad tym zastanowić, okazało się dużo trudniejsze niż udowodnienie, że ktoś jest winny. To, co usłyszał właśnie od siostry, nie stanowiło rozstrzygającego dowodu, że jest niewinny, ale to... Myśli Lloyd'a zwróciły się w innym kierunku. Stwierdził, że liczy miesiące do Święta Dziękczynienia. Tylko pięć -nie zdąży. Przycisnął dłonie do skroni, starając się zmusić umysł do koncentracji. Uparcie wydobywał z mrocznych zakamarków pamięci sprawy zapomniane dawno temu. Wstał i podszedł do okna. Na zewnątrz świtało. Perłowe niebo zapowiadało piękny dzień.

W taki poranek osiemnaście lat temu wymknął się z domu dziadków i autostopem pojechał do stanowego zakładu karnego. Powiedzieli, że godziny wizyt są dopiero po lunchu, a więc usiadł, odwrócony plecami do wysokiego muru, patrząc, jak przyjeżdżają i odjeżdżają ciężarówki dostawcze, i przysłuchując się, jak więzienie budzi się do życia i zaczyna rozbrzmiewać dźwiękami - krzykami i łoskotem, ciężkimi krokami, wybuchami przypadkowego męskiego śmiechu przerywanego nagłymi dzwonkami. Wiedział, że popełniono błąd, a jego obowiązkiem było naprawienie pomyłki. Był jedynym synem. Przez całe życie czekał na okazję, aby udowodnić, że wart jest uwagi swojego ojca. Kiedy słońce stało już wysoko na niebie, zaczęli pojawiać się inni odwiedzający: prawnicy w dopasowa-

nych garniturach, spoglądający niecierpliwie na zegarki, matki krzyczące na dzieci, aby zachowywały się grzecznie. Dla nich była to rutyna. Kiedy bramy otworzyły się z brzękiem, Lloyd wszedł ze wszystkimi do środka. Rozmównica była właśnie taka, jak to sobie wyobrażał: duża i szara, z podwójnymi biurkami stojącymi naprzeciwko siebie, oddzielonymi szkłem. „Jestem tu, tato. Powiedz mi tylko, co robić” - Lloyd przygotował sobie słowa, które miał wygłosić pewnym głosem na powitanie. Jednak gdy tylko zobaczył twarz ojca, natychmiast gdzieś umknęły. Tata robił wrażenie zawstydzonego, a jego zażenowany półuśmiech przypominał jakieś potworne zniekształcenie ust. On był winny! Lloyd uświadomił sobie to w dojmująco fizyczny sposób. Wstał z krzesła, cofając się ze strachu i odrazy, a potem uciekł. Usłyszał, jak plastikowe krzesło z trzaskiem wywraca się za nim na podłogę.

Lloyd odwrócił się od okna, odpędzając owo wspomnienie. Przez lata mówił wszystkim, którzy o to pytali, że ojciec nie żyje - nawet Betsy. Przyzwyczyił się do owego kłamstwa. Nancy nic nie rozumiała. Nie czuł nienawiści do ojca ani też nie wstydził się go i nie potępił: doskwierało mu poczucie winy. Nie był pewien, czy jest z tego jakieś wyjście, chyba że opowie mu o swych własnych doświadczeniach hańby, wstydu i tchórzostwa. Jednak nie w Święto Dziękczynienia. I nie z Betsy. Teraz nadszedł czas, aby pójść spać. Lloyd ziewnął i potykając się przeszedł przez pokój, aby uporządkować papiery. Był bardzo zmęczony, ale diisiaj wieczorem sporo posunął się w pracy. Miał dwie poszlaki, które mógł zbadać, wprawdzie słabe, ale może go gdzieś doprowadzą. A więc co w takim razie nie dawało mu spokoju? Było coś dziwnego w jego rozmowie z Nancy. Wtedy nagle przypomniał sobie, że nie powiedział jej, iż się żeni.

Rozdział dwudziesty siódmy

Czy tutaj musi być wszędzie taki bałagan? Przecież mamy opuścić to mieszkanie do soboty. Kiedy je posprzątam?

Była godzina szósta następnego wieczoru. Lloyd pracował znowu cały dzień i salon wypełniony był filiżankami po kawie, butelkami wody mineralnej, wydrukami i szkicami oraz notesami zakrywającymi każdy wolny skrawek mebli i większą część podłogi. Lloyd siedział na małej wysepce na dywanie otoczony morzem papierów. Czuł się dziwnie nierealnie, lecz nie mógł pozwolić na to, aby mu przeszkadzano.

- Przykro mi, Betsy, ale muszę to skończyć. To ważne.

Podniósł jeden z faksów od Suze. Tylko dzisiaj nadeszły cztery pełne dobrych pomysłów, fantastycznych sugestii w gąszczu znaków zapytania. Zastanawiał się, jak też ma się jego sojuszniczka.

- Ważniejsze niż ja? - Stojąca w drzwiach Betsy przybrała zalotną pozę.

- Tak - odparł\*brutalnie. - W tym właśnie momencie ważniejsze od ciebie. Próbuję coś wyjaśnić. Może to wyjść na dobre nam dwojgu. - Nie chciał powiedzieć nic więcej. Nie było sensu robić jej fałszywych nadziei.

Betsy podniosła na chybił trafił jeden z papierów, obrzuciła go zirytowanym spojrzeniem i rzuciła znowu na podłogę.

- Daj sobie z tym spokój, Lloydzie. Straciłeś pracę. Kropka. Passion jest teraz problemem kogoś innego. -

304 *Robyn Sisman*

Podeszła bliżej i Lloyd poczuł znajomy zapach perfum. Głos Betsy złagodniał, gdy dotknęła jego włosów i spytała: - Dlaczego raz nie możesz pomyśleć o mnie?

Lloyd odchylił się do tyłu na piętach i przyjrzał jej badawczo.

- Co, ściśle rzecz biorąc, chcesz, bym zrobił? - zapytał.

- Chodź ze mną jutro na zakupy.

- Zakupy!

- Myślałam, że moglibyśmy kupić dla mnie pierścionek. Dziewczyna nie czuje się naprawdę zaręczona, dopóki nie ma pierścionka na palcu. Wiem, że mama zechce go zobaczyć.

Gniew Lloyda wzrósł. Czy Betsy naprawdę uważa, że on wygląda na człowieka gotowego, by pójść do sklepu po jakiś głupi pierścionek, prawdopodobnie w cenie równej jego miesięcznemu wynagrodzeniu, którego teraz już nie ma? Zanim zdołał przyoblec owe myśli w gwałtowne słowa, zadzwonił telefon.

- To ktoś z agencji teatralnej - odpowiedziała z irytującą pewnością - by potwierdzić naszą rezerwację biletów na „Koty”.

Myliła się jednak. Wyraz jej twarzy stopniowo ulegał zmianie, gdy trzymała słuchawkę przy uchu. Następnie podała telefon Lloydowi w taki sam pogardliwy sposób, w jaki trzymała czarny pas do pończoch.

- To ta twoja Angielka Znowu.

Lloyd wziął słuchawkę z poczuciem ulgi.

- Masz na myśli Suze?

Betsy majestatycznym krokiem wyszła z pokoju.

- Bez wątpienia będziecie zajęci plotkami przez następnych kilka godzin. - Trzasnęła drzwiami.

Lloyd zrobił głęboki wdech i klapnął na fotel. Przyłożył słuchawkę do ucha.

- Hej, właśnie myślałem o tobie. - Uśmiechnął się szeroko. - Udało mi się dokonać interesującego postępu z tymi...

- Dzwonię w sprawie materiału, który zgodnie z zapowiedzią miał pan przygotować - przerwała mu zimno.

*Zupełnie obcy ludzie 305*

- Co? - Lloyd był zdezorientowany. - Suze, czy to ty?
- Chcę przypomnieć, że jest sprawą najwyższej wagi, abym otrzymała to do piątku.
- Lloyd zmarszczył brwi. Była wyjątkowo opryskliwa. Co zrobił?
- Jezu, co się z tobą dzieje? Wiesz, że pracuję nad tym tak ciężko, jak potrafię. Oboje pracujemy.
- Takie jest pańskie zdanie. Nie wydaje mi się, aby zdawał pan sobie sprawę z doniosłości tej prezentacji. Zarówno pan Schneider, jak i pan Fox będą tu obecni.
- Przemawiała do niego zarozumiałym tonem, akcentując wyraźnie każde słowo, jak gdyby był debilem. Lloyd bezwiednie zacisnął szczęki.
- Oczywiście zdaję sobie sprawę...
- Czy to w końcu jest czy nie jest Studio Veritas? - spytała lodowato.
- Przestań się wygłupiać. Wiesz doskonale... - Wtedy wreszcie zrozumiał. Mówiła szyfrem. Studio Veritas - to aluzja do Jaya. Oczywiście. Energicznie pochylił się nad telefonem. - Już rozumiem. Ktoś wszedł do twojego pokoju i nie chcesz, aby wiedzieli, z kim rozmawiasz. Zgadza się?
- Taak!
- Dobrze, dobrze. Jestem idiotą. Czy to... nasza znajoma, którą ostatnio widzieliśmy w pozycji horyzontalnej?
- No właśnie. - Wychwycił nutę rozbawienia w jej głosie.
- I chcesz mi powiedzieć... - Umysł Lloyda dokonał analizy ich dotychczasowej rozmowy. Położyła specjalny nacisk zwłaszcza na jeden zwrot. Zrozumiał to! Zarówno pan Schneider, jak i pan Fox... - Chcesz powiedzieć mi, że Harry również będzie tam w piątek, hmm...
- Lloyd nie był pewien, czy to dobra wiadomość, czy nie. - Dzięki za informację.
- A więc podejmie pan natychmiast odpowiednie działania, prawda?
- Że jak...? - Chciała, aby co niby zrobił? Okropne podejrzenie przyszło mu do głowy. On i Suze dysku-

306 *Robyn Sisman*

wali już o tym, jak trudno byłoby zmusić Berniego, by dał im szansę i ich wysłuchał, gdy Sheri trzyma go za jaja. Harry jednak to całkiem inna sprawa. Może być zły na Lloyda, ale umysł nadal ma sprawny. - Nie mówisz chyba, że pragniesz, abym najpierw zobaczył się z Foxem i jakoś przekonał go, iż mamy uzasadnione podstawy do działania?

- Z całą pewnością to by pomogło.

Lloyd spochmurniał. Wspomnienie ich ostatniego spotkania nadal bolało. Nie miała pojęcia, o co prosi.

- Nigdy nie zechce mnie wysłuchać.

- Stać pana na więcej. Boże, była nieustępliwa.

- Nie rozumiesz - protestował Lloyd. - W żaden sposób nie uda mi się z nim skontaktować. Całe biuro otrzymało polecenie, aby nie odbierać rozmów telefonicznych ode mnie, i jest niemal niemożliwe, abym zaczepił go na ulicy. Nie mogę zadzwonić do niego do domu, ponieważ... - Przerwał. Trudno było wyjaśnić, że nadal myślał ciepło o rodzinie Harry'ego, jak również respektował sztywną linię demarkacyjną pomiędzy domem a pracą nakreśloną przez człowieka, który go wylał. - Gościł nas u siebie w domu na wsi, a potem był mną taki rozczarowany - skończył nieprzekonująco Lloyd.

- Słuchaj pan - mówiła Suze bezkompromisowym tonem. - Moja szefowa stoi nade mną i nie wygląda na zadowoloną. Ze swej strony staram się tutaj, jak tylko mogę. Jeśli nie ruszy pan tyłka i nie weźmie się do roboty, żadne z nas nie dostanie już więcej pracy u Schneidera Foxa.

Lloyd milczał. Miała całkowitą rację.

- Niech pan mi da znać o postępach w pracy - ciągnęła, po raz pierwszy przypominając dawną Suze.

-Będę czekać na telefon. - Skończyła rozmowę.

Lloyd rzucił słuchawkę na widełki i podrapał się w tył głowy. Uch! - i jeszcze raz - uch. Łatwo jej to mówić: ktoś, kto mógł siedzieć pod biurkiem, kiedy szefowie uprawiali na nim seks, w oczywisty sposób nie miał



*Zupełnie obcy ludzie 305*

nerwów. Suze przecież знаła Harry'ego Foxa lepiej niż on; dlaczego więc nie zwróciła się do niego? Spojrzenie Lloyda powędrowało po pokoju. Jej osobowość była widoczna we wszystkim, na co patrzył - w śmiałej barwie ścian, w fantazyjnej linii pomysłowo upiętych zasłon przymocowanych pinezkami, w zwałonych na ątos książkach oraz porzrzucanych śmiesznych pocztówkach. Nie mógł przed nią uciec. Suze połączyła swój los z jego losem; obecnie ich drogi nierozzerwalnie się splotły. Stracił pracę; teraz ona ryzykowała utratę własnej, aby pomóc mu odzyskać należne miejsce. Lloyd wyprostował się i wstał. Nie mógł pozwolić, aby uważała go za mięczaka.

Najpierw próbował wykrecić numer biura Schneidera Foxa, ale linię już przełączono na automatyczną sekretarkę. Nie namyślając się, aby nie zmienić zdania, Lloyd poszukał domowego numeru Harry'ego. Po kilkakrotnym wykreceniu odezwał się zdyszany kobiecy głos. Lloyd słyszał, jak gdzieś w oddali drą się dzieci. Była to prawdopodobnie pora kąpieli.

- Lorna? Tu Lloyd Rockwell.

Zaszokowana odetchnęła szybko i gwałtownie.

- O Boże. Wołałabym, abyś tu nie dzwonił. - W jej głosie usłyszał wyrzut.

- Wiem. Przepraszam. Nie zrobiłbym tego, gdybym nie miał czegoś ważnego do powiedzenia Harry'emu. Czy jest w domu?

- Zmartwiłeś go okropnie. Krzyczy na nas wszystkich przez całe dni.

- Harry myli się co do mnie - zapewnił ją Lloyd. - Przykro mi, jeśli to brzmi niegrzecznie po całej waszej gościnności, ale to prawda.

Lorna się zawahała.

- I tak go tu nie ma.

- O której godzinie wróci?

- Teraz nie będzie go przez kilka dni. Wyjeżdża do Nowego Jorku w sprawach służbowych.

Lloyd zacisnął oczy. A więc się spóźnił!

308 *Robyn Sisman*

Gdy zastanawiał się, co teraz robić, usłyszał chichot:

- A ja wiem, gdzie jest tatuś - zaszcebiotał dziecięcy głosik. Była to córeczka Harry'ego.
- Odłóż słuchawkę, bezczelny potworze! - powiedziała Lorna. - Pora spać! Harry jest dzisiaj na jakiejś uroczystości - ciągnęła już bardziej życzliwym tonem. - Jutro wylatuje. Jednak nie sądzę, abyś miał zbyt duże szanse.

Lloyd milczał. On również tak myślał. Jednak musi spróbować.

- Czy przypominasz sobie, co to za uroczystość lub gdzie? - spytał. - To ważne.
- Obawiam się, że nie. Ludzie pozostający w związkach małżeńskich mają tendencję, by cierpieć na selektywną głuchotę, jak wkrótce to bez wątpienia odkryjesz.
- Poszedł na przyjęcie, gdzie wręczają jakieś nagrody - kontynuował z powagą słodki głosik. - Tatuś mówił, że trzeba tam zjeść kurczaka z gumy. Wtedy dostanie się nagrodę.
- Zjeżdżaj! - zawołała Lorna. Lloyd usłyszał trzask, gdy odłożono słuchawkę drugiego telefonu - Muszę iść, Lloydzie. Powiem Harry'emu, że dzwoniłeś.

Jednak on prawie już nie słuchał. Przyptyw nadziei sprawił, że krew zaczęła krążyć szybciej w jego żyłach. Wiedział już, gdzie może znaleźć Harry'ego.

- Lorno, co twoja córka lubi najbardziej w świecie?
- Słucham?
- Mniejsza z tym, wymyślę coś! Jesteś cudowną kobietą. Do usłyszenia.

Wtargnął do sypialni, gdzie Betsy leżała na łóżku przy zaciągniętych zasłonach. Wpatrywała się w niego z osłupieniem, gdy gwałtownie otworzył szafę i zaczął rozpinać koszulę.

- Czy widziałaś mój ciemny garnitur? - zapytał. - Jak myślisz, co oznacza określenie „czarne ubranie”?
- Czy chodzi o smoking? Boże! Dlaczego nigdy nie mam żadnych czystych białych koszul?

*Zupełnie obcy ludzie 307*

Betsy z wysiłkiem uniosła się na łokciu.

- Jest jedna z tyłu. - Pokazała gdzie. - Wyprasowałam ją dziś rano. Co się dzieje, Lloydzie?

- Muszę wyjść na kilka godzin.

- Dokąd? Czy ja też mogę iść?

Lloyd ubrał się szybko, zbyt zajęty, aby odpowiedzieć. Od ponad tygodnia nie miał na sobie garnitur. Zawiązując krawat i zapinając wykrochmalone mankiety, znowu miał poczucie, że panuje nad sytuacją. Uczesał włosy i schylił głowę, aby przyjrzeć się sobie w lustrze, które zawsze było za nisko. Jego odbicie spojrzało nań chłodno. Dobrze się prezentował. Betsy przyglądała mu się bez słowa z łóżka. Zauważył, że jest bardzo blada. W jego umyśle pojawiło się pytanie, ale ona nic nie powiedziała, a on nie ośmielił się zapytać. Nagle z pewną czułością pochylił się i pocałował ją w czoło. Był to oficjalny roztargniony pocałunek żołnierza wyruszającego na wojnę. Kurczowo chwyciła go za ramię.

- Dokąd idziesz? - powtórzyła.

Lloyd wyprostował się, ukazując całe swoje metr dziewięćdziesiąt wzrostu.

- Zamierzam odzyskać pracę!

Rozdział dwudziesty ósmy

Hotel przy Park Lane był brzydkim pretensjonalnym gmaszyskiem, miejscem tego rodzaju, gdzie za czasów króla Edwarda VII matki-wdowy przyprowadzały swe młode córki na nudne, zimne bale. Lloyd zmierzał tam żwawym krokiem, zdenerwowany, a jednak zdecydowany. Taksówki zatrzymywały się przed nim, przywożąc atrakcyjne kobiety i wymyślnie ubranych młodych mężczyzn. Hałaśliwe grupy zaproszonych przepychały się pieszo w kierunku wejścia, obrzucając się nawzajem radośnie niewymyślnymi epitetami. To byli ludzie ze świata reklamy: Lloyd rozpoznał ich po zdradzającym pewnością siebie śmiechu. Wręczenie nagród „Magazynu Ogłoszeń” było dorocznym spotkaniem całej branży, wydarzeniem, na którym głównie pito i obmawiano innych. Każdy, kto liczył się w biznesie reklamowym, przychodził tutaj. Jak zareagują na kogoś, kto jest nikim? Lloyd podniósł wzrok na wysokie drzewa Hyde Parku, zbierając się na odwagę. Wieczór, który go czekał, będzie zapewne ponizający i nieprzyjemny; był jednak winien go sobie - oraz Suze - i musiał wznieść się ponad dumę i lęk. Poprawił krawat, życząc sobie, aby nie okazał się jedynym mężczyzną nie w smokingu, a następnie wyprostował ramiona i wszedł do środka. Na samym końcu hotelowego korytarza stolik przykryty obrusem zagradzał wejście do sali, gdzie miała

*Zupełnie obcy ludzie 309*

się odbyć uroczystość. Siedziała przy nim kobieta o wychudzonej twarzy, sprawdzając nazwiska gości na trzymanej w dłoni liście. Gdy Lloyd się zbliżał, wysłała mu sztuczny uśmiech profesjonalnego przywitania.

- Dobry wieczór panu. Czy mogę zobaczyć pańskie zaproszenie?

- Oczywiście. - Sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął je, delektując się ironią faktu, że było wśród drobiazgów przywiezionych mu przez posłańca na motocyklu z gabinetu u Schneidera Foxa.

Kobieta przesunęła palcem w dół po liście nazwisk, a następnie przewróciła kilka następnych stron. Potem zmarszczyła brwi i zaczęła od nowa powtarzać tę czynność. Za Rockwellem utworzyła się kolejka.

- Pośpiesz się, skarbie - zawołał jakiś arogancki głos - bo zabraknie szampana jak w zeszłym roku!

- Przykro mi, proszę pana. - Kobieta podniosła wzrok na Lloyda, jej twarz była teraz bez wyrazu.

- Obawiam się, że pańskiego nazwiska nie ma na liście.

- Musiała zająć jakaś pomyłka.

- Otrzymałam ściśle instrukcje, aby nie wpuszczać nikogo, kogo nie ma na liście. Być może zechciałby pan porozmawiać z którymś ze swoich kolegów...?

- Przecież widzi pani moje zaproszenie!

- Takie otrzymałam polecenia. - Zerknęła w kierunku umundurowanego ochroniarza stojącego przy drzwiach, który z wolna ruszył do przodu.

Krucha pewność siebie Lloyda znikła. Padł przy pierwszej przeszkodzie. Wycofał się na korytarz, z przykrością zdając sobie sprawę z podążających za nim ciekawych spojrzeń. Latami chodził na dziesiątki takich imprez, ale zawsze w grupie współpracowników, czasami nawet w głównej roli zdobywcy nagrody. Jak wszyscy pozostali narzekał na banalność menu, bezdenną głupotę sędziów i złośliwość losu skazującego gości na nieuniknionego kaca nazajutrz rano; pomimo wszystko był to znajomy świat, jego świat. Teraz, gdy stanął pod marmurową kolumną, tak aby nie rzucać się w oczy,

### 312 Robyn Sisman

zawstydzony w swym czarnym garniturze, czuł się jak intruz.

- No, no, jesteś odważnym człowiekiem - odezwał się jakiś głos prosto do jego ucha.

Zobaczył obok siebie Juliana Jewela, który uśmiechał się doń zuchwale.

- Coś mi mówi, że nie przyszedłeś z towarzystwem Schneidera Foxa. Czy mam rację?

- Jesteś bardzo spostrzegawczy. - Lloyd nie był w nastroju do żartów.

- A więc w takim razie z kim jesteś? - indagował dalej Jewel.

- Z nikim.

- W takim wypadku co, u diabła, tu robisz?

- To długa historia, Jewel. - Lloyd westchnął.

- Uwielbiam długie historie. Wejdźmy, opowiesz mi o tym przy kieliszku szampana.

- Nie wpuszczą mnie. - Lloyd pomachał bezużytecznym zaproszeniem, czując się głupio.

- O, bzdura! Zostaw to mnie.

Jewel oświadczył kobiecie przy biurku, że Lloyd jest z towarzystwem ze Sturm Drang, a jego zarozumiały urok dokonał reszty. Pewność siebie, pomyślał Lloyd. W tym wszystkim chodzi zwłaszcza o pewność siebie.

- Dzięki - zwrócił się do Juliana.

Pojechali windą na wyższe piętro, gdzie przyjęcie już się rozkręciło. Młoda kobieta, mająca na sobie zaskakująco mało odzienia, za to okręcona łańcuchami, podeszła do nich, niosąc wysokie kieliszki z szampanem; Jewel wziął dwa i wręczył jeden Lloydowi.

- Rozumiem, że jesteś niegrzecznym chłopcem -oznajmił.

- Nie. I dlatego tutaj jestem.

- Wygląda mi na to, że coś tu nie pasuje do całego obrazka. Skąd to rozstanie? Czy chcesz się skontaktować z kimś z otoczenia Harry'ego?

Lloyd wyciągał szyję, rozglądając się po sali nad głową swego towarzysza.

### *Zupełnie obcy ludzie 311*

- Przyszedłem porozmawiać z Harrym. Czy dasz mi znać, jeśli go zobaczysz?

W oczach tamtego zapaliły się błyski.

- Mogę dać ci referencje?

Nagle Lloyd zobaczył znajomą z firmy. Uśmiechnął się i podniósł rękę w geście pozdrowienia.

Kobieta pochwyciła jego spojrzenie, a następnie się odwróciła. Wzdrygnął się w duchu.

- Posłuchaj, nie mogę dopuścić do tego, abyś miał przeze mnie popsuty wieczór - powiedział do Jewela. - Wprowadziłeś mnie tutaj i jestem bardzo wdzięczny, ale na pewno chcesz się zabawić z przyjaciółmi. Świetnie dam sobie radę sam.

- Bzdura, musisz dosiąść się do naszego stolika. Poczekaj, pogadam z Hugonem. Jestem pewien, że nie będzie miał nic przeciwko temu. Nienawidzi Harry'ego. - Jewel wślizgnął się w tłum.

Lloyd stał otoczony hałaśliwą paplaniną i blaskiem wysokich żyrandoli. Gdzie się podział Harry?

Powinien już tu przyjechać do tej pory.

Ktoś ponownie napełnił mu kieliszek, tym razem był to młody mężczyzna w skórzanej przepasce pomalowany złotą farbą. Lloyd przypomniał sobie, jak czytał, że tematem tegorocznych prac konkursowych jest pokora.

- Cześć, czy ja przypadkiem skądś cię znam? - Stała przed nim kobieta z włosami blond, atrakcyjna i pełna kokieterii.

- Nie sędzę.

- Wiem! - Otworzyła szeroko oczy. - Widziałam twoją fotografię w "Magazynie Ogłoszeń". O czym był artykuł? Mam beznadziejną pamięć.

- Poszukuje go policja - oznajmił Jewel, pojawiając się ponownie obok Lloyd'a. - Jeśli cię to interesuje, wyznaczono za niego dużą nagrodę.

Julianowi towarzyszył starszy mężczyzna z niesfornymi siwymi włosami i inteligentną, zniszczoną hulaszczym trybem życia twarzą, który, takie wrażenie odniósł Rockwell, był podchmielony.

### 312 *Robyn Sisman*

- Wspaniale, że może pan do nas dołączyć! Wszystko, aby zirytować konkurencję. - Hugo Drang ścisnął energicznie rękę Lloyda. - Ten cholerny Fox buchnął mi jedną z najlepszych firm. Ci Australijczycy niby są tacy opanowani, a wytrącają wszystkich z równowagi.

Razem przeszli do sali bankietowej, ogromnego, wysokiego pomieszczenia, urządzonego z pozbawionym gustu przepychem. Okrągłe stoły nakryte do obiadu wypełniały całe pomieszczenie; na jego drugim końcu znajdowała się scena z podium, a za nim duży ekran filmowy. Panował tu okropny hałas.

- Zawsze myślę, że jest tu trochę jak w burdelu - stwierdził Jewel - i określenie to bardzo pasuje do charakteru dzisiejszego wieczoru.

Przez kilka minut panował chaos, bo wszyscy krążyli wokół sali w poszukiwaniu swoich stolików. Towarzystwo Sturm Drang zostało umieszczone gdzieś z tyłu i Lloyd, czekając, aż zmniejszy się napływ gości, by móc usiąść, jeszcze raz przyjrzał się badawczo tłumowi. Zobaczył z tyłu jakąś wyprostowaną postać z falującymi włosami i pomyślał, że wie, kto to. Tak, to był Roger, entuzjasta krykieta od Schneidera Foxa. Lloyd wbił wzrok w idącego mężczyznę i zobaczył, że ten unosi rękę powitalnym gestem. W odpowiedzi poruszyła się czyjaś ręka przy stoliku blisko podium. Lloyd miał nerwy napięte do granic możliwości. Dostrzegł wreszcie Harry'ego.

Co teraz? Urządzenie sceny przy stoliku Schneidera Foxa nie doprowadzi do niczego.

Jewel przedstawił Lloyda współpracownikom, jak gdyby było całkowicie normalne, że Rockwell jest z nimi. Postawiono dla niego dodatkowe krzesło pomiędzy Jewelem a jakąś projektantką, ostrzyżoną na Kleopatrze. Kobieta miała na ustach szkarłatną szminkę, ubrana była w krótką i obcisłą sukienkę. Wyglądała olśniewająco - lecz w jakiś przerażający sposób. Lloyd miał nadzieję, że Suze tak nie wygląda. Na stole zaczęło się pojawiać jedzenie i w roztargnieniu przesuwał je po talerzu.



### *Zupełnie obcy ludzie 315*

- Okazuje się, że niegdyś było tu lodowisko -oświadczył Jewel. - Pewien gość mówił mi o tym kiedyś. W czasie wojny było to ulubione miejsce spotkań twoich rodaków, Rockwell, włączając Eisenhowera i Pattona. Powinieneś czuć się tu jak w domu.

- Przy tak życzliwym traktowaniu istotnie czuję się tutaj bardzo dobrze - odrzekł z uśmiechem Lloyd.

- Doskonale powiedziane! A teraz, Lloydzie, ponieważ jestem dla ciebie tak miły, zdradź mi pewną tajemnicę. Czy uważasz, że mamy szansę z Passion?

- Z pewnością jestem ostatnią osobą, którą powinieneś o to pytać.

- Wprost przeciwnie, jesteś jedyną osobą, która nie ma w tym osobistego interesu.

- No cóż... - Rockwell się zawahał. Jewel był przyjacielem Piersa, a ten nie wyglądał na zadowolonego, kiedy Lloyd ostatnio widział go w biurze Harry'ego. Był aż nadto możliwe, że Passion przejdzie z jednej agencji do drugiej. Wtedy przypomniał sobie wojownicze słowa Suze: „Jesteś niewinny. Jesteś dobry w tym, co robisz”. Musi być pewny swego. Nie dopuści do siebie możliwości klęski. - Moim zdaniem nie macie szansy. Przykro mi.

- Interesujące. - Jewel skinął głową w zamyśleniu, a następnie uśmiechnął się figlarnie. - Myślę, że bądź co bądź, możemy spróbować.

W końcu muzyczny tusz ogłosił początek ceremonii. Na scenie pojawiła się jakaś sława mniejszego kalibru i tanecznym krokiem weszła na podium przy dźwiękach ogłuszających oklasków. W jasnym świetle reflektorów Lloyd zobaczył, że Harry nadal siedzi na miejscu. Czy powinien teraz do niego podejść?

Ogromny ekran zaczął migać szeregiem reklam dzinsów, dezodorantów, drinków, samochodów, zabawek, płatków kukurydzianych i kwestii „społecznych”, jak problem bezdomnych lub okrucieństwo w stosunku do zwierząt. Niektóre prace - a także pochwalne opinie na ich temat - sprawiły, że Lloyd zastanawiał

### *316 Robyn Sisman*

się, dlaczego właściwie tak bardzo chce ponownie dostać się do tej branży. Jeden z obrazów wywołał wybuch głośnych okrzyków i spowodował, że przy stoliku Sturm Drang zaczęto uderzać w zastawę stołową. Lloyd widział rozwieszony w całym Londynie ich plakat reklamujący damską bieliznę, który zawsze wywoływał na jego twarzy uśmiech.

- Czyj to był pomysł? - zapytał.

- Mój! - odezwały się trzy różne głosy.

- I teraz mam ogromną przyjemność zaprezentować nagrodę dla najlepszego komentatora w kategorii reklam telewizyjnych, która jest dzisiaj sponsorowana przez obsługę Vision Computers. Nominacje są następujące...

Lloyd dotknął palcem kołnierzyka. Nie mógł nic zjeść i nie ośmielił się pić. W pomieszczeniu panował zaduch i ogólny harmider. Gdy ostatnia nagrodzona osoba zeszła po schodkach ze sceny, jeszcze raz zbadał wzrokiem stół Schneidera Foxa i dostrzegł, że brakuje tam jednej osoby. Harry gdzieś zniknął.

Rozejrzał się błędnym wzrokiem po sali; jakieś poruszenie z tyłu przyciągnęło jego uwagę. Zobaczył snop bladego światła, gdy otworzyły się drzwi, a następnie zarys wysokiej postaci. Na tę właśnie szansę czekał. Wstał i przeszedł wśród stolików do drzwi, którymi, jak widział, wyszedł Fox. Prawie nikt nie podniósł wzroku, gdy przechodził. Wszyscy oglądali kolejne projekty. Lloyd znalazł się w holu i odgadł, gdzie musi być Harry. Teraz, kiedy nadeszła oczekiwana chwila, czuł, że robi mu się niedobrze ze zdenerwowania. Nadal nie było jeszcze za późno, aby znaleźć wyjście i uciec w noc.

Zbierając się na odwagę przed czekającą go ciężką próbą, Lloyd wszedł do męskiej toalety.

Harry stał przy umywalce, myjąc ręce. Ich oczy spotkały się w lustrze. Twarz Australijczyka wykrzywił brzydki grymas.

- Masz cholernie mocne nerwy, ośmielając się po-

*Zupełnie obcy ludzie 315*

kazać tutaj dziś wieczorem. - Strzepnął wodę z palców gwałtownym gestem.

- Przyszedłem porozmawiać z tobą.

- No cóż, marnujesz swój czas. Cokolwiek masz mi do powiedzenia, nie interesuje mnie to. - Odwrócił się od umywalki i ruszył w kierunku drzwi. Lloyd zastąpił mu drogę.

- Czy nie chcesz zachować Passion?

- Nie przeciągaj struny, Rockwell.

Fox stał teraz bardzo blisko i Lloyd myślał, że Harry go uderzy.

- Mogę ci udowodnić, że nie zdradziłem naszych danych tym ze Stateside. - Lloyd wytrzymał jego spojrzenie. - Osoba, która to zrobiła, nadal dla ciebie pracuje.

- Dlaczego miałbym ci wierzyć? - Harry popatrzył na niego twardo.

- A dlaczego nie masz mi wierzyć, Harry? Gdybym rzeczywiście dokonał kradzieży, czy myślisz, że rozsiewałbym wszędzie swoje odciski palców? Czy uważasz, iż Tony Salvino byłby na tyle naiwny, aby zostawiać wiadomość u mojej sekretarki, gdybyśmy istotnie byli w zмовie? I dlaczego miałbym to zrobić? Uwielbiałem swoją pracę. Czy sądzisz, że zamierzam pracować dla kogoś innego?

- Tak.

- Zrozum, że nikt nie dałby przecież poważnej pracy facetowi, który jest odpowiedzialny za przeciek ważnych informacji dotyczących klientów, czyż nie mam racji?

- A więc co sugerujesz?

- Sugeruję, że ktoś inny sprzedał te dane i zwałił winę na mnie. Gdybyś tylko dał mi szansę wyjaśnienia, mógłbym ci udowodnić, że nie zrobiłem tego.

- Dobrze, udowodnij to.

Lloyd wyjął z kieszeni mały magnetofon i umieścił go na marmurowym blacie obok umywalki. Twarz Harry'ego wykrzywiła się z niesmaku.

- Nie lubię szpiegów. - Rozgniewany zrobił krok w kierunku drzwi.

316 *Robyn Sisman*

Serce Lloyda bilo coraz szybciej. Szybko! Nacisnął guzik.

- „Oczywiście mam nadzieję, że będziemy mogli zatrzymać Passion, ale w ten sposób jesteśmy kryci, niezależnie od tego, jak podskoczy Ross Bannerman...”. -Głos Sheri zabrzmiał piskliwie w wysokim, wyłożonym kafelkami pomieszczeniu.

Harry przystanął. Rzucił Lloydowi ostre spojrzenie, gdy odpowiedź Berniego zadudniła z taśmy, a następnie słuchał reszty rozmowy, wpatrując się z kamiennym obliczem w noski swoich butów.

- „Jeśli powiesz nam się sprawa ze Stateside, być może ten dupek Fox wreszcie przestanie mnie kontrolować i krytykować”. - Lloyd wyłączył taśmę.

- Czy jest coś więcej? - Fox podniósł na niego oczy.

- Nic takiego, co chciałbyś usłyszeć.

- Kto to nagrał?

- To nieistotne.

- Takie rzeczy można sfalszować - zauważył Harry.

- Można. Jednak nie zrobiłem tego.

- Nawet jeśli nagranie jest prawdziwe, niczego to nie dowodzi.

- Samo w sobie, nie. Ale jest jeszcze więcej faktów. Lloyd dostrzegł, że szef sam nie wie, co powinien zrobić.

- Wysłuchaj mnie - poprosił. - Jeśli cię nie przekonam, już więcej o mnie nie usłyszysz. Obiecuję.

Ciszę, jaka po tym nastąpiła, zakłócił trzask otwieranych drzwi i nagły ryk z sali bankietowej, gdy jakiś mężczyzna w średnim wieku wszedł do toalety. Popatrzył z ciekawością na Lloyda i Harry'ego, a następnie wszedł do kabiny i przekręcił zamek.

Lloyd czekał. Nie było nic więcej do powiedzenia. Zrobił, co mógł.

- Jutro na śniadaniu - odezwał się Fox spokojnym głosem. - Hotel Ritz, siódma trzydzieści. W południe wylatuję do Nowego Jorku. Daję ci pół godziny.

## Rozdział dwudziesty dziewiąty

Po duchocie na ulicach, gdzie po godzinach pracy panował szaleńczy ruch, hotelowy hol był chłodny i pusty. Sheri szła pierwsza po dywanie Aubusson z głową wzniesioną do góry. Przystojny młody boy hotelowy zręcznie wysunął się przed nią i wyciągnął dłoń w rękawiczce, aby otworzyć drzwi oznaczone napisem: „Bar Hades”. Suze weszła za Sheri do środka i zanurzyła się w ciemnościach.

Gdy jej wzrok przyzwyczał się do mroku, dostrzegła mały pokryty blachą kontuar oświetlony błękitnymi żarówkami. Stojący za nim barman, którego twarz była niewidoczna w cieniu, wydawał się na tym tle biały. Stoliki tuliły się do ścian, każdy z nich otaczały głębokie pluszowe fotele. Przy większości nikt nie siedział. Nie było tu okien. W takim miejscu, pomyślała Suze, bogata kobieta może spotykać się z tajemniczym kochankiem - lub też z handlarzem narkotyków.

Był to wieczór poprzedzający spotkanie z ludźmi z Passion i Suze znowu pracowała do późna, kiedy Sheri wpadła nagle do jej gabinetu, nalegając, żeby wyszły razem napić się czegoś.

- Czy jutro nie jest twój ostatni dzień pracy u nas? Chodź, musimy to uczcić!

To była tamta Sheri, która olśniła Suze pierwszego dnia pracy w Nowym Jorku - przekonująca, pewna siebie - taka, której nie można się oprzeć. Wzięta przez zaskoczenie, nie mogła znaleźć powodu, dla którego nie miałyby pójść.

### *320 Robyn Sisman*

Usiadły naprzeciwko siebie przy stoliku, na którym stała mała okrągła lampa i miseczka solonych orzeszków najlepszego gatunku. Sheri usadowiła się na fotelu z pełnym zadowolenia westchnieniem.

- Uwielbiam to miejsce. Prawie nikt w Nowym Jorku nie wie o jego istnieniu.

- Jest wspaniale - przyznała Suze, rozkoszując się uczuciem, że należy do nielicznych wybranych.

- A więc co powiesz? - spytała Sheri, kiedy pojawiły się dwie Krwawe Mary. - Czy jesteśmy gotowi na jutrzejszy dzień?

Suze podniosła schłodzoną szklanę do ust, czując się nieco perfidnie.

- Wszyscy pracowali bardzo ciężko - odparła wymijająco.

- Ty na pewno tak. - Szefowa kiwnęła głową z aprobatą. - Gratuluję ci, Susanno. Miałam wrażenie, że Anglicy robią dużo przerw na herbatę i wychodzą wcześniej do domu.

- W rzeczywistości mamy najdłuższy czas pracy w Europie. To kwestia stylu - wyjaśniła Suze. -

Lubimy udawać, że wszystko przychodzi nam bez wysiłku.

- Jakie to dziwne! Wy, Anglicy, jesteście dla mnie tajemnicą. Zastanawiam się, co jeszcze ukrywasz?

Suze bawiła się miseczką z orzeszkami. Czy to jakaś aluzja? Jednak Sheri uśmiechnęła się promiennie i zmieniła temat.

- Powiedz mi, kiedy odlatujesz do domu?

- W sobotę rano. - Suze poczuła niepokój oczekiwania.

- Wrócisz tu - zapewniła ją tamta. - Na całym świecie nie ma takiego drugiego miejsca jak Nowy Jork.

Pomogłabym ci znaleźć tutaj pracę, gdybyś tylko chciała.

- Bardzo bym chciała - oświadczyła Suze z zapalem i wtedy przypomniała sobie, dlaczego będzie to niemożliwe. - Może pewnego dnia.

Sheri pogroziła jej palcem.

### *Zupełnie obcy ludzie 321*

- „Pewnego dnia” to zwrot, który nie figuruje w moim słowniku. Okazje nie zdarzają się dwa razy. Trzeba brać to, czego się pragnie, z tacy z cukierkami. - Machnęła ręką wielkopańskim gestem. - Kelner! Prosimy jeszcze dwie Krwawe Mary.

Zaskoczona Suze zobaczyła, że szklanka jej szefowej jest już pusta. Wydawało się, że dzisiaj wieczorem, ten jeden raz, Sheri uznała, że jest już zwolniona ze swych relacji służbowych.

- Tak wiele kobiet rujnuje sobie karierę - mówiła dalej. - Zachodzą w ciążę lub nie chcą wziąć na siebie odpowiedzialności, czy też wpatrują się baranim wzrokiem, gdy jakiś facet łapie ważne stanowisko. - Aż syczała z odrazy. - Spójrz na mnie: mam wspaniałą pracę, dobry adres, pieniądze w banku. Mogłabyś mieć to samo. Sekret tkwi w tym, aby wiedzieć, czego się chce, i nie pozwolić niczemu - lub nikomu - stanąć ci na drodze.

Suze próbowała wyobrazić sobie samą siebie w luksusowym mieszkaniu gdzieś na dachu drapacza chmur w Nowym Jorku lub Londynie, z ważnym stanowiskiem, dużą pensją i olśniewającą garderobą. Czy właśnie tego chce?

- Nie zrozum mnie źle, nie jestem jedną z feministek - dodała Sheri z pogardą. - Wiem tylko, czego chcę od życia.

- A co z mężczyznami?

- Pewnie, mogą się przydać - szczególnie starsi, żonaci, którzy nie chcą uprawiać seksu zbyt często. - Sheri mrugnęła do niej.

- Nie. Mam na myśli poważny związek. - Suze zrobiła przeproszającą minę, wypowiadając to słowo. - Chodzi mi o miłość.

- Ja nie kocham, Susanno, ja się pieprzę. Właśnie tego chcą mężczyźni i robię to dobrze. - Wykrzywiła twarz. - Miałam sporą praktykę.

- I nigdy nie chciałaś wyjść za mąż?

- Dlaczego mam kupować, jeśli można wynająć? W małżeństwie dzieje się zawsze tak, że przestajesz

robić to, co chcesz, i zaczynasz robić to, czego życzy sobie twój mąż - czyli chodzić do supermarketów, bawić jego przyjaciół, utrzymywać w porządku dom, przenosić się do nieznanego miasta ze względu na jego pracę. To wszystko, oczywiście, zamiast twojej własnej kariery. Później, gdy już jesteś zupełnie zniszczona, on mówi ci, że przestałaś być już taka jak dawniej, i przenosi się do żony numer dwa. Komu to potrzebne?

Suze skinęła głową. Często sama głośno wyrażała podobne poglądy.

- A ja się bardzo boję, że wyjdę za mąż za faceta, który będzie wieszać marynarkę w samochodzie - wyznała.

- Są gorsze rzeczy. - Głos Sheri stał się twardszy. - Na przykład mężczyźni, którzy notorycznie biją swoje żony, a potem zostawiają je na jakimś parkingu w przyczepie samochodowej z gromadą dzieciaków i bez pieniędzy.

- Pomimo to przypuszczam, że małżeństwo nie musi być aż tak złe. - Suze pomyślała o własnych rodzicach. - Dwoje dorosłych ludzi może po prostu lubić żyć razem.

- Z całą pewnością. To się nazywa seks.

- Nie. Chodzi mi o... - Przerwała, zażenowana własnymi myślami. W głębi duszy wyobrażała sobie, jak zwinięta w fotelu czyta książkę, z nieumytymi włosami i w starych dżinsach, a obok niej siedzi mężczyzna, który przygląda jej się i mówi: „Kocham cię”, i twierdzi to całkiem poważnie. Obraz ten wyglądał jednak teraz zbyt staromodnie, aby opisać go słowami. Zamiast tego spytała: - Czy nigdy nie chciałaś mieć dzieci?

Sheri machnęła ręką, pokazując, że nie ma to dla niej znaczenia.

- Moje mieszkanie jest takie małe. Gdzie bym je pomieściła? Posłuchaj mojej rady, Susanno. Jeśli chcesz odnieść sukces w tym świecie tak jak ja, nie możesz sobie pozwolić na marnowanie czasu na jakieś głupie związki.



### *Zupełnie obcy ludzie 321*

Suze pomyślała o latach zmarnowanych z Lawrence'em - zmarnowanych nie dlatego, że poślubił kogoś innego, ale ponieważ trzymał ją na uwięzi gwoli własnej wygody. Nigdy wcześniej nie patrzyła na to w taki sposób. A po Lawrence'ie pojawił się Nick. Tam, gdzie oczekiwała romansu, znalazła ból i poniżenie. Ciemności ją ośmieliły.

- Czy mogłabym ci zadać pewne pytanie?

- Zaczynaj.

- Czy to prawda, że poprosiłaś Nicka Bianco, aby mnie gdzieś zabrał?

- A nie przypadł ci do gustu? - Sheri wyglądała na zaskoczoną. - Mogę cię zapewnić, że w pewnych kręgach uważany jest za jednego z najbardziej godnych pożądaniami mężczyzn w mieście.

- Jest bardzo czarujący - przyznała Suze. - Niestety, nic z tego nie wyszło.

Sheri roześmiała się na cały głos.

- Nie spodziewałam się, że poślubisz tego faceta, ale każdej dziewczynie od czasu do czasu należy się od życia jakaś przygoda.

- Nick dał mi do zrozumienia, że zaproszenie mnie było czymś w rodzaju przysługi wyświadczonej tobie. - Mężczyźni często mówią za dużo.

- A więc to prawda?

Twarz Sheri rozjaśniły iskielki wewnętrznego rozbawienia.

- W pewnym sensie. Musisz pamiętać, że nie znałam cię wtedy tak dobrze. Może nie chciałam, abyś zadawała zbyt dużo pytań na temat swej pracy.

- Dlaczego miałabyś się tym przejmować?

Sheri przerwała, aby nad czymś się zastanowić, a potem pochyliła się nad stolikiem w stronę Suze.

Światło lampki zaostriło cienie pod jej ostrymi kośćmi policzkowymi oraz wysuniętą brodę.

- Dopuszczę cię do tajemnicy. Pracowałam nad małą taktyką ubezpieczeniową, na wypadek gdyby ci z Passion zdecydowali, że nie pozostaną z nami.

324 *Robyn Sisman*

- Nie rozumiem. - Suze otworzyła szeroko oczy.
- Chodzi o to, że przypadkowo mam dobre kontakty w Stateside.
- A więc? - Suze starała się, aby jej głos brzmiał obojętnie.
- I jestem pewna, że będę mogła ściągnąć ich do naszej firmy, jeśli Passion odejdzie - skończyła Sheri zadowolona z siebie.
- A więc, tak czy inaczej, wygrasz. Jakie to sprytne. Chyba nie jestem aż tak odważna, aby spróbować zrobić coś podobnego. Czy nie przeszkadzał ci konflikt interesów klientów?

Nozdrza Sheri poruszyły się z pogardą.

- Zasady są dla nic nieznaczących ludzi. Trzeba widzieć ostateczny obraz.

Pomimo wszystko Suze nie mogła stłumić przelotnego podziwu dla tej kobiety, umiejącej manipulować tak dużymi przedsiębiorstwami dla swoich własnych celów. W jej planach widoczna była pomysłowa symetria. Suze poczuła przypływ poczucia winy z powodu tego, co zamyślała wraz z Lloydem. Nadal nie było jeszcze za późno, aby sprzymierzyć się z Sheri i zapewnić sobie olśniewającą przyszłość w Nowym Jorku.

- Susanno, jeśli czegoś chcesz, musisz wyciągnąć rękę i to podsycić - przekonywała ją tamta z zapalem. -Dlaczego nie? Masz talent i odwagę. Nie chcesz chyba pozostać nikim, nieprawdaż?

- Nie - odpowiedziała niepewnie Suze i odwróciła wzrok.

W małym barze zgromadziło się teraz więcej niewyraźnych postaci. Suze obserwowała, jak rozmawiają ze sobą półgłosem w ciemności niczym księża i grzesznicy w konfesjonale. Światło odbijało się w sygnecie tworząc całość z owłosioną dłonią jakiegoś mężczyzny i zatrzymywało na załamaniu łydki obciążonej połyskującą pończoszką. Suze zmrużyła oczy i wyteżyła wzrok, nagle mając wrażenie, że na wpół oślepla.

*Zupełnie obcy ludzie 323*

- Musisz walczyć o to, czego chcesz, Susanno. - Oczy Sheri błyszczały. -i pamiętaj, że my, dziewczyny, mamy nad nimi przewagę.

- W czym?

- Możemy sprawić, że mężczyźni robią to, czego chcemy. - Sheri uśmiechnęła się zmysłowo. - Pamiętam, jak byłam małą dziewczynką, może dziewięcioletnią, i przyjechało do nas wesołe miasteczko. Nie miałam pieniędzy, aby tam pójść, ale znalazłam w płocie dziurę, przez którą mogłam się przecisnąć do środka. I to właśnie było to, czego chciałam. Wszystkich tych świateł i magii oraz strojów w jaskrawych kolorach. Ogromnie zapragnęłam pięknej lalki, która stanowiła pierwszą nagrodę na strzelnicy. Miała prawdziwe włosy i długą sztywną spódnicę obszytą cekinami i koronką. Była taka doskonała, taka czysta. Nigdy w całym moim życiu nie miałam nowiutkiej zabawki. Co wieczór tam przychodziłam i wpatrywałam się w nią jak w obraz. Ostatniego wieczoru jarmarku właściciel tego stoiska powiedział mi, że dostanę ją w prezencie, jeśli go pocałuję. No cóż, wyglądał na typa, który ma złe myśli, i okazało się, że chodzi o trochę więcej niż o całusa, ale nie było najgorzej. I dał mi tamtą lalkę! Nie mogłam uwierzyć, że to takie łatwe.

Suze wytrzeszczyła oczy ze zdumienia, zbyt zaszokowana, aby coś powiedzieć. Ona również bywała w wesołych miasteczkach i pragnęła kolorowych nagród w złym guście, ale zawsze chodziła tam, trzymając mocno ojca za rękę lub też siedząc wysoko na jego ramionach.

- Gdzie jest teraz twoja rodzina? - spytała.

- Kto wie? - Sheri dopiła resztkę drinka. - Twierdzę, że świadomość celu jest kluczem do sukcesu. Gdy inni wokół wahają się, jak postąpić, można im sprzątnąć nagrodę prosto sprzed nosa.

- Jak na przykład Lloydowi Rockwellowi? - Suze spytała odważnie.

- Lloydowi? - Sheri zmrużyła oczy, jak gdyby ledwo go sobie mogła przypomnieć. - Nie był nawet taki zły,

324 *Robyn Sisman*

na swój biały anglosaski protestancki sposób. Zawsze najłatwiej poradzić sobie z tymi grzecznymi lalusiami ze szkół prywatnych. Nawet udało mi się tak nim manipulować, że raz próbował się do mnie przystawiać! -Parsknęła zduszonym śmiechem. - Trwało to tylko sześćdziesiąt sekund, ale później już go zawsze trzymałam w garści.

Suze poczuła, jak zalewa ją fala wstrętu. A kiedy się spod niej wynurzyła, wszystkie wcześniejsze obiekcje zniknęły. Po raz pierwszy ujrzała wyraźnie Sheri, jak żeruje na energii i talencie innych. Obraz tamtej, siedzącej okrakiem na Berniem na czarnej kanapie, pojawił się nagle przed oczami Suze, napelniając ją obrzydzeniem. Ta kobieta jest pasożytem bez pomysłów i kreatywności; zamiast duszy ma pustkę.

Nagle Suze zapragnęła stąd wyjść. Ostentacyjnie spojrzała na zegarek.

- Ojej, muszę już lecieć. Wydawało się, że Sheri jej nie słucha.

- Zwycięzcy i przegrani - mamrotała - tylko o to chodzi. - Ścisnęła Suze za ramię. - Możesz wygrać, tak jak ja!

Suze się nie poruszyła. Czowała wilgotną dłoń tamtej, ciepłą na swym nagim ramieniu. Zobaczyła jej różowe wypolerowane paznokcie z doskonałym lakierem, drogi elegancki zegarek, którego złoty łańcuszek oplatał szczupły nadgarstek. Jest taka samotna, zdała sobie sprawę Suze z odrobiną litości. Wstała gwałtownie od stolika.

- Dziękuję ci za drinki. Muszę jeszcze skończyć pracę - wyjaśniła.

- To ci dopiero dziewczyna! - Sheri pod wpływem alkoholu mówiła lekko niewyraźnie. - To właśnie mi się w tobie podoba, Susanno. Jesteśmy do siebie podobne!

## Rozdział trzydziesty

Analiza pokazuje, że czterdzieści dwa procent małżeństw zamierza pojechać do Europy w najbliższej przyszłości... - Sheri stuknęła wskazówką w linie wykresu na ekranie. Tego ranka ubrana była w czerwień o odcieniu wozu strażackiego. Wyglądała cudownie.

**Suze** kurczowo złapała się brzegu krzesła, jej serce waliło gwałtownie. Przez całą niemal noc leżała w łóżku, nie mogąc spać i zamartwiając się o wszystko. Od szóstej rano ona i Dee Dee były już w biurze, robiąc przygotowania. Co będzie, gdy im się nie uda? Jeśli się mylą? A jeżeli...? Suze udało się skoncentrować na mężczyźnie siedzącym pośrodku przy stole obrad. Twarz Rossa Bannermana, założyciela Passion, wydawała się bardziej znana niż twarz prezydenta; chyba nie można było otworzyć gazety czy też kolorowego czasopisma, by nie zobaczyć gdzieś jego szerokiego uśmiechu. To dziwne uczucie widzieć go teraz tutaj tak blisko, z Tuckerem, dyrektorem marketingu, i jeszcze z jakimś współpracownikiem, którego nazwiska nie uchwyciła. Zastanawiała się, co sądzą o propozycjach Sheri.

Od początku Sheri wkładała w swe wystąpienie ogromny wysiłek. Nalegała, aby wcześniej przeprowadzić próbę, i teraz, gdy Suze widziała ją w akcji po raz drugi, uświadomiła sobie, że każde słowo, jakie z patosem wypowiadała tamta, zostało napisane wcześniej. Suze było jej niemal żal: tak bardzo się starała, ona

zaś i tak wiedziała, że cała ta koncepcja jest z punktu widzenia Passion niedobra. Nawet droga i elegancka garsonka szefowej kłóciła się ze swobodnymi strojami ekipy Bannermana - wszyscy przyszli bez krawatów.

Harry wydawał się spokojny tak jak zawsze. Skinął Suze na powitanie, gdy wszedł do sali, ale nic nie powiedział.

Bernie otworzył zebranie, ustosunkowując się do „incydentu z Rockwellem”. To oczywiście godne pożałowania, powiedział, ale Lloyda zwolniono i cała sprawa jest zamknięta. Dzisiejsze zebranie ma na celu zaplanowanie przyszłych posunięć, a nie rozwodzenie się nad przeszłością. Schneider Fox opracował całkowicie nową kampanię, spełni pragnienie Passion, aby zastąpić Stateside jako główne przedsiębiorstwo działające w lukratywnym biznesie, którym są transatlantyckie przewozy lotnicze. Kampanię tę prowadzić będzie osoba zajmująca obecnie stanowisko Rockwella - Sheri Crystal. Po dobrej półgodzinie bzdurnego gadania Sheri przedstawiła minutowy film pokazujący, jak biznesmen podaje rękę koledze przed budynkiem biura; jak relaksuje się pod opieką atrakcyjnej (lecz nie nazbyt atrakcyjnej) załogi samolotu; a następnie, jak wita go żona z dziećmi na lotnisku w hali przylotów. Kobięcy głos chwalił się szeptem: „Bardziej dbamy o ciebie”; ten sam napis towarzyszył pojedynczym fotosom z filmu umieszczonym na szeregu druków i makietach tablic reklamowych. Zostało to dobrze przygotowane - Suze wykonała większość pracy sama - ale treść była banalna. Kiedy taśma się skończyła, nastąpiła głucha cisza.

- Dobrze, prawda? - spytał Bernie z drażniącą do-broduszością.

Sheri ponownie zajęła miejsce przy stole i spoglądała w dół, bawiąc się długopisem.

Bannerman i Tucker wymienili spojrzenia; Suze wstrzymała oddech. Wtedy odezwał się Ross:

### *Zupełnie obcy ludzie 327*

- Muszę wyznać, że to nie to, czego się spodziewaliśmy po waszej firmie. W przeszłości zawsze proponowaliście coś, co opierało się na cechach odróżniających Passion od innych linii. Będziemy musieli przemyśleć tę propozycję.

- To jest mdłe - stwierdził otwarcie Tucker. -1 mogłoby równie dobrze być reklamą Stateside. Sheri otworzyła usta, aby coś powiedzieć, ale zamknęła je bez słowa. Bernie zdobył się na najbardziej ujmujący uśmiech.

- No cóż, z całą pewnością doceniamy pana szczerość - oświadczył. - Jak sądzę, będziemy musieli nad tym jeszcze trochę popracować.

- Myślę, że będziemy zmuszeni przeprowadzić badania nad alternatywnymi opcjami - odparł brutalnie Tucker i zaczął zbierać swoje papiery.

Suze przełknęła ślinę. Musi przemówić już, zanim będzie za późno.

- Wobec tego uważam, że będziecie zainteresowani obejrzeniem naszej alternatywnej prezentacji - oznajmiła, mając nadzieję, że gdy to proponowała, robiła wrażenie bardziej pewnej siebie, niż czuła się w istocie. Kątem oka dostrzegła, jak Bernie patrzy pytająco na Sheri, a ta potrząsa głową. Modliła się, aby Dee Dee była gotowa. - To nie zajmie dużo czasu - przekonywała dalej. - Chcę pokazać uproszczony zarys pomysłu na wideo - tylko tyle, by dać wam ogólne pojęcie - i zanim ktokolwiek zdołał powiedzieć jej, aby tego nie robiła, włożyła jeszcze jedną taśmę.

Odtworzenie taśmy, na której przygotowanie poświęciła całe godziny, zajęło tylko minutę. Po dwudziestu sekundach Bannerman się uśmiechał; po pięćdziesięciu już się śmiał.

- To o to chodzi! - Uderzył w stół. - To o wiele bardziej nas przypomina niż ta pierwsza prezentacja, o wiele bardziej przypomina reklamy, które już dla nas robiliście. - Mówiąc to, przesunął wzrok od Suze na miejsce, gdzie siedział Harry. Zapadło milczenie.

330 *Robyn Sisman*

Dee Dee, gdzie jesteś? - krzyczała w duchu Suze.

- Jestem zadowolona, że pan to przyznaje, panie Bannerman - wtrąciła Sheri spokojnie. - Właśnie to było naszym celem. Pomyśleliśmy, że najpierw spróbujemy z tamtą prezentacją, ale to jest opcja, która uważamy za najlepszą.

- Rozumiem - odpowiedział Bannerman trochę niepewnie. - No cóż, wystrychnęliście mnie na dudka. W każdym razie trzymajmy się tej drugiej.

- Będzie to nasz priorytet numer jeden. - Sheri obdarzyła go olśniewającym uśmiechem.

Ujdzie jej to na sucho, pomyślała Suze, czując, jak ogarnia ją coraz większa panika. Lloyd i ona sama wykonali tak wielką pracę i tylko po to, aby teraz Sheri skorzystała! Popatrzyła wokół stołu.

Bannerman i jego ekipa zbierali się już do wyjścia. Sheri odzyskała panowanie nad sobą, a Bernie uśmiechał się promiennie. Jedynie Harry siedział absolutnie nieruchomo.

- Jeszcze jedna rzecz, pani Crystal - zwrócił się do niej Tucker. - Ta wspaniała muzyka w tle. Brzmi znajomo, ale nie wiem, skąd ją znam. Co to było?

- To jest... hm... ach... Och, to takie głupie, ale właśnie wyleciało mi z pamięci. - Sheri popatrzyła pytająco na Suze, która napotkała jej wzrok, lecz się nie odzywała.

- Susanno? - spytała Sheri, a w jej głosie pobrzmiwała panika.

Przez kilka sekund wpatrywały się w siebie w milczeniu. Suze uświadomiła sobie, że Bernie porusza się niespokojnie.

-To Miles Davies, melodia z albumu „Kind of Blue” - dał się słyszeć głos Lloyda, a Suze niemal rozplakała się w poczuciu ulgi. Na ekranie wideo słysząc było głośnie trzaski zakłóceń i nagle pojawiły się rysy męskiej twarzy. - John Coltrane przy saksofonie, a Bill Evans przy pianinie - dodał. Cisza wyrażająca oszołomienie przerodziła się w zgiełk.



*Zupełnie obcy ludzie 329*

- Co, u diabła, on tu robi? - spytał Bernie.

Nie ma go tutaj, pomyślała Suze, dławiąc histeryczny chichot. Twarz Sheri robiła wrażenie skamieniałej ze strachu. Ekipa Passion szeptała do siebie nawzajem.

- On tu jest, a przynajmniej ma z nami połączenie przez wideotelefon na moje zaproszenie - wyjaśnił Harry Fox ostrym tonem. - Rockwell w zarysie przedstawił mi tę propozycję w Londynie wczoraj rano. I przekonał mnie, że nie odpowiada za przeciek listy rezerwacji Passion do Stateside.

Bernie obrzucił go ostrym spojrzeniem. Wyglądał na zmartwionego.

- Mów dalej - zachęcał go Bannerman.

- Myślę, że Rockwell powinien sam ci o wszystkim powiedzieć - odrzekł Harry. - Zaczynaj, Lloyd.

- Dziękuję ci, Harry - odezwał się Lloyd. - Kiedy oskarżono mnie o udostępnienie danych firmie Stateside, nie mogłem zrozumieć, co się stało. Przez pierwszy tydzień po tym, jak mnie wylano, wyznaję, że nie wiedziałem, co robić. Wtedy pewien dobry przyjaciel -urwał na chwilę - zachęcił mnie, bym spróbował oczyścić się z zarzutów, i postanowiłem spróbować odkryć, co jest grane.

Suze stała jak wryta na środku sali, patrząc na ekran. To był Lloyd - mężczyzna z fotografii i głos z telefonu w końcu złożone w całość. Miał na sobie ciemny garnitur i gładką jasną koszulę, jak mu poleciła, aby prezentował się dobrze na ekranie. I rzeczywiście wyglądał dobrze; prawdę mówiąc, wyglądał nawet wspaniale. Jego tyvarz wyrażała spokój i pewność siebie. Miał niebieskie oczy.

- Zacząłem od telefonów do klientów Passion - mówił dalej Lloyd - i stwierdziłem, że z wieloma z nich skontaktował się już ktoś ze Stateside. W jakiś sposób uzyskali dostęp do listy, jak słusznie wywnioskowałeś, Harry. Wiedziałem, że to nie ja jestem odpowiedzialny za przeciek i że ktoś próbował zwalić wszystko na mnie, umieszczając wiadomość telefoniczną tam, gdzie

było prawdopodobne, iż zostanie odkryta. To sugerowało, że obok mnie jest ktoś, kto usiłuje zatrzeć ślady.

- To właśnie mówiłam! - Sheri spojrzała na Bernie-go z wyrzutem, ale nie zwrócił na nią uwagi.

- Z drugiej strony - kontynuował Lloyd - nie był to ktoś, kto dobrze znał procedury posługiwania się takimi listami. Każdy, kto ma o tym pojęcie, wiedziałby, że umieściliśmy tam nazwiska podstawionych osób, aby nie dopuścić do tego rodzaju przestępstwa. Zadzwoń do jednej z takich osób we wtorek wieczorem - do mojej siostry. Oczywiście ktoś ze Stateside usiłował się z nią skontaktować.

Bannerman i jego współpracownicy wpatrywali się w ekran, chłonąc słowa Rockwella. Suze widziała, jak Tucker coś notuje.

- Moim następnym krokiem była próba odkrycia, kiedy doszło do ujawnienia listy. Jak niektórzy z was wiedzą, Schneider Fox ma bezpośredni dostęp do danych dotyczących rezerwacji Passion. Wcześniej w tym tygodniu uzyskałem uaktualnioną listę podróżnych. Dzwoniąc do dużej liczby klientów i porównując daty rezerwacji tych osób, z którymi kontaktowały się linie Stateside, z datami rezerwacji pasażerów, z którymi się nie skontaktowano, zdołałem ustalić z dokładnością co do kilku dni, kiedy nastąpił ów przeciek.

- Do czego nas to prowadzi? - spytał Bannerman.

- No cóż, po pierwsze - wyjaśnił Lloyd - było to, gdy wyjechałem już z Nowego Jorku, a więc nie miałem wtedy bezpośredniego dostępu do danych Passion. To przemawia za mną - chociaż oczywiście mogłem przekazać listę klientów z Londynu przy pomocy jakiegoś współpracownika z firmy.

Suze zauważyła, że Harry się uśmiecha.

- Ale jest jeszcze inny, o wiele bardziej istotny aspekt owej sprawy - ciągnął Rockwell. - Aby wydobyć te dane, należy skorzystać z hasła. Każda z kilku upoważnionych osób mających dostęp do ukrytych informacji posiada swoje własne hasło. Dla ochrony hasła te

### *Zupełnie obcy ludzie 333*

są utajnione. Znam moje, ale nie znam haseł moich kolegów. Jednak komputer je zna i będzie w stanie powiedzieć nam, kto wydobywał dane w czasie, kiedy nastąpił przeciek do Stateside. Jak się domyślam, ktokolwiek to zrobił, nie wiedział, że jego hasło zostanie wtedy zapisane.

Sheri zaczęła się krztusić i wstała.

- Mam nadzieję, że nikt z was nie traktuje tego poważnie - oświadczyła. - W oczywisty sposób ktoś nas wrabia. A wszystko to ukartowane zostało przez Lloyda Rockwella i jego współpracowniczkę, Susanne Wilding. - Wskazała na Suze. - Rockwell okazał się nielojalny, a teraz ta Angielka także zaczęła robić coś za moimi plecami. Nie byłabym zaskoczona, gdybym się dowiedziała, że to właśnie ona przekazała Rockwellowi tajne informacje dotyczące klientów, po tym jak go wyrzucono z naszej agencji...

Zatrzymała się dla większego efektu dramatycznego i przez chwilę Suze myślała, że Sheri może jeszcze zdobyć sympatię zebranych. Wtedy jednak odezwał się Bernie:

- Pani Crystal, począwszy od tego momentu, udzielam pani urlopu na czas nieokreślony. Proszę natychmiast opuścić ten budynek.

Sheri zamarła. Spojrzała na Berniego, a potem, nie widząc żadnej jego reakcji, zwróciła się najpierw do Harry'ego, następnie zaś do Bannermana. Odwrócili wzrok. Gniew zapłonął na jej twarzy. Rysy, które kiedyś Suze tak bardzo podziwiała, teraz stały się brzydkie: miała szeroko otwarte oczy, a jej wargi wykrzywiły się w grymasie wściekłości, odsłaniając perłowe zęby. Wyglądała jak lalka Barbie z elektrycznym napędem. Chwyła walizeczkę i ruszyła szybko do wyjścia.

- Otrzymacie wiadomość od moich prawników - oświadczyła i wyszła, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Bernie odezwał się pierwszy.

- Rockwell, jestem ci winien przeprosiny. Proszę,

uważaj się za przywróconego z honorem na dawne stanowisko.

Harry zakaszłał.

- Prawdę mówiąc, Bernie, już mu zaproponowałem posadę w biurze w Londynie.

Suze widziała, że Lloyd stara się zachować spokój, ale jego twarz rozjaśniła się radością i ulgą. Sama Suze bez przerwy uśmiechała się zachęcająco do niego, jak gdyby mógł ją zobaczyć.

- Jezu, ludzie, co to za przedsięwzięcie? - spytał Bannerman. - Słuchaj, Lloyd, gdy ci dwaj walczą o ciebie, dlaczego nie zmienisz łajby i nie przyjdiesz raczej pracować dla mnie? Jeśli możesz spotkać się ze mną tu, w Nowym Jorku w poniedziałek, porozmawiamy na ten temat.

- Dzięki wszystkim. - Rockwell uśmiechał się teraz od ucha do ucha. - Pochlebia mi wasze zaufanie. - Jeśli nawet mówił nieco ironicznie, nie można było tego poznać. - Dziś rano nie miałem widoków na pracę, a teraz otrzymałem trzy znakomite oferty. Mam nadzieję, że zrozumiecie, jeśli kilka dni poświęcę na podjęcie decyzji odnośnie do mojego następnego kroku.

Schneider, Fox i Bannerman chórem wydali z siebie odgłosy świadczące o tym, że się zgadzają. . - Chciałbym tylko powiedzieć jeszcze jedno - dodał Lloyd - to znaczy wyrazić uznanie Susannie Wilding. Wierzyła we mnie, kiedy nikt inny już we mnie nie wierzył. Zachęciła mnie, abym zaczął walczyć i oczyścił swe imię. A ta kampania Passion jest w tym samym stopniu wynikiem jej pracy co mojej. Suze, dzięki za wszystko.

Lloyd uśmiechnął się z ekranu. Wtedy nastąpił trzask i jego postać znikła.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Czy tu nie jest uroczo? - Matka Betsy z aprobującą cym uśmiechem dokonała inspekcji imponującej jadalni i pozwoliła Lloydowi wysunąć dla siebie krzesło. - O wiele bardziej mi się podoba tutaj niż przy tym małym stoliku koło kuchni, jaki chcieli nam dać. Nie można pozwolić tym ludziom, aby uszły im na sucho takie posunięcia. - Usadowiła się na krzesło, skąd był najlepszy widok na mały ogródek, gdy tymczasem Betsy i Lloyd zajęli miejsca po obu jej stronach.

Betsy wydała z siebie nieznaczne westchnienie ulgi. Zanim wybrała ten hotel, spędziła całe długie dni na poszukiwaniach. Można było dojść stąd pieszo do Harrodsa i hotel miał charakter - matka zwracała ogromną uwagę na charakter - a także nowoczesne łazienki i czyste materace; Betsy sprawdziła to wszystko wcześniej. Jedyne potknięcie, jakie wydarzyło się do tej pory, dotyczyło czterdziestawatowej żarówki w lampce na stoliku, ale szef obsługi pokoiów obiecał, że zastąpi ją mocniejszą, gdy tylko ktoś będzie wolny, by pójść do sklepu. Spojrzenie Betsy wędrowało swobodnie po wysokiej sali ozdobionej scenami myśliwskimi w ramach, połączanymi lampami na ścianach i wyszukaną sztukaterią. Wywoływała wrażenie chłodu, ale za to wydawała się tak nieodparcie angielska. Większość stolików pozostała pusta. Betsy rozpoznała rodaków w kilku pozostałych gościach przybyłych na kolację, przyzwyczajonych, aby

jeść wcześniej niż Brytyjczycy - dochodziła dopiero szósta trzydzieści.

Przyjrzała się uważnie menu, z zadowoleniem stwierdzając, że jedzenie nie jest zbyt wyszukane. Była głodna, ponieważ przez cały dzień nie miała nic w ustach, pomijając niezbyt świeżego rogalika kupionego na lotnisku Heathrow. Tego ranka sama podróżowała metrem, aby spotkać się z mamą, ponieważ Lloyd oświadczył, że jest zbyt zajęty, aby jej towarzyszyć. Na szczęście pani Rennslayer spokojnie przyjęła wyjaśnienie, że nie mógł wyjść z biura w zwykły dzień pracy. Narażanie mamy na podróż powrotną metrem nie wchodziło, oczywiście, w rachubę, chociaż fakt, że taksówka kosztowała niemal sto dolarów, był irytujący, a dotarcie do hotelu zabrało całe wieki z powodu tłumu dojeżdżających do pracy. Być może lepiej się stało, że Lloyd nie pojechał na lotnisko. To takie ważne, aby dzisiejszy wieczór się udał.

Na razie wszystko było w porządku. Lloyd grzecznie zapytał matkę o podróż. Betsy знаła już całą opowieść o opóźnieniach i zbyt małej liczbie wózków bagażowych na skutek strajku pracowników Stateside.

- Widzi pani, pomimo wszystko należało wybrać Passion - dogadywał Lloyd. - Te linie opiekują się zarówno swymi ludźmi, jak i pasażerami, a więc nikt nie musi strajkować.
- Myślę, że należy za to winić angielski system opieki społecznej. Nie wydaje się, by tutaj ludzie chcieli pracować. Na lotnisku Kennedy'ego nie było żadnych problemów.
- Proszę, mamó, nie wnikajmy w to głębiej. - Betsy chciała zażegnać potencjalny spór. Doświadczenie nauczyło ją, że polityka nie jest idealnym tematem rozmów matki z Lloydem.
- Drinki, proszę pana? - Kelner stanął przy ich stoliku z ołówkiem zawieszonym w powietrzu i przymilnie uniesioną głową.

### *Zupełnie obcy ludzie 337*

- Gzy podajecie tu mrożoną herbatę? - spytała matka Betsy.

- Och, myślę, że stać nas na coś więcej. - Lloyd usiadł w swobodnej pozie na krześle.

Wyglądał na zrelaksowanego, a przy tym wydawał się nadzwyczaj przystojny, pomyślała Betsy, nawet jeśli sprawiał wrażenie trochę zaniedbanego. Kiedy wróca do domu, powie mu, że powinien obciąć włosy. Teraz nachylił się z promiennym uśmiechem do nich obu.

- Napijmy się szampana.

Betsy dostrzegła, że jej matka podejrzanie marszczy brwi.

- Czy mamy coś uczcić?

- Wiele rzeczy - odpowiedział wesołym tonem. - Włączając w to pani przybycie do Londynu, pani Rennslayer.

- Och, dziękuję ci, Lloydzie, kochanie. Wiesz, teraz, kiedy będziesz należeć do rodziny, naprawdę myślę, że nadszedł czas, abyś zaczął mówić do mnie po prostu „Happy”. No, chyba że wolisz „mamo”.

^ - Cokolwiek cię uszczęśliwi, Happy. - Mrugnął do Betsy. Obdarzyła go gniewnym spojrzeniem, które oznaczało „zachowuj się najlepiej jak możesz”.

Był w tym figlarnym nastroju, odkąd wróciła do domu, aby się przebrać, zostawiając matkę w hotelu. Popołudnie spędziły na zakupach. Już gdy zbliżała się do drzwi frontowych zmęczona i obciążona dużymi szeleszczącymi torbami, usłyszała, jak ze stereo wydobywa się głośna muzyka. Lloyd leżał na podłodze w salonie. Był w dzinsach i na bosaka, otworzył na oścież wszystkie okna, wokół niego zaś leżały płyty kompaktowe. Gdy tylko zobaczył Betsy, zerwał się na równe nogi, podniósł ją razem z torbami i wszystkimi rzeczami i obnosił z triumfem po pokoju, dopóki nie zaczęła wrzeszczeć, aby ją postawił. Zastanawiała się niemal, czy nie pił, chociaż nie było jeszcze nawet szóstej.

W końcu namówiła go, aby wyłączył muzykę i wyjaśnił, co się stało. Nie potrafiła zrozumieć każdej zawiłości intrygi z wydrukami oraz hasłami komputerowymi i połączeniami wideo, ale wyszły na jaw dwie sprawy. Pierwszą i najcudowniejszą było to, że znowu zaproponowano mu pracę. Betsy uznała ów fakt za oczywisty cud, ułaskawienie na jedenaście godzin przed koniecznością powiadomienia matki o tym, że narzeczony jest właśnie bezrobotny. Nie aż tak bardzo porywająca była świadomość, że główną rolę w rehabilitacji Lloyda odegrała Susanna Wilding. Lloyd wydawał się nieprzyjemnie wylewny w tej sprawie. Przez pewien czas Betsy zastanawiała się, jaka jest owa pani Wilding. Sprawozdanie matki nie za bardzo ją pocieszyło: wyglądała wprawdzie niechlujnie i była bezczelna, ale to typ kobiety, jak przypuszczała matka, który pewni mężczyźni mogą uważać za atrakcyjny. Pomimo to teraz, gdy wszystko w końcu się układało, Betsy mogła sobie pozwolić na wielkoduszność. Przywieziono uroczyście do ich stolika butelkę szampana w srebrnym wiaderku, owiniętą w białą serwetę niczym dziecię królewskiej krwi. Kiedy go rozlano, Lloyd przesunął palcami wokół delikatnej nóżki kieliszka.

- Och, nie - sprzeciwiła się matka Betsy, zanim zdążył przemówić. - Nie możesz sam wznosić toastu na własną cześć. Pozwól mi to zrobić. - Podniosła kieliszek. - Za Betsy i Lloyda i ich wieczne szczęście! - Wypiła małeńki łyeczek i uśmiechnęła się odważnie. Pani Rennslayer nie przepadała za alkoholem. - Kochanie, czy już zdecydowaliście, dokąd się przeprowadzicie? Byłoby tak cudownie, gdybyście zamieszkali blisko nas. Wiesz, że tata i ja czulibyśmy się szczęśliwi, gdybyśmy mogli dopomóc wam finansowo.
- Kto powiedział, że się przeprowadzamy? - Lloyd przeszył Betsy oskarżającym spojrzeniem.
- Tylko to rozważaliśmy - wtrąciła pośpiesznie. -Dlaczego nie zamawiamy jedzenia?



### *Zupełnie obcy ludzie 337*

Kiedy dokładnie objaśniono i omówiono menu oraz wybrano odpowiednie wino,. Lloyd znowu podniósł swój kieliszek z szampanem.

- Dzisiaj wieczorem jest jeszcze coś, za co możemy wypić. Chcę uczcić fakt, że właśnie otrzymałem aż trzy oferty pracy.

Matka Betsy była pod wrażeniem.

- To cudownie, Lloydzie! Czy w końcu zostałeś wiceprezesem?

- Kto przywiązuje wagę do jakichś tytułów? Ważne, aby cieszyć się swoją pracą i mieć poczucie, że wkłada się w nią całą energię. I zgadnij, Betsy? - Spojrzał na nią z ożywieniem. - Zapomniałem ci powiedzieć, że dzisiaj dzwonił Jay. W końcu sprzedał swój film hollywoodzkiemu dystrybutorowi. Czy to nie fantastyczne?

- Kim jest Jay, kochanie? - spytała matka.

- To przyjaciel Lloyd'a. - Betsy jednak nie rozwijała owego tematu. Do tej pory udało jej się ukryć przed matką, że najlepszy przyjaciel Lloyd'a jest, no cóż, homoseksualistą.

- Być może Betsy mówiła pani, że pomogłem Jayowi napisać scenariusz? - Lloyd natomiast postanowił kontynuować ów temat. Przebił krewetkę i przeżuwał ją z upodobaniem. - W gruncie rzeczy sam napisałem większą część tej historii. Jay mówi, że może studio zechce zamówić u mnie następne. - Roześmiał się radośnie. - Uważajcie! Wkrótce się dowiedziecie, że leżę gdzieś obok basenu w hotelu w Beverly Hills, zawierając umowy przez telefon. \*

Pani Rennslayer zeszywniała.

- Hollywood z pewnością nie odpowiadałby Betsy. Panuje tam atmosfera zepsucia.

- Pomyślcie jednak o słońcu - i o oceanie! Mógłbym żyć z tym zepsuciem przez rok lub dwa. Gdybym miał jakieś trudności, zawsze mógłbym grać na pianinie w barach, abyśmy jakoś przetrwali.

Nawiasem mówiąc, Betsy, postanowiłem kupić pianino, kiedy wró-

340 Robyn Sisman

cimy do domu. Znajdzie się na nie miejsce, jeśli wyrzucimy kilka mebli.

Betsy wpatrywała się w swoje *magret de canard* w ponurym skupieniu. Nie lubiła, gdy Lloyd był w takim nastroju. Wiedziała doskonale, że nie miał zamiaru jechać do Hollywood: specjalnie zachowywał się tak wyzywająco.

- Opowiedz mamie o tych prawdziwych propozycjach - poprosiła, mając nadzieję, że skieruje go na właściwy tor.

- No cóż, jedna jest w Passion, ale to nie wiążąca oferta, tylko możliwość. W przyszłym tygodniu spotykam się w Nowym Jorku z samym wielkim szefem. Ach, tak - mówił dalej. - Obawiam się, że oznacza to, iż nie będę mógł towarzyszyć wam w wycieczce.

- Co?

- Lloydzie, nie możesz nas zawieść! - Betsy upuściła z brzękiem nóż i widelec. Miała ochotę się rozplakać. - Kto nam poprowadzi samochód?

Wyglądał na zaskoczonego.

- Obie macie przecież prawa jazdy, prawda? Wybierzcie tylko samochód i pojedziecie. - Podniósł kieliszek i mimochodem wypił łyk. - Już zarezerwowałem bilet na samolot, który wylatuje jutro w nocy. Zanim wrócisz, Betsy, doprowadzę mieszkanie do ładu i załatwię wszystkie formalności związane z pracą.

Zapadła nieprzyjemna cisza. Matka Betsy przykładała serwetkę do ust ze spuszczonej oczami.

- Módlmy się tylko, abyśmy nie złapały gumy - westchnęła - lub nie skończyły zamordowane gdzieś w jakimś dziwnym hotelowym pokoju.

- Oczywiście, że nie! - Lloyd się roześmiał. Betsy nie mogła uwierzyć, że mógłby być tak nieczuły. Dotknęła ręki mamy.

- Poradzimy sobie!

- Wiem, że sobie poradzimy, Betsy. - Pani Renns-layer pocieszająco odwzajemniła jej gest. - Martwi

### *Zupełnie obcy ludzie 339*

mnie jednak taki brak troskliwości. Obawiam się, że to coś, czego jeszcze nie wiesz o mężczyznach.

- Czy dolać którejś z pań wina? - Zadowolony z siebie Lloyd podniósł butelkę.

Był w niemal obraźliwym dla nich dobrym humorze. Zdarzały się w tych dniach takie chwile, kiedy wydawał się zupełnie odmieniony. Betsy zaczęła powątpiewać, czy kiedykolwiek zdoła utrzymać go w ryzach.

- Myślę, że wszyscy już się najedliśmy - odrzekła stanowczym tonem matka. - A mój stek był twardy, zawsze mówię, że nie można przebić amerykańskiej wołowiny.

Betsy widziała, jak Lloyd przygotowuje się, aby jej coś powiedzieć.

- A jaka jest ta trzecia praca? - spytała, by go powstrzymać.

- Biuro Schneidera Foxa w Londynie ma wolny etat. To grupa ludzi odnosząca bardzo duże sukcesy, pani Rennslyer, i jest coraz lepsza w tym, co robi. Muszę powiedzieć, że mam sporą pokusę.

- Ale to niemożliwe! Dla biednej Betsy pobyt poza domem przez te wszystkie tygodnie był już dostatecznie ciężkim przeżyciem. Nie wiem, ile razy dzwoniła do mnie, zanosząc się od płaczu.

Lloyd wyglądał, jak gdyby czuł się zdradzony. Betsy próbowała roześmiać się niby to z lekceważeniem, łagodząc sytuację.

- Mamo, przesadzasz. Na początku wszystko wydawało mi się dość ponure, ale zyskaliśmy dużo interesujących doświadczeń.

- Przyznaję, że czasami musiałem chodzić do pracy - powiedział jej narzeczony zgryźliwym tonem - ale to dało Betsy możliwość pisania pracy i pooddychania trochę angielską atmosferą. Byliśmy na obiedzie i w teatrze, zwiedzaliśmy zabytki. Spędziliśmy nawet uroczy słoneczny weekend na wsi. Betsy podchwyciła współczujące spojrzenie matki.

342 *Robyn Sisman*

- Czy to tam spotkałaś tę okropną kobietę, która nie umiała utrzymać dzieci w karności?
- Ona nie była okropna - zaprotestował Lloyd - tylko czarująca. Jak mogłaś powiedzieć coś podobnego, Betsy?

Zaczynała się czuć jak artysta cyrkowy, próbujący utrzymać równowagę na dwóch galopujących koniach, z których każdy ma własne zdanie i osobowość.

- Dlaczego nie podyskutujemy o tym innym razem? - zasugerowała.

Mama nawet nie zwróciła na nią uwagi.

- Lloydzie, w żaden sposób nie możesz myśleć o zamieszkaniu w Anglii.
- Nie na stałe - zgodził się szybko. - Nie chcę robić niczego na zawsze. Dobrze jest trochę popodróżować, spróbować nowych rzeczy, aby nie dać się uwięzić. Ale muszę wszystko omówić z Betsy, a do tej pory nie mieliśmy jeszcze okazji. Damy znać, kiedy już podejmiemy decyzję.
- To nie jest zadowalająca odpowiedź - oświadczyła rozgniewana pani Rennslayer.

Pragnąc nie dopuścić do dalszej kłótni, Betsy otworzyła usta, aby coś powiedzieć, jej matka jednak uniosła do góry władczą dłoń.

- Nie, Betsy, nie dam się uciszyć! Ktoś musi przemówić w twojej obronie. Myślę, że byłoby to bardzo samolubne ze strony Lloyda, gdyby zabrał cię gdzieś daleko od domu i rodziny - zwłaszcza w tym szczególnym czasie.
- A cóż to za szczególny czas, miła pani? - zainteresował się Lloyd. Mówił spokojnym tonem, lecz Betsy rozpoznała po uniesionej górnej wardze, iż jest urażony. Był też coraz bardziej zły.
- Mamooo! - ostrzegła panią Rennslayer.
- Nie udaję, że aprobuję to, co się stało, ale matka nie może być obojętna w stosunku do swej dziewczynki - niezależnie od tego, jak córka się zachowuje.
- Mamo, proszę...

### *Zupełnie obcy ludzie 341*

- Betsy nie jest już małą dziewczynką. Ma trzydzieści cztery lata.

- Wiesz, o czym mówię, Lloydzie.

- Nie, nie wiem. A ty wiesz, Betsy? - Wyglądał bardzo groźnie.

Betsy wpadła w panikę. Było coś, czego nie zdążyła jeszcze wyjaśnić matce. Widziała zbliżającą się nieuchronnie katastrofę. Zaczęła coś dukać, chcąc się usprawiedliwić, ale matka po prostu oświadczyła:

- Oczywiście, mam na myśli dziecko.

- Ale ja nigdy nie mówiłam...

- Jakie dziecko?

- To jest amerykańskie dziecko. Należy do Ameryki.

- Betsy, o czym ona mówi?

- Mamo, proszę, pozwól mi wyjaśnić...

- Żaden mój wnuk nie urodzi się w systemie socjalistycznej opieki medycznej!

- Mamo, zamknij się!

Zapadła okropna cisza. Betsy podniosła rękę do ust. Co też powiedziała?!

Uświadomiła sobie, że tuż koło niej pojawił się jakiś duży przedmiot. Patrząc w bok, zobaczyła błyszczące ciasto czekoladowe, z którego ściekał dżem, miskę z krwistoczerwonymi owocami, a także coś żółtego zanurzonego w kremie. Zastanawiała się, czy za chwilę nie wymiotuje.

- Coś z wózka ze słodyczami, proszę pani? - odezwał się pełen namaszczenia jakiś głos.

- Proszę nam dać pięć minut - odpowiedział Lloyd z zimną krwią.

- Idę do swojego pokoju. - Pani Rennslayer wstała majestatycznie od stołu. - Nie mam ochoty wtrącać się do spraw, które w oczywisty sposób nie dotyczą matki. - Spojrzała na Betsy i widać było, że czuje się głęboko dotknięta i urażona. - Pomówię z tobą później, Elizabeth. - Wyszła z sali, przyciskając do piersi torbę. Gdy doszła do wyjścia, zachwiała się i chwyciła za framugę drzwi, by nie upaść.

344 *Robyn Sisman*

Betsy była już w pozycji półstojącej, gdy poczuła dłoń Lloyda na swej ręce.

- Brawo! - powiedział ciepło. Jego dotyk wyzwolił potok łez.

- Nie powinnam była tego mówić. - Betsy szukała po omacku chusteczki.

- A właśnie powinnaś. To wcale nie oznacza, że jej nie kochasz. Musi po prostu zrozumieć, iż jesteś już na tyle dorosła, aby kierować własnym życiem.

- A jestem? - Zwiesiła głowę. W tej chwili nie czuła się zdolna, by kierować czymkolwiek. Oczy matki, patrzące z wyrzutem, wypaliły głębokie ślady w jej duszy.

- Jesteś również na tyle dorosła, aby mi powiedzieć, że będziesz miała dziecko.

Betsy gwałtownym ruchem podniosła głowę. Lloyd patrzył na nią poważnie. Był spokojny, lecz obcy. Czuła, że niemal się go boi.

- To nie to, że nie chciałam z tobą porozmawiać - próbowała mu wyjaśnić. - Miałam ciągle wrażenie, że nigdy nie mogę znaleźć odpowiedniego momentu. - Byłeś taki... dziwny w ciągu ostatnich paru tygodni.

- Dziwny? - Zaśmiał się gwałtownie. - Czy możesz mnie za to winić?

- A kiedy wszystko się wyjaśniło, uznałam, że nie ma sensu robić dramatu w związku z tym, co mogło być.

- Mogło być? - Lloyd niemal rzucił się na te słowa. - Chcesz powiedzieć, że nie jesteś w ciąży?

- Musiała to być jakaś niedyspozycja żołądkowa. Zrobiłam test, ale nie przeprowadziłam go we właściwy sposób. A później kupiłam jeszcze jeden zestaw i czekałam, aż wyjdiesz z domu, aby spróbować drugi raz. Tylko że ty ciągle rozmawiałeś przez telefon lub bawiłeś się papierami. - Betsy miała nadzieję, że zaczynał rozumieć, jak trudno jej było z nim żyć. - W końcu miałam szansę przedwczoraj wieczorem, kiedy poszedłeś na tamto wielkie przyjęcie. Wynik był negatywny.

- Nie będziesz miała dziecka... - powiedział z niedo-

### *Zupełnie obcy ludzie 343*

wierzeniem. Betsy zobaczyła z przykrością, że wyglądał, jak gdyby odczuwał ogromną ulgę.

Kelner znowu popychał w ich kierunku wózek z deserami.

- Nie dzisiaj, dziękujemy - oświadczył Lloyd, uprzedzając jego wyuczony tekst. - Poprosimy o rachunek. - Odwrócił się do niej ponownie. - Jak to się stało, że twoja matka wydawała się taka przekonana, iż jesteś w ciąży?

Betsy wahała się, formułując odpowiedź.

- Akurat zadzwoniła, gdy po raz pierwszy robiłam test. Nie było cię w domu i czułam się bardzo samotna, więc powiedziałam jej, co robię. Była taka podekscytowana. Zaczęła snuć wspaniałe marzenia o wnukach oraz o przyjęciach urodzinowych i o tym, że zamieszkamy w pobliżu niej i będzie mogła opiekować się dziećmi.

Lloyd odchrząknął.

- A co z ojcem? - spytał. - Czy także miałaś zamiar poinformować go w odpowiednim momencie?

- Oczywiście, że tak. Jednak zawsze byłeś taki zajęty. A potem przekonałam się, że nie mam nic do powiedzenia.

- I nie powiadomiłaś matki, że nie jesteś w ciąży, ponieważ nie chciałaś jej rozczarować? - W głosie Lloyda pobrzmiwała irytacja, którą starał się stłumić.

- Chciałam powiedzieć jej w dogodnym czasie.

Betsy zwinęła serwetkę na kolanach. Nie powtórzyła mu poglądu matki, że nic tak nie sprawia, iż mężczyzna chodzi na paluszkach, jak narzeczona w ciąży, i to podczas przygotowań do ślubu - owego niebezpiecznego czasu, kiedy to, jak wiadomo, niekończące się dyskusje na temat kwiatów, druhen i ozdobnych zaproszeń sprawiają, że wielu kandydatów na panów młodych bierze nogi za pas.

Spojrzała na Lloyda w poczuciu winy, ale odwrócił wzrok. Cisza pomiędzy nimi przedłużała się w nieskończoność.

344 *Robyn Sisman*

- Wiesz, Betsy, wcale nie musisz wychodzić za mnie za mąż - powiedział delikatnie.

- Ale ja tego chcę! - zaprotestowała. Tylko czy tak jest naprawdę? Ogarnęła ją panika. Chciała, aby wszystko było znowu tak, jak dawniej.

- Naprawdę?

Betsy mogła jedynie skinąć głową.

- Chodźmy. Przejdźmy się trochę.

Na dworze było nadal jasno, ale ruch uliczny już się uspokoił. Opuścili hotel i poszli w kierunku parku. Lloyd objął ją ramieniem. Betsy czuła się spokojna i bezpieczna. Ledwie mogła znieść myśl, że kiedyś mógłby stać się dla niej kimś obcym.

Zanim wrócili, niebo już pociemniało, a Londyn rozbrzmiewał gruchaniem gniezdzących się wszędzie wokoło gołębi. Lloyd zatrzymał się przy wejściu do hotelu i uwolnił ją z objęć. Uśmiechnął się, patrząc jej w oczy z takim smutkiem i czułością, że Betsy czuła, iż zalewa ją całą falą gorąca. Nigdy przedtem nie wydawał się bardziej atrakcyjny. Gdyby ją poprosił, poszłaby z nim od razu na górę tu i teraz.

- To był ciężki wieczór - powiedział. - Myślę, że oboje potrzebujemy czasu, aby trochę pomyśleć w samotności. Może sprawdzimy, czy znajdzie się tu dla ciebie pokój na dzisiejszą noc?



## Rozdział trzydziesty drugi

Gdy samolot uniósł się z pasa startowego, Suze przycisnęła policzek do zimnego okna i spojrzała w dół, spoglądając przez mleczne obłoczki o świcie. Falbanki bieli pokazały się tam, gdzie srebrne morze spotykało płaski pocętkowany ląd, i zastanawiała się, czy to Long Island i czy gdy upłynie kilka godzin, elegancki tłum znów wyłoni się z rezydencji i domków, przygotowany na następny szaleńczo radosny weekend. Wtedy samolot przechylił się i poczuła ogromną radość, po raz ostatni widząc Manhattan pochylony na horyzoncie, wyglądający tak spokojnie i statycznie jak na monochromatycznej pocztówce. - Wrócę tu - szepnęła.

Widok zniknął, gdy nagle napłynęła chmura i zaparowała okno. Suze zamknęła oczy. Uszy miała zatkane, przeszkadzał jej warkot silników, nogi i ręce osłabły. W jej wyobraźni pojawiały się i znikwały kolejne obrazy: rozbrajający uśmiech Lloyda, kiedy Harry, Bernie i Bannerman chórem zaproponowali mu posady; oczy Dee Dee, gdy dostała owe sandały z wieżą Eiffla, których tak pragnęła, zamówione telefonicznie i przysłane z Londynu za szaleńczą sumę; żółty błysk na ciemnej ulicy, gdy Raymond otwierał drzwi taksówki, aby pomóc Suze ulokować się z bagażami w zatęchłym wnętrzu. Była czwarta rano, kiedy pożegnała się z mieszkaniem Rockwella. Gdy kierowca coraz szybciej jechał przez puste ulice, Suze otworzyła okno, aby wdychać

### 348 *Robyn Sisman*

po raz ostatni ciepłe wyziewy miasta, oglądając przez na wpół zamknięte oczy, jak domy w żywych kolorach migają tuż obok.

Minione dwadzieścia cztery godziny były radosne, lecz wyczerpujące. Kiedy Harry i Bernie porwali szefów Passion na uroczysty lunch, pracownicy Schneidera Foxa zdecydowali, że jest przerwa. Gdy rozeszły się wiadomości o zwolnieniu Sheri, połowa firmy władowała się do pokoju Suze, wymagając szczegółowego sprawozdania. Owa żądza krwi była niepokojąca; Suze nie uświadamiała sobie dotąd, jak bardzo inni nie lubili Sheri - lub też jak bardzo tęsknili za Lloydem. Panował sentymentalny pożegnalny nastrój. Ludzie, których ledwie rozpoznawała, ściskali jej ręce i mówili, jak to cudownie, że ją poznali. Dostała w prezencie pożegnalną kartę i miękką paczkę, która okazała się nadmuchiwaną budowlą - liczącym niemal dwa metry Chrysler Building ze światłem na baterię. Suze obiecała, że upominek zajmie honorowe miejsce wśród innych pamiątek w jej sypialni w Londynie. Minęło już pół popołudnia, gdy Harry wsunął głowę przez drzwi, uśmiechnął się na to zamieszanie i dał jej znak, unosząc w górę kciuk.

- Do zobaczenia w Londynie.

Bernie nie pojawił się ponownie. Mówiono, że udał się prosto na sesję okrzyków człowieka pierwotnego.

Przed piątą biuro opustoszało; wszyscy wynieśli się na weekend. Suze zgarnęła kilka osobistych drobiazgów do plastikowej torebki i po raz ostatni rozejrzała się dookoła. Będzie tęskniła za rozległym błękitem widocznym z tego okna. Oczy jej się rozjaśniły, gdy zobaczyła jeden z zaostrzonych ołówków Lloyda; wrzuciła go do torby na szczęście i zamknęła drzwi.

Widok mieszkania zarzuconego papierami i zastawionego kubkami po kawie oraz na wpół zapakowanymi walizkami sprawił, że omal nie wybuchnęła płaczem. Zamiast tego zadzwoniła do Raymonda i po długich targach wypisała mu czek na ogromną sumę,

### *Zupełnie obcy ludzie 347*

która miała pokryć koszty sprzątnięcia, uzupełnienia zapasów w lodówce oraz nowej kolekcji nudnych roślin domowych. Potem splukała z siebie cały brud dnia, umyła głowę, wycisnęła włosy, aż zapiszczało, i przygotowała się na ostatni wieczór w Nowym Jorku.

Zgodnie z jej przewidywaniami restauracja okazała się elegancka, z minimalistycznym wystrojem i przyćmionym światłem. Kiedy Suze przyjechała, dochodziła ósma - wczesna pora według standardów na Manhattanie - i stoliki były jeszcze puste. Nie obiecała, że przyjdzie, po długich namowach stwierdziła jedynie, że może to zrobić! Ale on czekał już przy barze, tak jak zapowiedział, złoty chłopak ze swoim prawdziwie amerykańskim uśmiechem.

- Witaj, Nick. - Suze starała się mówić obojętnym tonem.

Zeskoczył ze stołka przy barze i podszedł, aby ucałować ją w oba policzki.

- Wspaniale, że cię widzę! Usiądźmy. Zaprowadził ją do stolika w rogu - była pewna, że do „swojego” - i zamówił drinka. Był teraz bardzo spokojny. Trudno uwierzyć, że ten mężczyzna okazał się taki niebezpieczny zaledwie tydzień temu.

- Dziękuję, że przyszedłaś. - Jego niebieskie oczy wydawały się szczere. - Chcę cię przeprosić. Nie mógłbym pozwolić, abyś stąd wyjechała, myśląc o mnie źle.

Suze nic nie odpowiedziała. To wyjaśnienie zdradziło go: Nickowi nie chodziło naprawdę o nią, lecz o siebie.

- Czułem się ofgromnie nieszczęśliwy z powodu naszej kłótni - tłumaczył się dalej. - To wszystko moja wina, byłem trochę spięty w tamten weekend.

„Spięty”? Co to za przydatne dwuznaczne słowo, usprawiedliwiające mnóstwo grzechów. Suze obracała cały czas kieliszkiem, starając się nie myśleć o scenach, które się rozegrały w domku na Long Island.

- Co z tamtą umową na film? - spytała. Nick uśmiechnął się promiennie.

### 350 Robyn Sisman

- Super! Wszystko załatwione. Zarg zapomniał zupełnie o tamtym małym problemie.

A co z Jodie? - zastanawiała się Suze. Czy ona także zapomniała?

- Dobrze. - Uśmiechnęła się do niego. - Jest jeszcze coś, co chciałabym wiedzieć. Powiedz prawdę, czy She-ri rzeczywiście kazała ci, abyś mnie gdzieś zaprosił?

Nick wyglądał na zakłopotanego.

- Mówiłem dużo rzeczy, których nie myślałem serio. Byłem na ciebie wściekły. Sheri powiedziała mi jedynie, że nie znasz miasta i możesz czuć się samotna -ale tylko dlatego, że chciałem się czegoś dowiedzieć na temat fantastycznej dziewczyny, która dla niej pracuje. - Nachylił się w jej stronę. - Spodobałaś mi się, przecież wiesz o tym. Ogromnie miło wspominał tamten nasz wspólny dzień, gdy robiliśmy te wszystkie zwariowane rzeczy w Central Parku. Było tak świetnie. Było... - Zmarszczył brwi, szukając odpowiedniego słowa. Kiedy je znalazł, w jego głosie pobrzmiwało niemal zaskoczenie: - ...normalnie - dokończył.

Suze przyjrzała się twarzy Nicka. Pomyślała, że chyba mu wierzy.

- Zaczynam myśleć, że jestem raczej normalna - zauważyła z westchnieniem.

- Jesteś wspaniała - odrzekł automatycznie. - Być może, gdy skończę już się bawić, także stanę się normalny. - Nie wyglądało jednak na to, że owa perspektywa wzbudza w nim entuzjazm. - Nie zamierzasz chyba nadal wierzyć komuś takiemu jak Sheri Crystal -mówił dalej. - Gdy po raz pierwszy pracowałem nad czymś z Sheri, próbowała mnie wykorzystać. Wtedy odkryłem, że trzyma się innego faceta - jakiegoś To-ny'ego. Chciała jedynie zyskać za darmo moje pomysły. - Wyglądał na zde gustowanego.

- Jakiego Tony'ego? Czy przypominasz sobie? Nick wzruszył ramionami.

- Jakieś włoskie nazwisko... Ale po co mówić teraz o Sheri? - Wyciągnął rękę do Suze i uśmiechnął się do

### *Zupełnie obcy ludzie 349*

niej owym porywającym uśmiechem nieznośnego chłopca. - Przyjaźń? - spytał.

Oczy Suze powędrowały po jego gładkiej opalanej twarzy, dostrzegając uniesione kąciki ust oraz potargany kosmyk włosów, który po prostu aż się prosił o wygładzenie. Był wspaniałym mężczyzną, ale nie podobał się jej już ani trochę.

- Przyjaźń - zgodziła się, kładąc rękę w jego dłoń.

Przez dłuższą chwilę uśmiechali się do siebie. Czuła, że bilans ich znajomości waha się pomiędzy pamiętnymi wzlotami i upadkami i plasuje gdzieś w środku. Była głupia, ale nie dała się wykorzystać. Ostry dźwięk przerwał ową przyjazną ciszę: telefon komórkowy Nicka. Grzecznie pozwolił mu dzwonić, na wypadek gdyby Suze chciała coś jeszcze powiedzieć. Zauważyła jednak cień niepokoju na twarzy mężczyzny.

- No śmiało, odbierz. Wiem przecież, że umierasz z pragnienia, aby to zrobić - zawołała wesołym tonem.

- No cóż, jeśli jesteś pewna... - Wyciągnął aparat z kieszeni.

Suze wstała.

- I tak muszę już iść. Mam się jeszcze z kimś spotkać. Nick w roztargnieniu przesłał jej pocałunek zajęty

już następną ekscytującą sprawą. W drzwiach zatrzymała się, aby popatrzeć jeszcze na niego, jak rozparty w fotelu, mówił coś entuzjastycznym tonem do swojego małego czarnego telefonu.

- Hej, Larry, wspaniale, że dzwonisz!

Poczuła przypływ czułości. Potem jednak odwróciła się i wyszła bez dalszych zbędnych pożegnań.

Czyjaś ręka dotknęła jej ramienia. Była to stewardesa z zapytaniem, czy miałyby ochotę na lunch.

Suze podniosła się pełna niepokoju. A to historia! Jeśli według czasu angielskiego pora już na lunch, oznacza to, że do obiadu pozostało tylko osiem godzin. Żołądek zaczął się jej ścisnąć - chociaż wcale nie z głodu. Dzisiaj wieczorem po długim oczekiwaniu wreszcie pozna Lloyda Rockwella.

Umówili się w jej ulubionej restauracji na Notting Hill na bardzo krótki obiad pomiędzy przylotem jej samolotu a jego odlotem do Stanów. Lloyd wydawał się podekscytowany z powodu ich spotkania; ale prawdopodobnie był jedynie grzeczny i wdzięczny za udzieloną mu pomoc. Bez wątpienia, gdy rzeczywiście ją zobaczy, przeżyje rozczarowanie. Niemniej jednak Suze czuła, jak ogarnia ją coraz większy niepokój. Czy to możliwe, aby był taki miły, jaki się wydawał podczas owych długich rozmów telefonicznych? Dość jej się spodobał na wideo, lecz wtedy widziała jedynie jego twarz, i to zamazany obraz. Może się okazać lubiącym piwo grubasem z wydatnym brzuchem lub mieć przykry oddech. Jay powiedział, że jest bardzo inteligentny - czy rozmowa z Suze go nie znudzi?

Wczoraj wieczorem, gdy już zostawiła Nicka, pojechała taksówką po Jaya i zabrała go do klubu Dwadzieścia Jeden, gdzie w końcu wypili butelkę szampana, która czekała na Suze od trzydziestu kilku lat. Wznosili kolejne toasty za film Jaya, rehabilitację Lloyda, triumf Suze w sali konferencyjnej, ojca Suze, wieczną przyjaźń, prawdziwą miłość i papierosy. Był to cudowny wieczór. Pomiedzy przyplływami sentymentalnych uczuć Suze wyciągała od swego towarzysza następane informacje o Lloydzie.

- Jak myślisz, czy mnie polubi?
- Nie wiem. Jest dość wybredny.
- No cóż, a czy ja go polubię?
- Ma okropny gust, jeśli chodzi o krawaty.

Na wpół chichocząc, na wpół rozgniewana zaczęła zanudzać go pytaniami o szczegóły, dopóki nie osadził jej krótko na miejscu.

- Nie zapomniałaś chyba o Betsy, prawda? Zapomniała, chwilowo. W pewien sposób Suze chyba nigdy nie wierzyła do końca w istnienie Betsy. Jayowi jednak powiedziała:
- Nie bądź głupi. Tej Betsy, jak jej tam, nawet tam nie będzie. To spotkanie służbowe: coś w rodzaju stypy

### *Zupełnie obcy ludzie 353*

plus wymiana kluczy plus rzeczy tego rodzaju jak: „Przepraszam, że stłukłam wam kieliszek”. Nie jest to, ściśle rzecz biorąc, romantyczne.

Stewardesa pojawiła się ponownie, proponując drinki. Suze rozważała, czy nie zamówić ogromnej wódki; wtedy przypomniła sobie, że czytała, iż picie alkoholu w samolotach jest wręcz zgubne dla cery. Czując się bardzo dojrzała i odpowiedzialna, poprosiła więc pełnym godności tonem o butelkę wody mineralnej, poduszkę i koc.

Wypiła swoją wodę, a następnie zrzuciła buty i zastąpiła je przygotowanymi kapciami. Być może powinna trochę odpocząć. Nie chciała, aby Lloyd uważał ją za stare pudło - nie żeby miało to jakieś znaczenie. Wklepała trochę kremu w twarz, następnie zaciągnęła zasłonę na okno i przykryła sobie oczy. Po omacku poszukała lotniczej poduszki i skuliła się pod kocem. Nie minęło pięć minut, a już spała.

- „Od dzisiejszego poranka wszystko będzie dobrze! f.

Lloyd włączył radio na cały regulator i tańcząc boogie, zabrał się do szykowania śniadania. Okno było szeroko otwarte. Ciepłe słońce przyjemnie grzało w plecy. Miał na sobie szorty, okulary przeciwsłoneczne i więcej nic. Czuł się wspaniale.

Śpiewał wraz z Muddy Waters, potrząsając pudełkiem płatków kukurydzianych do wtóru dźwięków bębna. Przy refrenie nalał z chlupnięciem trochę mleka z butelki i zanurzył głębiej łyżkę. Wrzucił chrupiące płatki do ust, a potem połknął je z męskim chrupnięciem. Pod stołem jego bosa stopy wybijały na podłodze natarczywy rytm bluesa.

Mieszkanie znajdowało się w stanie ruiny. Lloyd patrzył z obłędem w oczach na stosy papieru, książek i kupionych drobiazków, które zaczął zbierać bez przekonania. Wczoraj po południu, świętując swój triumf w jakimś starym sklepie w okolicach King's Cross,

kupił płyty kompaktowe z bluesami warte trzysta dolarów: kolejne rzeczy do zapakowania. Sypialnia przedstawiała się znacznie gorzej. Rozłożył swoje ubrania na nieposłanym łóżku, ale na tym poprzestał. Kto poskłada mu koszule? Betsy zazwyczaj pakowała walizki, ale... Lloyd przestał stukać stopami i spoważniał; tego ranka zadzwoniła z hotelu; pod koniec długiej rozmowy powiedziała mu, że będzie lepiej, jeśli dzisiaj się nie spotkają; zabierze swoje rzeczy później, gdy Lloyd już wyjedzie. Jej głos świadczył o tym, że jest przygnębiona. Miał nadzieję, że matka jej nie terroryzuje. Wczoraj wieczorem była taka miła. Lloyd westchnął ponuro.

Niemniej jednak nie wolno mu pozwolić sobie na smutne myśli. Miał pracę - w gruncie rzeczy nawet mógł wybierać pomiędzy trzema ofertami, a Betsy pomimo wszystko nie jest w ciąży. I nie musiał jechać na wycieczkę z jej matką! Lloyd w euforii pomachał łyżką w powietrzu, chlapiąc na meble rozmokłymi płatkami.

Starając się uspokoić, nalał sobie jeszcze jedną filiżankę kawy. Niebo było czyste, bezchmurne i niebieskie, a drzewa połyskiwały oliwkowo i srebrzyście w blasku słońca. Ostatni dzień w Londynie rozpościerał się przed nim pełen możliwości. Może by pójść do centrum i zobaczyć wystawę? Mógłby też przeszukać antykwariaty na Cecil Court. Poza tym musi kupić upominki: dla Dee Dee, Jaya, dla rezolutnej córeczki Lor-ny i, oczywiście, dla Suze. Szczególnie dla niej: wszystko jej zawdzięcza. Dzisiaj wieczorem da jej prezent.

Och - i pakowanie! Lloyd wzruszył ramionami. Prawdopodobnie posprząta całe mieszkanie w dziesięć minut, kiedy się do tego przyłoży. Z brzękiem zestawiał razem naczynia, gotowy, aby zanieść je do kuchni, i włączył jeszcze trochę głośniejszą muzykę. Upłynęło już dużo czasu, odkąd mógł swobodnie słuchać jej tak głośno, jak mu się podobało.

„Kocham patrzeć, jak idziesz ulicą”. Jak chodzi Suze? Nigdy nawet jej nie widział.



### *Zupełnie obcy ludzie 353*

Jednak dzisiaj wieczorem ją spotka. Lloyd przeszedł w synkopowym rytmie przez korytarz i znowu filiżanka i miska z płatkami z brzękiem zderzyły się ze sobą.

Mieli się spotkać na obiedzie. Wybrała miejsce; na pewno będzie równie ekstrawaganckie jak ona sama. Co powinien na siebie włożyć? Suze prawdopodobnie uznałyby większość jego ubrań za nieciekawe. Hmm... Przyszła mu do głowy śmiała myśl. Dlaczego nie miałby kupić czegoś nowego specjalnie na dzisiejszy wieczór? Dlaczego nie zaszaleć i nie wydać pieniędzy! Po śniadaniu pojedzie do Covent Garden i z pomocą karty kredytowej podejmie jakieś poważniejsze działania w tej sprawie. Lloyd ułożył w zlewozmywaku stos brudnych naczyń obok szklanki po whisky z ubiegłej nocy, a potem powędrował do sypialni. Podniósł fotografię z komody. Wyglądała tak ładnie - uśmiechnął się - zbyt ładnie -zrobił nachmurzoną minę.

Odstawił zdjęcie na miejsce. Co on sobie wyobraża? Zamierzah' jedynie wymienić klucze i nadrobić zaległości dotyczące spraw związanych z pracą. Niemniej jednak, gdy poruszając ramionami do taktu, zakładał koszulę, a zespół Muddy Waters nadal szalał w całym mieszkaniu, Lloyd nic nie mógł poradzić na to, że rzucił półszepem:

- „Kocham tę kobietę, a ona mi się nie oprze...”.

Rozdział trzydziesty trzeci

Suze poradziła sobie z dziwacznym wejściem przy mi0 niaturowym ogródku wodnym w japońskim stylu i ruszyła w górę po drewnianych stopniach, chwiejąc się na obcasach. Umieśniony portier, pilnujący również porządku, niósł za nią torby. Gdy weszła do środka, gwar wyszukanych rozmów stał się jeszcze głośniejszy. Słyszała brzęk talerzy w kuchni, gdzie szef kuchni z włosami koloru marchewki regularnie miewał napady złego humoru, i poczuła zapach kolendry, gdy jedna z kelnerek niosła tacę do sali restauracyjnej. Na górze młoda blondynka, wyglądająca na zmęczoną, która zawsze przypominała Suze dziewczyny z lat trzydziestych, spojrzała na nią bacznie, a potem się uśmiechnęła.

- Witamy. Pani Wilding, prawda?

- Zgadza się. - Suze wygładziła sukienkę. - Czy nie będzie wam przeszkadzać, jeśli zostawię tu swój bagaż? Przyjechałam prosto z lotniska.

- Nie ma problemu. - Dziewczyna otworzyła szeroko drzwi od szatni, a następnie zajrzała do księgi rezerwacji. - Pani stolik jest z drugiej strony, przy oknie.

- Dobrze - przełknęła ślinę Suze. -1, hm, czy może on już przyszedł?

- Jest tutaj.

Suze skinęła głową. Nagle zrobiło jej się sucho w ustach. Blondynka patrzyła na nią z lekkim rozba-  
wieniem. Suze zacisnęła usta, uniosła brodę i weszła do restauracji.

*Zupełnie obcy ludzie 355*

Zobaczyła go od razu - szczupłą sylwetkę w jasnej marynarce i koszuli w kolorze indygo. Siedział na wpół odwrócony w kierunku otwartego okna i patrzył na Portobello Road. Jedno długie ramię przełożył przez oparcie krzesła. Wyglądał na zamyślonego. Z jakiegoś powodu Suze się uśmiechnęła. Jak gdyby głośno wypowiedziała jego imię, odwrócił głowę i spojrzał jej prosto w oczy. Wstał z krzesła i wyszedł jej na spotkanie.

- Suze? Czy to ty? - Robił wrażenie zachwyconego.

- Witaj.

O nieba, był taki wysoki! Zatrzymała się niepewnie, nie wiedząc, co zrobić. Znała go tak dobrze, że uścisk dłoni wydawał się absurdalnie oficjalny, a pomimo to nie mogła przecież pocałować kogoś, kogo nigdy w życiu nie widziała. Przez chwilę Lloyd wydawał się równie zakłopotany, potem zaś położył ciepłą dłoń na plecach Suze i skierował ją w uprzejmy, lecz stanowczy sposób do stolika. Wysunął dla niej krzesło w ów staroświecki sposób, w jaki robią to Amerykanie, i usadowił się naprzeciwko, uśmiechając się z pełną zdumienia ciekawością, jak gdyby była prezentem-niespodzianką z bożonarodzeniowej pończochy. Suze czuła, jak się rumieni pod tym badawczym spojrzeniem. Lloyd Rockwell, z mocnymi ramionami i przenikliwymi niebieskimi oczami, był po prostu niepokojący.

- Obcięłaś włosy - zauważył najpierw.

- O Boże! Nie patrz. - Suze położyła ręce na czubku głowy. - Czy to kompletna katastrofa?

- Absolutnie nie. Podobają mi się. Przypominasz mi tę gwiazdę filmową, wiesz...

- Yula Brynnera?

Lloyd wybuchnął śmiechem. Słyszała, jak się śmiał, już wiele razy, ale fizyczne szczegóły jego wyrazistych oczu i prostych białych zębów były nowe.

- Nie widziałem cię, jak dotąd, w „Siedmiu wspaniałych”. - Zachichotał. - Może raczej we „Wspaniałej jedynce”. - Pochylił się nad stolikiem z błyszczącymi

358 *Robyn Sisman*

oczami. - Ponieważ taka właśnie jesteś, Suze, przecież wiesz o tym. Bez twojej pomocy nie odzyskałbym swego miejsca w życiu. Byłbym w opałach. W rynsztoku. W kłopotach.

- Och - odpowiedziała tylko. - W każdym razie było zabawnie.

- Zabawnie? - Lloyd potrząsnął głową zadziwiony. - Ryzykowałeś utratę pracy. Ja nazywam to wielką odwagą. - Wyjął butelkę z kubelka z lodem. - Wypijmy po kieliszku szampana. Ostatnio zdarza mi się to dość często. - Napełnił jej kieliszek i wznosił własny. - Za nas. - Stuknęli się kieliszkami. Zatrzymał na niej ciepłe spojrzenie.

Suze wypięła łyce i westchnęła z zadowoleniem. Okno obok niej było otwarte. Powietrze obfitowało w mocne zapachy miasta - wyziewy silników Diesla oraz woń letnich liści i wyśmienitej kuchni. Nad dachami domów niebo jaśniało ultramaryną spryskaną brzoskwiniowymi chmurami. Poczowała, że robi jej się chłodno. Miała wrażenie, że jest niemal goła w srebrzystej sukni bez rękawów, którą zapakowała w bibułkę i ułożyła w walizce na samym wierzchu. Na lotnisku Heathrow spędziła niemal godzinę, strojąc się na to spotkanie. Tak bardzo chciała wyglądać dobrze. Wyraz twarzy Lloyda świadczył wymownie, że odniosła sukces.

Przy stoliku pojawiła się kelnerka i wręczyła im karty. Restauracja zatrudniała dziewczęta niespotykanej urody, noszące zawsze długie białe fartuszki zarzucone na czarne mikropódniczki. Włosy i szminki miały w śmiałych kolorach. Współtworzyły to, co Suze podobało się w tym lokalu, podobnie jak ładne proporcje sali, wspaniałe duże okna obramowane długimi zasłonami w purpurowym kolorze oraz ekscentryczny wystrój. Popiersia wyglądające na rzymskie otoczone girlandami połączonych wawrzynów spoglądały ślepo z wysokich półek; przy wejściu w kamiennej donicy rósł krzew wystrzyżony w kształt łabędzia; wypchana papuga usadowiła się na barku.

*Zupełnie obcy ludzie 357*

- Ja stawiam - oznajmił Lloyd władcym tonem. - Jeśli chcesz mnie uszczęśliwić, zamówisz wszystkie najdroższe dania w karcie.

- Wspaniale! Już wiem, co chcę.

- W takim razie złożmy zamówienie.

- Ale nie spojrzalesz nawet jeszcze na menu.

- Och. Tak. Dobrze.

Gdy studiował kartę, Suze przyjrzała mu się ukradkiem w skupieniu. Miał twarz o mocnych rysach i ciemnych brwiach, które wznosiły się ukośnie aż do skroni, oraz nos nadający jego obliczu wyraz stanowczości. Był szczupły, ale mocnej budowy, tak różnej od właściwej Anglikom rachityczności.

W kąpielówkach, na przykład, prawdopodobnie prezentowałby się...

- Wszystko wygląda pysznie. Nie mogę się zdecydować, co zjeść. Co to jest nerkówka?

- Jakieś wnętrzności zwierząt - myślę, że może to być trzustka lub wątroba.

Lloyd spojrzał na nią, by sprawdzić, czy przypadkiem nie żartuje.

- Może znajdę coś innego.

kelnerka pojawiła się znowu i przyjęła zamówienie. Suze nic nie jadła w samolocie i teraz stwierdziła, że zgłodniała. Oparła łokcie na stole i uśmiechnęła się do Lloyda.

- O której godzinie odlatuje twój samolot?

- O północy. Ale muszę zgłosić się do kontroli paszportowej już o dziesiątej.

- Bzdura. Ci ludzie na lotnisku nie mogą oddychać spokojnie, dopóki nie zgromadzą wszystkich pasażerów kilka godzin przed czasem. Jeśli wpadniesz w ostatniej chwili, muszą ci pozwolić przejść bez kolejki i można się jakoś przecisnąć. Zawsze tak robię.

- Naprawdę? - Lloyd nie wyglądał na przekonanego. - Chyba mogę się tam zjawić trochę później. Już sprawdzono mi bagaż w biurze linii lotniczych. Ile czasu zabierze jazda taksówką stąd na lotnisko?

- O tej porze tylko pół godziny.

360 Robyn Sisman

Lloyd podniósł brew.

- Dobrze, a więc czterdzieści minut. Maksymalnie. W końcu zamówiono taksówkę na dziesiątą. Suze widziała, że Lloyd uznał to za przerażająco śmiałe posunięcie.

- Nawiasem mówiąc - zauważył - abyśmy nie zapomnieli, musimy zwrócić sobie klucze. - Sięgnął do małej płóciennej torby lotniczej obok krzesła, odsunął suwak jednej z przegródek, wyjął klucze i wręczył je Suze. - Drugi zestaw znajdziesz w mieszkaniu.

Przeszukiwała w popłochu torebkę, próbując zasłonić przed jego wzrokiem ten wypchany róg obfitości. Monety, pincetka, skuwki od długopisów, zapalniczka, odświeżacz do ust, agraftka, cudowny nawilżający sztyft do ust. Chryste, gdzie one są?

- Czy zawsze podróżujesz z tak małym bagażem?

- Cha, cha!

- Hej, czy nie jest to jeden z moich ołówków? Suze wyglądała na zakłopotaną.

- Zatrzymaj go. - Wykonał wielkoduszny gest ręką. W końcu znalazła klucze między stronami książeczki czekowej i podała je Lloydowi.

Przytrzymał je w dłoni.

- A więc naprawdę wracam. - Westchnął, a następnie zamknął palce na kluczach i wrzucił, je do kieszeni marynarki.

- Betsy nie leci z tobą? - chciała się dowiedzieć Suze.

- Nie. Zostaje w Anglii i jedzie z matką na wycieczkę.

- Nie jest ci smutno, że też nie jedziesz?

- No cóż... - Lloyd bawił się bezmyślnie pieprzniczką.

- Łosoś w sosie cytrynowym i *risotto nero*. - Kelnerka postawiła przed nimi jedzenie. - Życzę smacznego.

Pomiędzy jednym a drugim kąsem Suze przedstawiła mu kompletny obraz wydarzeń w pracy: Dee obsługującej połączenie wideo z biura i uspokajającej nerwy gigantycznym opakowaniem paczków cynamonowych; Harry'ego uśmiechniętego lekko niczym sfinks; Bannermana i Tuckera niemal uśpionych zale-

### *Zupełnie obcy ludzie 360*

wem danych statystycznych zgromadzonych przez Sheri.

- Trzeba ci było widzieć ich wszystkich, gdy się pojawiłeś na ekranie!

Lloyd skromnie wzruszył ramionami.

- Ten chwyt z hasłami w komputerze był cudowny. W jaki sposób to wykalkulowałeś?

- Wymyśliłem. - Popijał szampana małymi łydkami.

- Lloydzie!

- Zdziałało, prawda?

Suze spojrzała na jego twarz - pewną siebie, rozbawioną, opanowaną - i wybuchnęła śmiechem.

- Szkoda, że cię tam nie było. Zanim zebranie dobiegło końca, Bernie wyglądał, jak gdyby połknął całego prosiaka.

- I jeszcze może przyznał się do popełnionego błędu?

- Bezwzględnie.

- Jaka była prezentacja Sheri? Tak dużo ambicji, a tak mało talentu.

- Taak. Teraz to widzę.

- I tym z Passion rzeczywiście spodobała się nasza reklama?

- Byli nią zachwyceni. Prawdę mówiąc, nie prezentowała się wcale nieźle, biorąc pod uwagę, że musiałam posłużyć się taśmą wideo i zmontować razem różne dziwne rzeczy.

- Twoje zdrowie.

- To były twoje pomysły.

- W takim razie nasze zdrowie. - Jeszcze raz wznieśli kieliszki.

- Jay był wspaniały - dodała Suze. - Jest taki miły. Naprawdę go lubię.

- No cóż, mogę ci coś zdradzić. On także ciebie lubi. Rozwodził się nad tym nie dalej jak wczoraj - i to dość szczegółowo. Oświadczył, że koniecznie muszę cię poznać.

- Zabawne. Powiedział mi to samo na twój temat.



Pod wpływem alkoholu i pochlebstw Suze wkrótce ogarnęła rozkoszna błogość. Słuchała, jak Lloyd mówi o swojej pracy nad kampanią Passion. Odłożył nóż oraz widelec i gestykulował w powietrzu. Miał wyraziste dłonie ze smukłymi nadgarstkami i długimi palcami. Suze zastanawiała się, jakby to było, gdyby dniem i nocą trwała w jego ramionach.

- Dniem i nocą - powiedział nagle.

- Co? - Suze poczuła, że się rumieni.

- Dniem i nocą myśl o prostocie reklamy.

Jej zażenowanie musiało być widoczne, ponieważ na jego twarzy również odmalowało się napięcie, jak gdyby dokładnie wiedział, o czym myśli Suze. Przebiegła między nimi iskra podniecenia.

Suze chwyciła mocno szklanę z wodą i piła przez niezmiernie długą chwilę, wpatrując się w obrus.

Gdy kelnerka postawiła na stole ich główne dania, Suze zastanawiała się, jakby to było chodzić z kimś tak miłym, kto nie zostawiłby jej samej na przyjęciu, aby organizować narkotyki dla innych gości; kimś inteligentnym, kto nie traktowałby jej protekcjonalnie ani nie uważał za przyjemną rozrywkę na wolny weekend.

- Powiedz mi - spytała - z kim ci się kojarzy określenie „książę Danii”?

- Myślę, że z Hamletem. Dlaczego pytasz?

- Nic takiego - odrzekła niedbale Suze. Nagle przypomniała sobie o Betsy i jej twarz przybrała surowy wyraz. - Pan Kipling musiał być wyjątkowy - powiedział Lloyd uroczystym tonem. - Jak kot, który zawsze chadzał własnymi drogami.

- Hę? - spytała Suze z ustami pełnymi frytek.

- To opowiadanie Kiplinga - wyjaśnił. - Rudyarda Kiplinga. Domyśliłem się, że nazwałaś swojego kota na jego cześć.

Tłumiąc wybuch śmiechu, Suze skinęła głową na znak, że się nie mylił. Lloyd wyglądał ogromnie poważnie; nie chciała rozwiewać jego iluzji co do swej lite-

### *Zupełnie obcy ludzie 362*

rackiej erudycji. W rzeczywistości nazwała kota od paczki herbatników sprzedawanych pod nazwą „Niezwykłe smaczne ciasteczka Pana Kiplinga”, ponieważ był taki łakomy. Na tyle było ją wtedy stać. Przełknęła kęs.

- Muszę ci coś wyznać. Twoja skórzana kanapa. Przykro mi, ale wzbogaciła się o dość dużą czarną dziurę w wyniku niespodziewanego kontaktu z zapalonym papierosem.

- Och! - Lloyd zmarszczył czoło, a potem kąciki jego ust się uniosły, a oczy zabłyśły. - Wiesz co? Nie cierpię tej kanapy. Nigdy jej nie lubiłem. Był to całkiem szalony pomysł... no cóż, bliskiej mi osoby, aby stworzyć atmosferę angielskiego klubu dżentelmenów. Teraz, gdy jestem w Anglii, zdaję sobie sprawę, że takich rzeczy nie można kupić. Powstają w ciągu wieków pod wpływem arystokratycznych tyłków i kieliszków porto. Szczerze mówiąc, myślę, że dziura wypalona papierosem dodała jej ze siedemset dolarów wartości. No i jak twoja ryba, nawiasem mówiąc?

Suze spojrzała na swój talerz zaskoczona. Część potrawy wyraźnie znikła. Zjadła ją zupełnie nieświadomie.

- Bardzo dobra.

- To wszystko? - Podniósł do góry brwi. - Nie „odlotowa” czy nawet „niebiańsko boska”? - Żartował, patrząc przy tym tak, że Suze aż dostawała gęsiej skórki. Zadrzała i przesunęła dłońmi do góry po nagich ramionach. - Jest ci zimno? - Na twarzy Lloyda odmalowała się troska. - Zamknę okno.

- Nie, nie zamykaj. Uwielbiam Londyn latem, kiedy nawet w nocy jest ciepło, można wdychać zapach drzew i przysłuchiwać się, jak ludzie się bawią.

- W takim razie weź to.

Zanim zdołała zaprotestować, wstał, jednym płynnym ruchem zrzucił marynarkę i nachylił się, aby ułożyć ją wokół ramion Suze. Wsunęła ręce aż do jedwabnej podszewki, jeszcze cieplej od jego ciała, i podciągnęła

363 *Robyn Sisman*

długie rękawy, wdychając męski zapach. Nie mogła się oprzeć, by nie przytulić jej do siebie.

- Ale nadal są jeszcze rzeczy, których nie rozumiem - powiedziała, próbując skierować rozmowę na bezpieczne tory. - Na przykład, czy Harry wiedział, co się dzieje?

- Gdyby ci z Passion nas porzucili, jedynie firma Stateside wchodziłaby w grę. Nie zdawał sobie, oczywiście, sprawy, co zamyślała Sheri - lub przynajmniej nie do chwili, gdy mu powiedziałem.

- Rozumiem. Co, twoim zdaniem, stanie się z Sheri?

- Domyślam się, że dostanie pracę w Stateside. Myślę, że musiała wypróbować działanie swego uroku na Tonym Salvino. Sądząc z odgłosów na przesłanej mi kasecie, z całą pewnością urzekła Berniego. Teraz przyszła kolej Suze, aby podnieść do góry brwi.

- Co ma oznaczać to spojrzenie?

- Z tego, co słyszałam, Bernie nie jest jedynym mężczyzną, którego zachwyciły wspaniałe nogi Sheri. Zmieszanie Lloyd'a było radością dla jej oczu.

- Ale to... ja nigdy... Ona tylko...

- Autorzy tekstów reklam umieją tak wspaniale posługiwać się słowami.

Lloyd skłonił głowę, uznając jej zwycięstwo. W tym momencie odezwał się czyjś głos:

- Przyjechała taksówka, proszę pana.

- Co? Już? - Lloyd wyglądał na zdumionego i sprawdził godzinę na zegarku. - Niech pani poprosi kierowcę, aby poczekał jeszcze chwilę, dobrze? - Kiedy kelnerka odeszła, przysunął się bliżej. - Suze, czy mogę cię o coś spytać?

- Sądzę, że tak. O co chodzi?

- Dlaczego zdecydowałaś się mi pomóc?

- Nie jestem pewna. Najpierw uwierzyłam we wszystko, co opowiadała mi Sheri. Zaczęłam zmieniać zdanie, ponieważ ci, których naprawdę polubiłam - Jay

### *Zupełnie obaj ludzie 365*

i Dee Dee - zawsze wierzyli w twoją niewinność. A potem, kiedy uświadomiłam sobie, że cię wrobiono, wydało mi się to takie niesprawiedliwe.

- Tak?

Podniosła wzrok i spojrzała mu prosto w oczy.

- No i sama zaczęłam cię lubić.

- A co się stało wtedy, gdy zadzwoniłaś do mnie i Sheri weszła do twojego pokoju? Sprawiałaś wrażenie takiej niezadowolonej! Przez chwilę myślałem wtedy, że jesteś na mnie porządnie wściekła. W wyobraźni Suze pojawił się upiorny uśmiech pani Rennslayer.

- Naturalnie wcale nie byłam zła.

Światło dzienne gasło i w sali zrobiło się ciemno. Suze i Lloyd siedzieli otoczeni intymnym blaskiem świec. Suze błędziła spojrzeniem po jego gęstych ciemnych włosach i wzdłuż delikatnej linii ramion, a w końcu zatrzymała wzrok na trójkącie ciała widocznym przy szyi. Lloyd dostrzegł, jak na niego zerkala.

- Podoba mi się twoja koszula. - Znowu się zarumieniła.

- Cieszę się. Kupiłem ją dzisiaj. - A jego oczy dodały: „Specjalnie dla ciebie”.

Suze oderwała od niego zachwycony wzrok. Lloyd był zaręczony z kimś innym.

- Bardzo przykro mi to mówić, ale teraz naprawdę musisz już iść.

- Och, tak - zgodził się bez entuzjazmu. - Poproszę o rachunek.

Skinieniem ręki przywołał jedną z kelnerek, a następnie położył dłoń na jej ramieniu, i szepnął dziewczynie coś do ucha. Jej usta w kolorze burgunda rozciągnęły się w uśmiechu, a Suze poczuła, że jest irracjonalnie zazdrosna.

- Teraz, kiedy stałem się taką grubą rybą, muszą mi przynosić rzeczy - oświadczył Lloyd wyniosłym tonem w odpowiedzi na pytające spojrzenie Suze. - Dlaczego nie powyglądasz chwilę przez okno?

366 *Robyn Sisman*

- A dlaczego mam to robić? - Suze była zaintrygowana, jednak go posłuchała.

- Lubię podziwiać twój profil. Masz taki wspaniały nos.

Gwałtownie zamknęła oczy.

- Nie znoszę swojego nosa...

Dokładnie w tej chwili w zasięgu jej wzroku ukazała się czyjaś ręka. Należała do zmęczonej blondynki -tylko że teraz nie wyglądała w ogóle na zmęczoną. Trzymała mały wiklinowy koszyk, który umieściła na obrusie tuż przed Suze. Wymienili z Lloydem porozumiewawcze spojrzenia i dziewczyna odeszła. Suze zdjęła z koszyka pokrywkę i zajrzała do środka.

- Ooooh... - wyszeptała zachwycona.

W środku siedział kociak wielkości dużego grejpfruta w kolorze przypalonej szarości, z białymi łapkami i szyją. Jego oczy miały kolor morza podczas burzy i zupełnie nie widać było w nich lęku.

- To „on” - wyjaśnił Lloyd.

Suze delikatnie wyjęła kotka z koszyka.

- Cudowny - wymamrotała, tuląc zwierzaka do siebie. - Muszę przyznać, że jest znacznie przystojniejszy niż Pan Kipling.

- A także młodszy - zauważył Lloyd. - To właśnie jego potrzebujesz, aby opiekował się tobą w twym mieszkanku. Suze pochyliła głowę i wdychała zapach ciepłego kociaka. Inni mężczyźni może dawali jej droższe prezenty, ale żaden nie ofiarował jej czegoś, co wskazywałoby, że długo rozmyślał nad swym podarunkiem, ani nie zaprezentował go w taki stylowy sposób.

- Och, Lloydzie, dziękuję ci! Jest absolutnie - au! - Suze ze śmiechem przyłożyła rękę do ust i oblizała małe zadraśnięcie. - Co za tygrys!

Spojrzała na Lloyda przez rzęsy. Na jego ustach błąkał się uśmiech, a w oczach widziała czułość.

Patrzył tak, jak gdyby spoglądał na najcudowniejsze istoty tego świata. Suze rozchyliła usta, aby coś powiedzieć,

*Zupełnie obcy ludzie 366*

lecz właśnie wtedy jedna z kelnerek zatrzymała się, aby pogłaskać kotka, i chwila minęła.

Ich stolik stał się teraz centrum uwagi. Wokoło rozległ się szemrzący chór kobiet; mężczyźni wyglądali na zakłopotanych, jak gdyby nie wiedzieli, o co chodzi. Suze wyobrażała sobie, że jutro nastąpi masowy nalot na sklepy ze zwierzętami. Włożyła kotka z powrotem do koszyka, uspokajając go i głaszcząc po główce. Wąsy, które dopiero co mu wyrosły, sprawiały, że jego pyszczek miał wyniosły wyraz. Przypominał Suze mężczyznę, który siedział obok niej na kolacji w Eart Hampton.

- Myślę, że nazwę go Chester - oznajmiła. Zamknęła koszyk, a gdy to zrobiła, zauważyła, która godzina. -Boże, Lloydzie, twój samolot!

Spojrzał na zegarek.

- Jezu! Jak to się stało? - Wstał, podniósł torbę i walizeczkę i spojrzał na Suze błędnym wzrokiem. - A co z tobą? Jak się dostaniesz do domu?

- Nie przejmuj się mną. Jedź! Ale on po prostu nadal stał. - Nie chcę jechać.

"Suze rozejrzała się bezradnie, a potem podniosła się od stolika.

- Odprowadzę cię na schody.

Nie chciała tutaj się z nim żegnać, gdy wpatrywała się w nich połowa restauracji.

Na zewnątrz na podeście oparła się o zimny kamienny mur. Lloyd pochylił się tuż nad nią. Wyglądał na oszołomionego.

- No cóż, żegnaj - powiedziała słabym głosem.

Od żelaznej balustrady tuż nad nimi padały na jego twarz cienie prętów. Zobaczyła, jak kąciki ust Lloyda opadły smutno, i coś ścisnęło ją w gardle.

Nagle złapał ją za rękę.

- Chodź ze mną. Proszę! Możesz pomachać mi na pożegnanie.

Ściągnął ją po schodach, nie zwracając uwagi na wysokie obcasy i obcisłą sukienkę Suze. Nawet na nią

*367 Robyn Sisman*

nie spojrzął. Na zewnątrz było ciemno i wiatr cicho szeleścił w drzewach. Lloyd otworzył drzwi taksówki, a potem jeszcze przystanął.

- Muszę jechać. - Jego oczy nadal były zwrócone gdzieś w przestrzeń, ale palce splatały się i rozplatały z jej palcami, wywołując fajerwerki emocji. - Muszę jechać - powtórzył.

Silnik taksówki zawarczał głośno. W końcu Lloyd odwrócił głowę i spojrzął na Suze, a jego oczy zwięziły się do rozpalonych jasnych szczelin. Przez chwilę myślała, że ją pocałuje. Wtedy gwałtownym ruchem uwolnił dłoń i wszedł do taksówki, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Patrzył jeszcze na Suze przez otwarte okno.

Kierowca wrzucił bieg. Lloyd naprawdę odjeżdżał i nie mogła tego znieść.

- Chwileczkę!

- Tak? - Wychylił się szybko.

Wpatrywali się w siebie przez pięć pełnych sekund. Lloyd wyglądał bardzo poważnie. Przelotny wietrzyk potargał mu włosy. Suze oblizwała usta.

- Nie zapomnij powiedzieć kierowcy, że to czwarty terminal.

- Dobrze - odrzekł z wysiłkiem.

Suze cofnęła się na chodnik i mocno splótła ręce z tyłu. Taksówka ruszyła.

- Do widzenia!

- Zadzwoń do ciebie - obiecał.

Taksówka odjeżdżała, szybko przyspieszając, kwadratowa i czarna niczym karawan. Gdy przyhamowała na rogu, Suze zobaczyła, jak Lloyd wysunął rękę z okna, aby po raz ostatni jej pomachać. Taksówka skręciła. Odjechał.

Suze głęboko wciągnęła w płuca spaliny i wyrzuciła je z siebie jednym potężnym zdecydowanym wydechem. No cóż, to by było na tyle. Poszukała papierosa w torebce i udało jej się zapalić go po trzech próbach. Co się z nią dzieje? Czowała w sobie tyle ener-

### *Zupełnie obcy ludzie 369*

gii, że mogłaby przejść kilkanaście kilometrów, a jednocześnie była taka słaba, że chciała położyć się zaraz tutaj na chodniku. Przyciskając do siebie łokcie, przeszła do końca ulicy drobnymi, szybkimi krokami. Na rogu zawróciła, prychając z wściekłości. Ruszyła biegiem do następnej przecznicy i znowu zawróciła. Z jej ust wyrwał się słaby jęk. Nie warto temu zaprzeczać: jest wspaniały - zabawny, miły, inteligentny, hojny, wygląda bosko, ma cudowne włosy i oczy oraz najbardziej seksowne ręce, jakie kiedykolwiek widziała. Niemal czuła, jak te długie palce odgarniają do tyłu jej włosy i rozpinają guziki. Suze wykonała piruet na swych wysokich obcasach, odpędzając owe kuszące obrazy. Odjechał. To wszystko, co dotyczy owej sprawy. Można równie dobrze jechać do domu. Rzuciła niedokończony papierosa na ulicę. Nadszedł czas, aby rzucić palenie. Nikomu to nie służy. Nadszedł czas na zmianę.

W jakiś sposób udało jej się wykrztusić, że chce zamówić taksówkę, i upchnąć w aucie swój bagaż oraz koszyk z kotem. Wsunęła się na drugi koniec skórzanego starego siedzenia i oparła głowę na krawędzi, zamykając oczy, gdy mijali latarnie.

Lloydowi też się podobała: była tego pewna. Pamiętała wyraz jego twarzy, kiedy mówił: „Nie chcę jechać”. Jednak ożeni się z Betsy. Pojechał. Jego ostatnie słowa brzmiały: „Zadzwoń do ciebie”. Tak, jasne!

Kierowca przeciskał się przez boczne uliczki North Kensington, jak gdyby miał zamiar pobić rekord szybkości. Nagle mocno przyhamował, niemal zrzucając Suze na podłogę.

- Jak zwykle! - warknął.

Suze podniosła wzrok i zobaczyła parę świateł sunących prosto na nich wąskim przesmykiem pomiędzy zaparkowanymi samochodami. Mrucząc coś do siebie, kierowca podjechał do krawężnika, aby przepuścić ten drugi pojazd. Ulica wyglądała na znajomą, zauważyła w duchu Suze; tutaj mieszkali Bridget i Toby. Przysunę-



### *370 Robyn Sisman*

ła się bliżej, aby wyrzeć przez okno. Stał tam oczywiście wysoki szary dom z mosięzną kołatką w kształcie delfina na drzwiach i przymarszczonymi zasłonami. Story na parterze nadal były odsłonięte, a okno podniesiono wysoko, aby wpuścić chłodny wietrzyk. W środku paliła się lampa. Suze zobaczyła Bridget i To-by'ego, siedzących naprzeciwko siebie przy jasnym stole. Bridget opierała podbródek na dłoni i słuchała z uśmiechem tego, co mówił Toby. Wyglądali na uszczęśliwionych swym towarzystwem, kochających się i zadowolonych. Timmy'ego nie było widać.

Taksówka pojechała dalej i migawkowy obraz sielanki znikł. Jednak ów nastrój udzielił się Suze. Być może łączenie się w pary nie jest aż takie znowu złe. Niekoniecznie oznaczało to, że trzeba spędzać cały czas na myśleniu o szczegółach wyposażenia wnętrza. Może byłoby miło mieć kogoś, kto dba o ciebie i obchodzi go, jak się zachowujesz. Suze zastanawiała się, czy aby czasami nie traktowała innych ludzi w sposób lekceważący.

Po doświadczeniach ostatnich kilku tygodni jej dawne życie w Londynie wydawało się niepociągające. Nie była pewna, czy łatwo jej przyjdzie ponowne zanurzenie się\* w dawną rutynę pracy, telewizji, enigmatycznych planów odzyskania sprawności fizycznej oraz przypadkowych obiadów z przyjaciółmi, przeplatanych od czasu do czasu dziwnymi nalotami na supermarket w późnych godzinach.

W ciągu kilku minut znaleźli się w Islington i kierowca taksówki zapytał o kierunek dalszej jazdy. Suze wyrzała przez okno, gdy skręcił w ulicę ze znajomymi punktami orientacyjnymi: greckim sklepem na rogu, domem, przed którym zawsze znajdował się stos starych materacy, oraz jej ulubionym drzewem, które jesienią miało pomarańczowe owoce. A tu, przy trzecim słupie latarni, stał jej dom. Wyglądał przyjaźnie. Wydawał się tylko jakby wyblakły i robił wrażenie mniejszego, niż go zapamiętała.

*Zupełnie obcy ludzie 370*

Suze zapłaciła za taksówkę, otworzyła drzwi frontowe i chwiejąc się przeszła ze swoimi torbami do wąskiego wspólnego korytarza.

- To jest twój nowy dom - oznajmiła Chesterowi. - Spodoba ci się, zobaczysz. - W odpowiedzi z koszyka dobiegł szelest.

Zostawiając cięższe rzeczy, aby zabrać je później, otworzyła wewnętrzne drzwi do mieszkania i weszła po schodach, niosąc koszyk i torby. Gdy zbliżyła się do pierwszego podestu, uświadomiła sobie trzy fakty: słyszała czyjś oddech; w jej sypialni włączone było światło, a kobieta, wyglądająca na szaloną, której Suze nigdy przedtem nie widziała, stała stopień nad nią z jedną ręką wzniesioną do uderzenia. W ułamku sekundy, zanim Suze zdążyła krzyknąć, zauważyła, że nieznajoma w uniesionej ręce trzyma przedmiot, który - gdyby nie jego olśniewająca czystość - uznałaby za swą własną patelnię.

## Rozdział trzydziesty czwarty

Wspaniała: tym jednym słowem mógł ją określić. Nie, nie jednym - była również ekscytująca, zabawna, olśniewająca i seksowna. Kiedy taksówka jechała szybko wokół ronda, Lloydowi zakreśliło się w głowie, gdyż przypomniał sobie, jak patrzyła na niego tymi cudownymi piwnymi oczami.

Piwnymi? Zmarszczył brwi. Czy tylko na to go stać? Jej oczy były niczym iskrzące się krople bursztynu. Nie, jak podwójne topazy lub palone złoto z anielskich aureoli na witrażowych oknach lub może... Westchnął. Te oczy były pełne radości i patrzyły na niego czule. Dostyc tego.

W jaki sposób mogła jednocześnie wyglądać tak niewiarygodnie stylowo i jak gdyby właśnie wstała z łóżka? Lloyd przywołał w wyobraźni obraz gładkiej białej cery Suze - rumieniła się na brzoskwiniowo, gdy była zakłopotana - oraz włosów w kolorze tytoniowych liści, z miedzianym połyskiem. Pomyślał o uwodzicielskim wygięciu jej ramion i o tym, jak unosi kąciki ust lekko do góry, kiedy jest poważna. Podobało mu się, że jadła posiłek z takim apetytem: oto prawdziwa kobieta z rzeczywistymi pragnieniami. Zastanawiał się...

Odchrząknął i usadowił się wygodniej w taksówce. Miał nadzieję, że Suze nie zauważyła, jak cały czas zmuszał się do wyglądania przez okno lub udawania, że najbardziej interesuje go jedzenie, aby nie dopuścić do siebie zbyt gorących uczuć.

### *Zupełnie obcy ludzie 372*

To cud, że chyba jej także się spodobał - czy też po prostu z natury była serdeczna? Lloyd przestał umawiać się z dziewczynami bardzo dawno temu i nie miał pojęcia, jak mężczyźni i kobiety zachowują się teraz na randkach. Oczywiście, ściśle rzecz biorąc, nie spotkali się na randce.

Była także inteligentna oraz wytrwała, śmiała i odważna.

A więc dlaczego tak ją zostawił? Dlaczego nie powiedział, co czuje? Dlaczego nie wziął jej w ramiona i nie pocałował, tak jak chciał? Dlaczego nie wyjawiał, że jest wolny?

Ponieważ był ostrożny i tchórzliwy, oto dlaczego. Nadszedł moment, kiedy mógł jej powiedzieć o Betsy - że zgodzili się na rozstanie, odczuwając w różnym stopniu na przemian ból i ulgę - jednak nie przychodziło mu do głowy, w jaki sposób to zrobić, aby jego wyznanie nie zabrzmiało jak beznadziejnie głupia oferta.

A może obawiał się odmowy z jej strony? Lata wspólnego życia z drugą osobą sprawiły, że złagodniał; stłumił w sobie instynkt agresywnego mężczyzny, który szuka zdobyczy. Był mięczakiem. Lloyd wpatrywał się z roztargnieniem w podłogę taksówki. Cholera, cholera, cholera. Pograżył się w żalach nad sobą. Niech diabli wezmą Betsy! Niech diabli wezmą wszechświat! Niech diabli wezmą nawet samą Suze! Dlaczego musi być tak cholernie ładna?

Zamrugał oczami i próbował obserwować duże biurowce oraz surowe ^fabryki z lat trzydziestych, które przemykały obok niego. Wyglądało na to, że już dotarli do obrzeży Londynu.

„Zadzwoń do ciebie!”. Ze wszystkich głupich zwrotów, które mógł wybrać, ten był najgorszy, klasyczna pożegnalna kwestia przypadkowego Romea. Jak mógł?

Oczywiście, w jej życiu musi istnieć jakiś mężczyzna. Ponieważ był tchórzem, nie znalazł sposobu, aby

### 374 Robyn Sisman

zapytać ją o to, ale z całą pewnością jest już z kimś związana. Dziewczyny tak atrakcyjne jak Suze nigdy nie są wolne dłużej niż nanosekundę pomiędzy zerwaniem jednego związku a początkiem drugiego. O ile wiedział, zeszła się ponownie z facetem od sosu holenderskiego. Jeśli nie, bez wątpienia w Londynie czekał już ktoś, by rzucić się na nią - przystojny młody lord w ferrari, który porwie ją do Paryża na weekend, lub jakiś typ pozujący na artystę, który napisze dla niej wiersz. Lloyd miał ochotę gryźć obicie ze złości.

Zamknął oczy w rozpacz. Być może nawet jęknął głośno, ponieważ taksówkarz otworzył szybkę za sobą i zawołał:

- Chyba nie słyszę cię, człowieku, co nie?

Lloyd czuł się podenerwowany. Nadszedł jego moment. Było to zupełnie proste. Na filmach ludzie robili to przez cały czas: „Hej, panie, zawróć pan taksówkę. Szybko! Wracam do miasta”. Lloyd otworzył usta i odezwał się głośno:

- Czy mówiłem panu, że to czwarty terminal? Taksówka z warkotem pędziła dalej w noc, z każdą chwilą coraz bardziej oddalając go od Suze. Lloyd przeczesywał palcami włosy. Musi wyjechać: co jeszcze mógł zrobić? Przecież zaledwie wczoraj on i Betsy zerwali ze sobą. Podrywać inną kobietę zaraz następnego dnia wydawało się, no cóż, niehonorowe. Suze uznałaby go za zmiennego. Miała już kilka złych doświadczeń z mężczyznami - jakimiż ślepymi, pozbawionymi mózgu głupcami byli owi faceci! Lloyd otworzył zaciśnięte pięści, zmuszając się do logicznego myślenia. To nieuczciwe robić awanse kobiecie, a następnie wskakiwać do samolotu do Nowego Jorku. On i Suze mieszkają tysiące mil od siebie. Spotkał ją tylko raz, to wszystko jest nierealne. Powinien od razu wyrzucić ją ze swoich myśli.

Dojeżdżali właśnie do lotniska. Lloyd patrzył ponurym wzrokiem, jak obłych kształtów samolot wznosi się powoli w górę. Taksówka przystanąła przed szkła-

### *Zupełnie obcy ludzie 374*

nym budynkiem. Lloyd zapłacił i wyskoczył, zanim zdążył zmienić zdanie.

Wewnątrz panował wielki ruch. Liczne wózki bagażowe blokowały dojście do stanowisk kontroli biletów. Lloyd zerknął na zegar: dochodziła już jedenasta trzydzieści. Przyszło mu do głowy, że życie z kimś takim jak Suze może być szarpiącą nerwy przygodą. W tym momencie ponad ogólną paplaniną piszczących dzieci i radosnymi okrzykami uszczęśliwionych ludzi wyjeżdżających na wakacje oraz turkotem taśmy transportującej bagaż usłyszał swoje nazwisko wywoływane przez głośnik: ktoś go wzywał. Poczuł się zaniepokojony, a następnie ogromnie szczęśliwy i ożywiony. Czy to może Suze? Kiedy przedzierał się do właściwego stanowiska i oznajmił, jak się nazywa, mężczyzna w mundurze popatrzył nań z dezaprobatą.

- Odprawa zakończyła się półtorej godziny temu, panie Rockwell. Pasażerowie samolotu do Nowego Jorku wchodzą już na pokład. Czy mogę zobaczyć pański bilet?

To dziwne, że Betsy nie stała nad nim, gdy przeszukiwał wszystkie zapinane na suwak kieszenie w torbie. Kiedy zlokalizował ważne dokumenty, przykazano mu surowo, aby udał się prosto do bramki. Zajął miejsce w zakręcającej kolejce do kontroli paszportowej, powłóczęc apatycznie nogami, oszołomiony hałasem i oślepiającym światłem.

Weź się w garść, Rockwell. W porządku, ich spotkanie było eudowne.ślb, co zrobiła dlań u Schneidera Fo-xa, też było cudowne. Ona sama także okazała się cudowna. Spędzili cudowny wieczór, ale teraz nadszedł czas, by wrócić do domu.

Przesunął się do lady, gdzie sprawdzano paszporty, i urzędnik zerknął na jego zdjęcie - przeciętny portret seryjnego mordercy patrzącego błędnym wzrokiem -a następnie pochylił głowę, aby przyjrzeć się dokładnie podróżnemu. Miał beznamiętny wyraz twarzy. Nie mu-

*375 Robyn Sisman*

szę wyjeżdżać, powiedział Lloyd do siebie i popatrzył dookoła, czy nie ma tu gdzieś telefonu. Mógłby zadzwonić do mieszkania Suze... Uśmiechnął się, gdy pomyślał, jak odbiera telefon we właściwy sobie pełen entuzjazmu niecierpliwy sposób i mówi... Co powie? Głośny głuchy odgłos przerwał jego fantazje - oto urzędnik przybił mocno pieczęć.

- Dziękuję panu, panie Rockwell. - Oddał mu paszport.

Lloyd wziął go bezmyślnie. Kolejka za nim ruszyła falą do przodu, wpychając go na teren ziem niczyjej -kompleksu sklepów wolnocłowych. Oficjalnie opuścił już Anglię. Czuł się martwy w środku. Zaczął podążać za znakami prowadzącymi do właściwego wyjścia. Teraz było już za późno, aby zawrócić.

Rozdział trzydziesty piąty

Nie! - wrzasnęła Suze, padając na ciemne schody. Nieznajoma kobieta mocniej ścisnęła patelnię.

- Proszę wyjść z mojego mieszkania lub wezwę policję! - zapiszczała.

- Co pani ma na myśli, mówiąc: „moje mieszkanie”? - Suze wyprostowała się dumnie. - To jest moje mieszkanie! - Jej oczy powędrowały w stronę patelni. Wydawało się dziwne, aby ktoś, nawet szalony, chciał ją ukraść.

Prawda dotarła do nich obu równocześnie.

- Ty jesteś Betsy Rennslayer.

- A ty Susanna Wilding.

- Myślałam, że się wyprowadziłaś.

- Myślałam, że wracasz jutro.

- Kto tak twierdził?

- Kto ci to powiedział?

- Lloyd! - odezwały się obie jednocześnie i wymieniły długie, taksujące spojrzenia.

Suze poczekała aż jej tętno zwolni do normalnego tempa, a następnie podniosła swój dobytek.

- Czy w takim razie mogę wejść na górę?

- Tak, oczywiście! - Betsy odsunęła się na bok. -To musiało być dla ciebie okropne powitanie. Przepraszam.

- Nie ma za co. - Zmierzała prosto do swojego salonu. Jak ładnie wyglądał! Tęskniła za swoim małym mieszkankiem. Postawiła torby i odwróciła się do Bet-



378 *Robyn Sisman*

sy: - Oczywiście zaszła jakaś pomyłka. Przepraszam, że cię przestraszyłam.

Tamta obdarzyła ją baczny, niezbyt serdeczny spojrzeniem. Suze wsunęła włosy za uszy, nagle onieśmielona. Umysł miała jeszcze zaabsorbowany Lloydem. Te uczucia musiały się odbijać na jej twarzy.

- Lloyd nie powiedział mi, że przyjeżdżasz dziś wieczorem - powtórzyła Betsy z uporem.

Suze westchnęła zniecierpliwiona, a potem doznała olśnienia. Narzeczona Rockwella spodziewała się, że będzie tu spać dzisiejszej nocy. Prawdopodobnie miała już właśnie włożyć koszulę nocną i iść do łóżka - łóżka Suze. Suze wzdrygnęła się, wyobrażając to sobie. Myśl, że we własnym mieszkaniu spędzi noc z kobietą, którą zamierzał poślubić Lloyd, była po prostu nie do zniesienia.

Uzbroiła się w cierpliwość i postanowiła być grzeczna.

- Czy chcesz powiedzieć, że nie masz gdzie iść? Możesz tu zostać, jeśli tylko masz ochotę. Ja prześpię się na kanapie.

- To bardzo miło z twojej strony - Betsy wyglądała na zaskoczoną. - Ale wszystko jest w porządku, mieszkam w hotelu z matką. Przyszłam, aby zabrać moje rzeczy i upewnić się, że Lloyd tu posprzątał, jak mi to obiecał. - Z układu ust Betsy jasno widać było, że nie wywiązał się z tego zadania w zadowalający sposób. Zagniewana, oparła ręce na szczupłych biodrach. - Czasami myślę, że mężczyźni nie dostrzegają brudu w taki sposób, jak my. A przynajmniej niektóre z nas - dodała.

Suze nie słuchała. A więc to tę kobietę Lloyd pragnął poślubić! Betsy była ładna, musiała przyznać - drobna i irytująco smukła, z wysokim jasnym czołem, którego biel podkreślały ciemne włosy i oczy, oraz zgrabnym małym noskiem, mniej więcej o połowę mniejszym niż nos Suze. Unosiła się wokół niej aura bezradności, co prawdopodobnie uwielbiają mężczyźni. Suze poczuła wściekłą zazdrość.

Wyrwała patelnię z ręki rywalki.

*Zupełnie obcy ludzie 378*

- Schowam to - rzuciła szorstko. - Potem zaś wezwę dla ciebie taksówkę.

Wstrząśnięta twarz Betsy wskazywała, jak niegrzecznie zabrzmiały te słowa.

- Przepraszam - powiedziała Suze smutnym głosem. - Jestem trochę zmęczona podróżą. Czy mogę ci zaproponować coś do picia?

Tamta zawahała się, jak gdyby miała podjąć jakąś przełomową decyzję.

- Och, dlaczego nie? Jestem wykończona. Tylko proszę, nic mocnego. - Podwinęła szybko spódnicę i usadowiła się zgrabnie na jednym z krzeseł z prostym oparciem.

Po drodze do kuchni Suze zajrzała do innych pomieszczeń. Wyglądały wszystkie tak samo jak zawsze, a jednak lepiej, bardziej świeżo... czyściej. Zasłony w sypialni stały się znowu naprawdę purpurowe; w łazience leżała nowa mata; kuchnia wyglądała przyjacielsko i zapraszająco; parapet przy otwartym oknie zajmowały bujnie kwitnące pelargonie. Zmarszczyła niepewnie brwi, patrząc na patelnię w swojej dłoni: przypuszczalnie była jej własnością, ale Suze przypominała sobie tylko jakiś poczerniały, pokryty spalonymi plamami rupieć. Schowała ją na zwykłe miejsce w szafce. Tu także widać było działanie wszechpotężnego ajaksu. Prowadzenie gospodarstwa domowego musi być wielkim talentem Betsy; niekoniecznie złym, przyznała Suze. Jakiś przedmiot, którego nigdy przedtem nie widziała, błyszczał na kuchennym blacie: nowiutka kuchenka mikrofalowa, błogosławieństwo dla samotnej kobiety. Zaciekawiona Suze otworzyła drzwiczki i znowu je zamknęła. Kiedy już przestanie gardzić tym urządzeniem, może się okazać całkiem przydatne.

Gdy wróciła do salonu, wręczyła Betsy słabego szpry-cera i usiadła na kanapie, otaczając palcami swój kieliszek z winem. Lloyd musi być teraz gdzieś w połowie drogi na lotnisko. Poczowała, jak ból sący się do jej żył.

380 *Robyn Sisman*

- A więc dlaczego przyjechałaś tak wcześnie do domu? - spytała Betsy.

Suze otworzyła usta, nie wydobyła jednak z siebie słowa. Czy tamta nie wiedziała o jej obiedzie z Lloydem? Jeśli nie, to co Lloyd powiedział swej narzeczonej, że niby gdzie zamierza spędzić dzisiejszy wieczór? Suze czuła, jak w miarę upływających sekund na jej twarzy pojawiały się gorące rumieńce. Boże, jakie to było kłopotliwe! Nagle przyszło jej do głowy zręczne wyjście z sytuacji.

- Chodziło o klucze, właśnie, tak jest, o klucze. Widzisz, wczoraj, kiedy Lloyd i ja, hm, prowadziliśmy służbową rozmowę przez telefon, nagle zdaliśmy sobie sprawę, że nie będziemy mogli dostać się do naszych własnych mieszkań. Cha, cha, cha! - Wydała z siebie suchy śmiech. - A więc pomyśleliśmy, że dlaczego nie mielibyśmy spotkać się na drinka? I coś przekąsić. I wymienić klucze. Wiesz, zanim odleci jego samolot. - Suze starała się wyglądać obojętnie. - Czy nie wspomniał ci o tym?

-Nie.

- Powinnaś była przyjść także. - Bolały ją policzki od udawania szerokiego uśmiechu.

- Czy aby na pewno?

. - Chyba że byłoby to dla ciebie nudne. Wiesz, sprawy związane z pracą. Nudy, nudy, nudy...

Uniosła jedną rękę do góry w przesadnym geście i strąciła ze stołu kieliszek z winem. Przeleciał przez pół pokoju i spadł na podłogę ze smutnym brzękiem. Suze krzyknęła przerażona, podbiegła i uknęła w niewygodnej pozycji na twardej podłodze, by zebrać kawałki szkła i wrzucić je do kosza na śmieci. Nagle ogarnęła ją czarna rozpacz. Kochała go! Pochyliła głowę, próbując opanować łzy. W piersi czuła ból z wysiłku, by nie wybuchnąć głośnym płaczem.

Usłyszała za plecami, jak Betsy pyta cicho z niedowierzaniem:

- Nie powiedział ci, prawda?

### *Zupełnie obcy ludzie 380*

Suze odwróciła się do niej. Czuła, że ma wielkie łzy na rzesach. Nie zważała już na to, kto je widzi.

- Nie powiedział mi o czym? - Pociągnęła nosem.

- Czyż nie jest to typowe dla Lloyda? - Betsy mówiła półgłosem do siebie, potrząsając głową i uśmiechając się łagodnie. A następnie dodała ciszej: - Czyż nie jest to miłe?

Suze wstała.

- Co? - spytała zbolalym głosem. - Czego mi nie powiedział?

Oczy Betsy powędrowały wolno na jej twarz. Przyglądała się Suze badawczo, jak gdyby podejmowała ważną decyzję.

- Lloyd i ja zerwaliśmy ze sobą.

- Zerwaliście? - Suze aż się zająknęła. Miała wrażenie, że nagle jej serce przestało bić.

- Nie pobieramy się.

- Nie...? - powtórzyła Suze.

- Jak sądzę, w końcu uświadomiliśmy sobie, że chcemy różnych rzeczy. - Betsy milczała przez chwilę, wyglądając na zasmuconą. - i ostatnio - mówiła dalej - miałam wrażenie, że myśli o kimś innym. - Jej oczy błyskawicznie zwróciły się na Suze z niemym pytaniem.

Zamrugła oczami wstrząśnięta. Pomimo wszystko jej serce jednak biło.

- Nie - odrzekła stanowczo. - Z ręką na sercu, nie, Betsy.

- Wiedziałam od samego początku, że czuje coś do ciebie - westchnęła tamta. - Suze to, Suze tamto.

Słyszałam w jego głosie, gdy rozmawiał z tobą przez telefon. Opowiedział ci nawet ten swój okropny dowcip o facetach w sklepie z artykułami żelaznymi, który jego zdaniem jest taki zabawny.

Suze nie wiedziała, co powinna zrobić. Zaczęła chodzić tam i z powrotem po pokoju, aż się skręcając pod badawczym spojrzeniem Betsy.

- Wtedy pomogłaś mu odzyskać pracę. Nie rozu-

381 *Robyn Sisman*

miem dokładnie, jak to zrobiłaś, ale zauważyłam, że myśli, iż jesteś cudowna.

Próbowała ukryć głupi promienny uśmiech, który pojawił się na jej twarzy.

- To nie było nic ważnego. Po prostu nie podobało mi się, w jaki sposób potraktowano go w biurze w Nowym Jorku.

Betsy ciągnęła dalej, jak gdyby Suze nic nie powiedziała.

- Muszę przyznać, że byłam dość zazdrosna.

- Ale ja przecież nawet go nie widziałam aż do dzisiejszego wieczoru!

- Och, nie mówię, że zerwaliśmy z twojego powodu. Kiedyś i tak by się to stało - lepiej teraz niż po ślubie. A co z dzisiejszym wieczorem? Dlaczego Lloyd nie miałby mi powiedzieć, że zamierza się z tobą spotkać, chyba że czuł, iż między wami coś jest?

- Ale nie ma niczego! Lloyd jest, oczywiście, bardzo miły i nawet mi się podoba. Ale nie ma nic...

chciałam powiedzieć, że nie... - Suze odwróciła się do Betsy. - Było to czysto platoniczne spotkanie służbowe. - Naprawdę? - Tamta złożyła ręce i obrzuciła ją krytycznym wzrokiem. - W takim razie jak to się stało, że nosisz jego marynarkę?

Nastała chwila całkowitego milczenia. Suze spojrzała na siebie, a potem przyłożyła ręce do piersi.

Betsy miała rację. Miała na sobie marynarkę Lloyda.

- Było zimno - wyjaśniła. Betsy uniosła brwi. Teraz obie popatrzyły na siebie z uwagą. Oczy Betsy były smutne, ale nie wrogie.

Suze zaczęła sprawdzać kieszenie.

- A co z jego pieniędzmi? I z biletem?

- Lloyd nienawidzi nosić takich rzeczy w marynarce. To jeden z jego śmiesznych nawyków.

W tym momencie Suze poczuła coś w bocznej kieszeni. Wyciągnęła jakiś przedmiot i podniosła go do góry. Był to komplet kluczy, który wręczyła Lloydowi w czasie kolacji - kluczy do mieszkania w Nowym Jorku.

### *Zupełnie obcy ludzie 383*

- Oho! - odezwała Betsy. - Portier bardzo zrzędzi, jeśli ktoś go budzi w środku nocy.

Ta sama myśl przyszła im nagle do głowy. Obie spojrzały na zegarki, unosząc jednocześnie dłonie identycznym ruchem, jak gdyby ćwiczyły to od tygodni.

- Czy tuż za rogiem nie widziałam postojów taksówek? - zastanawiała się Betsy.

- Nie masz nic przeciwko temu?

- Jest tego wart.

Suze poczuła się napompowana energią jak balon wypełniony ciepłym powietrzem; ogarniała ją coraz większa radość, cieszyła się nadzieją na to, co niemożliwe.

- Miau - odezwał się nagle Chester.

Aż podskoczyła. Zupełnie o nim zapomniała! Co teraz? To nie do pomyślenia, aby zostawić to urocze ko-ciątko samo w obcym mieszkaniu.

Suze spojrzała na Betsy; Betsy spojrzała na Suze: było jasne, że doskonale rozumie sytuację. Na jej twarzy pojawił się wyraz rezygnacji.

- Zaopiekuję się kotem - obiecała bezbarwnym głosem męczennicy i kichnęła.

- Naprawdę? - Suze się rozpromieniła.

- Po prostu jedź. - Betsy zamknęła oczy.

- Ale jak...? Co będzie jeśli... Czy nie wyjeżdżasz jutro na wakacje razem ze swoją mamą?

Betsy sprawiała teraz wrażenie onieśmiałej.

- Nastąpiła zmiana planów. Mamusia - dla eksperymentu wyraźnie wymówiła to słowo - postanowiła spędzić tydzień na wsi dla podreperowania zdrowia. Ja natomiast wyjeżdżam do Włoch. - Jej twarz zalał delikatny, promienny uśmiech. - W hotelu poznałam pewnego włoskiego hrabiego. On... - Betsy przerwała. - Zbieraj się - poleciała stanowczo. - Jest jedna szansa na milion, ale możesz go jeszcze złapać.

Rozdział trzydziesty szósty

Numer dwadzieścia sześć. Jeszcze tylko trzeba minąć dwa. Lloyd sprawdził godzinę na zegarku; jedenasta pięćdziesiąt pięć. Powinien się pośpieszyć. Korytarz ciągnął się przed nim niczym tunel tak daleko, jak tylko można było sięgnąć wzrokiem. Szereg tablic z reklamami wytyczało trasę przed nim aż do punktu, gdzie coś migąło w ciemności. Ruchomy chodnik niósł go, powoli przesuając się w nieunikniony sposób do przodu po czarnym torze.

Dwadzieścia siedem. Teraz przejście było niemal zupełnie puste; co i raz słyszał jakiś bliżej nieokreślony warkot. Na zewnątrz potężniał ryk silników samolotu.

Dwadzieścia osiem. To było tu. Lloyd zszedł z taśmy. Dostrzegł, że poczekalnia jest pusta. Udał się w kierunku wyjścia ociężałym krokiem lunatyka; nie potrafił zmusić się do biegu. Po drodze jego uwagę zwróciła znajoma linijka tekstu: „Passion to jedyne wyjście”. Lloyd zaśmiał się w duchu szyderczo. Fotografia pokazywała młodą parę w hamaku na plaży gdzieś w tropikach. Obraz był kuszący, przedstawiał dwójkę szczęśliwych ludzi i miał optymistyczne przesłanie. Jakie to bezdennie głupie, pomyślał Lloyd, jak zdradliwie głupie. Samoloty to nie zabawa: podróże nie są romantyczne. Nie ma żadnego „i potem żyli długo i szczęśliwie”. Pomyślał o wszystkich owych fantazjach, których dostarczał innym ludziom. Kup to, zrób tamto, a twoje życie stanie się cudowne. Jednak praw-

### *Zupełnie obcy ludzie 385*

dziwne życie nie pojawia się przed tobą w ładnych gładkich opakowaniach. Prawdziwe życie jest okrutne. Prawdziwe życie pokazuje ci najbardziej godną pożądaną kobietę świata, a następnie porywa ją sprzed nosa.

Pracownica w mundurze czekała tylko na niego, uśmiechnięta, lecz zniecierpliwiona.

- Pan Rockwell? Jeszcze pan zdążył. Zamykamy odprawę. Czy mogę zobaczyć pańską kartę pokładową?

Lloyd poszperał w torbie, znalazł kartę i podał ją kobiecie. Oderwała górną część i oddała resztę.

- Przyjemnej podróży do Nowego Jorku.

Przeszedł przez bramkę i dalej na pomost prowadzący do samolotu. Jego ciężkie kroki odbijały się na sprężystej podłodze.

Fakt, że nie znał Suze. Było niemożliwością zakochać się w kimś po jednym spotkaniu. Dał się ponieść zwykłej fantazji.

Czuła ból w płucach. Włosy opadały jej na twarz. Przy wejściu na lotnisko zdjęła buty na śmiesznie wysokich obcasach i teraz gnała po posadzce w samych rajstopach, próbując w biegu sprawdzić na tablicy informacje o odlotach. Czerwone światełko mrugało obok lotu do Nowego Jorku, zapowiadając start samolotu za pięć minut.

Suze zmierzała do najbliższego stanowiska linii lotniczych, nachyliła się, by założyć z powrotem buty i wielkimi krokami ruszyła na przód kolejki.

- Nagły wypadek! - mówiła apodyktycznie z akcentem ludzi z klasy wyższej. - Pilna wiadomość z Downing Street dziesięć. Proszę mnie przepuścić. - Tłum cofnął się pod wrażeniem.

- Rockwell - powiedziała urzędnikowi. - Pan Lloyd Rockwell. Czy przeszedł już kontrolę paszportową?

Przypatrzył się jej sceptycznie. Podniosła brodę. Wolno i metodycznie sprawdził w swoich papierach.

- Tak, już się zgłosił. Czy wolno mi zapytać...?



386 *Robyn Sisman*

- Muszę koniecznie z nim porozmawiać. Mam pilną wiadomość. Bezwzględne pierwszeństwo. Czy mogę przejść do bramki?

- Obawiam się, że to zupełnie niemożliwe.

- To bardzo ważne. Ja - hm - mam przepustkę ochrony.

- Czy mogę zobaczyć pani numer identyfikacyjny? Pewność siebie widoczna na twarzy Suze znikła.

- Proszę - błagała.

Jego oczy przesunęły się obojętnie i spojrzały gdzieś poza nią.

- Następna osoba?

Łzy napłynęły jej do oczu; Suze powstrzymała je siłą woli. Nie poddawała się tak łatwo. Odwróciła się, badawczo lustrując wzrokiem lotnisko. „Informacja”, głosił znak. Pędem ruszyła w tamtą stronę. Wezwie go przez głośniki. Usłyszy wiadomość od niej i pomyśli... Mniejsza o to, co pomyśli. Nie zważała na to, że będzie jej głupio.

Myślała o jego niebieskich oczach, ciepłym głosie, iskrze, jaka przeskoczyła pomiędzy nimi. Później może wyjechać, jeśli nadal będzie chciał. Najpierw jednak Suze musi mu powiedzieć, że go kocha.

★

Lloyd mijał właśnie ostatni zakręt. Przed sobą miał otwarte drzwi samolotu. Przy wejściu stała stewardesa. Na górnej kieszonce jej zakietu widniało jaskrawe czerwone serduszko.

Przystanął. Co to kiedyś powiedział Jay? Miłość. Tylko ona się liczy. Oczywiście, że mógł się zakochać w taki sposób. Nikt nie obiecywał, że to będzie łatwe. A więc co zrobi?

Jay miał rację.

Musi wrócić.

- Przykro mi! - zawołał. - Lećcie beze mnie! Następnie odwrócił się na piętach i pognął z powrotem przez sprężysty tunel, przez bramkę obok oszoło-

### *Zupełnie obcy ludzie 386*

mionej pracownicy obsługi lotniska do poczekalni, a potem na zewnątrz na znajdujący się dalej korytarz. Tu zaczął biec miarowymi pewnymi susami, a jego ból i napięcie słabły z każdym krokiem. Zapora puściła, zawładnęły nim emocje, ciepłe, serdeczne i oczyszczające uczucia.

Pasażerowie udający się w przeciwnym kierunku rzucali na niego zaniepokojone spojrzenia i odsuwali się, by zejść mu z drogi. Lloyd roześmiał się głośno. Nie dbał o to, co myślą inni. Nie obchodziło go, co ktokolwiek o nim pomyśli. Czuł się silny, niepokonany, wolny. Przynajmniej raz wiedział, że postępuje właściwie.

Widział przed sobą wyrazistą twarz Suze. Oczywiście, że ją zna! Spał w jej łóżku, pomógł jej ugotować obiad, słyszał, jak płakała. Pamiętał, że odrywa górny brzeg od pudełka z płatkami kukurydzianymi i w której szufladzie trzyma bieliznę; wiedział, że lubi jaskrawe kolory, Franka Lloyda Wrighta, zupę pomidorową w puszcze i Simply Red. No cóż, nikt nie jest doskonały.

Wyprysnął z korytarza i pognął sprintem tam, skąd przybył, przez niemal pusty kompleks sklepów. Przed nim stały urządzenia do prześwietlania bagażu. Skierował się do przejścia, gdzie umieszczono wykrywacz metalu; za nim znajdowały się stanowiska kontroli paszportowej i gromadzili się ludzie. Już niemal tam był.

Nagle coś zatarasowało mu przejście. Poczł uderzenie w pierś. Potężny, wyglądający na uprzejmego urzędnik zagroził mu drogę.

- A więc, młody człowieku, skąd ten pośpiech?

Lloyd zatrzymał się oszołomiony, ciężko oddychając. Jego oczy lustrowały bacznie lotnisko, gorączkowo szukał w myślach wiarygodnego wyjaśnienia. I wtedy stał się cud.

Po drugiej stronie stanowiska odprawy paszportowej chodziła tam i z powrotem Suze, wyglądająca na wściekłą. Lloyd otworzył ze zdziwienia usta; chyba musi mieć halucynacje. W tej samej chwili, jak gdyby świadoma jego spojrzenia, podniosła wzrok i zobaczy-

*387 Robyn Sisman*

ła go. Patrzyli na siebie radośnie zaskoczeni. Wówczas uśmiechnęła się promiennie, sięgnęła do kieszeni marynarki - jego marynarki - i wyciągnęła coś, czym pomachała wysoko w powietrzu: jego klucze! Urzędnik powtórzył pytanie.

- Zapomniałem o czymś - odrzekł Lloyd, spoglądając przez ramię mężczyzny w oczy Suze.

- To musi być bardzo ważne, proszę pana.

Suze rozjaśniła się jak choinka na Boże Narodzenie. Płonęła z radości niczym fajerwerki. I to wszystko było dla niego. Lloyd uśmiechnął się szeroko.

- Ma pan rację, to bardzo ważne.